



Gabriela Gargaś

Taka jak ty

Z każdej sytuacji jest wyjście,
po każdej nocy przychodzi dzień,
a na każdą łzę przypada jeden uśmiech.

FILIA

Gabriela Gargaś

Taka jak ty

FILIA

Chcę spotkać w tym dniu

Człowieka, co czuje jak ja

Chcę powierzyć mu

Powierzyć mu swój niepokój

Chcę w jego wzroku

Dojrzeć to światełko, które sprawi,

Że on powie jak ja – jak ja...[1]

[1] Fragment piosenki *Och, życie, kocham cię nad życie*, z repertuaru Edyty Geppert, sł. W. Młynarski, muz. W. Korcz.

Czasami trzeba się znaleźć na skraju przepaści, by zrozumieć, co jest rzeczywiście ważne, by zrozumieć, o co w tym życiu naprawdę chodzi. Bo przecież nie o to, czy ma się mniej, czy więcej zmarszczek, czy tam przybyło, a tu ubyło, czy coś obwisło, a coś się podsunęło. Nie chodzi o stan konta, o wielkość domu, wypasioną furę, o to, by wciąż narzekać, bo to czy tamto się spieszyło. Co tam porąbany szef, chandra bez powodu, rysa na szkle... Są większe upadki, istnieje mocniejszy ból.

O co więc chodzi? Może o to, by się do kogoś uśmiechnąć, napisać wiadomość, że się kocha. Potrzytać za rękę, porozmawiać, przytulić, powiedzieć, że będzie dobrze, upiec furę czekoladowych ciasteczek. Może chodzi o to, by być. Po prostu być.

PROLOG

W moim życiu było wiele takich dni, które wywracały świat do góry nogami. Ale ten jeden, szczególnie, zmienił wszystko. Zmienił moje poukładane życie o sto osiemdziesiąt stopni...

Karolina westchnęła.

Od dawna już nie siadywała sama z kubkiem kawy na ławce i nie obserwowała ptaków wznoszących się do lotu. One są wolne, mogą szybować po niebie, dokąd chcą. Karolina chciałaby jeszcze kiedyś móc poczuć podobną swobodę. Zwykle nie miała czasu praktycznie na nic. A tego dnia pozwoliła sobie na wolne. Wolne od życia, jak powiedziałyby Marionna.

Kobieta obserwowała uśmiechniętych ludzi, biegające dzieci.

Od tylu lat nie znajdowała czasu na takie fanaberie. Tak, niekiedy sobie myślała, że ten czas tylko dla siebie to jej fanaberie. Niewielu ludzi ją rozumiało, jedynie ci, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji.

Na początku ciągle obwiniała siebie. Była przekonana, że to, co ich spotkało, jest jej winą. Teraz wiedziała, że zrobiła wszystko, co było w jej mocy, by Jasiek miał w miarę normalne życie.

To już sześć lat... – nie odrywała wzroku od ludzi. Zdrowych ludzi. – Tyle pięknych chwil razem, ale tyle też bólu, smutku, wyrzeczeń... Tak mało z tego życia dla mnie, ale to był przecież mój wybór. I dziś postąpiłabym tak samo – pomyślała. – Jestem odważna, prę do przodu, tylko czasem płaczę. Więcej się uśmiecham, choć miewam też gorsze chwile, kiedy gryzę poduszkę, kiedy mam ochotę uciec od wszystkiego...

Karolina zamknęła oczy.

Przypomniały jej się przeczytane gdzieś słowa: „Jedno dzisiaj jest warte więcej niż dwa jutra”. Jakże prawdziwe. Właśnie dzisiaj, teraz, uświadomiła sobie, jak bardzo jest szczęśliwa mimo choroby syna, mimo zmęczenia, mimo cierpienia. Bo to była miłość ociekająca cierpieniem – tak Karolina mogłaby opisać swoje

życie z Jaśkiem. Ze swoim szczęściem. Chorym szczęściem.

ROZDZIAŁ 1

Karolina układała historyjki z gumy Donald w swoim tajnym pudełeczku, które dwa dni temu obkleiła złotkiem, kiedy do pokoju weszła mama.

– Marionna przyszła.

Dziewczynka wybiegła do przedpokoju.

– Cześć – uśmiechnęła się do przyjaciółki. Miały po tyle samo lat, ale Marionna była drobniejsza i niższa. Wyróżniała się porcelanową cerą i blond puklami, które spływały na ramiona. Karolina, dość wysoka, jak na swój wiek, i bardzo szczupła, szczyciła się oliwkowym odcieniem skóry i włosami w kolorze hebanu.

– Wyjdiesz na dwór? – zapytała Marionna.

– Pewnie.

Karolina włożyła buty plastiki, które wówczas były szczytem mody, i zawołała w stronę kuchni:

– Mamo, wychodzę.

Mama pojawiła się na korytarzu.

– Tylko wróć na obiad.

– A co będzie? – zapytała szybko dziewczynka.

– Mielone i surówka z kapusty.

Karolina przewróciła oczami.

– Dobrze. – A w duchu pomyślała: znowu?

Nie lubiła mielonych, wolałyby już placki ziemniaczane albo naleśniki, ale mama powiedziała jej ostatnio, że mięso też musi jeść, więc dziewczynka wolała nie wdawać się z nią w dyskusję.

Złapały się z Marionną za ręce i wybiegły na klatkę schodową. Przeskakiwały co dwa stopnie. Nie omieszkały też zadzwonić do sąsiada spod siódemki i puścić się pędem na dół. Kiedy usłyszały jego podniesiony głos, były już na parterze.

– Smarkule jedne! Kawałów im się zachciało. Dupy wam złoje! Słyszycie? Złoje wam dupy!

Dziewczynki dusiły się ze śmiechu. Sąsiad zamknął drzwi, a one wyszły na podwórko.

– Właściwie czemu zawsze do niego dzwoniłyśmy? – zapytała Marionna.

– Dla śmiechawy.

Jakby na potwierdzenie tych słów wybuchnęły śmiechem.

Marionna była najlepszą przyjaciółką Karoliny. Ich mamy poznały się na

porodówce. Dziewczynki urodziły się jedna po drugiej. Dzielilo ich zaledwie kilka godzin. Znały się więc od zawsze. I jedna bez drugiej nie mogła żyć.

– Co robimy? – zapytała Marioną.

Karolina wskazała na grupkę dzieci, które grały w zbijaka.

– Eeee tam... – Marioną nie paliła się do gry. – Może w gumę poskaczemy?

Mama kupiła jej ostatnio kilka metrów różowej rozciągliwej taśmy.

– Cześć, dziewczynyno! – Jakby spod ziemi wyrósł Arek. Największy osiedlowy rozrabiaka. Każdy go lubił, mimo iż psocił za dziesięciu.

Arek mieszkał na tym samym osiedlu, co dziewczynyno, i miał młodszego brata, Jacka. Ich tato prowadził niewielką wypożyczalnię kaset video, dlatego też często cała paczka zbierała się u niego w domu, by oglądać nowości. Do paczki należeli jeszcze Mateusz i Piotrek.

– Cześć – odpowiedziały chórem dziewczynyno.

– Co robicie?

– Właściwie nie wiemy.

– Chodźcie z nami na działki – wskazał ręką na Piotrka i Mateusza, którzy wisieli głowami w dół na trzepaku. – U Zagórskich są dobre śliwki.

Dziewczynyno spojrzwały na siebie z uśmiechem.

– Pewnie, że idziemy.

W piątkę ruszyli na działki. O tej porze mało ludzi było w swoich ogródkach. Zanim weszli do Zagórskich, ustalili, że to Mateusz będzie stał na czatach.

– Nic się nie martw, chłopie, dla ciebie też narwiemy – Arek poklepał go po plecach. – Jeśli kogoś zobaczysz, gwizdnij dwa razy.

Arek wspiął się na śliwę i już po chwili potrząsnął gałęziami. Owoce spadały na trawę, a dziewczynyno i Piotrek wpychali śliwki do kieszeni i zrolowanych bluzek. Nagle usłyszeli krzyk Mateusza:

– W nogi! Uciekać!

Po chwili rozległo się ujadanie psa. Dzieci zaczęły biec w stronę siatki. Przeskakiwały sprawnym ruchem przez ogrodzenie. Część owoców wysypała im się z kieszeni. Śmiały się przy tym głośno, widząc, jak Zagórski z psem biegnie w ich stronę, wymachując patykiem. Jamnik ujadał.

– Gówniarze! Na szaber was zebrało?!

Uciekli. Zatrzymali się w pobliskim zagajniku, gdzie czekał na nich Mateusz.

– Ej! Miałeś gwizdać, jak tylko kogoś zobaczysz na horyzoncie – zwrócił się do niego Piotrek.

– Posrałeś się, jak zobaczyłeś starego Zagórskiego? – zapytał Arek.

– Yyyy... – Mateusz nie chciał wyjść przed dziećmi na mięczaka. – Zagórski wyrósł jak spod ziemi. I ten jego pies...

– Jamnika się boisz?

– W życiu! – chłopak wypiął dumnie pierś. – Krzyknąłem, żeby was ostrzec. Mariona wyjęła śliwkę i wytarła ją w koszulkę.

– To dla ciebie – wręczyła ją Mateuszowi.

– Zakochana para, Jacek i Barbara... – zakpił zazdrosny Piotrek.

Dzieciaki zjadły śliwki, po czym stwierdziły, że zaschło im w gardle.

– Dzisiaj twoja kolej – Arek lekko uszczypnął w bok Karolinę.

Dziewczynka wiedziała, o co chodzi. Wstała, otrzepała tyłek i ruszyła w stronę bloku. Codziennie ktoś inny kupował ptysia. Dzisiaj padło na nią.

– Mamooo! – zawołała w stronę okna. Na nieszczęście mieszkała na czwartym piętrze. – Mamooo!

Kilka okien otworzyło się na oścież i pojawiły się w nich zatroskane matki, chcące sprawdzić, czy to nie ich dziecko woła tak rozpaczliwie.

– Mamoooo! – zawołała po raz kolejny dziewczynka.

W końcu i jej mama otworzyła okno.

– Słucham?

– Rzucisz mi kasę na ptysia?

Kobieta skinęła głową. Po chwili z okna sfrunęły pieniądze zawinięte w siatkę.

Mama zapakowała większą kwotę, niż córka potrzebowała.

Kochana mamusia – pomyślała z czułością dziewczynka. Kupiła oczywiście ptysia, a za resztę gumy Donald, oranżadkę w proszku i pralinki.

Chłopcy ucieszyli się, widząc ją obładowaną smakołykami.

– No to mamy wyzerkę – na dziecięcych buziach pojawiły się uśmiechy od ucha do ucha.

Spałaszowali wszystko ze smakiem, a potem zagrali w zbijaka.

Koło piętnastej Karolina usłyszała wołanie mamy.

– Obiad!

– Lecę! – dziewczynka wsadziła do buzi gumę i pobiegła w stronę bloku.

Nie miała ochoty na posiłek, ale wmusiła w siebie mielonego i ziemniaki. Mama była przecież dla niej taka dobra. Czasami ją wkurzała, jak każdy rodzic wkurza dziecko, ale i tak ją kochała.

Oczywiście Karolina miewała chwile, kiedy chciała spakować walizkę i uciec w siną dal, ale tak naprawdę nigdy by nie uciekła. Lubiła to miejsce, swoje osiedle, tych wszystkich ludzi wokół, nawet Zagórskiego i jego dziwnego jamnika, a przede wszystkim swoją paczkę. Ich wspólne zabawy, jeżdżenie na desce i wrotkach. Pomykanie po mieście na gapę starym ikarusem. Mieli niezły ubaw, kiedy kontrolerzy chcieli ich złapać, a oni byli od nich szybsi.

Po południu dziewczynka wyszła na dwór. Wzięła ze sobą kredę. Mariona pojechała z rodzicami do babci, więc sama narysowała klasy i zaczęła w nie grać.

Mogła iść po którąś ze swoich koleżanek, ale nie miała ochoty. One uważały, że są już za duże na takie zabawy.

Karolina wciąż czuła się dzieckiem. Miała dziesięć lat, ale wcale a wcale jej to nie przeszkadzało, by skakać w klasy czy grać w gumę. Zresztą Marionna była podobna do niej. Lubily robić fikołki na trzepaku, chodzić do apteki po vibovit i zjadać całe opakowanie naraz. Wygłupiać się z chłopakami. Biegać z nimi na działki i bawić się w podchody.

– A coś ty taka zamyślona? – przy boku Karoliny, jak zwykle niespodziewanie, pojawił się Arek. – Gdzie Marionna?

– U babci. A gdzie chłopaki?

Arek wzruszył ramionami.

– Zobaczyłem cię z okna i przyszedłem.

Karolinie serce omal nie wyskoczyło z piersi. Bardzo lubiła Arka i ucieszyła się, że chłopak do niej wyszedł.

– Może pójdziemy na huśtawki? – zaproponowała, żeby ukryć zażenowanie.

Bujali się do dechy, a potem skakali z huśtawki na piasek.

– Kto by pomyślał, że dziewczyna mnie pokona – powiedział Arek, kiedy Karolina skoczyła sporo dalej od niego.

– No wiesz... – Karolina zachichotała. – Trenuję od wielu lat.

Wykonali jeszcze kilka skoków, powłóczyli się po osiedlu, a potem Arek zaproponował, żeby poszli do niego. Od razu się zgodziła. Lubiała spędzać z nim czas. Arek mieszkał z rodzicami w czterdziestopięciometrowym mieszkaniu, w bloku z płyty. Dzielił pokój z młodszym bratem, który ponoć był bardzo wkurzający.

– Dzień dobry – Karolina przywitała się z mamą Arka.

– Z dnia na dzień jesteś coraz ładniejsza – powiedziała kobieta. Karolina poczuła, jak oblewa się rumieńcem. – Przyniosę wam kompot i ciasto – dodała.

– Wchodź – Arek delikatnie pchnął dziewczynkę w stronę swojego pokoju. Pomieszczenie było długie i wąskie. Po prawej stronie stał regał, na jednej z szaf piętrzyła się wieża z puszek po coli. Zapewne kolekcja Arka. Miejsce pod oknem zajmowała wersalka, a obok drzwi stał rozkładany fotel.

Na tym właśnie fotelu leżał mały chłopiec i bawił się.

– Wypad stąd – powiedział Arek do brata.

– Ale ja się bawię – zaprotestował Jacek.

– Pobawisz się w pokoju rodziców.

Chłopiec zrobił naburmuszoną minę, a w jego oczach pojawiły się łzy.

– Ale ja...

– I to już!

Jacek zebrał swoje żołnierzyki, kopnął brata w piszczel, po czym pobiegł co sił w nogach do pokoju rodziców.

– Auuuua! Ja ci jeszcze pokażę! – Arek wypadł za bratem.

Karolina usłyszała głosy dorosłych, pisk Jacka i wyjaśnienia Arka. Po chwili chłopak wrócił do pokoju.

– Czy ty to widziałaś?

Karolina skinęła głową.

– Gówniarz jeden! – Arek nie krył wściekłości. – Starzy mieli do mnie pretensje, mimo że to on mi sprzedał kopniaka. I te ich tłumaczenia, że jestem starszy i mądrzejszy...

– Nie chcę się wtrącać, ale to też jego pokój i on tu był pierwszy.

– Ale ja mam gościa.

Zamilkli na chwilę, bo w drzwiach pojawiła się mama Arka z tacą, na której stał talerz z ciastem, a także dwie szklanki i syfon.

– Stwierdziłam, że będziecie woleli napić się wody z syfonu z sokiem zamiast kompotu.

– Ja z miłą chęcią – Karolina uśmiechnęła się.

ROZDZIAŁ 2

W wieku dziesięciu lat Karolina nosiła klucz na sznurówce. Jak ona się cieszyła z tego klucza! Marioną już od ósmego roku życia paradowała z kluczem na szyi zawieszonym na jaskrawozielonej tasiemce. Karolina nie. Jej mama przez wiele lat pracowała na nocną zmianę w szpitalu, była więc w domu o każdej porze dnia, co trochę denerwowało dziewczynkę, która chciała być tak samo samodzielna, jak jej przyjaciółka. Na szczęście w końcu nadszedł dzień, gdy mama stwierdziła, że będzie pracowała na zmiany, bo Karolina jest już na tyle dorosła, że może sama zostać w domu i podgrzać sobie obiad. Radość córki była ogromna. Zawiesiła klucz na pomarańczowej sznurówce i nosiła go niczym cenny medalion.

Dziewczynki wracały ze szkoły.

– Wpadniesz do mnie? – zaproponowała Marioną. – Mama zrobiła cały gar gołąbków.

– Jak masz gołąbki, to będę.

– Tylko najpierw odbierzemy Zuzkę z przedszkola.

Zuzka była młodszą siostrą Mariony. Cichą, spokojną dziewczynką, która nikomu nie wadziła.

– Pewnie.

– Możemy się też poprzebierać w mamine sukienki.

– Ja rezerwuję tę z cekinami, którą przysłała twoja ciotka z Ameryki.

– To ja tę fioletową.

Mariona z Karoliną lubiły przebierać się w ciuchy swoich mam. Szczególnie te, które dostawała mama Mariony od swojej siostry ze Stanów. Stroje były pstrokate i kolorowe. Dziewczynki malowały powieki perłowymi cieniami, a usta różową szminką, niekiedy na policzki nakładały też róż. Włosy układały sobie na gofrownicy. Wsuwały za duże buty na obcasach i marzyły o tym, że są damami z wielkiego świata. I tak się też czuły. Pięknie, dostojnie, z klasą.

Dziewczynki zdjęły z szyi klucze. Zaczęły zakręcać sznurkiem i rzucać w dal. Niestety, Marioną wyrzuciła swoje klucze tak wysoko, że zahaczyły o gałęzie drzewa.

– No to super – podsumowała dziewczynka.

Próbowały rzucać w zwisające klucze kamieniami i patykami, a nawet szyszkami. Nawet nie drgnęły.

– Wejść na drzewo, a ty mnie ubezpieczaj – zarządziła Karolina.

Dziewczynka zaczęła wspinać się po pniu drzewa, ale buty jej się ślizgały

i co chwila spadała.

– I co teraz? – zapytała trzęsącym się głosem Mariona. Karolina dostrzegła w oczach przyjaciółki przerażenie. – Za kilka minut muszę odebrać Zuzkę z przedszkola. Nie mam kluczy do mieszkania i...

Karolina zmarszczyła czoło.

– Biegnij po Zuzę, a ja polecę po chłopaków. Razem coś wykombinujemy. Zaczekaj z małą przed blokiem. Przyniesiemy ci klucze.

– Ale chłopcy mają solo na placu za szkołą.

– Mam to gdzieś. Trzeba zdjąć te klucze.

Mariona poszła po siostrę do przedszkola, a Karolina pobiegła na wspomniany plac, gdzie zebrała się już spora grupka dzieciaków. Arek miał się bić z jakimś chłopakiem, który szydził z jego mamy, ponieważ była woźną w szkole. Arek nigdy sam nie wywoływał awantur, ale zawsze i wszędzie stawał w obronie bliskich i przyjaciół.

– Arek! – zdyszana Karolina podleciała do chłopaka. – Klucze zawisły nam na drzewie. Mariona poszła po Zuzkę... – dziewczyna z trudem łapała oddech. – Nie mamy jak dostać się do domu – mówiła rozgorączkowana.

– Spokojnie – dotknął jej ręki.

– No, co tam, cienias? – chłopak, który miał się bić z Arkiem, zaczął kpić z niego.

– Idziemy – rzucił do Karoliny Arek, podnosząc z ziemi plecak.

– Pękasz? – dopytywał się tamten.

– Mam ważniejsze rzeczy do roboty niż obicie ci pyska – powiedział Arek, po czym złapał Karolinę za rękę.

– Przepraszam – wydukała Karolina. Wiedziała, że Arek jest honorowym chłopakiem i wolałby się teraz bić.

– No, co ty. Uratowałaś mnie przed laniem.

– Ty się tak dobrze bijesz, że pewnie byś wygrał.

– Tak myślisz?

– Ja to wiem.

W sobotę mama Karoliny urządzała imieniny. Już od rana krzątała się w kuchni. Karolina również została wezwana do pomocy. Pomagała kroić warzywa na sałatkę jarzynową. Tato upiczył nóżki w galarecie, flaczki i bigos. Mama planowała na tę uroczystość włożyć kombinezon ze srebrnego kreszu. Karolina kupiła mamie klipsy: długie, dyndające i świejące. Ona sama wiele by oddała, by włożyć na uszy takie klipsy. Przyglądała się mamie, kiedy ta się stroiła w łazience. Poprzedniego dnia była u fryzjera i zrobiła sobie „mokrą włoszkę”. Karolina obiecała sobie, że jak będzie dorosła, to też zrobi sobie „mokrą włoszkę”. Musiała przyznać, że jej mama wyglądała w nowej fryzurze jak milion dolców. Kobieta pokryła powieki srebrno-fioletowym cieniem, pędzlem nałożyła róż na policzki.

- No i jak? – zapytała córkę.
- Mamusiu, wyglądasz super.
- Mama cmoknęła ją w policzek.

Na imprezę przyszło chyba ze dwadzieścia osób. Kobiety wyglądały pięknie w natapirowanych fryzurach, spryskanych mocno lakierem, w ostrym makijażu. Ciocia Jadzia, mama Mariony, założyła na tę okazję krótką sukienkę z poduszkami na ramionach i lycry. Te ostatnie to również marzenie Karoliny. Może dostanie pod choinkę?

Mama otrzymała całe naręczna gerberów i goździków, flaszkę dobrej wódki, czekoladę, kilka par rajstop i kawę. Karolina patrzyła na mamę i wiedziała, jak bardzo jest szczęśliwa. To był jej dzień.

Wszyscy dorośli przeszli do gościnnego pokoju. Na stół wjeżdżały po kolei nóżki w galarecie, sałatka warzywna, śledzik, ogóreczki, wódeczka i nalewka wiśniowa. Babcia przyniosła tatarą i jajka w majonezie. Dodatkowo mama upiekła sernik, szarlotkę i jakieś takie nowomodne ciasto z kremem i galaretką.

Było ciasno i gwarno. Dzieciaki, tłoczące się w pokoju Karoliny, z krzesel i koca zbudowały pociąg i bawiły się w najlepsze. A rodzice popijali wódeczkę, przegryzali śledzikiem, a potem śpiewali. Impreza na niecałych czterdziestu metrach kwadratowych nie ma sobie równych.

- Włodziu, grzybków donieś – instruowała mama tatę.

Tato podniósł się od stołu i poczłapał w stronę kuchni. Po chwili pojawił się z dwoma słoikami grzybków w occie.

– Włodek! – mama nie kryła oburzenia. – Słoiki będziesz na stół stawiał? Myślałam, że na talerzyk wyłożysz.

Ktoś się roześmiał, ktoś inny pokiwał głową.

Mama sama poszła do kuchni. Wróciła z talerzykiem, na którym, już elegancko, pyszniły się marynowane grzyby.

Po kilku godzinach mama Mariony zawołała dzieci do pokoju gościnnego. Dorośli byli już wstawieni. Z magnetofonu leciała muzyka. Pani Jadzia stwierdziła, że zrobi dla nich występ. Stała między pustymi talerzami na stole i zaczęła śpiewać wraz z Edytą Geppert:

– *Uparcie i skrycie, och, życie, kocham cię, kocham cię nad życie...* [2]

– Jezu, ale obciach – jęknęła Mariona.

– Eee, fajnie – pocieszyła ją Karolina.

Chłopaki rechotali. Tato Karoliny klaskał, wujek Mietek podkręcał węsą.

– Zabawa trwa! – zawołała mama Karoliny, po czym sama włączyła na stół.

– O, nie. Co ona wyprawia? – Teraz Karolina była zawstydzona. Jej mama, nie zważając na nic, ryknęła na całe gardło:

*Kocham cię, życie,
Kiedy sen kończy się, kończy się o świcie,
A ja się rzucam
Z nadzieją nową na budzący się dzień...[3]*

Babcia podkreśliła radio. Ktoś tańczył w kącie. Zabawa trwała w najlepsze.
– Tylko mi stołu nie rozwalcie – ryknął śmiechem tato i w tym samym momencie kobiety jak długie runęły ze stołu, pociągając za sobą obrus i puste talerze.

* * *

Karolina po latach wspominała te czasy z rozrzewnieniem. Wtedy nikt nie mówił o psychologach, ADHD i bezstresowym wychowaniu. Nieraz dostała ścierką po rękach, nieraz jakiś jej znajomy dostał pasem, ba – Mariona to nawet drewniakiem oberwała. To były czasy, kiedy dzieciaki biegały po podwórku od świtu do nocy, bawiły się w kałuży i piasku, a potem tymi samymi rękoma jadły kakaowe groszki i pralinki. I co najważniejsze, chodziły na wagary.

– Dziewczyny, idziecie na wagary? – zaproponował Arek.
– A co? Szykuje się jakaś klasówka? – Mariona była przerażona.
– Nie, ale dzisiaj fluoryzacja.
– O, Jezu, nie, ostatnio mało się nie porzygałem! – Piotrek zatkał sobie ręką usta i udawał, że zbiera mu się na wymioty.
– Co to w ogóle za specyfik leją na szczoteczkę? Syf nad syfy.
– Dobra, to kto idzie ze mną nad bajorko? – zapytał Arek.
– Ja.
– Ja też.
– I ja.

Jednogłośnie stwierdzili, że zrywają się z budy. Był ciepły, słoneczny, czerwcowy dzień. W takie dni, jak ten, szkoda było marnować czas w szkole, a tym bardziej jeżeli była fluoryzacja. W piątkę poszli nad pobliską sadzawkę.

Chłopaki przewiesili na gałęzi gruby sznur. Jedno dziecko łapało się liny, drugie, które stało za nim, mocno je popychało, tak, że ten, kto się huśtał, leciał do chmur, tak przynajmniej dzieciom się wydawało. A kiedy lina z małym osobnikiem znajdowała się nad bajorkiem, wtedy on ją puszczał i wskakiwał do wody.

– Arek, ty to masz pomysły – Mariona pochwaliła chłopaka.

– Do usług, dziewczyny.

Pół dnia bujali się na tym sznurze i skakali do brudnej sadzawki, dopóki Mateusz nie przeciął sobie nogi.

– Lecę po jego tatę – zawołała spanikowana Karolina, kiedy zobaczyła sączącą się z rany krew. Mateusza wychowywał sam ojciec, który pracował w pobliskim kiosku Ruchu. Mama Mateusza zmarła na raka kilka lat temu. Ojciec krótko go trzymał.

– Zgłupiałaś? – chłopak podniósł się do pozycji półsiedzącej. – Chcesz, żeby mi lanie spuścił?

– Za to, że sobie nogę rozciąłeś?

– Od kilku dni gderał mi nad uchem, żeby nie kąpał się przypadkiem w tej sadzawce, bo to się źle skończy.

– No i co teraz? – Karolina spojrzała na rozciętą stopę kolegi.

– Niech ktoś poleci do domu po bandaż – zdecydował Arek.

Karolina puściła się pędem w kierunku swojego bloku. Po drodze minęła starą Rumińską. Na powitanie powiedziała „cześć” zamiast „dzień dobry”. Tamta się oburzyła, ale dziewczyna nic sobie z tego nie robiła. Wbiegła do domu. Mama wróciła już z pracy.

– Cholera! – zaklęła dziewczynka pod nosem.

– O, dobrze, że już jesteś. Zaraz będzie obiad. Ziemniaki z maślanką. Zrobić ci też jajko sadzone?

– Mamusiu, nie teraz.

– Nie teraz? A kiedy?

Karolina weszła do łazienki. Podsunęła taboret pod szafkę, gdzie znajdowała się apteczka. Mama weszła za nią.

– Co robisz?

– Szukam bandaża.

– Bandaża? Co się stało?

– Nieważne.

– Karola, mów mi tu zaraz, co się stało – mama była zdenerwowana.

– Mateusz rozwalił sobie nogę. Szukam opatrunku.

– Ale gdzie? W szkole?

– Nie byliśmy w szkole.

– Dlaczego?

– Mamo, później ci to wytłumaczę. On mocno krwawi.

– Może trzeba zszyć ranę? Dlaczego chcesz mu pomóc na własną rękę?

Gdzie on jest?

– Nad sadzawką.

– Dobrze. Idziemy po jego ojca.

– Mamooo – dziewczynka jęknęła. – Nie znasz starego pana Mietka? Zaraz

spuści mu łomot. – W jej oczach pojawiły się łzy.

– Dobrze. Weźmiemy ze sobą gencjanę, plastry i bandaż. Zobaczymy, czy rozcięcie jest głębokie.

– My zobaczymy?

– Idę z tobą.

Po kilku minutach mama Karoliny była już nad sadzawką i opatrywała Mateuszową stopę.

– Masz szczęście, że to wszystko tak się skończyło.

– Dziękuję pani – burknął pod nosem zawstydzony chłopak.

– Do wesela się zagoi. A wy – zwróciła się do zebranych dzieciaków. – Macie zakaz skakania do sadzawki.

– To gdzie mamy skakać?

Mama Karoliny uśmiechnęła się pod nosem.

– Na razie to lepiej zrobicie, jak będziecie chodzić do szkoły.

Bardzo często dziewczynki spotykały się u Mariony i Karolina za każdym razem zachwycała się mieszkaniem przyjaciółki. Zanim tato odszedł od nich, wyremontował to lokum. Przedpokój obity był boazerią. Z sufitu zwisał żyrandol z błyszczącymi kryształkami. Podłoga wyłożona była świecącymi płytkami, a nie tak, jak u Karoliny, gumoleum. W pokoju gościnnym stał niemiecki narożnik, który kojarzył się dziewczynce z nowoczesnością. U niej w mieszkaniu w tym miejscu stała stara, skrzypiąca wersalka, okryta wełnianą narzutą. Ale najpiękniejszy był pokój Mariony. Jedna ściana oklejona była fototapetą z błękitnym morzem i palmami. Na szafie, od góry do dołu wisiały plakaty wyrwane z jakiejś młodzieżowej gazety, przyklejone taśmą. Mama Karoliny nie lubiła wprawdzie, kiedy córka obklejała szafę plakatami, ale Mariona się tym nie przejmowała. Zmieniała plakaty średnio raz w miesiącu.

Ciocia Jadzia, mama Mariony, była krawcową w teatrze. Przynosiła do domu najpiękniejsze kreacje, o jakich marzyła niejedna dziewczynka.

Dziewczyny kiedyś przebrały się w długie, świecące suknie z bufiastymi rękawami, włożyły buty na obcasie i chwiejnym krokiem poszły na bal, który odbywał się w kuchni. Włączyły kasetę. Złapały za dwa końce skakanki, ich prowizoryczne mikrofony, i zaśpiewały:

Odkryjemy miłość nieznaną

Przegonimy wiatr wesoły, co po fali gna

Poznamy kraj zakochanych – długość ta, szerokość ta

Miłowania głodni jak wilcy

Nauczmy się w tym kraju od pierwszego dnia

Słów, którymi mówią tubylcy

Szabadabada, szabadabada... [4]

Potem puścili sznur i tańczyły. Kiedy opadły już z sił, wypily kompot z kryształowych kieliszków i zjadły najpyszniejszą napoleonkę, którą piekła niemal co tydzień babcia Mariony.

– Myślisz, że i my się kiedyś tak zakochamy? – zapytała Mariona przyjaciółkę.

– Jak?

– Tak, jak w tej piosence, jak wilki?

– Wilcy – poprawiła ją Karolina. – Nie wiem. Może.

– Chciałabym tak kochać... Szalenie i do utraty tchu – westchnęła dziewczyna.

– A ty chyba już się zakochałaś.

– Ja? W kim?

– W Mateuszu.

– Eeee. No, co ty.

– Ale on ci się podoba.

– Trochę. A tobie Arek.

– Arek? – Karolina prychnęła. Chociaż na samą myśl o chłopaku jakoś tak cieplej jej się zrobiło na duszy. – Arek to kumpel – stwierdziła, choć sama nie była tego do końca taka pewna.

– Akurat.

Najlepszą ucztę miały, kiedy do Mariony przychodziła paczka zza granicy od jej cioci. Przyjaciółka zawsze wtedy zapraszała do domu Karolinę. Czego w tej paczce nie było: banany, pomarańcze, czekolady, puszki coli...

Podczas jednej z takich „imprez” wpadli w odwiedziny chłopcy. Dziewczyny podzieliły się z nimi smakołykami. Wszystko było dobrze, dopóki chłopcy nie zaczęli się z nich śmiać.

– Co was tak śmieszy? – zapytała Karolina.

– Te wasze suknie – parsknął Piotrek.

– I te policzki różowe – wtrącił się Mateusz.

– Nie znacie się – zachnęła się Mariona.

– Może i nie. Chodźcie lepiej na trzepak – zaproponował Arek.

Dziewczyny spojrzały na siebie. Piotrek z Mateuszem zachichotali.

– Nie będziecie całymi dniami odgrywać księżniczek – skwitował Mateusz.

– Nam się podoba – oznajmiła Mariona.

Karolina znalazła się między młotem a kowadłem. Z jednej strony chciała jeszcze trochę poparadować w długiej sukni, z drugiej strony poszłaby z chłopakami na podwórko.

– Może jednak pójdziemy na trzepak? – nieśmiało zaproponowała Marionie.

Dziewczyna obrzuciła ją wrogim spojrzeniem.

– Skoro chcesz, to idź! – powiedziała naburmuszonym głosem.

– Daj spokój, chodź z nami – Mateusz szturchnął Marionę w bok. – Kupię oranżadkę w proszku.

– Przekonałeś mnie – dziewczyna uśmiechnęła się do kolegi.

Mateusz dotrzymał słowa i kupił pięć oranżadek w proszku, które zaraz zjedli ze smakiem. A potem zrobili zawody na trzepaku. Wygrywał ten, kto najdłużej wisiał głową w dół. Oczywiście zwyciężył Arek. Wisiał tak długo, że miał nie tylko czerwoną twarz, ale i szyję.

– Złaż już! – Karolina zaniepokoiła się o chłopaka.

O dziwo, posłuchał, a jej zrobiło się cieplej na sercu.

Później zagrali w zbijaka i w podchody, a koło wieczora rozeszli się do domów.

[2] Fragment piosenki *Och, życie, kocham cię nad życie* Edyty Geppert.

[3] Fragment piosenki *Och, życie, kocham cię nad życie* Edyty Geppert.

[4] Fragment piosenki *Odkryjemy miłość nieznaną* z repertuaru Alicji Majewskiej, sł. W. Młynarski, muz. W. Korcz.

ROZDZIAŁ 3

Nastało upalne lato.

Dzieci chodziły do babci na wieś. To nie była prawdziwa wieś, bo babcia mieszkała na obrzeżach miasta, ale wszyscy mówili, że idą na wieś. Babcia była co prawda babcią Mariony, ale kiedy dzieciaki do niej przychodziły, stawała się babcią dla każdego.

Rodzice w tym czasie pracowali, a oni z kluczami na sznurówkach włączyli się po osiedlu. W końcu Arek rzucił hasło:

– Idziemy do babci? Zgłodniałem.

– Ja też – dołączyła się Mariona.

Inni pokiwali na znak zgody głowami.

Skrajem drogi ruszyli w stronę Wilczej. Kiedy byli w połowie drogi, zatrzymał się obok nich polonez pana Boczarskiego, taty Arka. Pan Boczarski opuścił szybę.

– A wy dokąd?

– Do babci.

– Wy tę babcię zamęczycie.

– Babcia zawsze cieszy się, kiedy do niej zaglądamy – wtrąciła się Mariona.

– Objadacie ją.

Dzieciaki wzruszyły ramionami.

– Idźcie już, idźcie, a wieczorem zapraszam do nas, mam kilka nowych kaset video, spodobaą się wam.

Dzieciaki nie kryły zadowolenia.

Za panem Boczarskim zaczęły ustawiać się inne samochody. Ktoś zatrąbił. Mężczyzna machnął do dzieci ręką i ruszył dalej.

Dotarli do babci po kilkunastu minutach marszu.

Kobieta siedziała pod jabłonką i obierała papierówki. Kiedy tylko zobaczyła dzieciaki, jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Dzień dobry – powiedzieli chórem.

– A dobry. I piękny. Słoneczny. Napijcie się kompotu?

Mariona podeszła do babci i cmoknęła ją w policzek.

– Pewnie! – Wszyscy byli spragnieni.

Babcia wstała, wytarła ręce w fartuch.

– Należę wam. Mam też pomidorową i jagodzianki.

– Skąd wiedziałaś, że cię odwiedzimy?

– Przychodźcie co drugi dzień, trudno nie zgadnąć – starsza kobieta roześmiała się.

Dzieciaki napiły się kompotu i zjadły supkę z apetytem. A potem każdy chwycił po jednej jagodziance i ruszyli do zabawy.

Babcia miała duży ogród. Na tyłach domu była górką usypana z piasku. Chłopcy złapali za patyki, które imitowały broń. Marioną poleciała na ganek i spod stołu wzięła starą szmatę i sznurek. Bawili się w wojnę, w której chłopcy byli żołnierzami, a dziewczyny – sanitariuszki – opatrywały postrzelonym żołnierzom rany za pomocą szmaty i sznurka. Kiedy zabawa im się znudziła, usiedli na górze, żeby dokończyć swoje jagodzianki.

Potem Arek zarządził:

– A może byśmy tak domek zbudowali?

Pomysł spodobał się pozostałym.

– Na drzewie? – zapytała Karolina.

– Pewnie, że na drzewie.

Za pozwoleniem babci wzięli z komódki stare sztachety i zaczęli tworzyć szkielec domku. Babcia dała im więcej sznurka, jednak konstrukcja chwiała się na boki.

– Przydałby się młotek – stwierdził Mateusz.

– Ja wam młotka i gwoździ nie dam – babcia pokręciła głową. Jeszcze palce sobie poprzybijacie.

– Babciu – jęknęła Marioną.

– Mam lepszy pomysł – babcia odwróciła się w stronę drogi, którą jechał traktor ciągnący drabiniasty wóz. Zdjęła chustkę z głowy i machnęła nią w powietrze. Kierowca się zatrzymał. Wysiadł z kabiny i wszedł do ogrodu.

– Szczęść Boże.

– A daj, Panie Boże!

– Coś się stało, pani Broneczko?

– A, dzieci mi tu powariowały, domek chcą zrobić na drzewie, ale ja im gwoździ nie dam, pomożecie nam, Romku?

– Pomożemy – Romek puścił oko do babci.

Po kilkudziesięciu minutach na drzewie powstał domek. Dzieci podziękowały Romkowi, a babcia spakowała dla niego jagodzianki. Z barku wyjęła rozmajoną wódeczkę, którą zrobił jej świętej pamięci mąż.

– Ale nie trzeba – wzbraniał się Romek, kiedy babcia wręczała mu półmisek i flaszkę.

– A Bóg zapłać za waszą pomoc. I bierz, jak wam dają.

– Dobra, dzieciaki, chodźcie na wóz, przewiozę was, a potem pobawicie się w domku – zaproponował Roman.

Dla dzieci jazda na wozie pełnym siana stanowiła wielką frajdę. Wóz

podskakiwał na wybojach, a kiedy przechylał się na boki, dzieci piszczały z radości.

Wrócili do swojego domku na drzewie godzinę później i bawili się tam do późnego popołudnia. Karolina była żoną Arka i gotowała mu zupę z piachu, wody i kamyków. Arek pracował na budowie, czyli na piaskowej górze. Marionna była żoną Mateusza, a on z kolei był pracownikiem w urzędzie miasta, który mieścił się za obornikiem.

– Nie może być tak, że pracuję w smrodzie – krzywił się Mateusz.

– Tam jest urząd i tyle.

– A nie może być gdzie indziej? – chłopak nie miał ochoty co chwilę chodzić za obornik.

– A dlaczego ja nie mam żony? – Piotrek nie krył oburzenia.

– Nie każdy ma – wtrącił Arek.

– Ale ja chcę być żonaty.

– A ja nie chcę chodzić za obornik.

Dzieci zaczęły się kłócić. Były już zmęczone upałem i zabawą.

– A może wrócimy do miasta? – zaproponowała Karolina. – Tato Arka obiecał, że puści nam jakieś filmy na video.

– Okej, wracamy – chłopcy uśmiechnęli się od ucha do ucha.

Kolejne dni spędzali u babci albo przed blokiem, bywali na działkach bądź też kąpali się w sadzawce, mimo iż przyrzekli rodzicom, że od sadzawki będą trzymać się z daleka. Ale jak tu trzymać się z daleka, kiedy na dworze taki skwar? Chodzili też na kręcone włoskie lody. Nikt się nie przejmował tym, że ramiona czy nos miał spieczony od słońca. Cieszyli się wakacjami i każdą chwilą spędzoną z kolegami.

Mateusz otrzymał w prezencie od cioci chomika, a raczej chomiczkę. Nazwali ją Buła, bo była jakaś taka gruba i ospała. Mateusz wychodził z chomiczą klatką na podwórko. Po kilku tygodniach okazało się, że chomiczka była ciężarna – urodziła cztery chomiczątka. Dzieciaki brały maleństwa do rąk bardzo delikatnie i zachwycały się nimi. Kiedy nacieszyły się już zwierzątkami, Mateusz zaniósł klatkę do domu, a potem wszyscy ruszali na działki. Jedli tyle owoców, że brzuchy ich bolały. Popołudniami jeździli po mieście autobusami. W reklamówkach mieli prowiant na cały dzień, kanapki z pasztetem bądź mortadela i termos z herbatą. Któregoś dnia uciekali kanarom i zgubili reklamówkę. Chodzili głodni do powrotu rodziców.

Było środowe, gorące przedpołudnie. Mateusz przybiegł do Marionny. Był zrozpaczony.

– Co się stało? – zapytała dziewczynka.

– Chomiki zdechły.
– Dlaczego?
– Stara chomiczka je zagryzła.
– Ale dlaczego? To ich matka.
– Tato mi powiedział, że to dlatego, że myśmy je głaskali. Czują nasz zapach...

– Och! – Marioną przytknęła palce do ust. – Chodźmy po Arka, Piotrką i Karolinę. Musimy wyprawić im pogrzeb.

Mateusz przytaknął.

Pogrzeb chomików odbył się w pobliżu sadzawki. Piotrek wykopał cztery dziury w ziemi. Potem dzieci delikatnie włożyły martwe chomiki do środka. Karolina okryła je watą. Arek zasypał ziemią. Następnie dziewczyny na każdej górcie położyły polne kwiaty. Po ceremonii wskoczyli do wody. Taplali się w sadzawce do późnego wieczora. A potem w mokrych ciuchach, które powpadały im do wody, wracali do domu. Na dworze już się ściemniało. W pobliżu jeziora nie było latarni, szli, jak to powiedział Arek, na czuja. Na szczęście po kilku minutach dotarli do oświetlonej drogi. Ktoś na nich zatrąbił.

– Ej, dzieciaki – stara syrenka pana Ożoga zatrzymała się na poboczu. – Podwieźć was?

Byli tak zmęczeni, że specjalnie nie trzeba było ich zachęcać. Choć od osiedla dzieliło ich jakieś piętnaście minut spacerkiem, skorzystali z podwózki. Wskoczyli w piątkę na tylne siedzenie. Pan Ożóg ruszył, aż się za nim zakurzyło.

* * *

W sobotnie południe Marioną wracała z placu zabaw do domu. Była spocona, a krew sączyła się z jej kolana. Przewróciła się, grając w zbijaka. Mateusz od razu zerwał liść babki i przyłożył jej do rany, ale pomogło tylko na chwilę. Szła do domu, kuśtykając i uśmiechając się na wspomnienie Mateusza przykładającego liść do jej kolana. Nagle usłyszała męski głos.

– Marionka.

Dziewczynka odwróciła się. Zza rogu kamienicy wyszedł jej ojciec.

Dziewczynka otworzyła szeroko oczy. Nie mogła w to uwierzyć. Nie widziała ojca od ponad dwóch lat! Któregoś dnia „prysnął”, jak mówiła babcia. Dziewczynka była na niego zła, a potem było jej przykro, że tato ich zostawił. Nieraz obwiniały się z siostrą, że to przez nie uciekł z domu. Może nie były zbyt grzeczne?

– Tato?

– Tak, to ja.

Mężczyzna podszedł do dziewczynki i ukucnął. Mariona patrzyła oniemiała na swojego tatusia. Wyglądał dokładnie tak samo, jak wtedy, kiedy widziała go po raz ostatni.

– Wróciłeś? – w oczach małej pojawiły się łzy.

– Na chwilę. Pomyślałem, że was odwiedzę. Mam walkmana... – był wyraźnie speszony.

– Walkmana – powtórzyła Mariona. – To fajnie.

– I kilka kaset. Barbie dla ciebie i Zuzki. – Każda dziewczyna marzyła wtedy o Barbie. Najgorzej, gdy otrzymywała podróbkę. A ona, Mariona, miała dostać wymarzoną Barbie.

– Ale taką prawdziwą? – oczy Mariony zrobiły się ogromne jak guziki.

– Najprawdziwszą. Z peweksu.

– Tatusiu, dziękuję. – Choć początkowo dziewczynka była zła na ojca, za sprawą Barbie jej złość się ulotniła.

– Dlaczego nie wszedłeś do mieszkania, tylko czekasz tutaj?

– No wiesz, ja i mama... Widziałem, jak bawisz się na podwórku z dziećmi, pomyślałem więc, że na ciebie zaczekam.

– Boisz się, że mama zacznie krzyczeć?

Ojciec zmrużył oczy, ale nic nie odpowiedział. Dziewczynka wiedziała, jak bardzo jej mama jest zła na tatę. „Niech on mi się kiedyś pokaże na oczy. Nie ręczę za siebie” – powtarzała nieraz.

– Wskakuj na barana, widzę, że masz kontuzję – nachylił się, a dziewczynka wdrapała się na jego plecy. Mocno się do nich przytuliła.

Nie odchodź – pomyślała. – Nie odchodź.

Kiedy tylko przekroczyli próg mieszkania, mama zgodnie z przewidywaniami zrobiła ojcu karczemną awanturę. Kobieta była wściekła, że jej mąż zniknął z ich życia, a teraz pojawia się jak gdyby nigdy nic. Mariona weszła do pokoju Zuzki. Razem schowały się pod kołdrę.

Tato zajrzał do nich po kilku minutach. Porozmawiał z nimi chwilę, wręczył prezenty, po czym wyszedł z mieszkania. Zatrzymał się u wujka Mirka, ale przez kolejny tydzień zaglądał do nich codziennie. Zabierał je na wycieczki, do teatru i do kina. A potem wyjechał... Mariona była na niego wściekła, że po raz kolejny je opuścił. Obiecał wprawdzie, że niedługo się spotkają. Nie mógł tylko sprecyzować, co według niego znaczy: „niedługo”. Na szczęście Mariona miała wsparcie u znajomych z podwórka. Bez nich pewnie wyłaby przez kolejne dni.

– Nie przejmuj się. Ja tam wołałbym, by mój stary gdzieś zniknął na zawsze – Mateusz poklepał ją po plecach.

– Ale twój ciągle sprawia ci łomot, a mój nie.

– Ale jak widać, nie nadaje się na ojca, skoro od was odszedł.

– No, racja.

Karolina wyjęła z kieszeni bluzy dwie bransoletki z muliny, które sama zrobiła.

– To dla ciebie i Zuzki. Cały tydzień je robiłam.

– Są piękne – Marionna uśmiechnęła się do przyjaciółki. – Wiedziałaś, że on znowu odejdzie? Dlatego je zrobiłaś?

– Nie wiedziałam – Karolina skłamała. Wiedziała. Podśluchała rozmowę mamy z ciocią Jadzią, mamą Marionny. Kobieta narzekała, że ten drań wrócił tylko po resztę swoich rzeczy. Obdarował córki prezentami, a za kilka dni zamierza znów zniknąć.

Chłopcy też starali się zaradzić kryzysowej sytuacji. Piotrek pierwszy raz od ubiegłorocznych świąt zaprosił dziewczyny do mieszkania swoich rodziców. Zazwyczaj gościł u siebie tylko chłopaków, ale, widząc smutek na twarzy koleżanki, zaproponował im granie na swoim komputerze Atari. Mama Piotrka przyniosła talerzyk z sernikiem i sześć szklanek kompotu. Chłopak uruchomił sprzęt i pozwolił dziewczynom zagrać w *Mario*.

Tego popołudnia Karolina poświęciła przyjaciółce swój cały wolny czas. Zaplotła jej włosy, dała jej do przeczytania swoje „Złote myśli” i podzieliła się z nią kolekcją zapachowych gumek. Z obiema mamami uzgodniły, że dziewczynka będzie nocowała u Karoliny.

– Zrobimy sobie kogel-mogel? – Karolina próbowała wszystkiego, by oderwać myśli przyjaciółki od ojca.

– Super.

– Mam nawet kakao. Czyli będzie kakaowy.

Dziewczynki weszły do kuchni. Karolina wyjęła z lodówki jajka. Marionna, stały gość w domu Karoliny, niemal członek rodziny, wydobyła z dolnej szafki miski. Do jednej wbiły żółtka, do drugiej białka. Karolina dodała do żółtek cukier i zaczęła je ucierać. Kiedy masa była już puszysta i niemal biała, dziewczynka dosypała trochę kakao.

– Będzie pyszne – Marionna włożyła palec do masy, po czym oblizwała go.

– Nie może być inaczej.

Wieczorem śpiewały do szczotek, które służyły im za bezprzewodowe mikrofony, piosenki chłopaków z Europe. A kiedy bez sił opadły na łóżko, gapiły się na plakaty, które w końcu mama pozwoliła powiesić Karolinie na szafie. Karolina aktualnie kochała się na zabój w Jordanie z New Kids on the Block.

– Kiedyś będę miała takiego męża.

– Mnie się on wcale nie podoba.

– Masz spaczony gust. Jest przystojny. Te jego ufryzowane czarne włosy i to spojrzenie...

- Wolę Joeya z Europe.
 - Blondas.
 - Właśnie, blondas. Nie przypomina ci naszego Mateusza?
 - Nie. Co ty masz z tym Mateuszem?
 - To samo, co ty z Arkiem.
 - Nie to samo. Już ci tłumaczyłam, że Arek to tylko kumpel, a ty wlepiasz oczy w Mateusza, jakby faktycznie sam gwiazdor ci się objawił.
 - No dobra, powiem ci, ale to będzie nasz sekret.
 - Obiecuję, że nikomu nie powiem.
 - Chyba się w nim zakochuję.
 - Może powinnaś mu o tym powiedzieć?
 - Nie, no, co ty. To on powinien zrobić pierwszy krok.
 - Pewnie się wstydzi...
 - Ale jest chłopakiem.
 - I co z tego?
 - To, że on powinien zrobić pierwszy krok. Dobra, skończmy już rozmowy o Mateuszu – dziewczynka poczuła, że oblewa ją rumieniec. – Sądzę, że powinnyśmy sobie zrobić trzy dziurki w uchu – zmieniła temat Mariona.
 - Jezuuu! – jęknęła Karolina. – Ojciec mnie zabije.
 - Twój ojciec nawet nie zwróci uwagi.
 - Tak myślisz?
 - Znam go od lat.
- Mariona bardzo lubiła pana Uniatowskiego. Był miły, sympatyczny, nigdy się nie wściekał i niczego nie zauważał. Nawet kiedy jego żona przefarbowała włosy z koloru blond na czarny. Karolina śmiała się, że ojciec przez kilka dni zastanawiał się, co zmieniło się w wyglądzie jego żony, kiedy ta zapytała go o to. Mariona chciałaby mieć ojca obok siebie. Jej tato ponownie „zwinął żagle”. Tak powtarzała babcia.
- Skoro tak twierdzisz... – Karolina nie była przekonana.
 - Taka moda. Super to wygląda. Zaoszczędziłam trochę kasy i kupiłam nam wkręty.
 - Dla mnie też?
 - Pewnie, że też.
- Karolina nie kryła wzruszenia. Przytuliła koleżankę i cmoknęła ją w policzek.
- Chodź, obejrzymy *Izaurę*, a potem zafarbujemy sobie bluzki.
- Dziewczyny od kilku tygodni planowały zgodnie z modą zafarbować za pomocą wybielacza bluzki. Obejrzały odcinek serialu, po czym ruszyły do łazienki.
- No i co, dowiedziałaś się, jak mamy to zrobić? – zapytała Karolina.
 - Wszystko wiem. Złóż bluzkę w kostkę – poinstruowała dziewczynę

Mariona.

Karolina złożyła tkaninę według wskazówek koleżanki.

– Teraz musimy owinąć ją sznurkiem...

Dziewczyny złapały za sznurek i obwinęły bluzkę.

– Musimy nalać do miski wodę i trochę wybielacza. Odstawmy bluzeczkę na godzinę i gotowe. Tylko żebyśmy nie zapomniały jej wypłukać.

Tamtego dnia Mariona z Karoliną ustaliły, że przekłują uszy jak najszybciej. Jedynym problemem było to, kto im to zrobi. Do kosmetyczki musiałyby pójść z kimś dorosłym, a obie wiedziały, że żadna mama nie będzie zachwycona pomysłem córek. W końcu trudnego zadania podjął się Arek.

– Ale naprawdę wiesz, jak to się robi? – na pierwszy ogień poszła Karolina.

– Pewnie, że wiem. Widziałem nieraz, jak moja kuzynka przekłuwała uszy koleżankom.

– To może ona nam to zrobić?

– Beti ma teraz problemy z facetem. Siedzi w domu i beczy. Nie bój żaby, maleńka, zrobię to bezboleśnie.

Karolina ufała Arkowi. Lubiła go. Czasami jej się nawet zdawało, że bardziej niż lubiła, ale się do tego nie przyznawała.

Dziewczyna usiadła na taborecie w kuchni. Zaciśnęła zęby.

Arek przemył jej ucho spirytusem, od wewnętrznej strony podłożył ziemniaka, a z drugiej strony zdecydowanym ruchem wbił igłę. Karolina była tak zszokowana, że początkowo niczego nie poczuła. Mariona natomiast wydała okrzyk.

– Zaraz zemdleję – powiedziała.

– Dawaj wkręta, tylko nie mdlej – poinstruował Marionę chłopak.

Arek sprawnym ruchem włożył kolczyk do dziurki i zrobił kolejny otwór.

– Druga dziurka za nami. Trzecią chcesz?

Dziewczyna skinęła głową. Chłopak przekłuł ponownie ucho i włożył kolczyk. Podał dziewczynie lusterko.

– I co? – zapytał.

– Chyba ta trzecia trochę za wysoko – Karolina wpatrywała się w odbicie swojego opuchniętego, zakrwawionego ucha.

– Dobrze jest.

– Skoro tak twierdzisz...

– Co myślisz, Mariona?

Dziewczynka siedziała z rozdziawioną buzią i patrzyła na przyjaciółkę.

– Jest okej. Nie wiem tylko, czy ja dam radę... – Mariona poczuła, że ogarnia ją panika.

– Dasz radę. Nie pękaj teraz.

Po namowach Mariona dała sobie przekłuć ucho. U niej w domu nikt nie zauważył zmian, za to Karolinie się oberwało.

- Zgłupiałaś? – mama patrzyła na opuchnięte ucho córki.
- Mamo, to teraz jest modne.
- Co mnie obchodzi moda? Dlaczego mnie nie zapytałaś o zgodę?
- A zgodziłabyś się?
- Nie.
- No właśnie.
- Idź do swojego pokoju. Daj mi ochłonać.

Przez kolejne dni ucho Karoliny ropiało. Rana brzydko się goiła, a z tyłu wyrósł jakiś bąbel.

- Boli – jęczała.
- Wszystko przez te twoje wymysły. Cierp ciało, jakżeś chciało – mruzczała mama, przemywając córce ranę rivanolem.

Mimo to okłady nie przynosiły ukojenia. Bąbel urósł jeszcze bardziej. W końcu dziewczyna zdecydowała się wyjąć wkręty.

- To najlepsze wyjście z sytuacji – zapewniała ją mama.

ROZDZIAŁ 4

Dzieciństwo szybko mijało, ale przyjaźń dziewczyn wciąż była nierozzerwalna. Jeszcze jako piętnastolatki huštały się „na stojaka do dechy”, a potem skakały w dal. Wisiały głowami w dół na trzepaku. Za kieszonkowe, odkładane od kilku miesięcy, kupiły sobie bandany i pierwsze buty na koturnie. Nosiły też kraciaste koszule flanelowe, które zawiązywały nad pępkiem.

W niedzielę mama zbudziła Karolinę już o siódmej trzydzieści.

– Mamo, daj pospać – jęknęła dziewczyna. – Jest niedziela.

– Idziemy na ósmą trzydzieści na mszę.

– A nie mogłybyśmy pójść na dziesiątą trzydzieści?

– Córeczko – w drzwiach pojawił się tato, który zawiązywał krawat. –

Wiesz, że mama chce obejrzeć swój ulubiony program.

– No, wiem – Karolina spuściła nogi z łóżka.

Tato podszedł do niej i poklepał po plecach.

– Fajna z ciebie dziewczyna – puścił do niej oko.

Karolina uwielbiała swojego tatę. Był taki spokojny i uśmiechnięty. To mama czasem krzyczała i dała jej klapsa. Tato zawsze z nią rozmawiał, nawet jak coś przeskrobała.

Karolina była niezadowolona z porannej pobudki, ale zjadła śniadanie, umyła zęby i ubrała się. Wiedziała, dlaczego idą do kościoła tak wcześnie. Mama chciała zdążyć na „Disco relax”.

Od lat każdej niedzieli prosto po mszy szli do pobliskiej cukierni po ciastka. Dziewczynka wybierała dla siebie ptysia i pączka, mama preferowała bajaderkę, a tato – kawałek sękacza. Kiedy wchodzili do domu, Karolina biegła włączyć telewizor, a mama nastawiała czajnik. Parzyła sobie i tacie mocną, fusiastą kawę, dla córki robiła kakao. Siadały niczym paniusie na wersalce, tato w fotelu. Mama podsuwała ławę, na której stała taca z ciastem. Słuchały Shazzy i delektowały się smakołykami. To był taki ich rodzinny rytuał. Karolina nie lubiła disco polo. Uważała, że słuchanie tej muzyki było niezłym obciachem, ale nie wspominała o tym mamie. Oglądała z nią program i nawet podśpiewywała niektóre piosenki. W życiu nie przyznałaby się jednak do tego przed Marioną ani chłopakami.

Karolina i Marionna zaczęły się malować. Usta paćkały białą lub różową szminką, w uszy wkładały seledynowe kolczyki. Czytywały „Bravo Girl”, oglądały

Beverly Hills 90210. Mariona kochała się Brandonie, a Karolina w Dylanie. Rozmawiały o nich zawsze po skończonym odcinku.

- Co ty widzisz w tym Brandonie? – pytała przyjaciółkę Karolina
- Jest słodki.
- A Dylan? To jego spojrzenie...
- Wieczny smutas.
- Melancholijny.

Wciąż spotykały się z chłopakami z podwórka, ale już nie codziennie, nie tak, jak kiedyś. Między Mateuszem i Marioną wyczuwało się takie napięcie, że Karolina skwitowała to pewnego dnia następującymi słowami:

- Wyładowania piorunów to mało.
- To co ja mam zrobić?
- Nie wiem. Pocałować go?
- Zgłupiałaś? A jeśli on nic do mnie nie czuje?

– Czuje, czuje, tylko pewnie sam się wstydzi. Mam! – Karolina dostała olśnienia. – Powinnaś napisać do „Bravo Girl”. Wiesz, te wszystkie porady, które czytamy tam... – dziewczyna potarła czoło. – Mogliby i tobie pomóc. Wyślesz list i jakaś mądra pani z redakcji doradzi ci, co masz zrobić.

– Kasia. Ta dziewczyna, która odpisuje na listy, ma na imię Kasia.

– Kasia czy Marysia, nieważne, byleby ci dobrze doradziła, bo mi tu uschniesz z miłości.

Mariona napisała do Kasi, ale jej list nie pojawił się na łamach „Bravo Girl”. Na szczęście los jej sprzyjał.

Któregoś dnia poszła wyrzucić śmieci. Niosła ciężki kubek, a co chwilę wypadał jej jakiś paperek. Dziewczyna musiała się zatrzymać, by go podnieść. Kiedy dotarła pod duży kontener, niemal nie czuła ręki. Uniosła klapę od śmietnika, przechyliła kubek, jednak nie utrzymała go i kosz wylądował na dnie pustego kontenera.

– No to super! – dziewczyna zerknęła na dno. Co ona teraz zrobi? Nawet jakby weszła do kontenera, to jak z niego wyjdzie?

Jej rozmyślenia przerwał chłopięcy głos.

– Cześć... – Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, że za jej plecami stał Mateusz.

– Cześć.

– Co robisz? Podziwiasz śmieci? – chłopak zaśmiał się nerwowo.

Mariona odwróciła się w jego stronę.

– Kosz wpadł mi do środka i zastanawiam się, co mam zrobić.

– Wskoczyć po niego.

– Yyyy...

– Ja wskoczę.

Zanim Mariona odpowiedziała, chłopak wykonał susa do środka. Po chwili podał jej kubek, a sam podciągnął się na rękach.

- Dzięki.
- Nie ma sprawy.
- Będę musiała ci się jakoś odwdzięczyć.
- Tak, będziesz musiała.

Mateusz nachylił się nagle w jej stronę i pocałował ją w usta.

Dziewczyna oniemiała. To był jej pierwszy pocałunek. Pocałunek z wyśnionym chłopakiem. Nie wiedziała, co ma robić, nigdy z nikim się nie całowała, ale musiała przyznać, że bardzo jej się to podobało.

Kiedy Mateusz się od niej odsunął, był tak samo speszony, jak ona.

- To mój pierwszy raz. Yyyy...
- Mój też.

Popatrzyli na siebie, po czym oboje spuścili wzrok.

- To ja już idę – Mariona była zawstydzona.
- Ja też.

Dziewczyna złapała za uchwyt od kosza do śmieci i puściła się pędem w stronę bloku. Po kilkunastu minutach była u Karoliny w pokoju i zwierzała się przyjaciółce.

- Ale tak przy kontenerze na śmieci? – Karolina nie kryła rozbawienia.
- Tak.
- Ha, ha, ha – Karolina śmiała się tak głośno, że po policzkach płynęły jej łzy. – Super.
- Nie ma się z czego śmiać.
- Nie śmieję się z was – dziewczyna w końcu się opanowała. – Tylko z całej tej sytuacji. Ty i on, a wokół was śmieci, kubły i ten charakterystyczny zapaszek. Cudna sceneria.
- Już nic ci nie powiem.
- Kochana... – Karolina objęła przyjaciółkę. – Bardzo się cieszę, że w końcu do tego doszło. Więc co, chodzicie razem?
- No właśnie nie wiem, bo uciekłam. Sytuacja była niezręczna.

Przez kolejne dni Mariona nie widziała Mateusza, ponoć się rozchorował.

- Ty, a może to od tego twojego pocałunku? Jakiegoś wirusa mu sprzedałaś?
- żartowała z niej Karolina.

Marionie wcale a wcale nie było do śmiechu. Chciała jak najszybciej zobaczyć chłopaka. Miała nadzieję, że poprosi ją o „chodzenie”.

- Czemu nic nie mówisz? – Karolina szturchnęła przyjaciółkę w bok.
- A co mam odpowiedzieć na twoje głupie docinki?
- No i dlaczego od razu się tak obruszasz?

- Bo się ze mnie nabijasz.
- Idź do niego.
- Przecież jest chory.
- No właśnie. Byłoby mu miło, gdybyś go odwiedziła.

Po nieprzespanej nocy Mariona postanowiła, że wpadnie do Mateusza. Serce waliło jej jak szalone, a w żołądku miała zaciśnięty węzeł.

– Cześć – weszła do pokoju chłopaka. Leżał na łóżku i słuchał muzyki z walkmana.

– Cześć – zdjął słuchawki z uszu. – Siadaj.

Mariona przycupnęła na fotelu.

– Wpadłam cię odwiedzić. Słyszałam, że jesteś chory – nie wiedziała, co ma począć z rękami, dlatego bawiła się suwakiem.

– Przeziębilem się.

Zapadła krępująca cisza. W końcu chłopak zdobył się na odwagę i zapytał Marionę:

– Może chciałabyś ze mną chodzić? No wiesz... Spotykać się tak na poważnie.

Mariona najchętniej wstałaby i odtńczyła jakiś taniec albo zaśpiewała na całe gardło:

*Odkryjemy miłość nieznaną,
Na szczęśliwy łódź zaniosą mnie pewnego dnia
Twe ramiona, łódź Magellana,
Serce Twe busola ma...[5]*

– Pewnie – uśmiechnęła się do chłopaka. Po czym nachyliła się w jego stronę i pocałowała go.

– Zarazisz się.

– Nieważne.

Całowali się tak długo, aż rozboleły ich usta.

Przez kolejne pięć lat byli parą, dopóki Mateusz nie wyjechał do rodziny do Stanów w poszukiwaniu lepszego życia.

Karolina trochę zazdrościła przyjaciółce, że z kimś się spotyka. Próbowali z Arkiem być parą, ale im nie wyszło. Nie łączyło ich nic więcej poza fajnym kumplostwem i tego się trzymali.

* * *

Kiedy człowiek ma siedemnaście lat, czuje się jak król bądź królowa życia. Próbuje używek, tańczy bosy na deszczu, zarywa noce na imprezach. Robi różne głupie rzeczy, by na starość mieć co wspominać.

Karolina przeglądała się uważnie w lustrze. Nie wiedziała, co na siebie włożyć. Najchętniej zadzwoniłaby do przyjaciółki, ale wtedy zdradziłaby się przed rodzicami, że wychodzi. Po wczorajszej karczemnej awanturze miała szlaban. Mama z tatą zgodnie stwierdzili, że jest za młoda, aby co tydzień imprezować. Ale co ona miała poradzić na to, że akurat w tym roku rozpoczął się sezon na osiemnastki? Zresztą Karolina sama też nie mogła się doczekać swoich urodzin. Jeszcze tylko osiem miesięcy i nie będzie musiała o nic prosić rodziców. Będzie dorosła. Nareszcie!

„Jeszcze bokiem wyjdzie ci ta dorosłość” – powtarzała jej mama. „Wtedy to się dopiero zaczynają problemy” – dorzucał tato. Patrzyła na nich spode łba i była przekonana, że to bzdury.

Tego wieczoru w klubie odbywała się osiemnastka Wojtka. Nie mogła przepuścić takiej okazji. Tym bardziej że ostatnio ona i Wojtek mieli się ku sobie. Kiedy więc rodzice wyłączyli w pokoju światło, dziewczyna wyskoczyła z łóżka i z latarką w ręku zaczęła robić przegląd kiecek. Rzucała na łóżko te najbardziej obcisłe i seksowne. Potem je przymierzała i oglądała się w małym lusterku, bo tylko takie miała u siebie w pokoju. W końcu zdecydowała się na klasyczną małą czarną z dużym dekoltem.

Biust o mało nie wyskoczył jej na zewnątrz, ale o taki efekt właśnie chodziło. Pociągnęła usta czerwoną szminką, przeczesła długie włosy, po czym usiadła na łóżku i czekała. Kiedy usłyszała pochrapywanie taty, otworzyła okno i wyszła na zewnątrz. Jak to dobrze, że rok temu przeprowadzili się do mieszkania na parterze.

Latarnia rzucała pomarańczowe światło na chodnik. Karolina zerknęła na zegarek. Było kilka minut po dwudziestej trzeciej. Z Marioną umówiła się na tę właśnie godzinę. Czyżby przyjaciółka już sobie poszła?

– Pssst – usłyszała nagle.

Odwróciła się. Za plecami stała zdyszana Marionna.

– Wyglądasz, jakbyś biegła przez pół osiedla.

– Bo... – Marionna musiała zaczerpnąć tchu. – Tak było. Nie chciałam się spóźnić. Miałam ostrą przeprawę z mamą. Wiesz, to gadanie starych...

– Wiem.

– A twoi się zgodzili bez problemu?

– No coś ty. Moi nawet nie wiedzą, że wyszłam.

- Jaja sobie robisz?
- Jaja to będą, jak się skapną, że zniknęłam.

Osiemnastka Wojtka odbywała się w klubie „Dragon Pub”. Okna zamalowane były na czarno, ze ścian łuszczyła się farba.

Mariona pchnęła drzwi. Wewnątrz było dość tłoczno. Dym papierosowy unosił się w górę i zatykał nozdrza. Dziewczyny zauważyły Wojtka, który ruszył w ich kierunku. Złożyły mu życzenia i wręczyły butelkę wódki, którą Karolina zakosiła kilka dni temu z barku rodziców. W tle leciał przebój Coolio *Gangsta's Paradise*.

– Czego się napijecie? – zapytał Wojtek.

– Ja obsłużę się sama – Mariona szturchnęła koleżankę, puszczając jej filuterny uśmieszek, i ruszyła w stronę baru, gdzie stali Mateusz z Piotrkim.

– A ty? – Wojtek położył rękę na jej plecach. Dziewczyna wzdrygnęła się.

– Może piwa?

– Piłaś kiedyś u-boota?

– Nie.

– Jedyne prawdziwy sok, który wlewa się do piwa, to wódka. Ostra zabawa po tym drinku gwarantowana. Będziesz zachwycona!

Podeszli do baru. Starszy brat Wojtka, który był barmanem, napełnił kufel piwem, po czym wrzucił do niego kieliszek z wódką.

– Na zdrowie, małeńka – puścił do niej oko.

Karolina z Wojtkiem usiedli przy stoliku. Chłopak objął ją w pasie. Dziewczyna z podniecenia nie mogła wydobyć głosu. Impreza, głośna muzyka, chłopak, w którym od roku podkochiwała się skrycie. Wymarzony sobotni wieczór. Piła drinka i uśmiechała się do siebie.

– Jak to jest mieć osiemnaście lat? – zapytała Wojtka.

Chłopak zerwał się na równe nogi i wskoczył na stół.

– Zajebicie! – wydarł się na całe gardło.

Znajomi zaczęli klaskać, a ona poczuła się trochę zażenowana jego zachowaniem.

Kiedy zszedł ze stołu, pocałował ją w policzek.

– Co powiesz na to, żebyśmy się spotykali? – zaproponował, spoglądając czule w jej oczy. A przynajmniej dziewczynie się wydawało, że to było czule spojrzenie. Chłopak był już lekko wstawiony.

Przechyliła kufel z piwem i wypła duszkiem niemal połowę.

– Byłoby fajnie.

Wojtek pochylił się w jej stronę i pocałował ją. Nie był to delikatny pocałunek, raczej natarczywy, ale dziewczyna była zachwycona. Od dawna o tym marzyła.

– Gwarantuję ci, że będzie fajnie – powiedział, kiedy oderwał usta od jej ust.

Przez całą imprezę Karolina bawiła z Wojtkiem. Pili, tańczyli, całowali się po kątach. Dziewczyna chciała zapomnieć o całym świecie. Zapomniała.

Po kolejnym u-boocie odszukała przyjaciółkę, która siedziała wtulona w Mateusza.

– Jak się bawisz? – zapytała Marionę. Dziewczyna oderwała się od swojego chłopaka i wstała.

– Super. Widzę, że ty też. Ale nie pij już.

– Dlaczego?

– Bo ledwo stoisz na nogach.

– Tak jest, mamusiu! – Karolina zasalutowała.

Mariona przytuliła przyjaciółkę.

– Nie zrób niczego głupiego, żebyś jutro nie żałowała.

Wojtek zaprowadził Karolinę do niewielkiego pokoiku, który mieścił się nad barem. Stała tam wersalka i stara, rozwalająca się komoda. Chłopak obsypywał ją pocałunkami i muskał jej ciało rozgrzanymi palcami. Podobało jej się to, ale sama nie była pewna, czy chce posunąć się dalej. W głowie jej się kręciło.

– Jesteś piękna, wspaniała... – szeptał do jej ucha, a ona rozpływała się od tych komplementów.

Karolina położyła się na łóżku, a Wojtek opadł na nią. Był napalony. Jedną ręką zaczął podnosić do góry jej sukienkę. Karolina zmrużyła oczy, wszystko zaczęło wirować. W jednej chwili zrobiło jej się niedobrze.

Chłopak zdjął z niej rajstopy.

– Wojtek, nie!

– Ale dlaczego?

– Nie!

– Daj spokój. Kochanie... Jesteś taka cudowna...

– Będę rzygać.

Na te słowa chłopak zerwał się na równe nogi.

– Kurwa! Nie tutaj! Tam jest łazienka – wskazał drzwi po prawej stronie.

Karolina ostatkiem sił dobiegła do muszli klozetowej.

I tak skończyła się jej nocna przygoda z Wojtkiem.

Dziewczyna wymiotowała tak bardzo, że myślała, że wypluje wszystkie wnętrzności. Miała wrażenie, że wyzionie ducha. Wojtek zmył się, kiedy zobaczył ją w takim stanie. Pewnie odnalazł Marionę, bo ta pojawiła się przy Karolinie po kilku minutach. Przyjaciółka odgarniała włosy z policzków Karoliny i moczyła sweter, którym ocierała zafajdaną twarz dziewczyny. To ten przeklęty u-boot – pomyślała Karolina. Faktycznie ostra jazda. Ponownie zwróciła do muszli.

– Taki wstyd. On już na mnie nie spojrzy – lamentowała Karolina w poniedziałek.

– Daj spokój. Dobrze się stało. Przespałabyś się z nim i co?

– Może byłoby fajnie.

– Chyba jemu. Byłaś tak nawalona, że nic byś z tego nie pamiętała. Nie ten, to następny. Tego kwiatu to pół świata.

– Pieprzysz jak potłuczona.

Mariona miała rację. Karolina w późniejszych latach na swojej drodze spotkała wielu facetów, tych fajnych i mniej fajnych. Oczywiście byli też życiowi popaprańcy, zbroceńcy, egoiści. Wtedy jednak chciała, by Wojtek z nią chodził i by puścił w niepamięć to, co zdarzyło się na imprezie.

Czekała na niego po lekcjach.

– Cześć – wyszła zza szkolnego sklepiku.

Spojrzał na nią jak na natrętą muchę, od której najchętniej by się odgonił.

– Cześć. Co, tam? – powiedział na odczepnego. Nie czekając na odpowiedź, zaczął zbiegać po schodach.

– Możemy porozmawiać?

– Jeśli chodzi o to, co zrobiłaś, to już zapomniałem.

– Aaaa... To dobrze.

– No, dobrze.

Wszedł do szatni i zmienił buty. Karolina stała nieruchomo przy boksie.

– Coś jeszcze? – zarzucił plecak na ramię.

– No, wiesz... – Karolina zamilkła, bo koło Wojtka zaczęli zbierać się koledzy.

– Słuchaj, mała. Nie mam teraz czasu.

– Ale...

Wojtek rzucił kilka słów do kolegów, wziął Karolinę pod rękę i zaprowadził w głąb korytarza.

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

– Ja... Myślałam, że będziemy się spotykać?

Wojtek wziął głęboki wdech.

– Słuchaj. Nie mówię „nie”. Może.

– Może?

– Może tak. Może nie. Daj mi trochę czasu na przemyślenie wszystkiego.

W Karolinie obudziła się nadzieja.

Mariona nie mogła patrzeć, jak od kilku dni jej przyjaciółka się zadręcza.

– Gdzieś kiedyś przeczytałam, że jest jedna generalna zasada: na faceta zbyt długo czekać nie wolno. Skoro ktoś cię nie chce, to znaczy, że cię nie chce. Kijem Wisły nie zawrócisz i nie zmusisz nikogo do kochania. Słuchaj, lepiej, że teraz ci

powiedział, że cię nie chce.

– On nie powiedział, że nie chce, ale że musimy sobie dać czas, a potem się zobaczy – oburzyła się Karolina.

– Przestań pieprzyć, tylko żyj swoim życiem.

Mariona wiedziała, że nie powinna tego robić, ale chciała pokazać temu złamanemu kutasowi, gdzie raki zimują.

Poczekala sobie na niego pod szkołą.

We wtorki miał SKS. Wojtek uwielbiał grać w koszykówkę. O szesnastej wyszedł z kolegami ze szkoły. Mariona ruszyła w jego kierunku, ciskając gromy.

– O, Marionka, cześć! – rzucił w jej stronę Wojtek.

– O, Wojtuś – zadrwiła.

– Co tam?

– Mam sprawę – podparła się pod boki.

– No, mów.

– Może odejdziemy gdzieś na bok?

Koledzy Wojtka zaczęli gwizdać i śmiać się.

– Żenua! – krzyknęła w ich stronę dziewczyna.

Odeszli z Wojtkiem w stronę starego, odrapanego budynku szkoły.

– Czego chcesz? – Wojtkowi wcale nie chciało się gadać na poważne tematy z tą dziewczyną.

– Żebyś raz na zawsze odpierdolił się od Karoliny.

– To ona się do mnie przypierdoliła.

– Powiedziałaś jej, żeby na ciebie czekała. Po jaką cholere? I ja to wiem, i ty to wiesz, że czekać na takiego gnoja, jak ty, nie warto.

– Słodko wyglądasz, kiedy się złościś.

– Powiedz jej, że to definitywny koniec.

– Po co?

– Bądź człowiekiem.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Jestem, jaki jestem. To ona za bardzo się wkręciła. Ale dobra, skoro chcesz, to powiem jej, że to koniec. A może ty byś chciała ze mną ten teges...

Mariona popatrzyła mu w oczy.

– Nie zasługujesz nawet na moje splunięcie.

Odwróciła się. Za swoimi plecami usłyszała, jak chłopak klaszcze w dłonie.

– Dureń!

Dwa dni po tym, jak Mariona wygarnęła Wojtkowi, co o nim myśli, chłopak podszedł do Karoliny i zapytał ją, czy będą się spotykali. Dziewczyna była tak zachwycona, że o mało nie rzuciła mu się w ramiona i nie zaczęła go całować.

Wyglądał jak młody bóg. Miał oczy koloru indygo, całusne usta, wielkie bary i, najważniejsze, chciał z nią chodzić.

– Głupio postępujesz i tyle w temacie – powiedziała do niej Marion, kiedy usłyszała od przyjaciółki nowinę.

– Łatwo ci mówić, bo masz Mateusza.

– Ja cię tylko przed nim ostrzegam. Jest tylu fajnych facetów.

– Ale ja chcę jego.

– Żebyś tylko przez niego nie miała złamanego serca.

Karolina wzruszyła ramionami.

Jej spotkania z Wojtkiem były bardzo intensywne, zwariowane. Dziewczyna wpadła jak śliwka w kompot. Zakochała się ten pierwszy raz, bardzo mocno.

Oczywiście Wojtek nalegał na zbliżenie i ona, choć czuła, że nie jest jeszcze gotowa, przespała się z nim. Zrobiła to dla niego. Nie chciała, by znalazł sobie taką, która da mu więcej. Po latach wiedziała, że popełniła błąd. Ale w młodości człowiek robi mnóstwo błędów i całą masę głupot. W młodości człowiek szaleje i to szaleństwo jest tak bardzo kręjące. Spała z nim jeszcze kilka razy, ale stosunki nie sprawiały jej takiej przyjemności, jak się spodziewała. Marion zwierzyła się przyjaciółce, że ona z Mateuszem sypiali ze sobą dopiero od dwóch miesięcy i że jej pożycie jest cudowne. „A wiesz, dlaczego tak jest?” – i, nie czekając na odpowiedź, dodała: „Bo się kochamy, bo czekaliśmy na ten moment przeszło dwa lata”.

Po trzech miesiącach Wojtek zaczął unikać Karoliny. Wolał iść z kumplami na mecz niż z Karoliną na spacer. W końcu przez telefon oznajmił jej, że między nimi już koniec.

– Ale jak to? – dziewczyna nawijała sobie kabel od telefonu na palec. Weszła do łazienki, żeby nikt z domowników nie usłyszał jej żalonych błagań.

– No, tak to.

– Jest inna? – Karolina trzymała za klamkę, bo drzwi łazienki nie domykały się właśnie przez kabel.

– Yyyy...

– Jest?

– To koniec, Karola. Sorry.

Zapukała do drzwi jego mieszkania grubo po dwudziestej pierwszej. Otworzyła mama Wojtka.

– Dobry wieczór, czy zastałam Wojtka?

– Karolinko – pani Dobrzyńska ciaśniej zawiązała pasek od szlafroka. – Sądzę, że jest za późno na takie wizyty.

– Muszę się z nim zobaczyć! Dzisiaj! Teraz! Natychmiast! – Karolina była zdesperowana.

Mama chłopaka była zdziwiona jej wybuchem, ale otworzyła szerzej drzwi i gestem ręki zaprosiła ją do środka.

– Wejź, ale...

Karolina nie słyszała, co dalej mówiła pani Dobrzyńska. Wparowała z impetem do przedpokoju, po czym poszła w stronę pokoju Wojtka. Chłopak leżał rozwalony na łóżku, a w uszach miał słuchawki. Z całej siły klepnęła go w nogę. Wojtek wyłączył walkmana.

– A, to ty? – nie krył zdziwienia.

– To ja.

– Wiesz...

– Ty podła kreaturo! – wybuchnęła Karolina. – Nie stać cię, by do mnie przyjść i rozstać się ze mną, jak przystało na faceta?

– Karolcia, tak było prościej.

– Chyba dla ciebie. Spójrz mi w oczy.

Spojrzał. Na jego twarzy malował się głupkowaty uśmiech.

– Co ona ma takiego, czego ja nie mam?

– Ciszej, rodzice są za ścianą...

– Jakoś nie obchodziło cię to, kiedy mnie dymałeś na tym właśnie łóżku. Twój starzy też byli wtedy za ścianą.

To z Wojtkiem Karolina przeżyła swój pierwszy raz, dlatego tak bardzo bolało ją to rozstanie.

– Yyyy...

– Co ona ma takiego?

– A skąd wiesz, że jest inna?

– Wiem. Po prostu wiem.

Od chłopaków dowiedziała się, że od kilku dni Wojtek paraduje z jakąś laską po osiedlu.

– Nie wiem – wzruszył ramionami.

– Musisz wiedzieć, skoro ją wybrałeś.

– Blond włosy?

Karolina z impetem chwyciła poduszkę i rzuciła nią z całej siły w Wojtka.

– Kretynie jeden!

Oblało ją nieznośne gorąco. Czowała, że się poci, mimo iż w pokoju było dość chłodno, a okno było otwarte.

– Myślałam, że ty i ja...

– Źle myślałaś. Wiesz, że mężczyźni dzielą kobiety na te, które uwielbiają, i na te, które pieprzą.

– I?

– No właśnie odpowiedz sobie na to pytanie.

– Nie rozumiem.

– Kochanie, jesteś niezłą dupą, ale taką, którą się chce przelecieć, a nie z nią być.

– Spierdalaj. A... I jak już kogoś cytujesz, to rób to poprawnie.

– Słucham?

– Przytoczyłeś słowa Jonathana Carrolla. To taki pisarz, jakbyś nie wiedział. Pamiętasz, jak jęczałam, że mi jest dobrze?

– Pewnie – uśmiechnął się z satysfakcją.

– Udawałam. Żaden z ciebie Casanova, raczej marny kochanek z malutkim czymś dyndającym między nogami.

Karolina poderwała się na równe nogi i wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami. Sama była zaskoczona, że to powiedziała. Nie miała przecież porównania, jak to jest z innym. Wojtek był jej pierwszym chłopakiem.

Mariona w ramach pocieszenia przyjaciółki kupiła dwa bilety do kina, chyba na *Młode Wilki*... Tak się przynajmniej Karolinie wydawało, że to wtedy musiały obejrzeć ten film. Minęło tyle czasu, a wspomnienia się zacierają.

– O, Boże! – Karolina nie kryła entuzjazmu. – Ale mi frajdę zrobiłaś. Kochana jesteś.

– Wiem, że kochana, i wiem, że frajda.

Przez pół seansu Karolina wzdychała do Cichego, podczas gdy Marionie spodobał się Prymus.

– To już pewne, masz spaczony gust. Najpierw Nick Carter, teraz Prymus – powiedziała Karolina do przyjaciółki po seansie. – Kręcą cię tacy ugrzecznieni chłopcy.

– Wolę tych grzecznych. Wiesz, jak się na tym wychodzi, kiedy zakochujesz się w podłym draniu?

– Wiem. Ale co ja zrobię, że tak mnie oni kręcą?

– Chyba lubisz mieć roztrzaskane serce.

[5] Fragment piosenki *Odkryjemy miłość nieznaną* Alicji Majewskiej.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy mieli po dziewiętnaście lat, nadal byli nierozłączni. Wszyscy stali się szczęśliwymi posiadaczami zielonych książeczkowych dowodów, którymi lubili się chwalić, szczególnie w nocnych sklepach, gdzie kupowali piwo.

Arek, Mateusz i dziewczyny spotykali się pod którąś z klatek albo przy trzepaku. Słuchali polskiego hip-hopu. Próbowali jointów, pili piwo, śmiali się. Byli wolni, nie mieli problemów, no, może tylko powinni się więcej pouczyć do egzaminu maturalnego. Chodzili na mecze piłki nożnej. Polska się zmieniała, robiła się bardziej kolorowa, mimo iż bloki z płyty wciąż były szare.

Piotrek wciąż był ich ziomalem, choć wpadł w inne towarzystwo. Dresy Adidasa, skóra, łańcuch. Rozbijał się kradzioną beemą i chciał być jak jego nowi koledzy, mafiosem z osiedlowego podwórka. Jego mafijna działalność skończyła się, kiedy go przytknęli za rozbój. Na szczęście jego tato miał znajomości i wypuścili Piotrka po dwudziestu czterech godzinach. Był nadal ich Piotrkiem, chociaż zamiast Molesty słuchał Stachurskiego, a jego dziewczyną była tleniona blondyna w białych kozaczkach, której sztuczna opalenizna z solarium biła po oczach.

– Wiecie, że ona jeszcze na tego solara nakłada jakieś kremy brązujące – nawet Piotrek, bo od czasu do czasu się z niej nabijał.

– Piotruś – Karolina pociągnęła łyk piwa. – Co ty w niej widzisz?

– No jak to, co? – zarechotał Mateusz.

– Ma taaakie zderzaki – Piotrek rękami pokazał wielkość piersi swojej dziewczyny.

– I nie potrafi się wysłować.

– Ale za to inne rzeczy potrafi. Robi to chętnie i o każdej porze.

Chłopaki wybuchnęli śmiechem, a dziewczyny spojrzały na Piotrka z politowaniem. Z magnetofonu leciał jakiś utwór Paktofoniki...

Sobotniego wieczoru Karolina spotkała się z Arkiem na ławce w pobliskim parku.

– A gdzie reszta? – zapytała.

– Piotrek rozbija się z tą swoją dziunią. Mateusz ma wolną chatę, więc zaprosił na kwadrat Marionę.

– Zostaliśmy sami.

– No.

- Kupiłam po drodze chipsy.
- Mam tylko dwa browary.
- Styknie.

Karolina rozerwała opakowanie. Chrupali chipsy i bezmyślnie gapili się przed siebie.

– Zauważyłeś, że między nami już nie jest tak samo? – pierwsza odezwała się dziewczyna.

- Między tobą a mną?
 - Nie... W naszej paczce.
- Arek wzruszył ramionami.

- Każdy kogoś ma.
- Tylko ja i ty bez pary...

– Sugerujesz, że powinniśmy się spiknąć? – chłopak wytarł ręce o nogawki spodni.

- Już raz próbowaliśmy i nie wyszło nam.

Arek nie skomentował tego, co przed chwilą powiedziała Karolina.

- Lubię być sam. Chwilowo mi to odpowiada.
- Nie jest ci czasami smutno?

– Czasami pewnie i jest. Nie myślę o tym. Smutek nierozzerwalnie łączy się z samotnością, ale wtedy mam taką jazdę, że mówię do siebie: „E, stary, weź się w garść, pokonaj potwora”.

- I co?
- Czasami pokonuję bestię, innym razem ona mnie.

Karolina prychnęła.

- Życie to nie bajka.
- „And full of zasadzkas”.

Teraz śmiali się oboje.

– Myślisz, że przetrwamy jako paczka? – Karolina wyrzuciła opakowanie po chrupkach do śmietnika.

- Nie. Każdy znajdzie swoją drogę.
- Smutne.
- Ej! – Arek spojrział na Karolinę. – Nie myśl o tym, co będzie za kilka lat.
- A co mam robić?
- Napij się browca, a potem może wbijemy się gdzieś na melanz?
- Ale gdzie?
- Dominika z czwartej „B” robi dzisiaj domówkę.
- Nie znam.
- To poznasz. Jest sobota, a my jesteśmy młodzi.
- I piękni.

Po dwudziestej drugiej wkręcili się do Dominiki. Był taki tłum, że drzwi na

klatkę schodową musiały zostać otwarte. Alkohol lał się strumieniami, ktoś próbował tańczyć, jakaś para obmacywała się w rogu pokoju. Łazienka była ciągle okupowana, a w powietrzu unosił się zapach zioła.

Karolina wypaliła na spółkę z Arkiem blanta i wypila piwo. Świat nabrał kolorów. O północy ktoś krzyknął, że trzeba się zwijać na miasto. Karolina z Arkiem, biuściastą Dominiką i kilkoma innymi osobami wtoczyli się do starego poloneza jednego z chłopaków.

Ruszyli na miasto. Karolina nie była pewna, czy kierowca był trzeźwy. Pędzili przez miasto, muzyka dudniła z głośników, ktoś opuścił szybę. Wiatr targał ich włosy.

Arek na całe gardło zawołał:

– Życie!!! Kurwa, to jest życie!!!

Dominika zaśmiała się. Karolina też parsknęła śmiechem. Samochód mknął do przodu, wjechał na tory tramwajowe, przejechał na czerwonym świetle. Wszyscy się śmiali. W końcu zabrakło benzyny. Wysiedli z auta. Krzysiek, kierowca, miał w bagażniku kilka butelek farby w sprayu.

– Idziemy do zajezdni pociągowej? – rzucił.

Przytaknęli. Wzięli ze sobą butelki farby i poszli.

Chłopcy właśnie kończyli swoje graffiti, gdy podeszli do nich umundurowani policjanci.

Cała paczka wylądowała na dołku.

Ich zeznania nie były spójne. Karolina oświadczyła, że ona tylko tamtędy przechodziła, Arek, że on nie jechał czerwonym polonezem, kierowca, że nie kierował pojazdem.

– Oj, dzieciaki – westchnął policjant. – A ja jestem panem Kleksem.

– Karola, a mnie się nie podoba, kiedy ktoś maluje graffiti na zabytkowej kamienicy – zaczęła swoje wywody mama.

– Mamuś, mnie też nie. Ale nie podobają mi się też billboardy, które ktoś wiesz na ścianie tejże kamienicy. Zresztą nie malowaliśmy kamienic, tylko pociągi.

– Nieważne, co. Skończyło się na policji. Co się z tobą dzieje? Te imprezy co sobotę...

– Jestem młoda, mamo. Jestem młoda! – powtórzyła dziewczyna z naciskiem. – Czy ty w moim wieku nie robiłaś głupot?

– Nie lądowałam w pace.

– Ale tańczyłaś z ciotką na stole.

– Byłam mężatką i miałam dziecko.

– Czy mam wyjść za mąż?

– Nie, pewnie, że nie. Chodziło mi o to, że powinnaś zająć się nauką.

- Przecież się uczę.
- A w soboty włączysz się po nocach.
- Mam dziewiętnaście lat i jestem dorosła, przestań mi tu truć.
- Skoro jesteś taka dorosła, to się wyprowadź. Zarabiaj na siebie.
- Słucham?
- Słyszałaś.

* * *

Wszyscy z ich paczki, oprócz Piotrka, zdali maturę.

- Co teraz? Jakaś praca? – zapytała go Karolina.
- Yyyy... Praca? Nie umiem sobie tego wyobrazić, bo praca „od – do” pod czyjeś dyktando jest dla mnie czymś abstrakcyjnym.
- To co zamierzasz.
- Jest tyle opcji... – uśmiechnął się do niej. Wiedziała, co miał na myśli, dilerka, jakaś drobna kradzież, tym Piotrek chciał się zajmować.
- Piotrek, tylko się w coś nie wpakuj. Fajny z siebie chłopak.

Kilka tygodni po tej rozmowie Piotrek wylądował w pudle za kradzież z rozbojem. Arek wyjechał na studia do Wrocławia, Mateusz do Stanów...

Karolina z Marioną zostały we dwie. Obie złożyły papiery do Wyższej Szkoły Bankowości – Marioną na studia dzienne, a Karolina zaoczne. Żadna z nich nie miała ochoty pracować w banku, ale nie miały też za bardzo pomysłu na siebie. Karolina wybrała studia weekendowe, bo chciała też pracować i zarabiać na siebie. Być niezależna, wynająć sobie mieszkanie i żyć według swoich zasad. Była już przecież dorosła. I chciała poczuć tę dorosłość na własnej skórze, mimo że nie było jej źle z rodzicami.

Karolina myślała, ba, była święcie przekonana, że zawojuje świat, a tu kłapa.

Miała dyplom maturalny w ręku, zdała na zaoczne studia o profilu bankowym i rozpoczęła poszukiwania pracy. Nie było łatwo. Oczywiście odpowiadała na sporo ogłoszeń, ale większość pozostała bez echa.

„Dołącz do naszego teamu...” Czy pracodawca zapomniał używać polskich słów? Dlaczego nie zespołu, a teamu? „Luźna atmosfera w pracy”. To było coś, czego Karolina szukała. Chciała bez stresu wykonywać swoje obowiązki. Wysłała CV, po tygodniu zaproszono ją na rozmowę rekrutacyjną, a po trzech została zatrudniona w agencji reklamowej, w której pracowała zaledwie dwa miesiące. W praktyce nic nie było takie kolorowe. Nikt nie miał ochoty ani czasu jej

przeszkolić, a pierwsza pensja nie pokryła nawet chesnego. Następnie została zaproszona na rozmowę kwalifikacyjną na stanowisko stażystki w firmie ubezpieczeniowej.

– Elastyczny czas pracy – powiedział na wstępie jej przyszły szef.

– O, tak – Karolina nie kryła zachwyty.

W praktyce musiała być w firmie na każde pierdnięcie szefa. Kiedyś zadzwonił do niej w niedzielę. Tego było już za wiele. Zrezygnowała. Nad jej świetlaną przyszłością zgromadziły się czarne chmury.

– Co oni sobie myślą? – zapytała przyjaciółkę.

– Że jesteś młoda i naiwna.

– Pewnie tak. Ale ja nie jestem naiwna. Chcę pracować, zarabiać, ale nie zamierzam godzić się na wykorzystywanie mnie.

Z uporem dalej poszukiwała pracy. A to jej nie chcieli, bo nie miała doświadczenia, a to nie chcieli jej płacić. „Staż, proszę pani, jest bezpłatny, ale dzięki niemu zdobędzie pani doświadczenie”. Ale nikt nie opłaci jej chesnego. W końcu, zrezygnowana, podjęła pracę jako hostessa. Miała warunki i była młoda. Młodość przyciąga potencjalnych klientów.

Dziesięć godzin stała w szpilkach w obcisłej pomarańczowej sukience, trzymając w rękach tacę z lekko śmierzącą już szynką do degustacji, wędliną, którą producent chciał szybko opchnąć. Podstarzałe lowelasy z piwnym brzuchem zagadywały do niej, a ona musiała się głupekowato uśmiechać. Po skończonej dziesięciogodzinnej pracy dopadł ją skurcz łydek, a na stopach miała odciski.

Nie podobała jej się praca uśmiechniętej hostessy w supermarkecie, która stoi z ciasteczkami, czekoladkami lub śmierzącym mięchem i uśmiecha się do tatuśków z brzuszkiem, oferując im poczęstunek. A oni wcale nie ślinią się na widok żarcia, tylko młodej dziewczyny ubranej w kusą spódniczkę. Zrezygnowała z tej roboty dość szybko. Potem pracowała w call center i namawiała ludzi do zakupu superproduktów, których sama nie nabyłaby za żadne skarby świata. Pracowała też we Włoszech przy zbiorze winogron, jako opiekunka do dzieci, aż w końcu zaproszono ją na rozmowę w sprawie pracy na stanowisku sekretarki.

Mariona studiowała w trybie dziennym, a za pieniądze odłożone z wakacyjnego wyjazdu do Włoch, gdzie z Karoliną pracowały przy zbiorze winogron, kupiła sobie maszynę do szycia.

– Będę szyć i sprzedawać. Tak sobie dorobię – oznajmiła przyjaciółce.

– Ale co szyć?

– Firany, zasłony...

– Ty przecież szyć nie potrafisz.

– Na razie nie umiem, ale się nauczę...

Faktycznie, Mariona poszła na kurs, potem przez kilkanaście tygodni w soboty odbębniła darmowy staż w zakładzie krawieckim. Nauczyła się fachu.

Szyla w soboty i niedziele, i tak sobie dorabiała do studenckiego życia. Karolina cieszyła się, że przyjaciółka wie, co chce robić, i do tego dąży.

– Zazdroszczę ci tej konsekwencji w działaniu, ja chyba nigdy nie znajdę pracy.

– Znajdziesz. Jesteś piękna, mądra.

Karolina uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Mów mi tak dalej, a uwierzę.

– Mówiłaś, że idziesz na jakąś rozmowę w sprawie pracy w charakterze sekretarki.

– Też mi robota – Karolina westchnęła.

– Nie od razu Rzym zbudowano. Od czegoś trzeba zacząć.

– Mariono, tylko że ja zaczynam od dwóch lat.

– No i co? Widocznie się jeszcze na tobie nie poznali.

– Pewnie masz rację.

Roześmiały się.

Dwa tygodnie później Karolina została zatrudniona na stanowisku sekretarki-asystentki. Pracowała w dużej korporacji, wśród młodych ludzi, nastawionych na karierę, lans i prestiż. Nie nawiązała żadnej znaczącej znajomości, a jej szef był nadętym bufonem, który według Karoliny czepiał się dla samego czepiania. Nie była to praca marzeń, ale przynajmniej zapewniała stabilność. Ze stałą pensją i perspektywami rozwoju. Parzyła kawki, uśmiechała się do kontrahentów w stalowych garniturach, rozdzielała korespondencję do wszystkich działów i łączyła rozmowy telefoniczne.

– I jak jest? – Mariono zadzwoniła do niej po tygodniu.

– Powiewa nudą.

– Karola... – przyjaciółka westchnęła do słuchawki.

– Mówię prawdę.

– Wiesz, jak jest na rynku pracy. Ciesz się, że w ogóle masz robotę. Ktoś docenił twoje umiejętności.

– Właściwie ciężko tu mówić o jakichś specjalnych umiejętnościach. Prezes na rozmowie kwalifikacyjnej wgapił się w moje cycki.

– Przynajmniej masz cycki.

– Ty też jakieś masz.

– Małe. Wisienki.

– Nie obwisną ci po ciąży.

Roześmiały się.

– Karola, chciałabym, abyś w końcu się ustatkowała.

– Czy ja się przesłyszałam? Mam się ustatkować w wieku dwudziestu jeden lat?

– Jak zdobędziesz doświadczenie? Potem zawsze łatwiej o ciekawszą pracę.

A ty popracujesz gdzieś miesiąc, stwierdzasz, to nie że to, i rzucasz pracę, a potem szukasz dalej. Tak można przez całe życie. W końcu żaden pracodawca nie będzie brał cię na poważnie.

– Gadasz jak moja mama.

– Po prostu chcę, byś w końcu zdobyła wymarzoną posadę. Musisz czasami zacisnąć zęby.

– To tylko przejściówka. To tylko osiem godzin wyjęte z każdego dnia – powtarzała sobie w kółko Karolina. I tak mijał tydzień za tygodniem. Dziewczyna trochę przygasła. Podczas gdy jej przyjaciółka studiowała i z pasją szyła coraz piękniejsze rzeczy, ona nie była do końca zadowolona z wyboru, którego dokonała. Przynajmniej miała pieniądze na czynsz, na czesne i swoje drobne wydatki. To trzymało ją w tej firmie.

* * *

Karolina siedziała z nosem przyklejonym do szyby. W autobusie było tak tłoczno, że trudno było wbić szpilkę, a mimo to na kolejnych przystankach ludzie się dosiadali. Kobiecie trudno było uwierzyć, że wszyscy się mieścili. Cieszyła się, że wsiadała na pętli i nie musiała stać. Westchnęła głęboko. Było tak duszno, że zakręciło jej się w głowie. Próbowwała nie rozmyślać o braku świeżego powietrza. Na szczęście jakiś mężczyzna uchylił okno.

Szyby były zaporowane. Zaczęła palcem malować po nich wzorki. Co jej ostatnio powiedziała Mariona? Dzień świra. Nie tylko jej przyjaciółka przeżywała ześwirowane, identyczne dni: uczelnia, kolokwia, szycie i tak w kółko... Ona też czuła się, jakby przeżywała każdego dnia déjà vu.

Po piętnastu minutach jazdy Karolina wstała i zaczęła przepychać się w stronę drzwi. Autobus zbliżał się do przystanku, na którym ona wysiadała.

– Przepraszam, przepraszam – powtarzała. Jedni nie ruszyli się nawet o centymetr. Inni klęli pod nosem.

– A co się tu baba pcha?

– Do wyjścia! – fuknęła.

W końcu dotarła do drzwi i wysiadła w ostatniej chwili. Niestety, gdy wyskakiwała z autobusu, but spadł jej z nogi i został w środku. Karolina chciała ratować zgubę, ale w tym samym momencie autobus syknął, po czym ruszył przed siebie.

– But! Mój but! – krzyczała, machając rękoma. Nikt jej nie słyszał, oprócz

ludzi stojących na przystanku. Ci patrzyli się na nią albo z uśmiechem, albo z politowaniem.

– Cholera! – syknęła.

Zdjęła drugi but i wsadziła go do swojej przepastnej torby. Głupio tak iść w jednej szpilce. Pomału szła w stronę biurowca. W stopy wbijały jej się drobne kamyczki.

Kiedy doszła do budynku, zauważyła grupkę mężczyzn palących papierosa. Codziennie tam stali i gapili się na kobiety, bezczelnie je potem obgadując. Kiedy przechodziła koło nich, zapadła cisza. Odwróciła głowę w ich stronę.

– Co się tak gagicie?

Cisza.

– A przyszedłam sobie dzisiaj do pracy bez butów.

– Wow! – powiedział najwyższy z mężczyzn.

– Prawda? Cudnie.

Nim dotarła do swojego biurka, prezes złapał ją w korytarzu.

– Pani Karolinko, raporty sprzedaży na już! Prasa powinna być na biurku kilka minut temu. A gdzie moja kawa?

W dupie! W dupie! – chciała krzyknąć. Zamiast tego uśmiechnęła się kretyńsko i zerknęła na zegarek.

– Jest ósma pięćdziesiąt, zaczynam pracę o dziewiątej.

– Nie, nie. Pani zaczyna pracę przede mną.

– A skąd mam wiedzieć, o której będzie pan w firmie?

– Asystentki mają tak zwaną intuicję – spojrzał na nią jak na nic nierozumiejącą istotę.

Wal się! – powiedziała do siebie w duchu. – Gdybyś tylko wiedział, co o tobie myślę...

Uśmiechnęła się do prezesa głupkowato.

– No już, już. Pani Karolinko, na co jeszcze pani czeka?

W tym momencie wzrok szefa przeniósł się na jej nogi. Dziury w rajstopach zrobiły się na palcach i piętach, ale oczka poleciały wyżej.

– To chyba nie jest strój zalecany do pracy w biurze. Gdzie ma pani buty?

– Zgubiłam.

– Jak można zgubić buty?

– Nie dwa. Jednego zgubiłam. Można. Nie jeździ pan autobusami, więc zapewne pan nie wie, że o tej porze jest tłok. Przeciskałam się do wyjścia, ktoś chyba nadepnął mi na stopę, but został w autobusie i odjechał w siną dal.

Kiedy Karolina skończyła opowiadać, zachciało jej się śmiać. Prezes natomiast miał posągową minę.

– Żartuje sobie pani ze mnie?

– Jakże bym śmiała.

Machnął ręką.

– No dobrze, nie mamy czasu. No szybciej, szybciej, droga pani. A co do butów... – potarł brodę ręką. – Niech pani wyśle naszego kierowcę, niech coś pani kupi.

Za co? – chciała powiedzieć. Zamiast tego skinęła głową.

ROZDZIAŁ 6

Na drugim roku studiów dziewczyny wybrały się na juwenalia. Rozrzedzone wodą piwo lało się strumieniami, a spocone ciała wyginały się w rytm muzyki. Karolina na tę okazję włożyła fioletową bluzkę z głębokim wycięciem na plecach, obcisłe levisy i buty na koturnie. Oczy podkreśliła mascarą, na usta nałożyła różowy błyszczak. Mariona wybrała czarny top i takie same skórzane spodnie. Umalowała tylko rzęsy. Z uszu zwisały jej duże koła.

Dziewczyny dotarły na stadion po siedemnastej. Pod sceną zebrał się już spory tłum młodych ludzi. Gwiazdami wieczoru były Kayah i Kult, którzy mimo chłodu rozgrzewali publiczność. Mariona z Karoliną kupiły piwo w plastikowych kubkach i podeszły do grupki znajomych. Karolina od razu wypatrzyła wysokiego blondyna, który rozmawiał z kolegą.

– Zaraz dziurę w plecach mu wywiercisz – szepnęła jej do ucha przyjaciółka.
– Swoją drogą jest naprawdę niezły.

Kiedy chłopak skończył rozmowę, Karolina podeszła do niego.

– Cześć, Karolina jestem – wyciągnęła w jego kierunku rękę.

– Adam.

– Adam – powtórzyła i przyjrzała mu się uważniej. Jego twarz była symetryczna, oczy duże, jasnoniebieskie, wręcz przejrzyste. Na jego ustach pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Ty też studiujesz w SGH? – zapytał zdziwiony chłopak.

– Nie. W Wyższej Szkole Bankowości. Zaocznie. W tygodniu pracuję.

– Pracujesz?

– Lubię być niezależna.

– Też pracuję. W soboty i niedzielę.

– Lubisz być niezależny.

Uśmiechnął się.

– Podeszłam do ciebie, bo mi się spodobałeś – wypaliła Karolina.

Adam o mało nie zakrztusił się piwem.

– Wow! Miło jest spodobać się takiej dziewczynie.

– Takiej, to znaczy?

– Pięknej – spojrzał na nią z zachwytem w oczach.

– No wiesz – uśmiechnęła się do niego zalotnie. – Dużo pracy włożyłam w to, żeby tak wyglądać. Tona makijażu...

Zaśmiał się.

- Akurat.
- Dobra, my tu gadu-gadu, a czas leci.
- Czyli...
- Chodźmy na spacer.

Spacerowali godzinę, może dwie. Rozmawiali o studenckim życiu i planach na przyszłość. Było miło. Naprawdę miło. Ale czy o to jej chodziło? Miły może być koc i futro kota w dotyku.

Po imprezie Karolina zaczęła się spotykać z Adamem. Fajny był z niego chłopak, ale dziewczyna zrozumiała, że to nie jest to. Nie było tego czegoś między nimi. Tego kliknięcia, od którego aż iskrzy. Wyładowań piorunów. Motyli. Kiedy ma się dwadzieścia jeden lat, to chce się tego wszystkiego doświadczyć. Adam był spokojny, nieśmiały, powolny. A ona – wulkan energii.

Spotykali się od kilku tygodni, ale ona nic nie czuła, no, może oprócz znudzenia. Wiedziała, że musi zakończyć ten związek, bo z każdym dniem chłopak angażował się coraz bardziej.

- Następnym razem – powtarzała sobie.

* * *

We wtorkowe południe prezes oznajmił Karolinie, że w sobotę będzie pracować.

- Z tego, co wiem, soboty mam wolne.
- Pani Karolino – szef nasunął okulary na oczy. – Weźmie sobie pani w tygodniu dzień wolny. Pan Walecki potrzebuje hostess na przyjęcie.
- Ale... Ja nie jestem hostessą.
- To nasz kluczowy kontrahent. Organizuje przyjęcie dla managerów i dyrektorów z jego firmy. Przyjęcie będzie się odbywać w jego nowym domu. Wie pani, spotkanie na szczycie. Może ma pani jakąś koleżankę, która wybrałaby się tam z panią?
- Ale...
- Pani Karolinko – prezes wstał. – Poda pani gościom szampana, a potem może się pani wmieszać w tłum i bawić do samego rana.
- Tylko że ja nie wiem, czy się nadaję?
- Będzie tam firma cateringowa, kelnerki. Pani razem z koleżanką przywitacie tylko gości szampanem, pouśmiejcie się do nich ładnie i po sprawie.

Jezu, jeszcze tego jej brakowało. Robić za hostessę. Już to przerabiała. Wiedziała jednak, że szefowi się nie odmawia.

– Umowa stoi – powiedział za nią, nim ona zdołała zaprotestować. – No już, pani Karolinko, do pracy wracamy. Co pani tak stoi jak kołek?

Karolina wyszła z gabinetu prezesa z nietęgą miną. Zadzwoiła do Mariony. Na szczęście zgodziła się z nią pójść na przyjęcie i przywitać gości szampanem.

O dziewiętnastej w sobotę zapukały do drzwi pięknej willi pod miastem. Dom Michała Waleckiego stał na obrzeżach miasta. Był duży, gustowny i zapewne musiał sporo kosztować. Jakby wyjęty z czasopisma wnętrzarskiego, urządony został ze smakiem i klasą. Stylowe meble, drogie obrazy robiły wrażenie. Pani z firmy cateringowej wręczyła im tace z kieliszkami szampana. Dziewczyny stanęły przy drzwiach wejściowych. Po kilku minutach podszedł do nich gospodarz, który okazał się miłym mężczyzną koło czterdziestki.

– Dziękuję wam ślicznie za przybycie. Rozdacie szampana, wprowadzicie gości do salonu, a potem zapraszam was do zabawy.

– Dziękujemy – odpowiedziały.

O dwudziestej zaczęli schodzić się goście. Dziewczyny wiedziały, że są to ludzie sukcesu. W drogich kreacjach, z kieliszkiem szampana w dłoniach, stali w grupkach, przechadzali się po domu. Gospodarz przedstawił dziewczyny kilku znajomym, mimo to one nie czuły się tam dobrze.

– Nie to co impreza w akademiku – Marionna szturchnęła przyjaciółkę w bok, pokazując stół, na którym stały przystawki. Sery, koreczki, owoce morza, wykwintne sałatki, łosoś w galarecie.

– W akademiku robimy zrzutę na kilka paczek chipsów i paluszków.

Początkowo dziewczyny czuły się nieswojo pośród napuszonych kobiet i ich bogatych mężów. Jednak nic tak nie odpręża jak dobry szampan. Jeden kieliszek, drugi i kolejny. Bąbelki buzowały. Usta się śmiały. Rozum gdzieś się zapodział, w studentkach zatliła się iskra szaleństwa. Na szczęście pozostali goście również byli już na rauszu.

O pierwszej w nocy dziewczyny stały się gwiazdami parkietu, a o drugiej Karolina zrzuciła ubranie i pobiegła co sił w nogach do basenu. Marionna po chwili zrobiła to samo.

– Jezu, basen. Mają tu basen! – krzyczały.

Śmiały się, pischwały. Nie obchodziło je nic. Rzadko kiedy w chwili upojenia alkoholowego coś nas obchodzi. Liczy się dobra zabawa.

Karolinę obudził potężny kac. Otworzyła pomalutko oczy, w głowie czuła tępy ból. Dotknęła ręką zroszonego potem czoła. Suszyło ją. Te przekłete bąbelki – pomyślała o wczorajszym szampanie i na samą myśl zrobiło jej się niedobrze.

Sięgnęła po zegarek, który leżał na nocnej szafce. Trzynasta. Dawno nie spała tak długo. Powoli wstała z łóżka i chwiejnym krokiem poszła do łazienki. Zimny prysznic postawił ją na nogi. Otulona w szlafrok, weszła do kuchni

i nastawiła czajnik z wodą. Do kubka wrzuciła torebkę miętowej herbaty. Kiedy woda się zagotowała, dziewczyna zalała herbatę i usiadła na fotelu. Owinęła się szczelnie kocem i włączyła telewizor. Bezmyślnie przerzucała kanały, kiedy rozdzwonił się telefon. Nie miała ochoty odbierać, ale domyślała się, kto do niej dzwoni. Zwlokła się z fotela i ruszyła w stronę przedpokoju, gdzie wisiała torebka. Ale zanim wygrzebała z torby swoją firmową komórkę, najnowsze cudo techniki, melodyjka umilkła. W menu odszukała nieodebrane połączenie, po czym oddzwoniła pod numer przyjaciółki.

- Żyjesz? – usłyszała jej smętny głos.
- Raczej dogorywam.
- Ja też. Upić się szampanem to nie najlepszy pomysł.
- Powiem więcej, to bardzo zły pomysł.
- Pamiętasz, co wyprawialiśmy? – Mariona nerwowo zachichotała.
- Nie chcę pamiętać.
- A ty wiesz, że jutro będziesz musiała wrócić do pracy?
- Wiem. W dodatku Walecki ma spotkanie z prezesem.
- Wydawał się spoko.
- Może i spoko, ale to w końcu kontrahent.
- A my kąpałyśmy się nago w jego basenie.
- Jeeezu – Karolina jęknęła.
- Przygoda.
- Trzymaj kciuki, żeby mnie nie wylali z roboty.
- Przecież i tak jej nie lubisz.
- Ale w końcu gdzieś się zakotwicyłam.

Po weekendzie Karolina, chcąc nie chcąc, musiała wrócić do pracy. Miała ochotę włożyć na głowę worek. Teraz już wiedziała, dlaczego nie powinno się chodzić na imprezy z kontrahentami. A jeśli już, to należy unikać alkoholu.

Roześmiany Walecki wszedł do biura o jedenastej piętnaście, a ona najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Ile razy człowiek w życiu robi z siebie idiotę?

- Czy mogę panią prosić na chwilę, na bok – zapytał.

Karolina wyszła zza biurka na drżących nogach. Kontrahent wręczył jej zawiniątko.

- Co to?

Nachylił się w stronę jej ucha i szepnął.

- Pani majtki. Leżały na środku salonu.

Karolina spłonęła rumieńcem.

– Ja... Ja bardzo przepraszam – jąkała się. Jedyne, czego pragnęła, to by ziemia rozstąpiła się i wciągnęła ją w ciemną otchłań.

Mężczyzna uśmiechnął się ciepło.

- To była dobra impreza. Najlepsza – puścił do niej oko.
- Czy pan... mógłby... – Karolina ze zdenerwowania zaczęła się jąkać.
- Prezes o niczym się nie dowie.
- Dziękuję – wyszeptwała.

* * *

Karolina szybkim krokiem wracała do mieszkania. Chciała tylko wziąć prysznic i położyć się do łóżka.

- Cześć – jakaś postać wyłoniła się zza rogu budynku.

Początkowo go nie poznała. Arek wyglądał marnie. Bardzo schudł, oczy miał podkrążone, a włosy przetłuszczone.

- Karola, kopę lat.

– Cześć – Karolina uśmiechnęła się do starego kumpla. Otworzyła szeroko ramiona i przytuliła go. – Nie odzywasz się, nie piszesz...

- Studenckie życie.

- Studenckie życie – uśmiechnęła się do niego.

– Byłem w twoim rodzinnym domu, twoja mama podała mi twój nowy adres. Nie wiedziałem, że jesteś na swoim.

- A tam na swoim – Karolina machnęła ręką. – Wynajmuję kawalerkę.

- Ale cię stać.

- Stać, nie stać. Pracuję i czynsz mogę sobie opłacić. Wejdiesz na górę?

- Pewnie.

– Mam winko, piwko chyba też mam. Zrobię jakieś kanapki. Może zadzwonię po Marionę?

- Nie.

- Co nie?

– Nie chcę, byś po nią dzwoniła... To znaczy, może później. Chciałbym z tobą pogadać.

- Pewnie. Chodź.

Usiedli na kanapie. Karolina zrobiła kanapki. Wyłożyła na talerzyk ciastka.

- Wino? Piwo? – zaproponowała.

- Wodę.

- Wodę?

- Ludzie się zmieniają.

Dziewczyna podała Arkowi szklankę wody i usiadła obok niego.

– Mów, co u ciebie? Jak Wrocław?
– Mam problem – pociągnął kilka łyków wody i odstawił szklankę na stół.
– Co jest? – Karolina zmarszczyła brwi.
– Mam problem. Z alkoholem.
– No wiesz, życie studenckie. Jesteś młody.
– Nie... To nie to... Serio mam problem i sam o tym wiem. Piję codziennie. Mam takie ciągi alkoholowe, że jak zacznę pić w piątek, piję do niedzieli wieczorem, czasami do poniedziałku rano.

– Ach!
– Właśnie.
– Potrzebujesz pomocy. Odwyk?
– Może. Nie wiem... Chyba tak. Poznałem rok temu dziewczynę. Ale spieprzyłem to. Wybaczała mi te moje ciągi. Zaszła w ciążę... A ja poszedłem to opić. Nie otrzymała ode mnie żadnego wsparcia. Chlałem przez następne trzy tygodnie. Ona błagała mnie, żebym coś z tym zrobił, żebym się ogarnął. Kiedy ogarnąłem się, było za późno.

– Nie chciała cię?
– Żeby tylko.
– Ale dziecko. Łączy was dziecko. Dla niego powinieneś coś ze sobą zrobić.
– Już nie.
– Nigdy nie jest za późno.
– A nie, to nie o tym mówię. Już nie ma dziecka.
– Poroniła?
– Usunęła.

Na chwilę zaległa cisza. Karolina mocno objęła przyjaciela.

– Arek. Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro.
– Mnie jeszcze bardziej.
– Nawet nie chcę sobie wyobrazać, co czujesz.
– Potrzebuję przyjaciela.
– Jestem. Chcesz u mnie zostać?
– Na dzień, dwa...
– Zostań, jak długo chcesz. Razem coś wymyślimy. Ale przyrzeknij mi, że coś ze sobą zrobisz.

– Pewnie. Słowo. Już nawet namierzyłem taki ośrodek, na Niekłańskiej. Jutro tam pójde.

Jeszcze chwilę siedzieli w ciszy. Potem Arek położył głowę na kolanach Karoliny. Dziewczyna głaskała go po włosach, dopóki nie odpłynął w błogi sen.

Rano Karolina wyszła do pracy. Arek jeszcze spał. Dziewczyna przez całe osiem godzin myślała o przyjacielu. Punkt siedemnasta wyszła z firmy. Nawet nie zastanawiała się, jak zareaguje na jej wyjście prezes, który siedział jeszcze

w swoim gabinecie. Miała to gdzieś, chciała pogadać z Arkiem. Kiedy weszła do mieszkania, jego tam nie było. Na stole zobaczyła kartkę:

*Karola,
dzięki za wszystko. Wiem, że tyle chciałaś dla mnie zrobić. Sam muszę się zmierzyć ze swoim życiem i swoimi demonami. Wracam do Wrocka. Nie szukaj mnie. Odezwę się. Obiecuję wziąć się za siebie.*

PS W ciągu dnia był tutaj Twój chłopak. Swoją drogą nie podpasował mi. Tobie pewnie też nie pasuje. Straszna cipa z niego. Zastał mnie w Twoim łóżku i przeprosił, że przeszkadza. Na jego miejscu obiłbym koleśowi twarz, a on przeprosił.

Trzymaj się i zrób coś z tym koleśkiem.

A.

Karolina zaczęła się śmiać. Tak, straszna cipa z tego jej Adaśka. Miła, dobra cipa. Chłopak nie dla niej. Jeszcze raz przeczytała list. Życzyła Arkowi z całego serca, żeby wyszedł na prostą. Miała nadzieję, że jakoś sobie poradzi.

W drodze z pracy do domu Karolina kupiła sobie bieliznę w kolorze wina, w pobliskim osiedlowym sklepiku nabyła makaron, bazylię i pomidory. Postanowiła przyrządzić kolację dla niej i Adaśka, wystroić się w seksowną bieliznę. Może coś jeszcze z tego będzie? Dobry z niego chłopak. Rano zadzwoniła do niego i poprosiła, by wpadł do niej koło dwudziestej.

Makaron, przyrządzony według sprawdzonego włoskiego przepisu, pachniał wybornie i miała nadzieję, że tak samo będzie smakował. Na pachnącą balsamem skórę założyła bieliznę i czerwoną sukienkę. Pociągnęła rzęsy tuszem, a usta błyszczkiem.

Adam zjawił się u niej przed czasem. Miał skwaszoną minę.

– Czy coś się stało? – zapytała.

Usiadł na fotelu.

– Nie wiem, czy na ciebie zasługuję...

– Dlaczego tak myślisz?

– Nie wiem – wzruszył ramionami. A ona poczuła, że ogarnia ją irytacja.

Postanowiła jednak tego nie komentować.

– Przyrządziłam kolację. W barku mam dobre włoskie wino...

– A ja mam podły humor.

Pocałowała go w usta.

– Każdy czasami ma zły humor – powiedziała delikatnie.

– Ten facet, co tu nocował...

– Wyjaśniłam ci rano, to mój przyjaciel z dzieciństwa.

– Dlaczego tu spał?
– Bo miał problem.
– Ach tak...
– Właśnie tak.
– Czy coś cię z nim łączy?
– Przyjaźń.
– Nic więcej?
– Musisz mi zaufać. To dlatego jesteś w złym humorze? Przez Arka?
– Nie. Dlatego, że wydaje mi się, że taka dziewczyna, jak ty, powinna spotykać się z kimś innym...

Karolina czuła, że zaraz wybuchnie. Nie chciała się kłócić. Nie po to zapraszała Adama do siebie. Odkąd się poznali, co jakiś czas chłopak miał spadek formy i mówił dziwne rzeczy, że na nią nie zasługuje, że ona jest od niego lepsza, piękniejsza, bardziej zaradna, a on nie potrafi uporać się ze swoim życiem. Karolina nie wiedziała, czym spowodowane jest jego zachowanie.

Był to chłopak o niskiej samoocenie i niskim poczuciu wartości. Kiedyś próbowała z nim o tym porozmawiać, ale on szybko zmieniał temat. A ona miała dość tego utyskiwania. Potrzebowała u swojego boku kogoś radosnego, który cieszyłby się z życia.

– Na razie spotykam się z tobą.
– Ale dlaczego?
– Bo uważam, że jesteś fajnym facetem.
– Chyba nie takim fajnym...

Karolina już więcej się nie odezwała.

Zjedli kolację w milczeniu.

Adam nie pił alkoholu, ona wypła dwie lampki. Kiedy się przed nim rozebrała, odwrócił się ostentacyjnie na drugi bok i poszedł spać. No tak, zły humor. Powinna go zrozumieć. Tylko czy chciała?

* * *

Arek wrócił do Wrocławia, był na spotkaniu AA, obiecywał sobie, że przestanie pić, ale nie udawało się. Staczał się coraz bardziej. Wyrzucili go ze studiów.

Którejś soboty Karolina z Marioną pojechały do Wrocławia, próbowały go odszukać, ale śluch po nim zaginął.

Wcześniej Karolina opowiedziała przyjaciółce o problemach Arka.

– Musimy mu pomóc – Marioną od razu chciała wsiadać w pociąg i odszukać Arka.

– A jeśli on nie chce?

– Chce, ale boi się prosić o pomoc.

– Mnie się wydaje, że się wstydzi.

– Może i tak, ale to nasz kumpel, Karola. Nasz kumpel.

W akademiku go nie było, na uczelni też nie. Pytały o niego napotkanych ludzi z roku.

– To pijak – powiedziała jedna dziewczyna, która chodziła z nim na wykłady. – Ostatnio nawet kradł, by mieć na wódkę.

– Trzeba mu jakoś pomóc.

– On chyba tego nie chce – szczupła blondyneczka wzruszyła ramionami.

Przez dwa dni dziewczyny prowadziły poszukiwania. Daremnie.

Wróciły do domu smutne.

Dwa tygodnie później dowiedziały się, że Arek zapił się na śmierć. Miał dwadzieścia jeden lat i całe życie przed sobą.

Lekarz powiedział, że serce nie wytrzymało takiej ilości alkoholu i poddało się. Marioną z Karoliną długo płakały po śmierci przyjaciela z dzieciństwa, wyrzucając sobie, że w porę nie zareagowały.

– Gdybym mogła cofnąć czas... – powiedziała Karolina do przyjaciółki.

Marioną położyła dłoń na jej ramieniu.

– To nie twoja wina... Arek nie chciał się leczyć.

– Wtedy, kiedy do mnie przyjechał... – Karolina pociągnęła nosem.

– Uciekł... Dla niego ucieczka była najlepszym wyjściem.

* * *

Trzy tygodnie po pogrzebie Karolina podjęła decyzję, że zakończy związek z Adamem. Wcale nie jest jednak łatwo być tym, który oznajmia, że to koniec.

– Co ty mówisz? – Adam stał naprzeciwko niej z bezradnie opuszczonymi ramionami.

– Adam, sam wiesz, jak jest między nami.

– Dobrze.

– Nie jest dobrze. Ja tego nie czuję.

– Może z czasem poczujesz? – Adam wydawał się zdesperowany.

– Nie.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Bo to musi być jak grzmot z nieba, wyładowanie pioruna.
– Takie wielkie pierdolnięcia są na krótko! – uniósł się mężczyzna, a na jego szyi pojawiły się czerwone plamy.
– No, to ja może wolę krótko, ale intensywnie.
– Proszę, przemyśl to.
– Adam, to koniec.
– Proszę... – skomlał jeszcze przez dłuższą chwilę. Aż w końcu, pokonany, odszedł.

Przez następne dni Karolina odczuwała dotkliwie brak Adama. Przyzwyczała się do jego stałej obecności, ale wiedziała, że tak będzie dla nich lepiej.

On jednak nie dawał za wygraną. Dzwonił do niej, a kiedy nie odbierała, próbował się skontaktować z innych numerów telefonów.

– Adaś, kiedy powiedziałam ci, żebyś nie dzwonił, to właśnie to miałam na myśli.

Po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza.

– Karola, tylko mnie wysłuchaj...

Karolina przewróciła oczami. Czego miała wysłuchiwać? Kolejnych wyjaśnień?

– Jeśli chcesz, zrobimy sobie przerwę, a potem zobaczymy, co dalej.

– Adam, ale co zobaczę? Przecież ja już zobaczyłam. Nie pasujemy do siebie.

– Jesteś potworem, potworem!

Karolina rozłączyła się. Ręce jej drżały i była wkurzona, naprawdę wkurzona. Czy faktycznie była takim potworem, za jakiego uważał ją Adam? Sama kiedyś kochała, a przynajmniej tak jej się zdawało, i sama miała złamane serce. Wyobrażała sobie, co chłopak czuje, na swój sposób go rozumiała, ale, do cholery jasnej, niech to się już wreszcie skończy, niech on nie wywołuje w niej poczucia winy! Ten związek był porażką, a ona czuła się wiecznie czemuś winna.

ROZDZIAŁ 7

Świat jakby przystanął na chwilę, przypatrując się zmianom. Liście niespiesznie przybierały złote barwy, niektóre były już lekko rumiane, inne miały odcień ochry.

Zmrok zapadał wcześniej. Dojrzałe gruszki spadały z drzew, jedna za drugą. Pranie trzepotało na wietrze. Dni miały kolor bursztynów, miodu, w powietrzu czuć było jesień i coś jeszcze. Nieodgadnione.

Mariona zauważyła Witka na przystanku autobusowym. Była wówczas studentką trzeciego roku i widywała go niemal codziennie. Miał taki rozmarzony wzrok. Był szczupły, wysoki, niemal tyczkowaty, nosił okulary i oliwkowy płaszcz. Karolina określiłaby go mianem „cipowaty kujon”, ale Marionę coś w nim ujęło. Kilka razy się do niego uśmiechała, lecz on nie odwzajemnił uśmiechu. I pewnie nic by się nie wydarzyło, gdyby nie przypadek.

Któregoś dnia Mariona omal nie spóźniła się na autobus. Wbiegła do pojazdu w ostatniej chwili i kierowca zamknął drzwi, przytraskując jej torbę. Pierwszy do pomocy ruszył jej znajomy-nieznajomy. Zapał się na schodkach i chwycił Marionę za rękę. Szarpnął ją z całej siły. Mariona upadła na niego, odrywając z jednej strony pasek od torby. Ktoś coś krzyknął do kierowcy autobusu, więc ten zatrzymał pojazd i otworzył drzwi.

Mariona była tak zdezorientowana, że wysiadła z autobusu. Kujonek, bo tak go w myślach nazywała, wysiadł za nią.

– Przepraszam za ten pasek – wskazał głową na torbę. – Chciałem ci jakoś pomóc.

– Dzięki.

Mariona usiadła na krawężniku. Chłopak zrobił to samo.

– Ej, nie musisz tutaj ze mną siedzieć i mnie niańczyć – Mariona była zdenerwowana całą tą sytuacją.

– Nie muszę, ale chcę. Witek jestem – wyciągnął w jej stronę rękę.

– Mariona.

– Mariola? Ładnie.

– Nie Mariola, a Mariona.

– Dziwnie.

– Normalnie.

Zamilkli.

Ona siedziała z podkulonymi kolanami, a on wyrywał źdźbła trawy i wkładał

je sobie do buzi.

– Na pewno obsikał ją pies.

– Ale co?

– No tę trawę, którą przeżuwasz.

– Nie mam co zrobić z rękoma.

– Ja bym ci powiedziała, co z mozesz nimi zrobić, ale...

Chłopak niespodziewanie objął Marionę w pól i mocno przywarł do niej ustami.

Dziewczyna była tak zszokowana, że zamarła. Kiedy odkleił się od niej, nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Nie spodziewała się tego po nim.

– A to co? – wydusiła w końcu.

– To cześć – chłopak był zarumieniony po czubek głowy. Odwrócił się i puścił się pędem przed siebie.

– Ma nierówno pod kopułą – zawyrokowała Karolina, kiedy Mariona opowiedziała jej o wszystkim. – Tak się nie zachowują normalni ludzie. Zagubiony kujonek, który pierwszy raz siedział tak blisko pięknej dziewczyny. Odbiło mu. Uważaj na niego. Powinnaś jeździć innym autobusem.

– Ma coś w sobie?

– Co?

– Jest taki silny.

– Zwariowałaś?

– Może do najprzystojniejszych nie należy, ale ten jego rozmarzony wzrok...

– Chyba wzrok psychopaty. I jeszcze to imię: Witold. Kto w dzisiejszych czasach ma na imię Witold?

– Witek.

– Zdrobniale. A Witold? Witoldzie. Jak: „milordzie”.

– Czepiasz się.

– Swoją drogą w dziwnych okolicznościach rozpoczynają się twoje miłosne przygody. Albo przy kontenerze na śmieci, albo w autobusie, kiedy szalony kierowca przytrząskuje drzwiami twoją torbę. Ale i jeden, i drugi cię uratował...

– No, ba.

Wybuchnęły śmiechem.

Mariona nie posłuchała przyjaciółki. Niczego innego tak bardzo nie pragnęła, jak ponownego spotkania z Witkiem.

Tego dnia wstała, zanim zadzwonił budzik. Włożyła swoje najlepsze obcisłe, sprane dzinsy i biały top, na który narzuciła krótką kurteczkę. Kilka dni temu była u fryzjera i obcięła włosy do linii brody, na modnego „boba”. Spryskała włosy obficie lakierem strong. Pociągnęła rzęsy mascarą, a policzki pokryła różem. Może

przesadziła z tym różem, ale chciała wyglądać pięknie, dla Witka.

Na przystanek przyszła przed czasem. Choć wiał dość silny wiatr, jej fryzura ani drgnęła. Dobry lakier – odnotowała w myślach.

Minuty wlokły się w nieskończoność. Przebierała nogami, a serce biło jej jak szalone. Po kilku chwilach dostrzegła Witka, który, kiedy tylko ją zobaczył, trochę spanikował. Stał kilka metrów od przystanku i znieruchomiał. Dziewczyna do niego machnęła ręką, ale nie zareagował. Co jest? – pomyślała. – To ja tu się wystroiłam dla niego jak stróż w Boże Ciało, a on nie ma zamiaru do mnie podejść? Biorę sprawy w swoje ręce.

Ruszyła w jego stronę. Kiedy stanęła przy nim, chłopak był już czerwony na twarzy i trząsł się jak osika. A co tam! Raz kozie śmierć – pomyślała Marionna. Zarzuciła mu ręce na szyję i wpiła usta w jego usta. Oderwała się od niego dopiero po kilku chwilach.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć.

W tej chwili nadjechał autobus. Żadne z nich się nie ruszyło. Stali i patrzyli się na siebie jak urzeczeni. Witek spojrzał na jej głowę.

– Dlaczego masz taką dziwną fryzurę? Niczym hełm lub kask.

Marionna wytrzeszczyła oczy.

– Lepiej nic już nie mów, bo wszystko spieprzysz.

– To co mam robić?

– Całuj mnie, to wychodzi ci najlepiej.

Witek zaprosił Marionnę do kina. Dziewczyna była nieco skołowana. Dlaczego akurat na pierwszą randkę wybrał kino?

– Nie chce mu się pewnie z tobą gadać – zarechotała Karolina.

– Bardzo śmieszne.

– Już przestań szukać dziury w całym. Pójdziecie do kina, potem może na jakiś spacer albo kolację.

– No myślę...

Umówili się w kinie, gdyż Marionna jechała wcześniej zawieźć zastony do klientki.

Weszła na salę. Siedział w dwunastym rzędzie i machał do niej. Dziewczyna od razu się uśmiechnęła. Usiadła obok niego.

– Cieszę się, że przyszłaś – nachylił się w jej stronę, a ona poczuła mrowienie na całym ciele.

Film się rozpoczął, ale Marionna z trudem koncentrowała się na fabule. Myślała wyłącznie o Witku. Wyobrażała sobie, że obejmuje ją w pół, a potem się całują. Niestety on nawet nie uraczył jej spojrzeniem. Wgapił się w ekran, co raz wybuchając salwami śmiechu.

Po seansie wybrali się na spacer, gdyż wieczór był przyjemny. Mariona stanęła obok latarni.

– Coś się stało? – zapytał chłopak.

– Coś mnie uwiera w butcie.

Witek podał jej swoje ramię, a ona wsparła się na nim i zdjęła but, po czym wytrzepała z niego kamyk. Kiedy się wyprostowała, ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Może usiądziemy w kawiarni? – zaproponował.

– Nie pijam kawy o tej porze.

– Ach, tak – był wyraźnie zakłopotany. – Ale nie pogardzisz ciastkiem?

Mariona uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Nie pogardzę ciastkiem.

Zamówili po kawałku szarlotki i herbatę. Rozmawiali o filmach, o tym, co dzieje się na świecie, o muzyce i kolokwiach. Czas szybko mijał, a oni byli sobą urzeczeni.

– Spodziewałem się, że jesteś interesująca, ale nie sądziłem, że aż tak będę tobą zafascynowany.

Mariona spłonęła rumieńcem.

Z kawiarni zostali wyproszeni po północy.

– Zamykamy – powiedziała znudzona kelnerka.

– Och, to już tak późno?

– W miłym towarzystwie czas szybciej mija. Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała, ale może pójdziemy do mnie?

– Do ciebie? – Mariona poczuła się dziwnie speszona.

– Noc jest długa, a nam tak świetnie się gada.

– Mieszkasz sam?

– Rodzice wyjechali na kilka dni do babci.

Resztę nocy przegadali u niego w mieszkaniu. Rano Witek zrobił Maronie kanapki i postawił przed nią kubek mocnej kawy. Potem odprowadził ją do domu. Mariona była w siódmym niebie. Po tej nocy wiedziała już, że jest w nim zakochana.

* * *

Karolina została wysłana na szkolenie do Manchesteru. Wcale nie chciała tam jechać, ale po prostu nie było innych chętnych. Szef musiał kogoś wyznaczyć i padło na nią. Bo samotna, bo dyspozycyjna, bo całe życie nie będzie przecież

kserować dokumentów i odbierać telefonów.

– Prawda, pani Karolino? – prezes świdrował ją wzrokiem, po czym klepnął ją w ramię. – Trzeba się rozwijać.

Tylko że ona wcale nie miała ochoty podnosić swoich kwalifikacji. Zostawać po godzinach, lizać dupską przełożonym, być dobrą w sprzedaży czegoś, czego sama by nie kupiła. Już wołała kserować dokumenty, zamawiać ołówki i zszywacze dla innych działów.

– Czy ja wiem? – burknęła, ale szef już jej nie słyszał. Zniknął za drzwiami swojego gabinetu.

Dzień przed wylotem Karolina nalała sobie do kieliszka białego wina. Takie lubiła najbardziej. Marioną czerwone, a ona białe. Czerwone było dla niej za ciężkie i zawsze następnego dnia miała po nim kaca. Stała przy oknie i się rozmarzyła. Chciałaby mieć dom, najlepiej w słonecznej Hiszpanii albo na Lazurowym Wybrzeżu. Nie za duży. Z basenem. I chciałaby tam mieszkać z tym jedynym, kochanym. Niekoniecznie Hiszpanem, mógłby być nawet i Azjata, byleby ją kochał na zabój. I dał jej upragnione dziecko. Najlepiej dwójkę. Zachichotała. Spełni się – pomyślała. Czowała, że kiedyś będzie szczęśliwa. Niekoniecznie na Lazurowym Wybrzeżu z Azją u boku, ale będzie.

Dopiła wino. Podeszła do szafki, w której trzymała alkohol, ale niczego już nie znalazła. Ubrała się więc i wyszła do sklepu. W bankomacie na rogu wypłaciła pieniądze. Kiedy zobaczyła wydruk z konta, zaklęła siarczyście. Wczoraj był pierwszy i na konto wpłynęła jej pensja. Ale po opłaceniu raty za wynajem, raty za kanapę i szafę, rachunku za gaz, chesnego, zostało jej na koncie trzysta złotych. Nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać.

Haruje w tej głupiej firmie jak wół. Jeździ na szkolenia, od dwóch miesięcy przychodzi do pracy na siódmą trzydziestą, żeby być w biurze przed tym bufonem, a on jej nie docenia. Płaci jej marne grosze. Teraz kupi sobie butelkę wina i czekoladowe pralinki, a kiedy wróci ze szkolenia, pogada z prezesem o podwyżce.

Do Manchesteru przybyła o dwudziestej. Godzinę później zameldowała się w hotelu. Weszła do pokoju, w którym oprócz łóżka zobaczyła tylko szafkę z małym telewizorem. Nawet łazienka była na korytarzu.

– Skąpy fiut z tego prezesa – mruknęła pod nosem, kiedy ociekająca wodą truchtała z łazienki do pokoju. Wytarła się, włożyła piżamę i wskoczyła pod kołdrę. Zaraz usnęła.

Szkolenie odbywało się w wielkiej auli. Prowadził je coach, który kazał wykonywać zgromadzonym jakieś dziwne ćwiczenia. Zamykać oczy i klaskać uszami. Nie, oczywiście nie uszami, ale w dłonie, tylko Karolinie jakoś dziwnie się skojarzyło.

Mówił głównie o motywacji. Nie zrozumiała większości. Może gdyby bardziej się wysiliła, zamiast malować kwiatki w notesie, to poszłoby jej lepiej, ale nie miała ochoty słuchać jego przemowy. Jeden wielki shit. „Uwierzyć w siebie, w swój zespół, w firmę” – wykrzykiwał. Myśleć pozytywnie itepe, itede. Szkoda, że Mariony tu nie ma. Jej by się spodobała ta gadanina. Ona nie wierzyła w to całe pozytywne myślenie. Co ma być jej dane, to osiągnie tylko dzięki pracy. Przygryzła język w obawie, by nie parsknąć śmiechem. A kiedy usłyszała o tym, że szef, bez względu na to, jaki by nie był, jest guru pracownika, miała ochotę wyjść z sali. Oprócz kwiatków zaczęła kreślić koła, trójkąty, byle tylko skutecznie się wyłączyć.

Po szkoleniu poszła na piwo do pubu. Wypiła jedną pintę, potem drugą. I od razu poczuła się lepiej. Dosiadł się do niej jakiś koleś, który ponoć był na tym samym szkoleniu, co ona. Irlandczyk o miłym uśmiechu i krzywych zębach.

Wypili jeszcze po jednym piwie i Karolina rozgadała się swoją łamaną angielszczyzną. Jak ona chciała zabłysnąć. *Summa sumarum* zrobiła z siebie idiotkę, kiedy powiedziała, że za oknem jest gęsta żaba, zamiast gęsta mgła. Bo przecież łatwo pomylić *frog* z *fog*.

Irlandczyk rechotał, ona też.

Wróciła do domu w niedzielę z silnym postanowieniem, że w poniedziałek porozmawia z szefem nie tylko o podwyżce, ale i o awansie. W końcu nie mogła pozwolić, by to szkolenie poszło na marne.

* * *

W poniedziałek rano Karolina napotkała złowrogie spojrzenie szefa.

– Pani Karolino, która godzina? – zapytał.

– Ósma.

– Właśnie. A my się umawialiśmy, że zaczynamy pracę o siódmej trzydzieści.

– Naprawdę? Przychodzę do pracy o ósmej. Godzinę wcześniej niż powinienam. Wczoraj wieczorem wróciłam ze szkolenia.

– Asystentka powinna być elastyczna.

– Jestem. Nawet powiedziałabym, że ostatnio jest ze mnie prawdziwa kobieta guma. Dostosowuję się do pana jak do nikogo innego.

– Kawa – syknął.

Rozmowa o podwyżce uleciała w siną dal. Czy ten dupek musi robić jej na złość?

W kuchni zrobiła kawę z pianką. Dosypała trochę cukru prosto z torebki, gdyż nie mogła znaleźć czystej łyżeczki. Zamieszała palcem. A co tam. Chrzanić buraka.

– Pani Karoolino!!! – usłyszała na korytarzu głos prezesa. Szybko schowała brudny palec za plecami.

– Co znowu?!? – syknęła. Czy ona powiedziała to na głos?

Szef wpadł do kuchni z impetem.

– Czy ja dobrze usłyszałem?

– A, coś tam sobie burczałam pod nosem.

– Pani Karolino, jest pani niekompetentna, nieokrzęsana i robi pani za mocną kawę.

– W kawie jest moc.

– Czy pani sobie ze mnie żartuje?

Jezu, co on ma z tym żartowaniem na swój temat. Jego sflaczałe ego ją dobijało.

– Czasami tak. Cała ta praca to jedna wielka pomyłka. Mam dość pana, tej firemki i pomiatania mną. Chciałam, by było dobrze, a nie jest. Jest do dupy! Odchodzę.

– O nie, zwalniam panią! – prezes poczerwieniał na twarzy. Wyglądał jak rozjuszony byk. Do tego tak dziwnie dyszał.

– Sama się zwalniam!

ROZDZIAŁ 8

Witek z Marioną stanęli na ślubnym kobiercu rok później, kiedy panna młoda była w trzecim miesiącu ciąży.

– Ot i masz swoje całowanie – śmiała się z niej Karolina.

– Jakoś nam się wpadło.

– Jakoś... – przyjaciółka znów się zaśmiała. – Przynajmniej masz pewność, że nie strzela ślepakami.

– Spadaj.

Obie zaczęły się śmiać do rozpuku.

Rodzice i dziadkowie dali w prezencie nowożeńcom sporą sumkę pieniędzy, za które młodzi kupili mieszkanie w starej kamienicy. Oczywiście musieli jeszcze wziąć kredyt, ale na szczęście niewielki. Kiedy tylko stali się właścicielami mieszkania, spędzali tam niemal każdą wolną chwilę. Marionie urządzenie wnętrza sprawiało ogromną radość.

Wycyklinowali wiekowy, dębowy parkiet, w łazience położyli wielkie płytki w kolorze dojrzałych brzoskwiń. Odmalowali ściany. Plusem mieszkania było to, że znajdowało się ono na parterze i przynależał do niego mały ogródek przed kamienicą. Od południowej strony zrobili więc sobie taras, z którego schody prowadziły wprost do tego niewielkiego ogródka. Kuchnia była cała w drewnie, które Mariona pomalowała na biało. Pośrodku stał wielki stół mogący pomieścić osiem osób, idealny, ponieważ zarówno Witek, jak i Mariona, marzyli o dużej rodzinie.

Kiedy Mariona urodziła Piotrusia, chodziła dumna jak paw. Chciała stanąć na środku ruchliwej ulicy i krzyczeć w niebo: „Jestem mamą! Jestem mamą!”.

Lubiła słyszeć od innych, kiedy nazywali ją mamą. Spacerowała z wózkiem i czuła się tak, jakby unosiła się kilka metrów nad ziemią. To było lepsze niż stan zakochania. Obsypywała delikatną skórę swojego dziecka pocałunkami. Nie mogła się na nie napatrzeć. Nawet kiedy synek spał, ona stała nad jego łóżeczkiem i patrzyła na niemowlę z podziwem.

Kiedy Piotruś się budził, karmiła go, a potem znów obsypywała pocałunkami. Liczyła jego maciupkie paluszki, całowała stópki, póki nie zaczynał się śmiać. Uwielbiała go kąpać, obmywać delikatne, pachnące ciało niemowlaka. A potem otulała go w ciepły koczek koloru dojrzałego groszku. Nie mogła uwierzyć, że jest taką szczęściarą i ma idealnie piękne dziecko.

Oczywiście, że przeklinała w duchu, kiedy musiała wstawać w nocy co dwie

godziny, kiedy skóra na sutkach pękała, a jedyne, o czym wtedy marzyła, to by jej dziecko przestało ssać. Kiedy beczała podczas odciągania pokarmu, bo bolało, bo chujowy laktator, bo ona zmęczona. Ale wszystko to pikuś w porównaniu z ogromnym szczęściem, które odczuwała.

Kiedy Piotruś miał dwa i pół roku, Karolina po raz kolejny zaszła w ciążę, a dziewięć miesięcy później urodziła Marcelka.

– Jestem szczęściarą – oznajmiła któregoś dnia przyjaciółce.

– Ach, tak – Karolina patrzyła na rozentuzjasmowaną Marionę, która wyparzała właśnie butelki.

– Mam dwójkę dzieci, męża...

– Nooo... Szczęście to ci uszami wychodzi. Taka para ulatuje z ciebie, kiedy tłuczysz schaboszczaki na obiad, a potem zmieniasz pieluchy dzieciakom, że nie mogę... Esencja szczęścia.

– To jest miłość.

– To ja już lepiej nie będę wchodzić w żaden związek, bo skończę jak ty.

– Spadaj – Mariona rzuciła w nią smoczkiem.

– Jeśli ty jesteś szczęściarą, to ja zwyczajną kobietą. Zwyczajna kobieta może wcale nie jest taka zwyczajna, skoro nie ma stałego partnera, narzeczonego, męża. Może ma jakiś defekt? Albo jest tak fenomenalna, że każdy zwyczajny facet do niej nie pasuje. Zwyczajna kobieta śpi w piżamie i skarpetach. Nawet latem, bo stopy ma wiecznie zimne. Odchudza się od poniedziałku – bo w ciągu ostatnich lat nabrała ciała – i czasami ma muchy w nosie. Ale też lubi się śmiać, tańczyć i robić głupie rzeczy. Zjada jajecznicę z majonezem i ketchupem. Tak naprawdę jest nas dwie, chociaż moja przyjaciółka, stojąca tutaj nad wyparzaczem butelek, twierdzi, że jest inaczej.

Parsknęły śmiechem.

– Wiesz, co mi się ostatnio przytrafiło?

– Skąd mogę wiedzieć.

– Wracalam od lekarza. Sama, bez dzieci, co jak wiesz, jest u mnie rzadkością. W tramwaju usiadł za mną facet. Widziałam go też wcześniej na przystanku. Młody. Koło trzydziestki. Pojazd ruszył, on się nachylił, wiesz, nad moją głową, i odezwał się: „Naprawdę jesteś piękna”.

– I co? – Karolina była nie mniej podekscytowana od przyjaciółki.

– Jak to, co? Zamurowało mnie. W sumie nie wiem, po czym wywnioskował, że ze mnie taka piękność. Bo widział mnie tylko od tyłu, ale może spodobały mu się moje włosy?

– Albo czubek twojej głowy? Ale mów, co dalej? Powiedział ci, że jesteś piękna, a ty co?

– Odwróciłam się w jego stronę z uśmiechem na twarzy. Już chciałam mu powiedzieć, że to bardzo miłe z jego strony, ale ja jestem matka dzieciom, żona

mężowi. Otworzyłam buzię, a on mówił dalej... do słuchawki. Rozmawiał z kimś przez telefon.

Wybuchnęły śmiechem.

– Ale ci nadzieję zrobił. Podobnie jak mi kiedyś kurier. Zapukał do drzwi z naręczem kwiatów. Wyobrażasz to sobie? Pospiesznie wzięłam z jego rąk bukiet. Przeszukałam go. Znalazłam bilecik. A tam słowa: *Muzo... Kocham*. Być dla mężczyzny muzą. Poeta? Pisarz? Zastanawiałam się, komu wpadłam w oko, kiedy usłyszałam ponowne pukanie do drzwi. Kurier. Czyżby czegoś zapomniał dodać do bukietu? „Przepraszam, pomyliłem się. Kwiaty są pod trzynastkę”. Pomyślałam, że nie oddam bukietu. Nie można przecież komuś odbierać nadziei.

Śmiały się w najlepsze.

– Zgadnij, kto przychodzi do nas w sobotę na obiad? – zapytała Mariona, kiedy już się opanowały.

– Sądząc po twoim uradowanym głosie, Cruella de Vil.

– We własnej osobie.

– Jakoś przetrwasz. Czymże jest jedno popołudnie wobec wieczności?

– Niby tak, ale wiesz, jak będzie. Najpierw przeleci po domu jak tornado, sprawdzając, czy podłogi są wypastowane. Otworzy szafkę Witka w poszukiwaniu dziurawych skarpetek. Jeśli takowe znajdzie, zacznie kazanie o tym, jaką jestem złą gospodynią i żoną, skoro nie dbam o wygląd męża.

– Wyrzucić dziurawe skarpetki.

– Już wczoraj zrobiłam przegląd. Tylko wiesz, to taka baba, która z uśmiechem wbije ci nóż w plecy.

– Olej ją. Uśmiechaj się i rób swoje.

Mariona zmrużyła oczy i przypomniała sobie, jak teściowa spadła z krzesła. Może nie powinna być taką podłą pindą, ale zaczęła się śmiać.

Pamięta to jak dziś. Teściowa przyszła któregoś dnia, by oznajmić im, że Piotruś za mało mówi jak na swój wiek i winni są oni, rodzice, w podtekście: Mariona, bo Wituś przecież pracuje.

Mariona zaparzyła kawę i pokroiła na talerz ciasto. Teściowa usiadła przy stole i zaczęła swoje wywody.

O, kurde! – Mariona jęknęła w duchu. – Usiadła na tym rozwalającym się krześle.

Ledwo o tym pomyślała, teściowa runęła jak długa, wymachując rozpaczliwie rękami w desperackich próbach złapania się czegoś.

– Ile razy prosiłam cię, byś skleił to rozwalające się krzesło! – ryknęła Mariona na męża.

Witek podleciał do mamy i pomógł jej wstać.

– Najmocniej mamę przepraszamy.

– Czemu nie skleiliśmy tego krzesła, skoro żona prosiła? – odezwała się

wkurzona teściowa.

– Ja... Yyyy... Mam tyle pracy.

* * *

Konflikt z teściową zaczął się zaraz po ślubie od tego, że młodzi małżonkowie nie chcieli zamieszkać u niej na poddaszu. Mamusia całą winę zwała na Marionę, która wolała przenieść się do niewyremontowanego jeszcze mieszkania niż mieszkać w trzech pokojach na poddaszu u teściowej. „Za żadne skarby” – oznajmiła Witkowi. Potem, kiedy urodziła Piotrusia, teściowa nachodziła ich niemal codziennie. Witek był wtedy w pracy, a ona wpadała w odwiedziny do synowej i wnuka. „Czemu karmisz go z butelki? Pokarm matki jest najzdrowszy dla dziecka”. „Wiem, ale skończył mi się pokarm”.

Półtora roku później też prawiała jej wywody: „Witka sadzałam na nocnik, kiedy skończył roczek. Piotruś ma już półtora roku, a ty ani myślisz o rozpoczęciu treningu”.

I tak dalej, i tak dalej. Niejeden raz kłócili się z Witkiem o szanowną mamusię, aż w końcu Mariona nie wytrzymała i powiedziała teściowej, że to jej dziecko, jej mąż, jej dom, i ona będzie robiła po swojemu. Od tamtej pory synowa stała się wrogiem numer jeden, ale miała przynajmniej spokój. Po dwóch latach od urodzenia Marcelka Mariona chciała wrócić do pracy. Pani Alinka, krawcowa, zaproponowała jej zajęcie w swoim warsztacie krawieckim.

– Może twoja mama pomogłaby w opiece nad dziećmi? Kilka godzin w tygodniu – zasugerowała Mariona Witkowi.

Teściowa była wówczas na wakacjach u siostry we Francji. Witek zadzwonił do niej.

– No wiesz! – teściowa nie kryła oburzenia. – Ja już wychowałam dwóch synów.

Mariona z odpowiedzi Witka domyślała się przebiegu rozmowy. Była w kuchni. Wbiła nóż w cebulę i nasłuchiwała, pewna już, że jej teściowa nie marzy wcale o tym, by piec ciastka i niańczyć wnuki.

– No cóż, jakoś będziemy musieli sobie poradzić – zakomunikował Witek.

Mariona kroїła cebulę, nie zważając na to, że po policzkach spływają jej łzy. Podłe babsko...

Dziewczyna pomyślała o swojej mamie, która zmarła zaraz po ich ślubie. Jak ona się cieszyła, że będzie babcią! Mariona była wtedy w piątym miesiącu ciąży. Mama obiecała pomóc przy maluchu. Niestety, nie zdążyła.

Mariona postanowiła, że będzie szyć w domu, że założy własną działalność gospodarczą.

Rok później teściowa zadzwoniła do Mariony, poinformować ją, że złamała nogę.

– Potrzebuję, by ktoś się mną zaopiekował.

Synowe nie marzą o tym, by niańczyć schorowane teściowe, karmić je zupką ani przynosić zakupy – miała ochotę jej dopiec, ale nie zrobiła tego. Zamiast tego zrobiła teściowej zakupy, ugotowała rosół, który według szanownej mamusi okazał się za mało tłusty. Posprzątała, ale okazało się, że niedokładnie. Bo teściowa używa innych detergentów, a po tych, co przyniosła Mariona, robią się smugi na podłodze. I dogódź tu babie.

Pewnego dnia w kolejce do kasy Mariona stanęła za dwiema kobietami. Młodsza miała długie blond włosy, starannie zrobiony makijaż, trzymała w ręku nosidełko z niemowlakiem. Starsza kobieta popychała wózek z zakupami.

– Jeśli chcesz, wezmę dzisiaj wieczorem Emilkę do siebie, a wy z Pawłem pójdziecie do kina lub do teatru?

– Oj, mamusiu, kochana jesteś. Na pewno? Dasz radę?

– Na pewno. Wam też się coś od życia należy.

Mariona nie mogła oderwać oczu od tych dwóch kobiet, gdzieś w głębi serca poczuła zazdrość. Chciała, by jej mama żyła, by wróciła do nich na kilka chwil i poznała wnuki. Byłaby wspaniałą babcią, która brałaby do siebie chłopców. Taką babcią, co rozpieszcza wnuki, smaży naleśniki, pozwala wieczorem dłużej poszaleć zamiast iść do łóżka o dwudziestej, czyta bajki i wymyśla różne śmieszne zabawy. Babcia... Taka do rozpieszczania. A teściowa? Teściowa ani razu nie zaproponowała jej, że weźmie do siebie dzieci na weekend, zresztą chłopcy niespecjalnie ją lubili, a Mariona w skrytości ducha czerpała z tego satysfakcję. Jej mama byłaby inna.

Mariona pamięta dokładnie ten dzień, kiedy mama odeszła. Do dzisiaj to wspomnienie było żywe i bardzo bolesne.

Każdy, kto ma w rodzinie nieuleczalnie chorą osobę, wie, że kiedyś odejdzie i to zazwyczaj wcześniej niż później.

Dziewczyna zrozumiała, że to koniec, po tym, jak lekarz bezwiednie opuścił ramiona. To był znak bezsilności. Wyszedł na korytarz, aby uszanować ich intymność. I ona nie wiedziała, co zrobić. Stała na środku sali jak kołek. A potem zadzwoniła do Karoliny, czując potrzebę podzielenia się z kimś swoim bólem.

Była czwarta rano. Przyjaciółka odebrała telefon, miała zaspany głos. A ona nie mogła wydobyć z siebie słowa.

– Halo? – Usłyszała głos Karoliny.

Nie odpowiedziała.

- Halo?
- To... ja.
- Mariona, skarbie. Kochana, co jest?
- Mama... Gaśnie.

Karolina zjawiła się w szpitalu po kilkunastu minutach. Na piżamę miała narzucony płaszcz.

To ona delikatnie pchnęła do przodu Marionę, obawiającą się podejść do łóżka, na którym leżała jej mamusia. Zuza siedziała z drugiej strony, na szpitalnym taborecie, jej oczy były pełne łez.

Na twarzy umierającej zgasły rumieńce. Pojawiła się bladość. Jej serce przestawało bić, za to serce Mariony biło jak szalone.

Karolina uklękła przy łóżku chorej i lekko złapała ją za rękę, a Mariona załkała.

Jej serce zaczęło się buntować, wierzgać, wywijać fikołki i skomleć, prosząc, by to jeszcze nie był koniec. Przygotowywała się na tę śmierć od dłuższego czasu, ale teraz rozumiała, że nie da się tego zrobić, jeżeli kogoś tak bardzo kochasz. Zalała się łzami. Potem przyszło niepokodzenie i zaprzeczenie.

Chciała, by mama została.

Odeszła.

ROZDZIAŁ 9

Kiedy Witek pojawił się w progu mieszkania, Marioną odetchnęła.

– Muszę wyjść.

– Coś się stało? – zapytał zdziwiony mężczyzna.

– Mam dwoje malutkich dzieci... – wkładała buty niczym w transie.

– Mamy, kochanie. Mamy.

– Mamy, ale czasami mi się wydaje, że to ja mam. Marcel płacze cały dzień, bo boli go ucho. Byłam u lekarza. Dostał antybiotyk. Piotruś nie poszedł do przedszkola i ma nad wyraz dużo energii. Przypaliłam ziemniaki.

– No właśnie coś czuję...

– To dobrze, że jeszcze coś czujesz, bo ja jestem dzisiaj bez czucia.

Witek przyglądał się żonie, która zachowywała się jak obłąkana.

– Wychodzisz?

– Tak.

– Ale gdzie?

– Witek, nie wiem. Może sobie coś fajnego kupić. A może tak sobie położyć bez celu. Muszę wyjść, rozumiesz?

– Jesteś zmęczona.

– Tak, jestem – Marioną otworzyła drzwi prowadzące na klatkę. – Ale jak teraz nie wyjdę, to zwariuję.

– Tak. Pewnie, idź.

Kobieta wyszła na dwór i głęboko westchnęła. Pierwszym autobusem, który nadjechał, dotarła do galerii handlowej. Sama nie wiedziała, dlaczego akurat tam. Nie miała najmniejszej ochoty na zakupy. Stwierdziła, że napije się kawy.

Ledwo doszła do kawiarenki, w torebce zawibrowała komórka. Na wyświetlaczu pojawiło się imię męża. Miała ochotę nie odbierać albo wyrzucić gdzieś dzwoniący telefon. Nacisnęła zieloną słuchawkę.

– Halo?

W tle usłyszała płacz i pisk.

– Marioną, kochanie, przepraszam. Musisz wrócić. Marcel płacze wniebogłosy, Piotruś rozwala dom.

– Jesteś ich tata.

– Wiem, kochanie. Ale sądzę, że wszyscy cię potrzebujemy.

Nawet kawy sobie nie zdążyłam zamówić – pomyślała ze skwaszoną miną. Z duszą na ramieniu, z marsową miną wróciła na przystanek. Akurat nadjechał jej

autobus. Wsiadła. Oczywiście na początku zaczęło się samobiczowanie i oskarżenia: „Dlaczego ich zostawiłam? Co ze mnie za matka? Zostawiłam chore dziecko, zdrowe dziecko i męża zmęczonego po pracy”. Wyrzuty sumienia zżerały ją od środka. Oparła głowę o szybę.

– Nie. Nie mogę tam wrócić – powiedziała ni to do siebie, ni to do kobiety siedzącej obok.

– Dokąd nie może pani wrócić? – starsza kobieta popatrzyła na nią z zaciekawieniem.

– Do domu.

– Coś się stało? – rozmówczyni miała około siedemdziesiątki, może trochę mniej. Jej oczy były pełne serdeczności i wyrażały zrozumienie. Mariona rozplakała się. Potem wysmarkała nos w zmiętą chusteczkę, wyciągniętą z kieszeni kurtki, i opowiedziała kobiecie o swoich rozterkach.

– Wsiadamy – zdecydowała tamta.

– Tutaj?

– Na następnym przystanku.

– Tylko że ja muszę do domu, do męża, do dzieci...

– Ty musisz napić się naleweczki i zjeść kawałek sernika.

– Ale...

– Kochana, odchowalam pięcioro dzieci i żałuję, że czasami nie napiłam się z przyjaciółką nalewki, nie poleżałam z nogami w górze, zawsze gotowałam obiady, prałam, prasowałam, dbałam o nich. Nigdy o siebie. Teraz zrobiłabym inaczej.

– Inaczej?

– Wyszłabym czasami z domu. Chodź do mnie...

– Ale ja pani nie znam.

– Czy wyglądam na kogoś, kto mógłby chcieć zrobić ci krzywdę? – kobieta uśmiechnęła się do Mariony. – Chodź. Oni dadzą sobie radę jeszcze przez kilka minut. Nie zostawiłaś dzieci z terrorystą. To ich tato.

– Ich tato... – powtórzyła Mariona jak w transie.

* * *

Mariona składała pranie, a Karolina piła kawę. Witek z chłopcami wyszli na plac zabaw.

– Przeczytałam wczoraj poradnik o tym, jak być szczęśliwą – powiedziała Mariona.

- Ostatnio odbija ci z tymi poradcami. Wszystko to jedna wielka paranoja.
- Myślisz?
- Jezu, ja to wiem. Bądź szczęśliwa, kiedy zaczyna ci się świat walić, ptak na ciebie narobił, mąż znalazł sobie dziesięć lat młodszą lufę, dziecko uważa, że jesteś fiśniętą, nadopiekuńczą mamuszką.
- Ale we wszystkim można doszukać się drugiego dna.
Karolina spojrzała na Marionę jak na wariatkę.
- Taaak – powiedziała przeciągle. – Jestem szczęśliwa, kiedy jestem. Kiedy chcę ryczeć, to ryczę. Życie nie jest cacy. Dookoła nie latają kolorowe ptaszki i różowe baloniki, a ja nie wyglądam jak top modelka wyjęta z żurnala. Kurwa mać, życie potrafi spuścić wpierdol i dobrze o tym wiesz, więc nie zawsze muszę cieszyć japę.
- W sumie masz rację. Nie zawsze trzeba się uśmiechać.
- Powtarzam ci, to jedna wielka ściema. Robią teraz ludziom sieczkę w głowach. Wiesz, coaching i te wszystkie pozytywne myśli wysyłane w kosmos mają nas uzdrowić. Wykłady dla zranionych, poturbowanych, dla tych, co chcą odnieść sukces, są teraz na topie. Byłam kilka lat temu na takim szkoleniu w Manchesterze. Facet wyglądał jak nawiedzony sekciarz, który wykrzykiwał wytarte slogany. Biznes. Jeden wielki biznes. Prowadzący nawołują te biedne duszyczki: „Uda wam się!”. I ludziki z entuzjazmem krzyczą: „Uda nam się!”. „Jeśli czegoś bardzo pragniecie, będzie wam dane”. Oni: „Będzie nam dane!”.
- A ja ci powiem: Nie będzie nam dane. Pragnę być top modelką. Wysyłam tysiące myśli w kosmos i myślisz, że nią zostanę?
- Kto to wie?
- Nie będę. Po pierwsze, nie mam warunków. Mam wielki biust, jestem wprawdzie wysoka, ale lekko przysadzista i – najważniejsze – jak na modelkę za stara. Nie przeobrażę się z dziewczyny z wielkim zadem w wysoką Claudię Schiffer.
- No, może masz i rację, ale takie shity jakoś człowieka motywują. Sprawiają, że otrząsa się z marazmu i działa. Kobiety to lubią.
- I ci, którzy na nich zarabiają, też to bardzo lubią. Trzasną sobie warsztacik za czterysta zeta od osoby. Przyjedzie dwadzieścia zagubionych kobitek i tanci mają zysk.
- No, niby mają. Ale wiesz, fajnie jest posłuchać takiej motywującej przemowy.
- Zaraz ja ci tu zrobię motywację.
- Tam, w tej książce, też jest napisane tak ładnie o związkach...
- A tak, że jeśli będę sobie wizualizować, że będę mieć męża, który wygląda jak Brad Pitt czy Ryan Gosling, to taki właśnie pan pojawi się na mojej drodze. Pewnie. Może się i pojawi pan przystojniacha z buźką aniołka i wielkim bicipsem,

ale będzie mnie traktował jak kumpelę, a nie jak potencjalną kandydatkę na żonę czy miłość swojego życia.

– O, Jezu, a ty od razu mierzysz w Brada czy Ryana.

– No słuchaj, idę za ciosem, tak jak napisali w książce. Sięgaj gwiazd! Jak wizualizować, to wizualizować. Niech manna spada z nieba, a boski Brad wpatruje się w ekran komórki i z utęsknieniem czeka na moją wiadomość. Niech skomli pod moimi drzwiami, niech obsypuje mnie kwiatami.

– Kurde, odjechałaś.

Wybuchnęły śmiechem.

– Jak po wizycie teściowej? – Karolina dopiła kawę.

– Jak zwykle. Nie było przyjemnie.

– Ale żeś się jej czepiła. Twoja teściowa wydaje się być miłą osobą.

– Taaa, bardzo.

– Ale za co jej nie lubisz?

– A za co ona mnie? Słuchaj – Marionna złożyła ostatni ręcznik. – Ona jest słodko pierdząca do bólu. I wyskakuje nieustannie z tą swoją miłością. Jak to nas kocha, mnie kocha. Ale kiedy trzeba, to wbije taką szpilę, że nie wiem, co powiedzieć. Ponoć dzieci źle wychowuję, a jej synusia karmię za tłusto i on kipnie na zawał. A ostatnio, kiedy powiedziałam, że myślę o trzecim dziecku, bez ogródek powiedziała: „Nie jesteś już młoda”.

ROZDZIAŁ 10

Czasami Karolina czuła się bardzo samotna. Przyjaciółka wciąż poświęcała jej mnóstwo czasu, ale miała też swoją rodzinę, więcej obowiązków, a Karolina ciągle nie mogła trafić na tego jednego, jedyne, wymarzonego. Dobrze przynajmniej, że znalazła ostatnio fajną pracę w nowo powstałym biurze rachunkowym. W końcu ktoś docenił jej umiejętności.

Pewnego dnia razem z Marioną siedziały przy komputerze.

– I które zdjęcie ci się podoba? – przyjaciółka przewijała kolejne ujęcia.

– Z każdym jest coś nie tak. A to zmarszczki widać, a to drugi podbródek, a to mam jakiegoś zezę rozbieżnego. Mogłabyś mnie trochę wyszczuplić? – Karolina patrzyła na pucułową twarz na monitorze i nie mogła uwierzyć, że to ona.

– Chciałaś, by zdjęcie oddawało prawdę – Mariona otworzyła Photoshopa.

– Ale nie oddaje. Wyglądam jak hipopotam. Chyba fotek nie potrafisz robić.

Roześmiały się.

– Zaraz cię upiększę.

– Ty, ale jaki to ma sens, skoro jakiś potencjalny lowelas pomyśli, że ja tak cudnie wyglądam jak na zdjęciu, a w rzeczywistości ukaże mu się moja pucułowa facjata?

– Możesz zawsze powiedzieć, że pszczoły cię pokąsały.

– Śmieszna jesteś, wiesz?

– Po cholerę zapisujesz się na jakiś portal randkowy. Tam są sami popaprańcy.

– Może będzie tam jakaś zagubiona duszyczka, podobna do mnie?

– Już sama nie wiem, co o tym myśleć.

Tydzień temu Karolina stwierdziła, że zapisze się na portal randkowy, skoro w realu nie może znaleźć żadnego odpowiedniego mężczyzny.

– Czasem czuję się okropnie samotna. Ty masz Witka, dzieci, a ja?

– Przestań panikować, masz dopiero dwadzieścia osiem lat.

– Już dwadzieścia osiem.

– Tylko pamiętaj, jak będziesz się umawiała z takim delikwentem, to tylko w miejscu publicznym.

– No przecież nie pójdę do niego na chatę. Jeszcze jakieś resztki rozsądku mam.

Po kilku tygodniach członkostwa na portalu randkowym Karolina skasowała

swój profil. Co tam byli za dziwacy! Albo notoryczni rypacze, którzy zaczynali korespondencję od pytania, jaką Karolina ma miseczkę biustonosza, albo w jakiej pozycji lubi najbardziej i czy ma już mokro, albo tacy, którzy chcieli „niezobowiązującego związku” czytają: „Mam żonę, ale pyknąłbym sobie na boku”, albo maminsynki: „Mieszkam jeszcze z mamą, bo tak mi wygodnie. No wiesz, mam uprane, wyprasowane, obiad zaserwowany pod nos”. Albo połamani przez życie. Jeden chlipał jej w rękaw przez pół wieczoru, opowiadając o swoich byłych, które go ponoć wykorzystywały. Karolina wołała już zdać się na los.

* * *

Teściowa Mariony weszła do domu czerwona jak burak. Na jej czole ukazały się kropelki potu. Sapała, ziajała i była wyraźnie zdenerwowana. Marionie zachciało się śmiać, bo ta jej święta teściowa była tak nabuzowana, że synowa dałaby sobie uciąć wszystko, wraz z głową, że klnie w duchu, na czym świat stoi.

– Marcel jest bardzo niegrzeczny – skwitowała, kiedy trochę ochłonęła.

– A, co się stało?

– Ucieka mi.

– On ma tylko trzy i pół roku, odkrywa świat! To chyba dobrze, prawda?

– Aż trzy i pół roku. W tym wieku dzieci powinny chodzić z rodzicami albo babcią za rękę.

– Czytałam, że...

– Przestań czytać te kretyńskie poradniki – przerwała jej teściowa. – Ja wychowałam dwoje dzieci i wiem, jak jest.

– Dawniej...

– Co tam dawniej... – teściowa machała rękami, jakby chciała odgonić natarczywą muchę, po czym opadła na fotel. – Podałabyś mi coś do picia? Proszę.

– Tak, tak.

Po chwili Marion wróciła z dzbankiem mrożonej herbaty.

Teściowa wypła duszkiem dwie szklanki.

– Za dużo herbaty pijecie.

– Moja świętej pamięci babcia wypijała dziennie pięć do sześciu filiżanek mocnej herbaty. Dożyła osiemdziesięciu dziewięciu lat.

– Odosobnione przypadki.

Mariona przygryzła dolną wargę. No tak, jej ukochana teściowa miała zawsze rację.

– Dałam klapsa Marcelkowi.

- Słucham?
- Dostał ode mnie klapsa za to, że nie słuchał.
- Uderzyła mama moje dziecko?
- Bo uciekał. Mówiłam ci.
- To wcale nie znaczy, że od razu trzeba go bić.

Teściowa zmrużyła oczy.

- Nie biję go. To był tylko klaps.
- Jestem przeciwna takiej metodzie wychowawczej. Mama jest od niego kilka razy większa. To mama takim zachowaniem pokazuje swoją słabość.
- Słabość? Co ty opowiadasz? Poprzewracało wam się w głowach od tego bezstresowego wychowania.
- Ja wcale nie wychowuję dzieci bezstresowo. Moje dziecko zna reguły, ale nie pozwolę, by ktoś je bił.

Mariona spojrzała na synka, który usiadł na środku pokoju i układał klocki. Zadrzała. Jej synek dostał klapsa za zachowanie odpowiednie dla jego wieku.

- Naprawdę uważa mama, że ten malec wie, za co został ukarany?
- Tak. Tak uważam, bo później już nie uciekał.
- Nie uciekał, bo się mamy przestraszył. Został zastraszone, to dlatego!
- Na Boga, robisz aferę z klapsa?
- Bo to jest temat do przegadania.
- A co na to twój mąż?
- On też nie bije naszego syna.
- Ale nie wiesz, jakie ma na ten temat zdanie. Pytałaś go?

– Nie – odburknęła Mariona. – Dla niej to było oczywiste, że dzieci się nie bije. Nie widziała nigdy, by Witek dał klapsa któremuś synowi. Ale co się działo, gdy jej nie było w pobliżu? Właściwie nigdy o tym nie rozmawiali. A powinni. – Mamo, bardzo cię proszę, abyś nigdy nie dawała klapsów mojemu dziecku.

Teściowa poczerwieniała jeszcze bardziej i nabrała powietrza. Wyglądała jak czerwony balon, który zaraz pęknie. Bez słowa ruszyła do przedpokoju, włożyła buty i wyszła, trzaskając za sobą drzwiami. I dobrze – pomyślała Mariona. Niech idzie w diabły, ona na pewno nie będzie jej zatrzymywać.

Jak ta baba ją denerwowała! Na początku tym, że ciągle się wtrącała w wychowanie dzieci. A to za dużo zjadły, a to za mało. A to za lekko ubrane, a to Mariona je przegrzewała. A to, że Mariona za słono im gotuje, a to, że za mało przypraw daje do zupy. Ciągle źle. Ale teraz już przegięła. A najśmieszniejsze było to, że sama jej opowiadała, jak to jej teściowa ją wkurzała, a teraz jest taka sama.

Mariona chwyciła za telefon i wykręciła numer do Karoliny. Opowiedziała jej o całym zajściu.

– To twój syn i to ty stawiasz warunki. Nikt nie ma prawa przylać twojemu dziecku. Wiesz, mnie się wydaje, że ta twoja teściowa jest słabym, sfrustrowanym

babszylem. To, że masz takie, a nie inne podejście do życia, nie oznacza, że jesteś złą matką czy żoną. Jesteś szczęśliwa, chłopcy i Witek też są z tobą szczęśliwi.

ROZDZIAŁ 11

Nastał grudzień. Dość pogodny. Słupek rtęci pokazywał kilka stopni powyżej zera. Marioną z Witkiem wybrali się na zakupy do centrum handlowego.

– Mogłoby sypnąć śniegiem przed świętami, dzieci by się ucieszyły – odezwała się Marioną.

– Niech już lepiej nie sypie.

Nie podjęła tematu. Widziała, że Witek jest nie w humorze. Ona też nie lubiła świątecznych zakupów.

– Wiem, co kupić dzieciakom i tobie.

– Mnie nie musisz niczego kupować.

– Oj tam. Chcę sprawić ci przyjemność.

– Ty pomyśl, co moglibyśmy sprezentować rodzicom.

– Dla twojego taty wypatrzyłam fajną książkę o wędkarstwie i ciepłe skarpety albo koszulę.

– Ojciec w koszuli?

– To co? Skarpety?

– Skarpety. A dla mamy... Nie mam pojęcia.

– Może biżuterię?

– Ostatnio kupiliśmy jej kolczyki z bursztynem i jakoś specjalnie nie była zachwycona. Mamę ciężko zadowolić.

No, ba – pomyślała Marioną.

– Wymyśl coś.

– Łatwo ci mówić.

Wjechali na parking i zaczęli szukać miejsca. Zrobili trzy kółeczka, ale miejsca wciąż nie było.

– Wyobrażasz sobie, co się dzieje w środku?

– Nawet nie chcę o tym myśleć.

– Tam! – krzyknęła Marioną. Z daleka zobaczyła rodzinę, która kierowała się w stronę forda. Witek podjechał bliżej, włączył migacz. Z cierpliwością czekali, aż tamci zapakują torby do bagażnika i odjadą. Szybko zajęli ich miejsce. Wysiedli, ale już im się wszystkiego odechciało.

W centrum handlowym było jeszcze gorzej. Z głośników leciały, a raczej dudniły kolędy, a po alejkach spacerowali spoceni Mikołaje. Do jednego z nich, siedzącego w fotelu, w towarzystwie elfów w kusych sukieneczkach, wiła się gigantyczna kolejka dzieci. Jak to dobrze, że nasze zostały z Karoliną – pomyślała

z radością Mariona. Pewnie i ona stałaby tu z nimi i marzyła o tym, by ten koszmar czym prędzej się skończył.

Mijali kolejne witryny upstrzone światełkami, bombkami. Marionę rozboleła głowa.

– A może mamie kupimy zestaw garnków?

Witek przystanął i się roześmiał.

– Wyobrażasz sobie mamę otwierającą paczkę, w której byłyby garnki?

Teściowa uważała, że kobieta nie powinna dostawać w formie prezentów: garnków, talerzy, rajstop.

– Wiesz, co? – Witek stanął przed nią z opuszczonymi ramionami. Zamówmy wszystko przez Internet. Chrzanić zakupy. Zróbmy coś przyjemnego.

Mariona uśmiechnęła się do męża.

– Idź do kawiarni, zamów coś, a ja zaraz przyjdę – powiedział tajemniczym tonem.

– Ale...

– Proszę.

Mariona usiadła przy stoliku po prawej stronie od wejścia. W kawiarni znajdowało się niewielu gości. Światło było przyćmione, a dookoła unosił się zapach świeżo parzonej kawy i czekolady.

Kobieta uśmiechnęła się do siebie. Zamówiła gorącą czekoladę, w której pływały waniliowe pianki. Na sam widok tych pyszności ciekła jej ślinka. Po chwili usłyszała za plecami męski głos.

– Przepraszam panią, czy mogę się dosiąść?

Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do mężczyzny.

– Hmm... A dlaczego chce się pan dosiąść?

– Chętnie bym z panią porozmawiał.

Mariona nawinęła kosmyk włosów na palec.

– Tylko porozmawiał?

– Widzę, że nie lubi pani marnować czasu.

– Pan chyba też nie. Widzę, że ma pan na palcu obrączkę, więc długie rozmowy nie wchodzi w grę.

Uśmiechnął się do niej.

– A pani? Jest pani mężatką?

– Jakie to ma znaczenie?

Witek parsknął śmiechem.

– No, no, kochanie, nie wyszłaś jeszcze z wprawy – usiadł naprzeciw niej. – Co pijesz?

– Czekoladę.

– Dasz łyka?

– Zamów sobie.
– Nie stać mnie, jestem splukany.
– Podryw na pusty portfel? Kotku, w dzisiejszych czasach tylko wypchany portfel działa na kobiety – Marionna uśmiechnęła się szeroko i rozparła wygodniej w miękkim fotelu.

– A co z moim urokiem osobistym?

– No, wiesz... Już trochę włosów siwych masz i oponka ci urosła.

– A mówiłem, że niepotrzebnie co niedzielę pieczesz ciasta.

Roześmiali się.

– Kupiłem ci coś.

Mężczyzna z kieszeni kurtki wyciągnął pudełeczko i podał żonie. Marionna otworzyła je z zaciekawieniem. W środku znajdował się łańcuszek, a na nim złote serduszeko z czerwonym kamieniem.

– Jest piękne, dziękuję – wstała i pocałowała męża. – Chciał nie chciał, muszę postawić ci tę czekoladę.

* * *

Karolina już od początku grudnia czuła świąteczne podekscytowanie. I kiedy Marionna zostawiła u niej chłopców, zarządziła:

– Dekorujemy mieszkanie.

Chłopcy zaczęli radośnie piszczeć.

Kobieta uwielbiała kiczowate ozdoby świąteczne porozwieszane w mieszkaniu. Drzewko upstrzone światełkami i figurki Mikołajów, aniołów oraz reniferów. Zdjęła z pawlacza dekoracje, po czym poszła do kuchni i wysypała na talerze czekoladki, pralinki i ciasteczka, które kupiła specjalnie dla chłopców.

Kiedy ona ustawiała na półkach anioły, chłopcy wycinali paski z kolorowego papieru, żeby zrobić łańcuch. W tym samym czasie podjadali słodkości.

– Ciociu, jesteś najukochańszą ciocią na świecie – powiedział Piotruś.

– Właśnie... – Marcel z wystawionym z buzi językiem sklejał kółko na łańcuch.

– Mama dekoruje dom później.

– Wasza mama to wasza mama, a ja jestem cioteczka, która lubi mieć w domu świąteczny wystrój.

– To może zamieszkamy u ciebie? – zapytał Marcelek.

– O, co to, to nie.

– A czemu?

Karolina się zaśmiała.

– Temu, że ciocia lubi błogą ciszę.

– A będziesz miała kiedyś dzidziusia?

– Mam nadzieję. Ale najpierw muszę sobie męża znaleźć.

– Możesz mieć za męża naszego tatę.

No, marzę o tym – zaśmiała się w duchu. – Wasz tato ma już żonę, waszą mamę – powiedziała na głos.

– No niby tak. Ale, ciociu, nic się nie martw i dla ciebie się coś znajdzie.

– Ja myślę.

– Może Mikołaj przyniesie ci męża w prezencie?

– Może. Któż to wie?

– Ciociu? – Marcel wpychał sobie do buzi kolejną czekoladową pralinę.

Karolina wiedziała, że nie powinna wystawiać aż czterech talerzyków z czekoladkami, ale przecież nie będzie zabraniać dzieciom słodkości. Ciocie są od rozpieszczania.

– Co tam, Marcelku?

– Ja to w sumie się nie mogę doczekać, kiedy będę miał żonę.

– Tak? A dlaczego?

– Kupię jej taki piękny nacycnik. Różowy.

– Nacycnik! – Karolina ryknęła śmiechem.

Karolina z całych świąt najmniej lubiła rodzinne spędy z ciotkami, wujkami i wszelkiej maści pociotkami. Nie mogła się jednak przecież wymiksować z wieczerzy wigilijnej. Tym bardziej że w pierwszy dzień świąt rodzice obchodzili trzydziestą rocznicę ślubu. Kupiła im obraz, o jakim zawsze marzyła mama. Nie stresowała się tym, czy prezent się spodoba, ale tym, że wujek z ciotką zaczęły zasypywać ją głupimi pytaniami o chłopaka. Wiedziała doskonale, że to właśnie ona będzie tematem do rozmów. Bo już trzydziestka na karku, a faceta brak. Miała rację. Zaczęło się, zanim zdążyła powiesić kurtkę i zdjąć buty.

– Karolinko, a ty znowu sama? – ciocia Adela pocałowała powietrze koło jej ucha.

– Daj jej spokój – w przedpokoju pojawił się wujek Leszek. – Tereska powiedziała, że Michał dzisiaj pracuje.

– Michał? – Karolina myślała, że jej szczeka opadnie na podłogę i zacznie zaraz ją zbierać. Kim, do cholery, był Michał?

– Twój chłopak – wujek spojrzał na nią badawczo.

– A, tak, mój chłopak – Karolina powtórzyła jak zaczarowana.

– No nareszcie – ciotka przytuliła ją do siebie. – Już się bałam, że może wolisz kobiety. Wiesz, te marsze równości, tęcze, gendery i wiadomo, co jeszcze.

Karolina spojrzała na mamę, która wystawiła głowę z kuchni i zaczęła

rękoma dawać jej tajemne znaki, a jej usta bezdźwięcznie wypowiadały imię: „Michał”.

Po przywitaniu się z gośćmi Karolina weszła do kuchni.

– Mamo, wytłumacz mi proszę, kim jest Michał.

– Chciałam ci pomóc...

– I wymyśliłaś mi chłopaka?

– Wiem, jak wkurzają cię te wszystkie głupie pytania.

– Mamooo... – Karolina jęknęła.

Teresa podeszła do córki i mocno ją przytuliła.

– Oj tam, oj tam. Takie niewinne kłamstewko.

– W Wigilię?

– W Wigilię zdarzają się cuda.

– Sądzisz, że jakiś Michał pojawi się pod choinką?

– Wcześniej czy później tak.

– Wolałabym wcześniej.

Zasiedli do wieczerzy po dziewiętnastej. Stół ugiął się od postnych potraw. Karolina nie wyobrażała sobie na stole sushi czy mintaja. Na swój sposób była tradycjonalistką. Na środku stołu stał półmisek z karpem po żydowsku, drugi z karpem smażonym, obok dwie sałatki jarzynowe, śledzik w śmietanie i po giżycku, makówki i pierogi – jej ulubione z kapustą i grzybami. Cały dom wypełnił się zapachem świąt. Tato odczytał fragment Pisma Świętego, potem wszyscy biesiadnicy podzielili się opłatkiem i złożyli sobie życzenia. Najedzeni ruszyli na pasterkę. A kiedy wyszli z kościoła, z nieba sywał śnieg.

Gdy wrócili do mieszkania, Karolina poczuła wzruszenie. Goście na szczęście rozeszli się już do domów, a ona z mamą usiadły na kanapie i rozmawiały. O jej dzieciństwie, o cioci Jadzi, mamie Mariony, o tym, jak było kiedyś, a jak jest teraz. Popijały grzane wino. Tato pochrapywał na fotelu, a one śmiały się do rozpuku

* * *

Mariona z rodziną spędzała święta u teściowej.

– Podejdz tutaj, Mariona – kobieta zachwalała swoją choinkę. – Te bombki w tym roku kupiłam, zobacz, jakie delikatne. Ręcznie robione. Ubieraliśmy z ojcem drzewko przez pół dnia, żeby wszystko do siebie pasowało.

– U nas jest nasrane na choince – odezwał się Piotruś.

Wszystkie oczy skierowały się w stronę malca.

– No, co? Tatuś tak mówi, że jeszcze kupy tam brakuje.

Teściowa znacząco chrząknęła, a Mariona z całych sił powstrzymywała się, by nie wybuchnąć niekontrolowanym śmiechem.

– Za pięć minut zasiadamy do wieczerzy – zarządziła matka Witka.

– To ja jeszcze skoczę na papieroska – teść przestępował z nogi na nogę.

– Wiesz, co... – teściowa obrzuciła męża karcącym wzrokiem.

Teść wyszedł na balkon, a Mariona z dziećmi usiadła przy stole.

– Głodny jestem – zaczął marudzić Marcel.

– Ja też – mruknął Piotruś.

– Zaraz będziemy jeść.

– Ale ja chcę teraz.

– Pięć minut wytrzymasz.

– Najpierw się pomodlimy – powiedziała teściowa.

W tej samej chwili drzwi balkonowe otworzyły się na oścież. Teść musiał zapomnieć, że tuż koło nich stała choinka, bo z rozmachem trącił drzewko, które zachwiało się i z wielkim hukiem runęło na podłogę. Słychać było tylko trzask tłuczonych bombek, a potem rozległ się głos teściowej, która ponoć nigdy nie przeklinała:

– O, ja pierdołę!

Niemal wszystkie bombki się potłukły. Mężczyźni postawili drzewko z dyndającymi skorupami. Mariona zaśmiała się nerwowo, ale teściowa spiorunowała ją wzrokiem. Dzieci wciąż jęczały, że są głodne.

Zasiedli do wieczerzy grubo po dwudziestej. Marionie tak bardzo chciało się śmiać, że nie mogła patrzeć ani w stronę teścia, ani w stronę nieszczęsnego drzewka, bo zapewne roześmiałyby się w głos.

Po wieczerzy nastrój trochę się poprawił, rozpakowali prezenty, zaśpiewali kolędy. Teść opowiedział kilka historii z czasów dzieciństwa Witka i jego brata. Śmiali się. I nawet teściowej złość gdzieś wyparowała. Bo święta Bożego Narodzenia to coś więcej niż pięknie ustrojona choinka, może być też taka, na której wiszą porozbijane bombki. Mają przecież wymiar duchowy, podniosłą atmosferę. Wigilia to oczekiwanie na cud, na nowe życie. W tym dniu dostajemy nową, niezapisaną jeszcze kartę.

Mariona najchętniej wróciłaby po Wigilii do domu, ale Witek namówił ją, by zostali. Teściowie mieszkali teraz w dwupokojowym mieszkaniu, uznali bowiem, że w sytuacji gdy ich dzieci są już na swoim, większe lokum im niepotrzebne. Mariona zgodziła się, chociaż wiedziała, że to nie najlepszy pomysł.

Kobieta nie mogła zmrużyć oka, gdyż zawsze w nowym miejscu było trudno jej zasnąć. Poza tym wypłała zbyt dużo kompotu z suszonych śliwek, więc chciało jej się siku. W obecnym mieszkaniu teściów jeden z pokoi był przechodni. W tym właśnie pokoju spał teść z teściową, a Witek, ona i dzieci w mniejszym. Witek

chrapał, dzieciaki się wierciły, a jej wciąż chciało się sikać. Odsunęła kołdrę i po cichu wstała. Na paluszkach podeszła do drzwi i przyłożyła do nich ucho. Wydawało jej się, że teściowie smacznie śpią. Nacisnęła klamkę. Drzwi zaskrzypiały. Mariona syknęła, a potem bezszelestnie skierowała się w stronę toalety.

– Spać nie możesz? – odezwała się zniecka teściowa.

Kurde, a ona to co? Też nie śpi?

– Idę do toalety... – Że też musiała się tłumaczyć z wizyty w kibelku.

Wieczorem następnego dnia, po suto zakrapianej kolacji, zaczęli szykować się do drogi. Witek wypił kilka kieliszków wódki i kiwał się z boku na bok, więc to ona zajmowała się pakowaniem wałówki i ubieraniem dzieci. Pot ciurkiem spływał jej po plecach. Czerwona jak indor klęła w duchu i siłowała się z zamkiem od Piotrusiowego kombinezonu.

– Mamo? – odezwał się Piotruś.

Czego? – warknęła w myślach. – Tak? – powiedziała na głos.

– Kupkę mi się chce.

Nie! Nie! – nie mogła w to uwierzyć. Chłopiec był już kompletnie ubrany! Że też właśnie w tej chwili przypomniał sobie o kupce...

– No dobrze – odpowiedziała z marsową miną. I na nowo, tym razem rozbierała synka: czapka, szalik, kozaczki, kombinezon i ten cholerny zamek. Ludzie!

– Mamusiu, szybciej.

– Staram się. – Zamek pierdyknął. – Kurwa! Kurwa mać! – klęła cicho, na czym świat stoi.

Witek się zaśmiał. Marcel zaczął marudzić, że mu gorąco.

Po kilku chwilach uwolniony z ubrań malec zasiadł na kibelku.

– Mamo, tylko nie zamykaj drzwi.

– Kochanie, swoje potrzeby załatwia się przy zamkniętych drzwiach – teściowa jak zwykle wtrąciła swoje trzy grosze.

Zatrzasnęła drzwi. Piotruś się rozplakał. Za chwilę do brata dołączył Marcel. A Mariona najchętniej waliłaby głową w ścianę.

Rano Mariona otrzymała esemes od Karoliny:

Piszę z dwóch powodów. Jeden jest taki, że całowałam się z Twoim mężem. Ale musisz mi wybaczyć, nie chciałam tego i byłam pod wpływem alkoholu.

Mariona nic z tego nie rozumiała... Jej małżonek chrapał smacznie w łóżku.

Odpisała przyjaciółce: ?

Po chwili dodała: *Dobry był przynajmniej? Czy miał językiem w Twoich ustach jak sprawny wioślarz?*

Karolina: *Myślałam, że się wkurzysz.*

Mariona: *Witek jak i mój, tak i Twój :-)*

Karolina: *We śnie z nim się całowałam. Kiedy wstałam, miałam kaca moralnego. Od razu zęby umyłam. Nie to, żeby z buzi mu śmierdziało, ale ten pocałunek był taki rzeczywisty... W dodatku Witek jest jak brat, więc to niemal kazirodztwo.*

Mariona: *Nieżli jesteście.*

Karolina: *Jak po świętach?*

Mariona: *Przeżyłam.*

Karolina: *O nic więcej nie pytam.*

ROZDZIAŁ 12

Czas mijał szybko. Chłopcy Mariony i Witka rośli jak na drożdżach. Piotruś zaczął chodzić do szkoły, a Marcel był dumnym przedszkolakiem.

Od poniedziałku dieta – postanowiła pewnego dnia Marioną.

Tęsknym wzrokiem spoglądała na spodnie numer trzydzieści sześć. No dobra, na to nie ma szans, ale rozmiar czterdzieści ją zadowoli. Czterdzieści dwa to już przesada. Rozebrała się do naga i stanęła przed lustrem. Uda. No, miała te udka, żeby nie rzec udziska. I dupsko też konkret. Usiąść było na czym. Wałeczki na brzuchu sztuk dwie, kiedy stała, kiedy usiadła, ilość wałeczków wzrosła do sześciu.

– Cholera! – zaklęła. Nie ma co lamentować, musi się wziąć w garść. Ścisła dieta i treningi przyniosą zapewne efekty. Nie ma nic lepszego od ruchu.

Ubrała się i wyszła z łazienki. Włączyła komputer i obejrzała strony sławnych trenerek. Zdjęcia dziewczyn przed serią treningów i po niej – jak już widać było pierwsze efekty.

– One mogą, to ja też – powiedziała. – Do lata schudnę. Latem trzeba włożyć kieckę albo spodenki, a co najgorsze, jeśli Witkowi wpadnie do głowy wyjazd nad morze, to i strój kąpielowy.

Postanowiła zacząć dietę i ćwiczenia od poniedziałku. Przed nią weekend, a więc może sobie pofolgować. Najadła się na zapas. Wypiła pół butelki wina.

W poniedziałek zaprowadziła chłopców do szkoły i przedszkola, wciągnęła na dupsko dres, odpaliła YouTube'a i wpisała: „Ćwiczenia na spalanie tłuszczu”. W okienku pojawiła się długa lista. Kliknęła na pierwszy film z Mel B. Od razu przypomniały jej się „Spicetki”. Zaczęła podskakiwać razem z Mel i pięknymi dziewczynami, które z nią ćwiczyły. Wymach jedną nogą, potem drugą. Kopnęła suszarkę z praniem, która wywróciła się na podłogę.

– Wszystko sprzysięga się przeciwko mnie – burknęła.

Zatrzymała filmik. Podniosła suszarkę, po czym przesunęła ją na prawo, aby mieć więcej miejsca i ponownie w nią nie kopnąć. Włączyła filmik. Pajacyki. Sekundy mijały, a ona czuła się, jakby zaraz miała wypluć płuca. Dzwonek do drzwi.

– O, dzięki ci, Boże!

Na chwilę mogła przestać ćwiczyć. Odebrała paczkę od listonosza i przystąpiła do kolejnych ćwiczeń. Pot spływał jej po plecach, a ona miała ochotę jęczeć. Potem było jeszcze gorzej. Mel B się położyła, ona wraz z nią. Brzuszki. O, rany, ledwo mogła się podnieść z podłogi i wykonać skłon. Po chwili było ciut

lepiej, ale nie wykonywała tych ćwiczeń z uśmiechem na twarzy i w takim tempie, jak trenerka i inne dziewczyny z filmu.

– Ile jeszcze, ile jeszcze? – jęczała pod nosem.

Spojrzała na monitor. Do końca treningu pozostało dwadzieścia minut.

– O, ja pierdolę! – zaklęła. – Nie dam rady.

Dasz, dasz – jakiś cichutki głosik szeptał jej do ucha.

I skakała, wymachiwała nogami, rękami, skłaniała się do przodu, biegła w miejscu, dyszała, pot już pojawił się na czole i nosie, a włosy miała mokre. Oponka podczas podskoku falowała.

– Zniszczę cię! – powiedziała, oczywiście do wałeczków na brzuchu, nie do Mel B.

Padła pięć minut przed końcem treningu. Leżała na zimnej podłodze jak rozpląszczona żaba. Dała radę, no, prawie...

Kiedy ochłonęła, weszła do kuchni i zrobiła sobie lekką sałatkę. Zjadła z apetytem.

– Nowa ja – powiedziała z zadowoleniem do siebie. I jakby lepiej się poczuła, od razu lżej i smuklej.

Wieczorem jednak zapomniała się i zjadła kilka kawałków pizzy, którą zamówił Witek.

– Cholera i po co te podskoki?

Ale skoro już była pizza, to może jeden wafelek na deser nie zaszkodzi... i lampka wina. A jutro, jutro zacznę wszystko od nowa...

* * *

Karolina nieraz wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby przypadkiem na siebie wpadli z Wojtkiem albo gdyby do niej zadzwonił, zaesemesował... Oczywiście scenariusz (pisany w jej głowie) tego przypadkowego spotkania czy rozmowy telefonicznej był lepszy niż w niejednej hollywoodzkiej produkcji. Mijały lata, wspomnienia pokrył kurz, a dawny chłopak ani do niej nie napisał, ani nie zadzwonił, nie spotkali się też przypadkiem. Zresztą po tym wszystkim, co jej zrobił, nie powinna się niczego z jego strony spodziewać. Miała jednak nadzieję, że może ją przeprosi. Chyba zdawał sobie sprawę, że był jej pierwszą miłością. Znajomi mówili, że po zerwaniu z nią spotykał się przez chwilę z blondyną, ale wciąż wspominał Karolinę.

I kiedy już niemal zapomniała o Wojtku, pewnego dnia wpadła na niego na ulicy. Wyglądał jak młody bóg. No, dobrze, może nie już taki młody, ale wciąż

bóg. A ona jak sto tysięcy nieszczęść. Pędziła do domu, obładowana siatkami. W wyciągniętym dresie, z potarganymi włosami, nieumalowana. Początkowo miała zamiar udawać, że ona to nie ona, ale poznał ją od razu.

– To ty – raczej stwierdził niż zapytał.

– To ja.

Spojrzała mu w oczy. I... wszystko wróciło. Cholera jasna, czemu musiał na niej zrobić takie wrażenie?!

Chwilę pogadali. Karolina stwierdziła, że facet chyba dojrzał. Na pewno się zmienił, już nie był tym szczeniakiem, który tak bardzo ją zranił. Wymienili się numerami komórek. Wojtek zapewnił ją, że zadzwoni, a ona się ucieszyła...

– Posrało cię? – Marionna nie przebierała w słowach. – Co zrobiłaś?

– Umówiłam się z nim na kawę.

– Po tym, co ci zrobił?

– Byliśmy dzieciakami.

– Co nie zmienia faktu, że ten facet rzucił cię dla jakiejś pindy! W dodatku zerwał z tobą przez telefon.

– O, Jezuuu! Czy ja zamierzam się z nim wiązać?

– Wiesz co? Sama nie wiem, ale po twojej głupkowatej minie sędzę, że wszystko jest możliwe.

– To co radzisz?

– Olej go.

Nie! Nie! I jeszcze raz nie! – chciała krzyknąć.

Co on sobie w ogóle wyobraża? Pojawił się w jej życiu po latach, zapewnił ją, jak to bardzo się zmienił, i przeprosił. Wspomnił też, że może zaczęliby wszystko od nowa. Oczywiście, że nie złączą. Marionna miała rację, kiedy pukała się w głowę. I Karolina też tak myślała, ba, ona chciała tak myśleć. A jednak on... Zasypywał ją esemesami i telefonami. Roztaczał przed nią wspaniałą wizję cudownych chwil i w końcu uległa.

Jedno spotkanie – obiecała sobie. Z tego tytułu poszła do fryzjera: cięcie, odświeżenie koloru. Kupiła sobie kieckę w kolorze indygo, wysokie szpilki i torebkę. Chciała wyglądać jak milion dolców, jak dwa miliony. Tak, żeby mu dech w piersiach zapało, żeby zobaczył, co stracił. Zachowywała się irracjonalnie.

Przed spotkaniem z Wojtkiem wpadła na chwilę do Marionny. Okręciła się wokół własnej osi.

– I jak wyglądam?

– Cudnie. To dla niego?

– Dla siebie.

– Akurat. Wystroiłaś się tak dla faceta, który złamał ci serce. Puknij się

w czoło.

– Nigdy nie zrobiłaś niczego głupiego?

– Każdemu czasami odwala. Ja cię tylko ostrzegam. Wiesz, kochana, ty lubisz facetów, którzy dobrze kłamią. Mamia cię słodkimi słówkami, a ukradkiem wgapiają się w biust seksownej dziuni, która właśnie was minęła, stukając dziesięciocentymetrowymi szpilkami.

– A który facet nie wgapia się w duże balony?

– Prawie każdy, tylko nie każdy po zakończeniu randki ze swoją ukochaną biegnie co tchu, by dopaść cycatą i wziąć od niej numer telefonu.

– Co ja zrobię, że kręcą mnie samce alfa?

– Nie, kochana. Ciebie kręcą podli dranie, zwichrowane freaki, chcący otaczać się wianuszkami kobiet, by się dowartościować. Nieobliczalni.

– Dzicy.

– I co masz z tej dzikości?

– Odlotowy seks.

– I moralniaka na resztę dni.

– A ty byś nie chciała, by jakiś facet stanął przed tobą i powiedział: „Pragnę cię. Tak szalenie, że muszę z tobą zrobić to... i jeszcze tamto”?

Mariona uśmiechnęła się tajemniczo.

– Przyznaj to sama przed sobą – Karolina naciskała na przyjaciółkę.

Zapadła chwila milczenia.

– Może i bym chciała. Na pewno ugięłyby się pode mną kolana, gdyby jakiś facet tak do mnie powiedział. Tylko to, co bym z nim przeżyła, to byłaby chwila, a ja potrzebuję wieczności.

– Nic nie jest nam dane na wieczność.

– Ładnie wyglądasz – powiedział Wojtek, kiedy Karolina usiadła naprzeciwko niego przy restauracyjnym stoliku. – To dla mnie tak się wystroiłaś?

Jezu, zauważył jej starania.

– Na co dzień tak wyglądam... Zazwyczaj. No, może z wyjątkiem wypadów po zakupy – odpowiedziała, a on się uśmiechnął wyrozumiale. Może widział ją u fryzjera albo jak przemierza sklepy w poszukiwaniu odlotowej kiecki?

Kolacja okazała się klapą. Wojtek nic się nie zmienił. Mówił wyłącznie o sobie, nie zapytał nawet, co u niej słyhać. I gapił się w dekolt kelnerki, kiedy ta przyniosła talerze z posiłkiem.

– No i miałem kilka kobiet po tobie.

– O, to zrozumiałe. Taki przystojniak, jak ty, nie mógłby być sam... – zadrwiła.

– Właśnie – wypiął dumnie pierś.

Palant!

- Co ja tu właściwie robię? – rzuciła ni to do siebie, ni to do niego.
- Wojtek nachylił się w jej stronę.
- Szukasz szczęścia. Zabawy... Nieskromnie powiem, że jestem w tym dobry.
- Wiesz... – Karolina nachyliła się w jego stronę jeszcze bliżej. – A ja wolę skromnych facetów. Odczytanych, bystrych. Nie kręć mnie puste słowa...
- Mogę zaoferować ci więcej. Adrenalinę!
- Wow! Nie wiem, co powiedzieć.
- Raz się żyje. Zaszalej ze mną tej nocy.
- Jedna noc naprzeciw wieczności. Co to jest?
- Lepsza jedna niż żadna.
- Nie kręć mnie to – Karolina wstała od stolika.
- Kiedyś kręciło.
- Nie. Nigdy. Pomyliłeś mnie pewnie z blondyną. Powodzenia – ruszyła w kierunku drzwi.

ROZDZIAŁ 13

Mariona odebrała dzieci z przedszkola i szkoły, po czym ruszyła na plac zabaw, który mieścił się w dużym parku. W nocy spadł śnieg i ktoś obok drewnianego zamku usypał sporą górkę. Marcel wspiał się po drabince na fortecę i, wraz z innymi dzieciakami, zaczął zjeżdżać na pupie. Ledwo Mariona usiadła na ławce, a przybiegł do niej jej starszy syn.

– Mamo, jestem głodny – jęknął.

Mariona włożyła głowę do przepastnej torby w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

– Mam tylko chipsy.

– Marcel, mama ma chipsy! – zawołał Piotrek w stronę brata.

Marcel przybiegł od razu.

– Chipsy! – obaj chłopcy rozdziawili buźki w radosnym uniesieniu.

No, tak – pomyślała – Nie jestem wzorową matką, która nakarmiłaby dzieci naturalnym jogurcikiem lub marchewką czy choćby jabłuszkiem.

– O, Boże! – Usłyszała za sobą spanikowany głos. Niemal podskoczyła z przestachu. Odwróciła głowę i zanim zdołała się odezwać, ponownie dobiegł ją głos Cruelli: – Te wszystkie tłuszcze trans, sól... Jak możesz dawać dzieciom to paskudztwo? Zero wartości odżywczych...

– Mama? – Mariona była tak zdziwiona, jakby zamiast teściowej koło niej zmaterializował się duch.

– Mama, a kto?

– Co mama tu robi?

– Spaceruję. Nadwaga, kłopoty z trawieniem... – Teściowa wróciła do wyliczania zgubnego wpływu jedzenia chipsów.

Marcel z Piotrkim, nic sobie nie robiąc ze słów babci, napychali buzie „tym paskudztwem”.

Mariona chciała załagodzić sytuację, ale teściowa jak szybko się pojawiła, tak szybko zniknęła.

Wieczorem, kiedy leżała z Witkiem w łóżku, zrelacjonowała mu spotkanie w parku.

– Twoja mama dała mi dzisiaj reprimendę.

– Oj tam, mamy nie znasz?

– Za to, że karmię dzieci chipsami.

– Chipsy nie są najlepszą przekąską.

– Jezu, przecież nie jedzą codziennie chipsów. Wiesz, że o was dbam. Robię zupki warzywne i obiady z surówkami.

– No wiem.

– To może powiadomisz o tym swoją mamuszkę. Bo znowu to ja jestem najgorsza.

– Przesadzasz.

– Dla niej jestem wrogiem numer jeden.

– Panikujesz.

– I tylko tyle masz do powiedzenia?

– A co mam ci powiedzieć? – wsparł się na łokciu. – Robisz z igły widły.

– Skoro tak twierdzisz? – obrażona, odwróciła się do niego plecami i zgasiła lampkę.

* * *

Po miesiącu diety Mariona stanęła na wadze. Ostatnio czuła się lżejsza i spodnie jakby nie były już tak bardzo opięte. Wciągnęła powietrze i spojrzała w dół. Waga bezlitośnie pokazywała nadprogramowe kilogramy. Plus trzy kilo.

– Cholera! – zaklęła, po czym wyciągnęła telefon i zadzwoniła do przyjaciółki.

– Nie uwierzysz, ale nic nie schudłam.

– A jesteś cały czas na diecie?

– Pewnie. Troszkę proporcje zmieniłam. Trzema łyżkami musli jeszcze nikt się nie najadł. Ja potrzebuję michę płatków i co najmniej pół dużego jogurtu. I takie to niesłodkie, jałowe. Muszę sobie posłodzić.

– Cukrem?

– A czym?

– Lepszy już chyba miód.

– No wiesz, z cukrem to z cukrem. I po dzieciach trochę dojadam.

– Skoro jesteś na diecie, to chyba powinnaś skończyć z podjadaniem.

– Chyba masz rację. I te niedziele trochę są zgubne.

– Niedziele?

– W niedzielę robię sobie wolne od diety. Jeden dzień.

– Jeden dzień, kiedy jesteś na diecie i nie trzymasz się diety, to jak lata świetlne.

– Lata świetlne – westchnęła. – W dodatku przez tę dietę szpiegują mnie we własnym domu.

– Kto cię szpieguje?

– Witek, dzieci... – znów westchnęła ciężko. – Wczoraj wieczorem kiszki mi marsza grały. To od tej drakońskiej diety. Zeszłam na palcach do kuchni. Pomyślałam, że zjem coś zdrowego. I naprawdę miałam taki zamiar. Jabłuszko, czerwoniutkie, oko do mnie puściło, ale jakoś nie miałam na nie ochoty. Otworzyłam szafkę z makaronami.

– Tę, w której trzymasz czekoladki?

– No tak, tę makaronową.

– Ale tam nie ma makaronu.

– W pierwotnej wersji półka miała swoje przeznaczenie na makaron. Nie czepiaj się szczegółów. Otworzyłam szafkę, a tam czekolada mleczna z karmelem. Moja ulubiona. Szeptła do mnie: „Ja! Tylko ja!”. Co tam jabłko, odwinęłam z papierka czekoladę, włożyłam kostkę do buzi i usłyszałam za plecami głos Piotrusia: „Mamo, czy to moja czekolada?”. „Nieee...” – schowałam tabliczkę za plecami. „Miałaś się odchudzać” – za Piotrkiem wyrósł Witek.

– Czepiają się – Karolina śmiała się w najlepsze.

– Pewnie, że się czepiają. A Witek to już przesadza.

– Z dietą?

– Z moją dietą. Sam mógłby się wziąć za siebie, zamiast wypominać mi każdą zjedzoną kalorię. Nawet śliwki mi wyrzuca.

– Śliwki?

– Suszone. Dwa dni temu zjadłam całe opakowanie zamiast czekolady.

– I co?

– I powiedział, że suszone owoce też są kaloryczne, że można zjeść kilka, a nie wpychać w siebie wszystko.

– We wszystkim dobrze jest zachować umiar – filozoficznie odparła przyjaciółka.

– Ale kiedy one tak mi dobrze wchodziły... – zaprotestowała Marionka.

– Koniec końców, jak dieta, to dieta.

– I ty, Brutusie, przeciwko mnie? Mel B, turbo spalanie, killery, skalpele. Skaczę, truchtam, wymachuję nogami i klnę w duchu, i modlę się w duchu, by ta męczarnia się skończyła. Nie cierpię ćwiczyć. Zerkam co chwila na zegarek w nadziei, że już zaraz koniec. Złana potem, śmierdząca, doczłapuję się do łazienki. Biorę prysznic i czuję, jak kiszki mi marsza grają, i marzę o tym, żeby wrzucić na ruszt schaboszczaka. Jednak nie daję się pokusie.

Do kolacji jakoś idzie. Na zupce z kurczaczka, piersi gotowanej na parze z warzywami dotrwałam do wieczora. „Mamooo, zrobisz na kolację naleśniki?” – poprosił ładnie Marcelek. I jak tu dziecku odmówić, no jak? Zrobiłam. Nie wciągnęłam ani jednego, chociaż język uciekał mi do dupy. Ale dzieciaki nie dojadły, no i zaatakowałam pozostawione kawałki niczym wygłodniały pies.

A potem przyszły wyrzuty sumienia.

Karolina parsknęła śmiechem.

– Nie chcę cię dobijać, ale jesteś sama sobie winna.

– Wiesz co, to ja już wolę jeść normalnie.

* * *

Choć minęło już siedem lat od ślubu Mariony z Witkiem, kobieta wciąż tak samo mocno kochała swojego męża. Kiedy Witek wyjeżdżał na szkolenie, ona czekała na niego i tęskniła. Nie mogła zasnąć w ich łóżku, kiedy go nie było. Jak wracał do domu, Marionna witała go w progu, zanurzając się w jego ramionach i wdychając jego zapach. On się do niej uśmiechał i z czułością ją całował. I wtedy było tak, jak za pierwszym razem.

Później Witek szedł przywitać się z chłopcami. Nawet, jeśli była noc i chłopcy już spali, on i tak wchodził do ich pokoju. Piotrek zawsze chciał, by tato go obudził.

I tego późnego wieczoru Witek nachylił się nad swoim synkiem i delikatnie go dotknął.

– Tatus... – malec uśmiechnął się do ojca. Coś mruknął i z powrotem odpłynął w sen.

Witek przykrył go starannie i pocałował w czoło. Potem podszedł do łóżka Marcela. Poprawił poduszkę i podniósł misia, który spadł na podłogę. Wyszedł z pokoju na placach i poszedł wziąć prysznic. Kiedy skończył się myć, Marionna już spała. Delikatnie odsunął kołdrę i przytulił się do żony. Mruknęła, a on pocałował ją w szyję.

Kochał tę kobietę, kochał swoje dzieci i to mieszkanie. To miejsce i ten czas, w którym się znalazł. Pomyślał o niektórych swoich znajomych, którzy nie są szczęśliwi w swoich związkach, przy żonie czy mężu. Jeżdżą w delegacje i cieszą się z tego, że są poza domem, że oderwali się od tej rzeczywistości, której wcale nie lubią. A on zawsze tęsknił i marzył o powrocie. Kiedy inni pili wódkę w hotelowym barze, on wracał do pokoju i dzwonił do żony. Za każdym razem rozmawiali kilkanaście minut. Raz poszedł na taki firmowy raut i czuł się głupio. Ani picie nie sprawiało mu przyjemności, ani zaloty małolaty z działu handlowego. Kiedy jego kolega ścisnął się pod ścianą z księgową, Witek poczuł obrzydzenie. Niemal uciekł do pokoju. Nie rozumiał tego wszystkiego. Dla niego wartością nadrzędną zawsze i wszędzie była rodzina. Skok w bok? Czy warto dla kilku posuwistych ruchów tracić to, co ma się najcenniejszego? Bez zastanowienia

odpowiadał: „Nie warto”.

Witek był wspaniałym ojcem i Mariona była z tego dumna. Uwielbiała patrzeć, jak bawi się z chłopcami. Podrzuca ich do góry, a oni piszczą i wołają: „Jeszcze, jeszcze”. Zabierał dzieciaki na basen, na place zabaw, do lasu. Czytał im bajki do snu i opowiadał niestworzone historie, a oni słuchali go z otwartymi buziami.

ROZDZIAŁ 14

Mariona porządkowała stare zdjęcia. Do tej pory trzymała je w wielkich pudłach, ale podczas sobotnich zakupów kupiła trzy albumy.

To były fotografie ze ślubu jej rodziców i te, które upamiętniały czasy jej dzieciństwa. Nie było już mamy, Zuzka ułożyła sobie życie za oceanem i przyjeżdżała sporadycznie, a z ojcem Mariona w ogóle nie miała kontaktu od kilkunastu lat. Odszedł od nich, gdy miała osiem lat. Pamiętała ten ból, kiedy mama oświadczyła, że się wyprowadził, ale zapewniła, że będzie je odwiedzał.

Przez pierwszy rok ojciec ani razu się nie odezwał, a ona była zła na mamę, bo myślała, że ją okłamała. Po roku przysłał kartkę na urodziny. Zjawił się w domu po dwóch latach z torbą wypchaną po brzegi prezentami. Przez tydzień zabierał córki na wycieczki, do kina, na przedstawienia. Po tygodniu odjechał. Zjawił się ponownie, kiedy Mariona była już nastolatką. Sypnął groszem, kupił bilety na koncert hip-hopowy dla niej, Zuzki i Karoliny. Odmalował jej pokój. I to był ostatni raz, kiedy go widziała. Zniknął bez śladu. Ponoć wyjechał do USA.

Mariona przyrzekła sobie, że nawet gdyby kiedyś ojciec się z nią skontaktował, ona nie będzie go chciała, tak jak i on nie chciał jej w swoim życiu.

Przyjechał do Polski tuż przed jej ślubem. Mama nalegała, by Mariona zaprosiła go na przyjęcie, ale ona pozostawała nieugięta. Nie spotkała się z nim, zaproszenia również mu nie dała. Ojciec nachodził mamę i prosił, aby podała mu adres córki. „On się zmienił” – mówiła mama Marionie. „Mamo, przecież ojciec zadał ci tyle cierpienia, a ty go nadal bronisz”. „Tak, to prawda, cierpiałam przez niego, więc nic i nikt tego nie zmieni, ale to już za mną. Rozumiesz? Zmienił się, chce cię przeprosić, porozmawiać... Chce być ojcem”.

Mariona była zawzięta. Do czasu. Kiedy zmarła mama, a ona urodziła Piotrusia, w jednej chwili zapragnęła, by tato przy niej był. Może nie był najlepszym ojcem, ale może byłby lepszym dziadkiem? Mama przed śmiercią dała jej jego numer telefonu. Tyle razy Mariona chciała zadzwonić, ale bała się odrzucenia. Potem urodził się Marcelek, ona zajęta była codziennymi sprawami. Pół roku temu zadzwoniła pod numer zapisany na kartce.

Karolina trzymała ją za rękę, kiedy wykrecała numer. Odebrała jakaś kobieta, jak się później okazało, partnerka ojca. Mariona dowiedziała się, że jej tato zmarł trzy lata temu. Do ostatnich chwil wspominał swoje córki.

Odszedł, nie wiedząc, że ma wnuki. Wtedy właśnie Mariona pomyślała, że życie jest za krótkie na chowanie uraz. A wybacząc, można wiele zyskać.

* * *

Jak ja jej czasami zazdroszczę – myślała Marionna. – Tego, że głowa nie pęka jej od hałasu, że jest wolna, nie myśli, że jutro będzie musiała wstać wcześniej, by dzieciom śniadanie zrobić i koszulę mężowi do pracy uprasować, a i jeszcze matkę odrobić. Zazdroszczę jej tego, że kładzie się w weekend do łóżka z tym superprzystojniakiem, którego zna kilka tygodni, baraszkuje z nim całą noc, a potem śpi do południa. Ona jakby nawet chciała, to by nie pospała, bo w weekend chłopcy wstają jak na złość o szóstej i robią zawody, który na kogo wskoczy. I białych ścian jej zazdrości. Malowali pół roku temu, a już noszą ślady łapek. A koło drzwi to nawet ktoś kredką namalował jakieś bohomyzy.

– Zazdroszczę ci wolności. Czasami... – Marionna uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Ciebie ma kto przytulać wieczorami – Karolina popijała zieloną herbatę.

– Myślisz, że tak to działa? Czasami muszę się prosić o przytulanie. A ty? Nie musisz pracować męskich skarpet, wyrzucać do kosza pustych rolek po papierze toaletowym. Nie musisz robić nikomu obiadów ani kolacji, nie musisz pakować kanapek do pracy. Dzień w dzień.

– Czyli próbujesz mi powiedzieć, że mam lepiej?

– Każda z nas ma czasami lepiej, czasami gorzej.

– Zegar mi tyka, a ja nie mam jeszcze dziecka.

– Oj, już nie przesadzaj z tym tykaniem, dzwony ci jeszcze nie biją. Jeszcze będziesz tęskniła za tymi chwilami bez dzieci. Tą beztroską. Wychodzisz sobie z domu bez tłumaczenia, dokąd idziesz i kiedy wrócisz. Kładziesz się na kanapie w nadziei, że masz chwilę dla siebie, a dosłownie po dwóch minutach słyszysz tupot bosych stópek. Odkładasz swoje potrzeby na półkę z napisem: „Później”. I niekiedy uświadamiasz sobie, że to nie tak miało wyglądać, bo nie wiedziałaś, że będzie tak ciężko. Wyobrażałaś sobie, że popołudniami siedzicie sobie rodzinnie na kanapie, jecie lody, uśmiechacie się do siebie i oglądacie familijny film. W rzeczywistości wygląda to tak: jecie lody, jedno z dzieci wywala deser na kanapę. Mąż się czepia: „A mówiłem, nie dawaj mu lodów, bo upacka sofę”. Ty ze złością odpowiadasz: „To gdzie ma jeść? W kiblu miałam go zamknąć z michą lodów?”. Potem małżonek przełącza programy, dzieci jęczą, że chcą oglądać bajkę, a tobie już wszystkiego się odechciewa.

– Hmm...? Czyli mówisz, że dobrze nie jest.

– Jest dobrze, czasami cudownie, ale są też chwile, gdy chciałabyś uciec,

gdzie pieprz rośnie, wrócić do tego, co było dawniej.

– A seks?

– Twój?

– Mój to odloty... No, nie patrz tak na mnie, czasami nie jest taki fajny.

A czasami musisz zadowolić się wibratorem. A twój?

– Raz się wznoszę, raz opadam. Czasami jest zajebiście, innym razem odbębniam numerek.

– Zmuszasz się?

– Nie. Po prostu nam nie po drodze. Bo on zmęczony, po pracy, bo dzieci dopiero co zasnęły. Bo jedno ma katar i wiesz, że w nocy będziesz musiała do niego wstawać. Wiesz, ile mężatek kłamie, że w ich domu jest tak samo, jak w tej rodzinie z reklamówek albo tak, jak na pozowanych zdjęciach na fejsie? Prawda jest inna. Czasami i seks nie jest fajny albo go nie ma. Niekiedy dzieci cię wkurwiają tak, że zastanawiasz się, po cholere ci to było. Ale potem uświadamiasz sobie, że bez nich twój świat byłby niepełny.

– Singielki też kłamią. Że takie nowoczesne, niezależne, że cieszą się wolnością, robią to, co chcą. A tak naprawdę potrzebują wesprzeć się na męskim ramieniu. Przytulić się. Uprać komuś gacie.

– Serio? Chciałabyś prać męskie gacie?

– Nie. Przegięłam... Ale szarlotkę mogłabym mu upiec.

Mariona się roześmiała.

– Któregoś dnia odstawiłam się w pończochy, szpilki, gacie z dziurą w wiadomym miejscu. Włosy związałam w dwa kucyki.

– Iiii?

– A Witek do mnie: „A tobie co?”.

Roześmiały się obie.

– Wyjdźmy gdzieś razem w weekend – zaproponowała Karolina. – Zabalujemy, a potem zostaniesz u mnie na noc i pośpisz do południa.

– I co oni zrobią beze mnie?

– Jak to, co? Pójdą na pizzę, lody, nie będą sprzątać mieszkania. Spędzą miło czas.

– Beze mnie.

– No, bez ciebie, bo z tobą się nie da, kobieto.

Ryknęły gromkim śmiechem.

* * *

W sobotę Mariona stała przed lustrem i przymierzała sukienki. W żadnej nie czuła się komfortowo. W końcu zdecydowała się na czarne szersze spodnie i tunikę, która zakrywała jej tyłek i maskowała pokaźne uda.

Weszły do zatłoczonej knajpy i zamówiły Martini Bianco. Z głośników leciała chilloutowa muzyka.

– I jak? – szturchnęła ją Karolina.

– Śpiąca jestem.

– Wiesz co? Z ciebie to już naprawdę zrobiła się baba. Pamiętasz te wszystkie imieniny naszych rodziców, jak nasze mamy włożyły na stół i śpiewały?

– No, ba.

– A ty śpiąca jesteś?

Mariona uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Co ja zrobię, że wolałabym leżeć w łóżku i czytać książkę?

– No w sumie nic nie zrobisz.

Ale Mariona wypła drugiego drinka i trochę się rozbudziła. Za to Karolina rozglądała się po knajpie. Od razu go zobaczyła. Stał w gronie innych mężczyzn i uśmiechał się tak, że Karolinie momentalnie zrobiło się gorąco. Co wywołało tak piorunujące wrażenie? Jego uśmiech i spojrzenie. Usiadła obok koleżanki i zamówiła kolejnego drinka, ale nie mogła skupić się ani na rozmowie, ani na sączeniu alkoholu. Patrzyła oszołomiona na przystojniaka. Wysoki blondyn ubrany w eleganckie spodnie i śmieszny T-shirt z napisem: „Jestem farciarzem”. Już go polubiła. Facet, który zakłada taką koszulkę, musi mieć poczucie humoru.

Karolina wypła duszkiem trzy kolejne drinki, po czym wstała na lekko chwiejnych nogach i oznajmiła przyjaciółce, że idzie się przywitać.

– Z kim? – zapytała zdziwiona Mariona.

– Z facetem, od którego nie mogę oderwać oczu – uśmiechnęła się. Puściła oko do przyjaciółki i ruszyła w stronę baru, gdzie stał przystojniak.

– Cześć – wyciągnęła do niego rękę. Bransoletki na jej nadgarstku zagrzechotały.

– Cześć – odparł zdziwiony przystojniak. – Czy my się znamy? – uśmiechnął się przy tym niepewnie.

– Nie znamy, ale możemy poznać.

– Uuuu, stary – koledzy przystojniaka zaczęli wydawać dziwne odgłosy, a po chwili oddalili się, zostawiając Karolinę ich sam na sam.

– Pewnie, że możemy. Marcin jestem – mężczyzna skłonił się wpół.

– Karolina.

– Karolina – powtórzył. – Ładnie.

– Mnie też się podoba.

– Ładna, pewna siebie. Co jeszcze?

– Młoda, błyskotliwa, inteligentna i już na lekkim rauszu.

Zaśmiali się.

Posłał jej takie spojrzenie, że wiedziała, że chce go poznać bliżej. Wypili jeszcze po drinku, a potem podeszli do stolika, przy którym siedziała Marionna.

– To ja już będę lecieć – powiedziała Marionna.

– Nie, no co ty? – zaprotestowała Karolina.

– Zmęczona jestem.

Karolina z Marcinem odprowadzili Marionnę na postój taksówek.

Na zewnątrz było przyjemnie. Noc ciepła, niebo bezchmurne. Sceneria jak z filmów. Poszli się przejść. Spacerowali do rana, a potem on odprowadził ją pod drzwi mieszkania. Odmówił wejścia do środka, kiedy zapraszała go na poranną kawę.

– To mogłoby się skończyć nie tak, jakbym chciał.

– Łóżkiem?

– Łóżkiem... A ja nie chcę, żeby to była znajomość na jedną noc.

Ujął ją tymi słowami. Odgarnął zbłąkany kosmyk włosów z jej policzka i pocałował delikatnie w usta.

– Odeśpij tę noc. A kiedy się wyśpisz, zadzwonię do ciebie, tylko zapisz mi swój numer telefonu.

Karolina wyjęła z torebki szminkę i na dłoni zapisała mu swój numer.

Zadzwonił, kiedy skończyła brać prysznic.

– Wyspałaś się?

– Wstałam piętnaście minut temu.

– Widzisz? Wiedziałem, kiedy zadzwonić.

– Wiedziałeś.

– To co? Kolacja?

– Ale... Że dzisiaj?

– A nie jesteś głodna?

– Jestem. Pewnie, że jestem.

ROZDZIAŁ 15

Mariona składała pranie. Wielki stos. Pralka u niej w domu chodziła na najwyższych obrotach niemal codziennie. Jakoś jej to nie przeszkadzało. Cieszyła się, że jest mamą zdrowych chłopców. Była dumna z najmniejszej laurki i każdego bohoma za zwanego rysunkiem.

Ostatnio spotkała na placu zabaw dawno niewidzianą koleżankę ze studiów. Ubrana nienagannie, wymalowana, fryzurę miała starannie ułożoną, jakby dopiero co wyszła od fryzjera. W krótkiej sukieneczce. Mariona z trudem powstrzymywała rękę, żeby nie podwinąć nogawki spodni i nie przejechać ręką po szczecinie odrastających włosów. Wczoraj miała je ogolić, ale nie zdążyła, bo Marcel był marudny, a Piotruś nabił sobie guza, zaś Witek wrócił wkurzony z pracy. Na domiar złego po raz kolejny przypaliła ziemniaki. Dzieci dawnej koleżanki również wyglądały perfekcyjne. Dwie dziewczynki ubrane były w tiulowe sukieneczki, a na głowach miały opaski z kokardkami. Jej chłopcy nosili wytarte dresy. Dziewczynki siedziały na ławeczce obok piaskownicy jak trusie, bo mama ciągle je upominała:

– Nie grzeb w tym piachu. Ubrudzisz się.

Po chwili:

– Zuzka, popraw opaskę.

– Anetka, uważaj, żeby nie podrzeć nowych rajstopek.

Podczas kiedy synowie Mariony taplali się w błotku zrobionym z piachu i wody przyniesionej z pobliskiej kałuży, dziewczynki niczego właściwie nie mogły dotykać. Miały ładnie wyglądać. A gdzie radość z dzieciństwa? Zabawy? Umorusane buźki i ręce. Piach we włosach i w skarpetkach, a nawet w majtkach.

– Zuzka i Anetka chodzą już na angielski i francuski.

– Doprawdy? To ile mają lat?

– Trzy i sześć i pół.

– O, to są w podobnym wieku, co moi chłopcy.

– A twoi chłopcy gdzie chodzą?

– Do piaskownicy! – Mariona roześmiała się, ale dawna koleżanka zmierzyła ją wzrokiem.

– A jakieś dodatkowe zajęcia?

– W przedszkolu i szkole mają tyle zajęć...

– Anetka chodzi na jazdę konną, a Zuzka na balet.

– No wiesz... – Mariona westchnęła. Chciała jeszcze coś dodać, ale dawna koleżanka poderwała się z ławki i bez pożegnania odeszła w stronę piaskownicy.

Chwyciła dziewczynki za ręce i pociągnęła w kierunku parkingu. Marionna słyszała jeszcze jej piskliwy głos.

– Ubrudziłaś różowe rajstopki. Jak ty wyglądasz?

– O, ja pierdolę! – powiedziała półgłosem Marionna. – Co za babsztyl.

Może i jej dzieci nie chodzą na dodatkowe zajęcia. Może nie uczą się jeszcze języków. Ale mają szczęśliwe, roześmiane dzieciństwo, pełne błota, piasku i zabaw.

Marionna nie nawiązała bliższej znajomości z matkami z placu zabaw. Chciała, naprawdę chciała, ale żadna z kobiet nie przypadła jej do gustu. A szkoda, bo chłopcy potrzebowali kontaktu z innymi dziećmi. Zanim urodziła synów, wyobrażała sobie, że będzie wraz z dziećmi chodziła w odwiedziny do innych mam. Jadła z nimi ciasteczka i piła kawę. Rzeczywistość rozminęła się z jej wyobrażeniami.

Poznała kiedyś na placu zabaw Marzenę, drobną blondyneczkę, mamę czteroletniej Kamili i trzyletniego Oskarka. Któregoś dnia Marzena zaprosiła Marionnę do siebie. Kiedy Marionna weszła do salonu, ujrzała wewnątrz jak z ekskluzywnego magazynu wnętrzarskiego. Kobieta była zachwycona, tylko zastanawiał ją fakt, jak przy dwójce małych dzieci jest tu tak czysto. Ściany śnieżnobiałe, kremowe fotele, podłoga bez najmniejszej rysy.

– Wow! – skomentowała na głos. – Jak udaje ci się utrzymać taki porządek przy dwójce małych dzieci?

Kobieta roześmiała się.

– Po prostu moje dzieci są nauczone dyscypliny. Nie marzą po ścianach, wiedzą, że mają nie siadać na fotelach.

– To gdzie siadają? – Marionna nie kryła zdumienia.

– Mają rozkładane krzeselka, które przynoszą ze swojego pokoju.

I w tym momencie Marcel klapnął na pięknym kremowym fotelu. Marionna zerwała się na równe nogi, bo chłopczyk w ręku trzymał ciastko. Kobieta struchlała. Oczami wyobraźni widziała, jak jej synek umorusanymi rączkami brudzi jasną tapicerkę.

– Zejdź z fotela – wykrztusiła.

– Ciocia przyniesie ci krzeselko – powiedziała Marzenka i w te pędy pobiegła do pokoju dzieci. Wróciła po chwili z rozkładanym krzeselkiem.

– Przepraszam – Marionna zwróciła się do Marzeny.

– Daj spokój – tamta machnęła ręką, ale kobieta poczuła się nieswojo.

Marcel zjadł ciastko i poszedł bawić się do pokoju, gdzie były pozostałe dzieci.

Marionna usiadła na krześle. Stół był nakryty ręcznie haftowanym obrusem. Stały na nim grube, czerwone świece o wiśniowym zapachu oraz patera z różnymi

ciastami.

– Często się.

– Z przyjemnością. Sama piekłaś?

– Tak, zawsze sama piekę. Zapach pieczonego ciasta powinien być w każdym domu. A ty? Pieczesz?

– Czasami. Jak mi się nie chce, kupuję.

– Mnie się zawsze chce. Rola mamy zobowiązuje.

Mariona przełknęła kęs ciasta, którym o mało co się nie zadławiła.

– Grasz w tenisa? – Marzenka poprawiła włosy.

– Nie.

– A jeździsz na nartach?

– Też nie. Ale szyję na maszynie.

– Ach tak...

Marzenka, kobieta ideał, wysportowana blondyneczka, która potrafiła ze smakiem urządzić mieszkanie... Zapewne należała do przedszkolnego aktywu i otaczał ją wianuszek innych mam. I robiła wyśmienite, przekładane masami ciasta, w przeciwieństwie do Mariony, która na niedzielę piekła nieskomplikowaną szarlotkę na zmianę z murzynkiem.

Kilka minut później Mariona z chłopcami wyszli z mieszkania Marzenki pod pretekstem, że mąż wraca z pracy i zapomniał kluczy. Tak naprawdę Mariona marzyła tylko o tym, by odetchnąć świeżym powietrzem i zostawić za drzwiami perfekcyjne miejsce i idealną panią domu.

Wieczorem zadzwoniła do Karoliny i opowiedziała jej przebieg wizyty u Marzenki oraz wcześniejsze spotkanie z dawną koleżanką.

– Coś jest ze mną nie tak. Nie odbieram na tych samych falach, co one.

– Nie wszyscy muszą cię lubić.

– Ale mnie żadna z nich nie lubi.

– Ja cię lubię.

– Spróbowałybyś mnie nie lubić.

Zaśmiały się.

– Są ludzie, w których obecności czujemy się dobrze, i tacy, z którymi nam nie po drodze. Z wiekiem i nabytym doświadczeniem zrozumiałam, że nie ze wszystkimi muszę się przyjaźnić, ba, ja nie wszystkich muszę lubić i zapraszać na wino. Są przyjaźnie nierozzerwalne, powierzchowne znajomości, jest koleżeństwo. Na niektóre znajomości szkoda tracić cennego czasu. Lubię spotkania z ludźmi, przy których mogę być sobą. Nie zawsze muszę się uśmiechać, mogę też się rozkleić.

– Ja też sporo rzeczy zrozumiałam. Nie muszę zawsze odbierać telefonu, odpisywać na esemesy, opowiadać o swoim życiu. Kiedyś zbawiałam świat. Pocieszałam, poklepywałam po plecach. Tylko że kiedy ja wpadałam w rozpacz,

ten świat nie chciał mnie zbawić czy pocieszyć. Opuściłam. Rozmowy o pogodzie z niektórymi ludźmi są zbawienne.

– Jeszcze trafisz na jakąś mamuszkę lub tatuśka, z którym znajdziesz wspólne tematy.

– To może ja już wyceluję w tatuśków.

– Dobry pomysł.

– A jak ten twój nieznajomy z baru?

– Spotykamy się. Jest cudowny.

Mariona uśmiechnęła się. O niczym tak nie marzyła, jak o tym, żeby jej przyjaciółka znalazła odpowiedniego mężczyznę.

– Tylko nie skacz od razu na główkę.

– No nie wiem, nie wiem – Karolina pokręciła tak gwałtownie głową, że jej długie kolczyki z koralików zagrzechotały. – Czasami warto skoczyć.

– Najpierw zbadaj grunt.

* * *

Kiedy Karolina wchodziła w jakiś związek, zachowywała się jak otumaniona i oprócz obiektu westchnień nic się dla niej nie liczyło. Miała przysłowiowe klapki na oczach. A kto w fazie zakochania nie robi głupich rzeczy?

Wynajęła większe mieszkanie, bo w kawalerce było im za ciasno. Karolina uważała, że jest w porządku, ale Marcin uparł się, że powinni znaleźć coś większego. Znalazła większe, droższe mieszkanie, za które sama płaciła. Marcin się do niej wprowadził.

– Kochanie, ja cię przepraszam. Chwilowe problemy w firmie – tłumaczył, dlaczego nie dokłada się do rachunków.

Marcin prowadził firmę razem ze swoim kuzynem. Sprzedawali sprzęt ogrodowy.

– Wiesz, te wszystkie łopaty, szpadle, grabie – tłumaczył jej.

– Nie ma problemu. Jak się odbijecie od dna, to wtedy będziemy żyli na twój koszt – zaśmiała się nerwowo.

Karolinie wydawało się, że poznała „pana właściwego”. Tylko że już po dwóch miesiącach coś między nimi się zmieniło. Nie było wyładowań piorunów. Była za to stabilizacja. Tylko że w negatywnym tego słowa znaczeniu. Czuła się, jakby ktoś założył jej gips na zdrową nogę i kazał biec do mety.

Marcin lubił domowe obiady, więc nauczyła się gotować i piec. Lubił siedzieć przed telewizorem w ciepłych kapciach, zatem i ona kupiła sobie ciepłe

bambosze. Liczył się z każdym groszem, mimo iż był współwłaścicielem firmy. Karolina odgrywała rolę wzorowej gospodyni, jak kiedyś jej mama przed tatą. Patrzyła jednak z lekką irytacją, jak Marcin siorbał rosół z domowej kury czy wciągał schaboszczaka z kapustką. Czy takiego życia pragnęła? Sama nie wiedziała. Chyba trochę zazdrościła koleżankom, że powychodziły za mąż, że mają dzieci. Ona nie mogła przecież szukać całe życie, bo obudzi się w końcu z ręką w nocniku. Postanowiła zignorować myśl, która towarzyszyła jej, odkąd go poznała: „I to ma być wszystko, czego od życia, związku, oczekuję?”.

Z drugiej strony nie miała powodów do narzekań. Mężczyzna był przystojny, miał dobrą pracę, traktował ją odpowiednio i chyba kochał. Chyba? Gdyby kochał, to by się oświadczył. Czuła się, jakby dostała garnek na urodziny, a marzyła o Hawajach.

Niby Marcin nie miał pieniędzy na rachunki, a nie chciał sprzedać swojego motoru, który był zapewne sporo wart. Tłumaczył jej, że współwłaściciel firmy musi dobrze się prezentować i pokazywać w niektórych miejscach.

Mijały kolejne miesiące, Karolina była wpatrzona w Marcina i nie miała nawet ochoty na spotkania z przyjaciółką, która za każdym razem wylewała na nią kubek zimnej wody. Po prostu nie lubiła Marcina i się go czepiała.

– Ja się wcale go nie czepiam.

– Jak nie, jak tak?

– Mówię po prostu to, co widzę. On cię wykorzystuje. Co się z tobą dzieje?

– Jestem zakochana.

– I dobrze. Ale otwórz oczy, bo na razie masz zmrużone i świat tak fajnie ci się rozmazuje, traci kontury. Koleś żyje sobie na twój koszt, a ty się na to godzisz.

– Wiesz, ta jego firma ma chwilowe kłopoty. Włożyli kupę kasy w towar, zanim to się wszystko sprzeda, minie trochę czasu.

– To niech sprzeda ten swój motorek albo sportowy samochód, albo niech nie kupuje sobie tych drogich garniturów, w których paraduje po mieście. I przestań, do cholery, go tłumaczyć. Spójrz na siebie. Nie widzę, żebyś była szczęśliwa. Albo jesteś w pracy, albo prasujesz mu koszule, albo mu gotujesz. Ty, kobieta tryskająca energią, radosna, zmieniłaś się w kurę domową, a obrączki na palcu jakoś nie widać.

– Nie będę na niego przecież naciskać.

– To nie zachowuj się jak mężatka z dwudziestoletnim stażem.

ROZDZIAŁ 16

Chłopcy siedzieli przy stole i jedli, a raczej męczyli się ze śniadaniem. Marioną nastawiła w tym czasie pomidorową. W jednym ze swoich poradników wyczytała, że takie kobiety, jak ona, są do bólu zwyczajne. Rozwiązała test, który znajdował się na końcu książki. Rezultat ją zaskoczył. Czarno na białym napisano: „Jesteś zwyczajną kobietą”. No i co z tego? Zwyczajność jest fajna – próbowała siebie przekonać. Zresztą Karolina od dawna jej powtarzała, że są takie zwyczajne. Czym więc się przejmowała? A jednak poczuła jakieś ukłucie w sercu. Chciałaby być niezwyczajna.

Kocham te zwyczajne chwile – w myślach przekonywała siebie. – Każdego dnia zbieram okruchy swojego szczęścia. Moje życie, moje wybory, moje zakręty i wywrotki, moje emocje. Ziarenko do ziarenka. Miłość do miłości. Nadzieja do nadziei. Łza do łzy. Dużo już tego mam. Moje małe szczęście. I te rozczarowania też są moje... Suszone kwiaty, muszelka znad morza, wspomnienie uśmiechu, zdjęcie bosych stópek, zapach mleka, szarlotki, smak dojrzałych malin, śpiew do drewnianej łyżki, taniec przy ścieraniu kurzy. Moje, to wszystko moje. Nawet nie wiedziałam, że już tyle tego nazbierałam.

Zwyczajna kobieta ma problem z makaronem. Nigdy nie wie, ile go wrzucić do zupy i, cholera, zawsze jej się wydaje, że jakoś go za mało, więc dorzuca kolejną garść i jeszcze jedną. A potem się okazuje, że makaron pęcznieje i łyżka w zupie staje. I zwyczajna kobieta obiecuje sobie, że następnym razem nie popełni tego błędu, ale robi dokładnie tak samo.

– Mamo, mnie się wydaje, że jesteś księżniczką – Marcel wydał zabawie usta.

– Kochanie, dziękuję ci za wiarę w mamusię, ale nie sądzę, że kiedykolwiek nią byłam.

– Gdyby mama była księżniczką, nie ślęczałaby nad maszyną i garami – skwitował Piotruś.

– To kim jesteś?

– Yyyy – Marioną zaczęła się zastanawiać.

– Nadworną szwaczką – dokończył Piotruś.

– A ty nie bądź taki mądry – Marioną się roześmiała.

– Dla mnie to ty jesteś najpiękniejszą z pięknych księżniczek – powtórzył Marcel.

– Kochanie moje, czy ty czegoś od mamusi chcesz?

– Mogę zamiast śniadania zjeść jajko niespodziankę?

– Wiedziałam, że nie ma nic za darmo.

Odwiozła Piotrusia do szkoły, a Marcelka do przedszkola, i usiadła do szycia. Ostatnio jedna z firm zamówiła u niej sto firan. Przez kolejne godziny szyla i nawet na chwilę nie odrywała się od maszyny. Dopiero dzwonek telefonu wyrwał ją z transu.

– Hej, Karola – uśmiechnęła się do słuchawki.

– Gdzie jesteś?

– W koziej dupie.

– Gdzie?

– W koziej dupie. Nie wyrabiam z zamówieniami.

– Kozia dupa to ostatnio twój styl życia.

– No raczej. Chcesz pogadać? – Mariona wyczuła w głosie koleżanki napięcie.

– Nie, nie będę ci przeszkadzać.

– Właśnie robię sobie przerwę. Nastawię czajnik z wodą na herbatę. Mów.

– Ale...

– Mów, zanim się rozmyślę.

– Sądzę, że w moim związku jest coś nie tak. Marcin...

– Marcin jest obibokiem.

– Mariona, proszę...

– Mówię, co myślę. Okej, wysłucham cię, zanim ocenię Marcinka.

– Ostatnio niemal co noc płaczę. Płaczę dlatego, bo to ja znam go lepiej. Wiem, że uwielbia krem czekoladowy. Interesują go filmy przyrodnicze, nie lubi czytać. Spryskuje się perfumami Jean Paul Gaultier. Śpi zawsze na prawym boku. Wiem, że odkłada pieniądze na nowy motor, że chciałby lecieć do Tajlandii. Podobają mu się Tajki – zaśmiała się nerwowo. – A on... On tak naprawdę niczego o mnie nie wie. Nie wie, że nie lubię żółtego złota. Jak już, to białe, a srebro kocham. Mimo to kupił mi kolczyki z żółtego złota. Nawet się nie domyśla, że przedkładał dobrą książkę nad film. Nie wie, że płaczę nie tylko, kiedy mi smutno, ale z radości też. Nie wie, kiedy potrzebuję, by mnie przytulił.

– Nie marnuj na niego czasu. On na ciebie nie zasługuje.

– A może jeszcze jakoś się ułoży?

– Co się ułoży? Sama wiesz, że to nie to, tylko boisz się do tego przyznać. Lepiej wcześniej zakończyć związek, niż bardziej w to brnąć.

* * *

Karolina dotarła przed blok rodziców koło dwudziestej. Uśmiechnęła się, kiedy stanęła przed drzwiami do mieszkania. Nie wiedzieć czemu, poczuła wewnętrzny spokój. Było jej zimno. Chyba łapało ją jakieś przeziębienie, bo od kilku dni czuła też drapanie w gardle i ból mięśni. Otworzyła sobie drzwi własnym kluczem. Mieszkała tyle lat poza rodzinnym domem, mimo to nie oddała mamie kluczy. A przecież to nie był już jej dom.

– Halo? Jest tu kto?

– W kuchni – odezwała się mama.

Karolina zdjęła buty i ruszyła do kuchni. Mama stała przed stolnicą i wyrabiała ciasto na pierogi.

– Cześć – Karolina klapnęła na taborecie.

– Cześć.

– Robisz pierogi?

– A jak. Przecież wiem, jak je lubisz.

– No lubię, lubię...

– Umyj ręce – nakazała mama.

Karolina spełniła jej prośbę, po czym wróciła na taboret. Podjadała łyżeczką farsz.

– Nic nie zostanie, jak wszystko zjesz.

– Nie mogę się powstrzymać.

– Widzę – mama uśmiechnęła się do córki. – Co cię do mnie sprowadza?

Kiedy dzwoniłaś wczoraj, miałaś inny głos niż zwykle.

– Normalny...

– Coś nie tak?

Mama wrzuciła pierogi do gotującej się wody. Zamieszała drewnianą łyżką i odwróciła się do córki.

– No więc? Powiesz mi?

– Nic się takiego nie dzieje. Łapie mnie przeziębienie.

– A, bo taka pogoda. Ni to zima, ni to wiosna. Noce chłodne, poranki zimne, a w ciągu dnia słońce już mocno przygrzewa. Dam ci zaraz witaminę C, najlepsza na wszystko. I pierogów podjesz. Wskoczysz pod koc. Zrobię ci herbatę z cytryną i miodem. Będziesz jak nowo narodzona. Jutro sobota. Nie idziesz do pracy?

– Nie.

– To zostaniesz na noc?

– Chyba tak.

Mama wyłowiła pierogi. Nałożyła na talerz i okrasila roztopionym masłem z cebulką.

Usiadła naprzeciw córki.

– Jedz.

– Mamo?
– Mhm?
– Jakoś mi źle.
– Dlaczego? Coś się stało?
– Nic się takiego nie stało, ale czasami mi smuto... – ręką potarła skronie. – Nie mam męża, dzieci... Nawet mieszkania swojego nie mam. Wynajmuję.

Matka westchnęła.

– Na wszystko przychodzi pora.
– Myślisz?
– Ja to wiem, kochanie... – matka podeszła do córki i położyła dłoń na jej policzku. – A ten Marcin?

– Nie wiem... – Karolina wzruszyła ramionami. – Myślałam, że to ten... Ale on jakoś nie wykazuje inicjatywy. – Co ze mną jest nie tak?

– Wszystko jest z tobą w porządku... Faceci w dzisiejszych czasach są po prostu zniewieściali, boją się silnych kobiet, które wiedzą, czego od życia chcą. Golą klaty. Kto to widział kiedyś, żeby jakiś facet skubał sobie włosy? Przekłuwają sobie uszy, zapuszczają włosy i noszą warkocze. Boją się odpowiedzialności i zobowiązań.

Karolina się uśmiechnęła. Cała mama – pomyślała.

Długo nie mogła zasnąć. To było jej za ciepło, to za zimno. Przewracała się z boku na bok. Było jej smutno. Ostatnio tak rzadko się uśmiechała. Marcin sprawiał, że czuła się przy nim coraz bardziej nieszczęśliwa. Te jego ciągłe dogryzki, a to, że ubrała się jak „stara baba”, a to „zbyt młodzieżowo”, a to, że powinna o siebie zadbać. Raz nawet przy Marionie zaczął się z niej naigrywać...

– Założyłaś taką krótką kieckę, a na nogach masz żyłaki.
– No mam... To już kiecek nie wolno mi nosić?
– Są takie rajstopy, czekaj, czekaj jak one się nazywają – potarł dłonią skroń.
– A! Uciskowe. I chyba też maskują to, co trzeba zamaskować – zaczął się śmiać.
– A ty, to co? – nie wytrzymała przyjaciółka. – Łysiejący lowelas! – powiedziała dobitnie.

Marcin poczerwieniał. Zakola na czole były jego czułym punktem. Wstał od stołu i wyszedł z mieszkania.

– Nie powinnaś – zwróciła jej uwagę Karolina.

– A jemu wolno?

– Nie, nie wolno.

– To dlaczego sobie na to pozwalasz?

– To takie żarty.

– Dla mnie nie były śmieszne.

Dla niej też nie, ale Karolina wstydziła się do tego przyznać.

ROZDZIAŁ 17

Mariona wiedziała, że nastał ten dzień. Dzień, kiedy tak zwany wkurw rządzi twoimi emocjami. Wkurw bez powodu. Bo wstała lewą nogą, bo było jej zimno, bo te dni już wkrótce nadejdą, bo on nie zwraca na nią uwagi tak, jak to robił kiedyś, bo kiedyś robił jej kawę na dzień dobry, a teraz sama włącza ten pieprzony ekspres, co to buczy, bzczy, furczy. Bo dzieci marudne od rana i chcą tosty z miodem, a ona już zrobiła jajecznicę, bo Piotruś zapomniał odrobić pracę domową, bo to, bo tamto. I wkurw narasta, a ona trzaska szufladami, klnie pod nosem. O, kurwa! I mleko się rozlało. Oczywiście, że nie samo, ona je rozlała.

Mariona otworzyła na oścież okno i zaczerpnęła świeżego powietrza.

- Cholera, co tu tak zimno! – za jej plecami stanął Witek.
- Czerpię radość z rzeńskiego poranka.
- Co nie znaczy, że musisz wychładzać pomieszczenie.
- Trochę świeżego powietrza nikomu jeszcze nie zaszkodziło.
- Wolę kisać w swoim smrodzie. No już, zamykaj.

Mariona przewróciła oczami i zrobiła to, o co prosił.

- Umyj zęby – zwróciła się do męża.
- A co odczuwasz głębiej?
- Dogłębnie, skarbie, dogłębnie.

Witek podszedł do ekspresu.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie jest kawa? – potarł dłonią brodę.
- Może się skończyła – zaczęła ostrożnie kobieta.
- W twoim kubku widzę kawę.
- W moim tak, ale do twojego kubka już nie starczy.

Witek zmarszczył czoło.

– Jezu, czy w tym domu zawsze wszystko się kończy? Wczoraj nie miałem czym podtrzeć tyłka Marcelowi.

- I co zrobiłeś?
- Dobrze, że znalazłem chusteczki. Mariona, siedzisz w domu i ...
- Może i siedzę, ale przypominam ci, że to jest moje miejsce pracy.
- Ale wciąż w domu. Mogłabyś to jakoś ogarnąć.
- Czasami nie ogarniam. Pranie, sprzątanie, obiady, lekcje, wywiadówki, szycie zasłon i lalek, bo od pewnego czasu to one właśnie najlepiej się sprzedają...
- Takie jest życie – wzruszył ramionami.
- A ja czasami chciałabym siedzieć w namiocie zrobionym z koców.

- I bawić się lalkami?
- Czasami tak.
- Wiesz co, wiedziałem, że jesteś szurnięta, ale żeby aż tak?
- Aż tak, aż tak.

Witek przewrócił oczami, a ją ogarnęła irytacja.

I nie chciała być zła, a się złości. Gotowała się w środku, bo jej źle, tak, kurwa, po prostu źle. Bez powodu. Dzisiaj taki dzień. Dzień wkurwa. W końcu wybuchnęła.

- Nie krzycz!
- Nie krzyczę.

I chwilę potem poczuła się już lepiej. On podszedł do niej i powiedział, że to tylko zły dzień. Pocałował, przytulił, obiecał, że odwiezie dzieci do szkoły. A na odchodne dodał, żeby zrobiła sobie dzisiaj to, na co ma ochotę.

- Ale co?
- Cokolwiek.

Mariona przez kilka chwil włóczyła się bez celu po domu, a potem zrobiła sobie kąpiel z pianką i nałożyła maseczkę, zakręciła włosy, pomalowała paznokcie na czerwono. Odetchnęła.

I podziękowała w duchu za to wszystko, za tego męża, te dzieci, za tę codzienność. Wkurwa może mieć każdy. Po prostu zły dzień, dzień, który wkurwia.

Włączyła na cały regulator Ace of Base i tańczyła jak wariatka. Przypomniały jej się dawne czasy. Przeniosłaby się na moment do tamtych chwil, kiedy z Karoliną wywijały piruety przy tej muzyce.

Po południu postanowiła pójść do kawiarni. Usiadła przy stoliku, zamówiła bezę i cappuccino. Siedziała i delektowała się słodką ciastką. Rozejrzała się po sali i wtedy zobaczyła Marcina. Chłopak Karoliny czule gapił się w dekolt pięknej brunetki i gładził ją po ręce. Mariona poderwała się z krzesła. Zrobiła to tak gwałtownie, że przewróciła i krzesło, i filizankę. Marcin spojrzał w jej kierunku. Ich spojrzenia się skrzyżowały...

Mariona wpadła jak burza do mieszkania Karoliny.

- Nakryłam w kawiarni Marcinka z jakąś ognistą brunetką.
 - Tak, dzwonił do mnie, że cię widział.
 - Taka asekuracja z jego strony. Wiedział, że ci o tym doniosę, więc tak to rozgrywa. Co ci powiedział?
 - Że to klientka.
 - Klientka, której patrzy się czule w oczy i którą gładzi się po ręce?
- Karolina nic nie odpowiedziała.

– Karola, jesteś fajną, inteligentną, ładną, młodą kobietą, a tkwisz w jakimś beznadziejnym związku. On nawija ci makaron na uszy, a ty to łykasz. Wierzysz

w te jego słodkie słówka i bajki, że jesteś tą jedyną. A czemu nie możesz sobie uzmysłować, że tych jedynych, wyśnionych, jest kilka.

Wzruszyła ramionami.

– Co się z tobą dzieje?

– Po prostu chcę być szczęśliwa.

– Nie będziesz szczęśliwa z tym człowiekiem.

– Chcę mieć dziecko, męża.

– Oprzytomnij, kobieto! – Marionna traciła powoli panowanie nad sobą. Nie mogła patrzeć, jak Karolina tkwi w związku bez przyszłości. – Bo już naprawdę zachowujesz się jak jakaś desperatka.

Następnego dnia Marionna źle się czuła. Dostała okresu. Była sobota. Witek wyjątkowo musiał pójść do pracy, a ona szyła firanki. W pewnym momencie usłyszała płacz. Odrzuciła na bok tkaninę i ruszyła w stronę pokoju, w którym bawili się jej synowie. Marcel leżał na dywanie, a z nosa kapłała mu krew. Marionna podniosła synka, zaniosiła do łazienki, na nos nałożyła mu zimny kompres, po czym usadziła na fotelu i podparła poduszkami. Rozwścieczona, wróciła do pokoju, gdzie układał klocki Piotruś.

– Co się tu dzieje?

– Bawiliśmy się klockami. Marcel wstał i zaczął po nich skakać. Poślizgnął się i upadł.

– To dlaczego go nie upomniałeś? Nie można skakać po klockach! Chwila nieuwagi i tragedia. Popatrz, jak się to skończyło!

– Wiem.

– Jesteś starszy, musisz się opiekować młodszym bratem!

Marionna wyszła z pokoju. Wypiła szklankę zimnej wody i policzyła do dziesięciu. Wróciła do pokoju gościnnego, gdzie na fotelu siedział jej młodszy syn.

– Wszystko w porządku?

Maluch skinął głową. Marionna włączyła mu bajkę. W tym momencie usłyszała płacz dochodzący z drugiego pokoju. Wróciła do pokoju dzieciennego. Na łóżku leżał Piotrek, jego drobne ciało trzęsło się jak w febrze. Kobieta usiadła na brzegu łóżka i delikatnie położyła dłoń na jego plecach. Chłopiec wzdrygnął się. Kobieta poczuła silny ucisk w okolicach serca. Niepotrzebnie się uniosła.

– Mamo, ja nie jestem tatą ani mamą. To nie ja powinienem się opiekować Marcelkiem. Za każdym razem, kiedy jemu coś się stanie, krzyczysz na mnie.

On ma rację – pomyślała Marionna.

– Przepraszam. Przepraszam cię bardzo. Wzięła synka w ramiona i mocno do siebie przytuliła. – Masz rację. To ja powinnam opiekować się wami. To ja jestem mamą.

Chłopiec wtulił swoją zapłakaną twarzyczkę w jej pierś.

Kiedy obaj się uspokoili, Marionna zaproponowała, żeby upiekli ciasto.

– Taaak – odpowiedzieli zgodnie chłopcy.

Marcel z Piotrkim stali przy stolnicy, od stóp do głów umorusani w mące. W powietrzu też unosiły się drobinki mąki i cukru pudru, jakby przed chwilą była u nich jakaś dobra wróżka i rozsypała magiczny pył. Jest jakaś magia w tej właśnie chwili, kiedy dzieci śmieją się wniebogłosey wbijając kolejne jajko do miski, nie bacząc na kawałki skorupki, które wpadają do naczynia wraz z jajkiem. I kiedy starszy syn tłumaczy młodszemu, że trzeba dodać jeszcze taki magiczny proszek, który się nazywa proszek do pieczenia.

– Do pieczenia – powtórzył Marcel.

– I jak dodasz ten proszek, to ciasto urośnie.

– Urośnie – powtórzył znów malec.

– No zrobi się takie duże i puchate.

– Puchate.

Mariona uśmiechnęła się do siebie. Dla takich chwil warto żyć. Dla tego mączno-pudrowego pyłu, jajek ze skorupkami i puchatego ciasta.

* * *

Karolina wracała właśnie z pracy, gdy przed drzwiami do mieszkania zaczepiła ją kobieta. Ubrana była w nienagannym stylu. Wyglądała jak typowa bizneswoman, zaradna życiowo i pewna siebie.

– Gdzie jest ten złamany fiut? Padalec jeden! – zapytała.

Karolinę zatkało. Nie spodziewała się, że taka wytworna kobieta może rzucić mięsem.

– Kto?

– Marcin.

– Pani zna Marcina?

– Jestem jego żoną.

Oczywiście, że Karolina słyszała o tej żmii, co to przespała się z jego najlepszym kolegą, a potem zażądała rozwodu i puściła Marcina z torbami...

– Czego pani jeszcze od niego chce?

– Żeby płacił alimenty.

– Przecież płaci – Karolina sama dorzucała sześćset złotych do jego alimentów.

– Od czterech miesięcy nie przysłał ani złotówki, nie wspominając, by odwiedził dzieci.

– Jak to? Co sobotę jeździ do dzieci.

Kobieta prychnęła.

– Jest pani głupia czy naiwna?

Karolina poczuła się tak, jakby ktoś kopnął ją w sam środek brzucha. Odruchowo skuliła się.

Kiedy obie kobiety ochłonęły, dziewczyna dowiedziała się, że Marcin ma takie długi, że wierzyciele z Trójmiasta, gdzie wcześniej mieszkał, szukają go po całej Polsce. Wcale nie jest współwłaścicielem firmy. Kuzyn zatrudnił go na czarno i płacił mu jakieś grosze. I najważniejsze, jej Marcin nie był wcale rozwiedziony. Co prawda, od półtora roku nie mieszkał z żoną, ale rozwodu nie dostał.

– Skurwiel! Popieprzony skurwiel!

Kiedy Marcin wrócił do domu, Karolina zrobiła mu karczemną awanturę. Sądziła, że mężczyzna będzie chciał się jakoś wytłumaczyć, ale on, jak gdyby nigdy, nic wyjął z pawlacza torbę i zaczął pakować swoje rzeczy.

– Co robisz? – zapytała.

– Odchodzę.

– Tak po prostu? Nawet nie próbujesz niczego wyjaśnić, przeprosić?

– Wszystko już wiesz... – nawet na nią nie spojrział.

– Jaka ja byłam ślepa, jaka głupia. Żyłeś sobie jak król, a ja naiwniaczka...

Podsuwałam ci talerze z żarciem pod nos! Prałam twoje skarpety i gacie!

– Z tą królewskością bym nie przesadzał...

– Zapierdałałam po dziesięć godzin, żeby opłacić rachunki, a ty... – Karolina zdjęła z suszarki jego skarpetki, zwinęła w kulkę i cisnęła w niego.

– Od dłuższego czasu nam się nie układało...

– No, jak widać. Kim była ta kobieta w kawiarni? Wiesz, ta, z którą widziała cię Mariona.

– Spotykamy się od kilku tygodni.

– Co takiego? – Karolina poczuła, że straci nad sobą panowanie.

Wzruszył ramionami.

– Wynoś się, ale już!

– Musisz mu podziękować za to, że od ciebie odszedł – powiedziała dobitnie Mariona, która przyjechała do mieszkania Karoliny natychmiast po tym, jak przyjaciółka zadzwoniła do niej, żeby wylać swoje żale.

– Zgłupiałaś? – Karolina wytrzeszczyła oczy. – Mam mu dziękować, że mnie zostawił dla innych nóg. Długich nóg. Że mnie oszukiwał przez cały ten czas?

– Tak. A wiesz, dlaczego? Bo nie był wart funta kłaków. Zobacz, jak przez niego wyglądasz: worki pod oczami, szara cera, zapuchnięte powieki.

– Od płaczu ta opuchlizna.

– A jak się przez niego czułaś? Źle. Wiecznie skwaszona mina, ciągle obwinianie siebie, że mogłaś zrobić dla niego coś lepiej. Kiedy ostatnio się śmiałaś? Byłaś szczęśliwa? Tylko mi nie mów, że przy nim się tak czułaś.

– Nie. No nie.

– Ja mu podziękuję, że cię zostawił, że przywrócił mi dawną siebie. I te jego głupie teksty: „Nie masz wcale ładnych nóg, by nosić krótkie kieciki”. Nieprawda, masz. Masz takie nogi, że faceci ślinią się na ich widok, a on był zwyczajnie zazdrosnym, sfrustrowanym gnojkiem.

Karolina postanowiła, że nigdy już nie wejdzie w takie bagno. Od razu, bez żadnej asekuracji... i zapadła się po samą szyję. Kto tego nie przeżył, nie zrozumie. Zakochanie odziera ludzi ze zdrowego rozsądku. Jeśli jesteś zauroczona, to nie dociera do ciebie, że trzeba myśleć mimo wszystko racjonalnie, ruszyć głową, a nie tylko kierować się podpowiedziami serca, które bywają zdradliwe. Zakochanie sprawia, że człowiek unosi się nad ziemią. Ale upadki z chmur na ziemię bywają niezwykle bolesne.

Czy żałuje? Nie. Teraz, gdy trochę ochłonęła, to nie, czegoś się nauczyła: ślepo nie ufać, nie zatracać się bez reszty, zachować zdrowy rozsądek.

Już wiedziała, że nie szuka szaleństwa, dzikiej jazdy na motorze. Chce przewidywalności, rutyny, zwyczajności. Oczekuje, by ktoś przykrył ją kocem, kiedy jest jej zimno, albo zrobił dla niej herbatę z cytryną.

ROZDZIAŁ 18

Mariona siedziała w kuchni, popijała kawę i zastanawiała się, kiedy w jej udanym przecież małżeństwie powiało nudą, zwyczajnością. Podczas gdy Karolina chciała zaznać odrobinę rutyny, ona marzyła o tym, by poczuć jeszcze wiatr we włosach.

Niekiedy wydawało jej się, że odkąd urodziły się dzieci, brakuje w jej związku tej pasji, tej namiętności, która towarzyszyła im na początku drogi. Ale czy ona aby nie przesadza?

Wieczorami, kiedy Mariona była już w łóżku, a jej mąż wślizgiwał się pod kołdrę i otaczał ją swoimi ramionami, ta jego czułość wywoływała w kobiecie fale pożądania. Czasami wtulała się w niego mocno i zasypiała, ukojona jakimś dziwnym spokojem. Innym razem kochali się. Chociaż ostatnio, prawdę mówiąc, coraz częściej wybierała sen. Po prostu była zbyt zmęczona obowiązkami domowymi, aby w nocy kochać się z mężem. Może wtedy on poczuł się zepchnięty na drugi plan? Może zamiast trzech prań, obiadów na dwa dni, ciast, prasowania koszul powinna zadbać o ich życie seksualne? Ale nie tylko o to chodziło. Także o chwilę uwagi z jego strony. Żeby zapewnił ją, że wciąż kocha. Chciała, by szeptał jej do ucha, jaka jest piękna, by odstawił dzieci na weekend do mamy i porwał ją w nieznane. Takiego dreszczyku szaleństwa brakowało jej w tym związku.

Tego dnia upiekła dla Witka jego ulubione ciasto. Podziękował, zjadł ze smakiem, po czym usiadł z chłopakami przed telewizorem. Oglądali jakiś program o motocyklach. Z jednej strony była wzruszona, kiedy na nich patrzyła, z drugiej nie tego oczekiwała po tym wieczorze. Zebrała talerze, wstawiła do zmywarki i weszła do łazienki. Właśnie się rozbierała, kiedy Witek otworzył drzwi. Uśmiech pojawił się na jej twarzy. Będziemy kochać się pod prysznicem? Jak w tych wszystkich filmach...

I nagle głos Witka wyrwał ją z letargu.

– Marcel poszedł robić kupę.

– No i?

– Albo zaczekasz z prysznicem, albo musisz się pospieszyć.

– Nie rozumiem. Dlaczego ty nie możesz podetrzeć mu pupy?

Wzruszył ramionami.

– W sumie mogę, ale tobie wychodzi to lepiej.

– Litości. Idę się myć, a ty zamykaj drzwi i podetrzyj mu obsrany tyłek.

Mariona wyszła z łazienki dopiero po kilkunastu minutach. Była wściekła. Poprosiła, by Witek przyszedł do kuchni. Chłopcy nadal siedzieli na kanapie i gapili się w telewizor. Kobieta zamknęła drzwi.

– Co ty odpierdalasz? – wyrzuciła z siebie.

– Dlaczego od razu się unosisz?

– W ogóle nie angażujesz się w życie rodzinne.

– Jezuuu – jęknął. – Co cię ugryzło?

– Obsrany tyłek! Nie mogę wziąć prysznicza w spokoju!

– Ja też potrzebuję w ciągu dnia kilku chwil dla siebie.

– Ty wychodzisz do pracy i nic więcej oprócz twojej roboty cię nie obchodzi.

– A ty pracujesz w domu. Siedzisz sobie wygodnie w domciu...

– Tak, pracuję, gotuję, piorę, zajmuję się dziećmi.

– Też się nimi zajmuję.

– Od wielkiego dzwonu.

– Przestań pieprzyć! – Witek poczerwieniał na twarzy. – A teraz co niby robiłem?

– Posadziłeś ich przed telewizorem. Ciekawe, co by się stało, gdybym od was odeszła?

– Dokąd?

– Nie wiem... Może do innego faceta.

Witek zaczął się ironicznie śmiać.

– Myślisz, że jeszcze ktoś by cię zechciał?

– Pieprz się!

– Sama się pieprz.

Ile słów niepotrzebnych było między nami – pomyślała. – Ile „kurew” rzuconych w złości.

I to jest miłość? Są kryzysy nie do przejścia i takie, które mijają.

* * *

Mariona stała pod szkołą i czekała na chłopców. Dwa miesiące temu przepisała Marcela do przedszkola, które znajdowało się w tym samym budynku, co podstawówka Piotrusia.

Wokół drzwi zebrało się kilka grupek matek. Zawsze jej się wydawało, że szkolne mamuśki ją obgadują. Była grupa mam niepracujących. Kobieta nieraz

próbowała do nich zagadać, ale skoro szła firanki i zasłony, to mamuśki najwyraźniej uznały, że do nich nie pasuje, w końcu nie była bezrobotna. Drugie kółeczko zebrało się wokół mamy Kasiuni. Kasiunia była córką natapirowanej blondyny, żony słynnego chirurga plastycznego. Mamusia Kasiuni nie pracowała, ale za to dobrze wyglądała i wydawała pieniądze doktorce. Wokół niej zbierał się klan mamusiek, które piałły z zachwytu nad nowymi trendami mody. Były też matki pracujące w biurach – one rozmawiały o wyzysku w korporacjach, matki-plotkary, które uśmiechały się od ucha do ucha, a kiedy tylko odeszłaś na bok, obsmarowywały ci dupę.

Mariona trzymała się na uboczu. Nie mogła się doczekać, kiedy zadzwoni dzwonek, a dzieciaki wybiegną ze szkoły i skończy się ten cały cyrk.

– Sądzę, że czuje pani to samo, co ja – usłyszała męski głos.

Odwróciła głowę. Obok niej stał mężczyzna w średnim wieku. Przystojny. Uśmiechnięty.

Wariat – pomyślała Mariona, przyglądając się nieznajomemu w białej koszuli z podwiniętymi rękawami.

– Pewnie pani myśli, że jestem wariatem?

– Powiedziałaś to na głos?

– Nie, ale wnioskuje po pani minie, tak pani pomyślała.

– Ma pan rację.

– Od kilku dni obserwuję panią.

– Często się to panu zdarza?

– Ale co?

– Obserwować ludzi.

– Tak. Jestem maniakalnym podglądaczem.

Jezuuu! – jęknęła w duchu.

Roześmiał się.

– Żeby pani zobaczyła swoją minę.

– Po prostu stoi pani na uboczu i, podobnie jak ja, nie należy pani do żadnej mamuśkowej grupy – przewrócił oczami.

Teraz z kolei Mariona się roześmiała.

– Jakoś nie ciągnie mnie do nich.

– Powiem pani coś w sekrecie, mnie też nie.

Roześmiali się oboje.

– Przeprowadziliśmy się znad morza kilka miesięcy temu.

– Czyli zaczynacie jakby od nowa.

– Jakby tak.

Chłopcy wybiegli ze szkoły, przekrzykując się nawzajem. Mariona mocno ich do siebie przytuliła, a potem jeszcze raz spojrzała ukradkiem na nowo poznanego tatusia. Może w nim znajdzie kogoś przychylnego, z kim mogłaby

porozmawiać pod szkołą o dzieciach, i nie czułaby się w końcu jak outsiderka? Już kiedyś rozmawiała o tym z Witkiem.

– Ale z czym masz problem? – zapytał ją wówczas mąż.

– Z innymi mamami.

– Nie musisz ich lubić.

– Nie muszę, one mnie też nie. Ale są chłopcy. Rzadko ktoś zaprasza ich na urodziny. I to nie dlatego, że nie są lubiani, a dlatego, że szanowne mamusie mnie nie lubią.

– Przesadzasz.

– Nie przesadzam. One po prostu mnie nie cierpią. Niedługo będą urodziny Piotrusia. I co?

– Wypiszesz zaproszenia, a Piotruś wręczy je kolegom i koleżankom z klasy.

– A jak nikt nie przyjdzie?

– Posłuchaj, to są urodziny dzieci, a nie twoje, więc...

Zadzwoiła komórka Witka. Mąż pocałował Marionę w czoło, machnął do niej ręką na pożegnanie i wyszedł z domu.

Witek wrócił z pracy. Po jego minie Mariona wywnioskowała, że miał ciężki dzień. Jednak ona też łatwego nie miała. Samochód nie odpalił, maszyna do szycia zaczęła szwankować, a poza tym zabrakło tasiemek.

– Cześć – cmoknęła go w policzek.

– Cześć – burknął.

– Podrzucisz mnie do pasmanterii? – Mariona nie lubiła jeździć samochodem Witka, był dla niej stanowczo za duży.

– A sama nie mogłaś pojechać? Za mało masz wolnego czasu?

Spiorunowała go wzrokiem.

– Pisałam ci, że samochód mi nie odpalił.

– Pisałaś.

– To co?

– Jezuuu, Mariona. Muszę wziąć prysznic, przebrać się, coś zjeść.

– To zajmie ci trochę czasu, a sklep jest czynny tylko do siedemnastej.

– Daj mi spokój, okej?

– Okej. Dam ci spokój.

Mariona wybiegła na korytarz, włożyła buty i wyszła z domu.

– Cholera z tymi chłopami! – zaklęła pod nosem.

Kiedy była w połowie drogi, zaczął siąpić deszcz, a ona nie miała przy sobie parasolki. Przyspieszyła. Deszcz rozpadał się na dobre. Była już cała mokra. Popatrzyła na niebo, wielka ciemna chmura jakby specjalnie nad nią zawisała.

Szła dalej, woda spływała po jej policzkach, w butach jej chlupało. Ktoś zatrąbił.

Odwróciła głowę, bo jakiś samochód zwolnił. Po chwili szyba się uchyliła, a we wnętrzu pojazdu zobaczyła tatusia ze szkoły.

– Pani mammo, niech pani wsiada.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”! Tylko błagam, niech się pani pospieszy... Już na mnie trąbią.

Mariona zauważyła, że za samochodem tatusia poznanego pod szkołą zrobił się korek. Otworzyła więc drzwi i wsiadła do samochodu. Ruszyli.

– Wszystko będzie miał pan przeze mnie mokre.

– Jakoś przeżyję. W drzwiach jest paczka chusteczek, proszę sobie wziąć i wytrzeć trochę twarz – uśmiechnął się do niej.

– Przydałby mi się ręcznik.

– Zapraszam więc do mnie. Mieszkam na Wawelskiej, to...

– Wiem, gdzie jest Wawelska. Nie, dziękuję. To już wolę chusteczki – sięgnęła po paczkę. Tatuś roześmiał się.

– Nic bym pani nie zrobił.

– No nie wiem.

Parsknęli śmiechem.

– Gdzie mam panią podrzucić?

– Do pasmanterii w centrum handlowym, jeśli to nie problem.

– Nie problem – znów się do niej uśmiechnął, a w jego policzkach pojawiły się urocze dołeczki.

– Mariona jestem – przedstawiła się.

– Bartek. Mariona to wyjątkowe imię. Niespotykane. No, ale zapewne jesteś wyjątkową kobietą.

– Chyba nie – skwitowała zbyt szorstko.

Dojechali do pasmanterii. Mariona wyskoczyła z samochodu Bartka jak oparzona. Na odchodne krzyknęła tylko, że dziękuje za podwózkę, i machnęła do niego ręką. Kupiła tasiemki i parasol, a także kawę na wynos, by się rozgrzać. Kiedy wyszła z centrum handlowego, zobaczyła, że samochód Bartka stoi dalej na parkingu.

Może też miał coś do załatwienia? – pomyślała.

Rozłożyła parasol i już miała ruszyć przed siebie, kiedy usłyszała za sobą znajomy głos.

– Odwiozę cię.

Odwróciła się. Spojrzała na rozpromienioną twarz mężczyzny.

– Nie. Daj spokój i tak już dużo dla mnie zrobiłeś.

– To żaden kłopot. Czekałem tylko na ciebie.

– Tylko na mnie... – Mariona była wyraźnie zakłopotana.

Wsiadła do samochodu. Oboje byli lekko speszeni. Praktycznie w ogóle się

do siebie nie odzywali. Pod mieszkaniem Mariony znaleźli się po dziesięciu minutach jazdy.

- Dziękuję ślicznie – powiedziała Mariona. – I do zobaczenia.
- Na pewno spotkamy się pod szkołą.
- Na pewno.

* * *

Budzik Witka dzwonił już kilkanaście sekund.

- Czy nie mógłbyś go wyłączyć? – mruknęła wściekła Mariona.
- Jeszcze pięć minut.
- Okej. Tylko wyłącz ten cholerny budzik!

Przymknęła oczy, za kilka minut znowu włączył się alarm.

– Cholera jasna! – Mariona usiadła na łóżku rozbudzona.

– A może zacząć tak dzień od „dzień dobry”? – Witek cmoknął żonę w policzek.

- Codziennie to samo.
- Nie codziennie, tylko raz w tygodniu wstaję wcześniej od ciebie.
- To może dałbyś mi dłużej pospać ten jeden raz.
- Ja cię nie budzę.
- Tylko twój budzik.

Witek wyszedł z pokoju, a kobieta zawinęła się w ciepłą kołdrę. Jednak już po chwili usłyszała tupot stópek.

– Mamo?

– Hmm...

– Śpisz?

– Hmm...

– Mamo?

– Hmm...

– Ale za oknem już jest jasno.

– Jest szósta trzydzieści. Połóż się obok mnie i spróbuj zasnąć.

Marcel ułożył się pod pachą Mariony. Kobieta ponownie zamknęła oczy. Po kilku chwilach dziecko odezwało się ponownie.

– Mamo?

Jezu!!! – jęknęła w duchu. – Zignoruję go, to może da mi spokój.

– Mamo? – rączki synka zaczęły nią potrząsać.

– Co tam?

- Burczy mi w brzuszku.
- Tato jest w kuchni.
- Ale tato robi mi chrupki z zimnym mleczkiem, a ty z ciepłym.
- Poproś tatę o ciepłe mleko.
- Odpowie mi, że się spieszy do pracy.

Fuck! Fuck! Fuck!

Mariona usiadła na łóżku.

- O! Wstałaś? – Marcelek uśmiechnął się do mamy.
- Wstałam – kobieta przytuliła synka. – Chodź, podgrzeję ci mleko.

Włożyła szlafrok i we dwójkę poszli do kuchni. Witek właśnie skończył jeść.

Zerknął na zegarek.

- Lecę, bo się spóźnię – oznajmił. Pocałował żonę i chłopca.

– Leć.

– A, zapomniałbym. Nie ma już srajtaśmy.

– Było jeszcze pół rolki.

– Przed tym, zanim zamknąłem się w łazience.

– Co ty robisz z tym papierem?

– Wolalabyś nie wiedzieć – mówiąc to, jeszcze raz pocałował żonę, tym razem w czoło. – Dobra wiadomość jest taka, że zostawiłem wam paczkę chusteczek higienicznych.

– Faktycznie, to dobra wiadomość.

Mariona podgrzała Marcelowi mleko, nasypała do miseczki jego ulubionych chrupków i poszła do pokoju Piotrka. Starszy syn jak zwykle ociągał się ze wstawaniem. Odsłoniła rolety, dała mu całusa, a kiedy i to nie pomogło, delikatnie zaczęła go łaskotać. Chłopak wierzgał nogami i śmiał się wniebogłose. Kiedy się już rozbudził, Mariona poszła do kuchni zrobić mu śniadanie. Zaparzyła sobie kawę i spojrzała na zegarek. Rano zawsze czas szybko leciał.

– Chłopaki, pospieszcie się. Mamy pół godziny do wyjścia.

Weszła do łazienki, wzięła prysznic. Kiedy się wycierała, usłyszała huk. Owinięta ręcznikiem ruszyła do kuchni. Marcel stał nad rozbitą miską.

– Ja tylko chciałem zanieść miskę do zlewu.

– Nic się nie stało – powiedziała, choć w duchu zaklęła. To już trzecia rozbita miska w ciągu dwóch tygodni.

Mariona zaczęła szybko zbierać kawałki zbitego naczynia, aby przypadkiem któryś z chłopców nie skaleczył nogi.

– Idźcie umyć zęby, ja w tym czasie posprzątam.

Po kilku chwilach ogarnęła bałagan i pobiegła do łazienki. Chłopcy się już ubierali, a ona próbowała nałożyć makijaż. Kreski na górnych powiekach nie wyszły jej równe. Poprawiła prawą kreskę, ale okazała się grubsza niż na lewej powiece.

– Niech będzie – rzuciła do siebie i pobiegła do szafy. Bluzka, którą chciała założyć, była jak psu z gardła wyjęta. Zamiast niej włożyła więc rozciągnięty, „domowy” sweter.

– Mamo? – w progu stanął Piotrek.

– Co tam znowu?

– Gdzie moje skarpetki?

– W szufladzie.

– Nie ma.

– Są.

– Tylko szare.

– Włóż szare. Co jest nie tak z szarymi?

– Dzisiaj w szkole mamy zielony dzień. Mówiłem ci o tym.

– Skarpetki możesz mieć szare.

– Ale przecież mam jedną parę zielonych.

– W koszu na brudną bieliznę.

– To wyjmę.

– Nie. Włóż szare.

– Mamooo – jęknął.

– Rób, co chcesz.

Mariona ponownie zanurkowała w szafie. Wyjęła niezawodne czarne legginsy. Zerknęła na zegarek. Byli już spóźnieni.

– Chłopaki, jak u was?

– Gotowi.

Wyszła do przedpokoju. Chłopcy zakładali buty. Kobieta spojrzała na starszego syna. Na nogach miał zielone skarpetki.

– A więc wyjąłeś je z brudów? – ruchem głowy wskazała na skarpetki.

– A miałem inne wyjście?

Kobieta uśmiechnęła się. Włożyła buty. Chłopcy wyszli na klatkę schodową, a ona poklepała ręką po kieszeniach.

– Klucze. Czy ktoś widział moje klucze?

Wbiegła do kuchni, tam ich nie było. Przetrzęsnęła szarą torebkę. Też nie. W pokoju również ani śladu.

Zawsze to samo. W końcu znalazła je... w lodówce. No, tego jeszcze nie było. Zaczęła się śmiać, a chłopcy wraz z nią.

Tamtego dnia Mariona ponownie spotkała Bartka.

– Przyszedłem trochę wcześniej w nadziei, że i ty będziesz przed czasem – mężczyzna uśmiechnął się do niej.

– Przyszłam pięć minut przed dzwonkiem.

– A ja już tu czatuję na ciebie od piętnastu.

– Aha.

- Nie chcę, byś pomyślała, że się narzucam, ale chciałem cię o coś zapytać.
- Pytaj.
- Czy wiesz może, jak zrobić francuski warkocz? Albo kłosa?
- Francuski warkocz?
- Tak.
- Tak, potrafię. Dlaczego pytasz?
- Bo ja nie umiem.
- A twoja żona?
- Ona nie żyje.
- O, jejku – Marionie kompletnie nie wiedziała, co ma powiedzieć. – Przykro

mi.

- Zmarła kilka lat temu. Nie chcę o tym mówić.
- Tak, rozumiem.

– Do niedawna Agnieszka nosiła włosy obcięte na pazia, potem stwierdziła, że zapuszcza. Nie ścinamy ich już od półtora roku. Urosły do łopatek. Od kilku dni chce, bym jej zaplótł ten warkocz, ale ja za cholerę nie potrafię – wrzucił ramionami. Był taki zakłopotany i zagubiony, że Marionie zrobiło się go żal.

– Mogę cię nauczyć. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj jedziemy z chłopakami na trening. Mam pomysł – Marionie uśmiechnęła się do Bartka. – Mam w domu włosy. Na nich cię przetrenuję.

- Włosy?
- Sztuczne, do lalek.
- Do lalek?
- Szyję lalki i zasłony...

Dzwonek zadzwonił. Ze szkoły zaczęły wybiegać dzieciaki. Marionie w pośpiechu napisała na kartce swój adres.

Następnego dnia spotkali się u niej w domu. Marionie czuła lekki niepokój, gdyż nie powiedziała Witkowi, że ma w planach zaprosić do domu Bartka i to w dodatku pod nieobecność męża i dzieci. Z drugiej jednak strony niczego złego nie robiła. Pokazała Bartkowi, jak się robi francuza. Potem on próbował powtórzyć. Z początku mu nie wychodziło. Śmiali się z jego poczynań.

Za którymś razem mężczyzna zaplótł w końcu włosy tak, jak należy.

- Nareszcie! – Marionie uśmiechnęła się do niego.
- Ciekawe, jak mi pójdzie z prawdziwymi włosami.
- Możesz spróbować z moimi – wypaliła Marionie szybciej niż pomyślała. Spojrzał na nią jakoś dziwnie, a ją przeszył dreszcz.
- Spróbuję.

Kobieta usiadła na krześle, odgarnęła do tyłu włosy. Mężczyzna zebrał je wszystkie w swoje ręce, delikatnie muskając jej szyję. Marionie ogarnęło ciepło. Tak dawno tego nie czuła.

Kiedy poznajesz jakąś osobę, która na swój sposób ci się podoba, kiedy między wami jest jakaś chemia, to pojawia się taki pstryk, jakby ktoś włączył światło. Rozświetlił tę ciemność, w której od dłuższego czasu siedziałaś. To tak, jakbyś przez jakiś czas płynęła sobie swoją łódeczką po spokojnym morzu, aż tu pewnego dnia nadchodzi sztorm i musisz tak sterować, by nie zatonąć. Czulaś to kiedyś?

– Napijesz się kawy? – zaproponowała.

– Chyba będę już uciekał.

– Rozumiem.

– Pracuję w domu. To znaczy przez większość czasu. Po śmierci żony szefowie poszli mi na rękę. Tylko dwa razy w tygodniu jeżdżę do biura.

– O, to dobre rozwiązanie... – Marionna zawiesiła głos.

– Tak. To dobre rozwiązanie dla wdowca z dzieckiem. W dodatku, kiedy przeniosłem się tutaj, również znaleźli mi odpowiednie stanowisko.

Następnego dnia Witek skończył pracę wcześniej i razem z Marioną wybrali się spacerkiem do szkoły. Kiedy dotarli na miejsce, Bartek machnął do nich ręką.

– Kto to? – zapytał Witek.

– Tato Agnieszki.

– Aha.

Marionna szła o zakład, że Witek nie wiedział, kim jest Agnieszka.

Podeszli do Bartka. Marionna burknęła:

– Cześć.

Bartek przywitał się z nią i podał rękę Witkowi. Nie zauważyła, by był skrępowany. To ona czuła się jakoś nieswojo. Bała się, że mężczyzna napomknie Witkowi, że był u nich w domu. Ten jednak taktownie nie odezwał się na ten temat. Rozmawiali o polityce, a ona milczała. Kiedy zadzwonił dzwonek, Marionna odetchnęła z ulgą. Przez cały czas była dziwnie spięta.

Agnieszka jako pierwsza wyszła ze szkoły. Bartek pożegnał się z nimi i ruszył z córką w stronę parkingu.

Chłopcy wyszli z budynku prawie na końcu. Kiedy wracali we czwórkę do domu przez park, minęła ich młoda kobieta w obcisłej kiecce, na wysokich obcasach. Kołysała biodrami i obaj chłopcy obejrzel się za nią, jak na zawołanie.

– Niezła jest – powiedział Piotrek.

– Nooo – zawtórował mu Marcel, który pewnie sam nie wiedział, o co chodzi, ale przytaknął bratu.

– Naprawdę, ma czym kołysać i czym oddychać – Witek uśmiechnął się szeroko.

– Ej, chłopaki. Halo, ja tutaj jestem – odezwała się Marionna. – Czego ty ich uczysz? – zwróciła się do męża.

– By doceniali piękno. A swoją drogą... – nachylił się w stronę żony. –
Widziałaś, jakie miała balony?

– Spadaj.

– Ale naprawdę, zderzaki takie, że...

– Pewnie sztuczne.

– Na bank naturalne.

– Niektóre to mają szczęście.

– A ich mężczyźni są pewnie w siódmym niebie.

– Niech ci cytata piękność zrobi dzisiaj obiad. I twoim synom też! – Mariona przyspieszyła kroku.

ROZDZIAŁ 19

Mariona zadzwoniła do Karoliny.

– Nie uwierzysz?

– Pewnie nie.

– Odplątywałam choinkowe lampki.

– W maju?

– Jakoś mi się zeszło do maja, by zrobić z nimi porządek. Postanowiłam sprawdzić, czy świecą, a potem wrzucić je na pawlacz, bo od pięciu miesięcy leżały sobie w pudle na korytarzu. Byłam nimi obwiązana od stóp po głowę. Kiedy udało mi się nad nimi zapanować, stwierdziłam, że sprawdzę, czy wszystkie świecą. Podłączyłam się do kontaktu w przedpokoju i wtedy usłyszałam dzwonek do drzwi. Otworzyłam, a w progu stał Bartek.

– Ten tatuś, którego poznałaś pod szkołą? – Mariona kilka dni wcześniej w kilku zdaniach streściła przyjaciółce, jak to uczyła Bartka robić kłosa.

– Tak, to on. Otworzyłam mu drzwi...

– A ty nadal świecisz?

– A jak? Żebyś widziała jego minę.

– Wyobrażam sobie.

– Rozbawiony był, ale słodko.

– Wariatko, śmiał się z ciebie. Baba obwiązana lampkami choinkowymi.

Przedni widok.

– W jego oczach były takie psotne chochliki...

– A tobie co? Psotne chochliki? To coś?

– Bo patrzył tak na mnie.

– Jak?

– No tak...

– No wiesz, baba obwiązana lampkami choinkowymi robi wrażenie.

– A ty znowu swoje.

– A w ogóle, co on robił u ciebie?

– Przyniósł mi w podziękowaniu bombonierkę.

– Za co ci tak dziękował?

– No za to, że nauczyłam go pleść warkocz.

– I co, i musiał wpaść do twojego mieszkania, jakby nie mógł dać ci tych czekoladek pod szkołą...

– O tym nie pomyślałam.

– Facet jest wdowcem, zapewne w potrzebie...

– Przesadzasz... – Mariona uśmiechnęła się pod nosem i otworzyła pudełko

ze słodyczami.

– Uważaj na niego.

* * *

I po cholere mi to było? – pomyślała Mariona.

W tym momencie miała ochotę zniknąć. Ale przecież nie opuści przyjęcia urodzinowego swojego syna.

Dzieci bawiły się w wynajętej sali. Jej mąż dorwał jakiegoś wolnego słuchacza i rozprawiał z nim o piłce nożnej i samochodach, a ona spacerowała między stolikami, gdzie siedzieli rodzice dzieci, głównie mamy. Nalewała kawy do kubków albo częstowała ciastem. Większość mam odmawiała słodkości, tłumacząc się dietą. Mariona zastanawiała się, czy faktycznie są na diecie, czy też nie mają ochoty na jej wypiek. Skoro one nie chcą jej ciasta, sama się poczęstowała. Spojrzała na zegarek. Minęło dopiero pół godziny, a przyjęcie Piotrka miało trwać dwie.

W końcu Mariona usiadła przy stole, przy którym siedziały dwie mamusie. Znała je tylko z widzenia. Jedna z matek, ta bardziej puszysta z ciemnymi włosami, opowiadała o swojej córce, która była najlepszą uczennicą. Druga twierdziła, że jej pociecha jest wybitna z matematyki.

– Mówię wam, geniusz. Już tabliczkę mnożenia zna. Niedługo chyba zaczniesz rozwiązywać zadania z ułamkami, całkami czy czym tam jeszcze.

– A moja Wiola francuski łapie w mig.

Mariona włożyła do ust jeden kawałek ciasta, potem drugi, byle tylko się nie odzywać.

– Widziałaś, jak ta Bojarska przytyła?

– Myślałam, że jest w ciąży.

– W jakiej ciąży! Toż po prostu je bez opamiętania – powiedziała przysadzista brunetka, która sama, mimo iż ponoć była na diecie, zjadała właśnie kolejnego muffinka. Akurat ona nie powinna się wypowiadać na temat zdrowej diety innej mamy.

– A Milena, wie pani, mama Mateuszka – blondynka zwróciła się do Mariony. – Ubrała się, jakby przyszła na imprezę dla dorosłych.

– Gdzie to tak cystickami świecić?

Mariona nawet nie wiedziała, która to mama Mateuszka.

– A ta ich wychowawczyni, taka młoda.

– No młoda, za młoda. Czego ona może nauczyć dzieci? A pani, co myśli? –

szczupła blondyna zwróciła się do Mariony.

- Wydaje mi się, że jest bardzo sympatyczna.
- Taka młoda, jak ona panuje nad tymi wszystkimi rozrabiakami?
- Myślę, że nie najgorzej – odpowiedziała Mariona, przełykając kęs ciasta.
- Oj, proszę pani...

Mariona nie słuchała ich tyrady. Miała ochotę stamtąd wyjść i to jak najszybciej. Spojrzała w kierunku męża, który nadal stał w rogu sali i rozmawiał z innym tatą.

Ratunku! – chciała krzyknąć.

Odwróciła głowę w prawo i wtedy zobaczyła Bartka. Piotruś zaprosił również na urodziny Agnieszki, córkę Bartka, gdyż bardzo ją polubił. Może dlatego, że oprócz niego jako jedyna w klasie lubiła grać w Minecrafta. Bartek otoczony był wianuszkami innych mam. Nic dziwnego – stwierdziła w duchu Mariona. Przystojny, wysoki, zadbany, o oliwkowej karnacji i oczach błękitnych jak toń morza.

– Ten nowy tatuś – blondynka z brunetką nie przestawały gadać. – Jest całkiem przystojny i chyba samotny. Wie pani coś o nim? – spojrzały na Marionę.

– Nic nie wiem na temat jego stanu cywilnego – skłamała.

– Rozmawia z nim pani pod szkołą – przysadzista baba nie dawała za wygraną.

– I co z tego?

– Może czegoś się pani o nim dowiedziała?

– Nie pytałam go o sprawy osobiste – Mariona miała dosyć tej żenującej wymiany zdań.

– Założę się, że jeśli jest sam, skacze z kwiatka na kwiatek – wtrąciła się blondynka.

– Ma wiele romansów.

Jezuu! – jęknęła w duchu Mariona – Te baby to doprawdy hieny.

Zdała sobie sprawę, że nie wytrzyma, jeśli będzie musiała dłużej tego słuchać. Wstała i przeprosiła kobiety, po czym rakiem wycofała się w stronę wyjścia. Musiała zaczerpnąć świeżego powietrza. Zapewne, jak tylko zniknęła za drzwiami, i ona miała obsmarowaną dupę.

Usiadła na schodku przed budynkiem. Odetchnęła głęboko. Rozboliła ją głowa. Zaczęła masować skronie. Po chwili usłyszała skrzypnięcie drzwi. Odwróciła się. Za nią stał Bartek.

– Mogę? – zapytał.

– Dość się na schodek? Proszę – uśmiechnęła się do niego.

– Zdezercerowałaś z przyjęcia syna?

– Chwilowo. A ty?

– Oj, ciężka atmosfera tam panuje.

– Bardzo, ale myślałam, że ty się dobrze bawisz. Mamuśki nie mogły od ciebie wzroku oderwać.

Roześmiał się.

– Ty chyba bawiłaś się gorzej ode mnie?

– Gdybyś musiał wysłuchać wszystkich plotek, też nie bawiłbyś się dobrze.

– Zapewne – odpowiedział. W jego głosie było tyle zrozumienia.

– Najchętniej napiłabym się wódki – powiedziała.

Nie to, że lubiła wódkę, ale stwierdziła, że tylko to może jej pomóc.

– Chwileczkę. Zaraz wracam – Bartek poderwał się na równe nogi i ruszył w stronę parkingu. Wrócił po kilku chwilach z butelką w ręku.

– Wódka?

– Do usług.

Zaczęła się śmiać.

– Wozisz wódkę w samochodzie?

– A tak, na wszelki wypadek, na gorszy dzień, albo jeśli trzeba byłoby natychmiast poratować rozsypującą się niewiastę.

Śmiała się nadal.

– Dostałem od kontrahenta i od tygodnia wożę ją w schowku. To co? Pijemy?

– Pijemy.

Mariona upiła kilka łyżków. Wódka paliła ją w gardle, ale już po chwili zrobiło jej się ciut lepiej.

– Dzięki.

– Do usług.

Kobieta podniosła się.

– Muszę już wracać do środka. W końcu to urodziny mojego syna.

Bartek wyjął z kieszeni dzinsów gumę do żucia i poczęstował Marionę.

– To, żeby larwy nie poczuły od ciebie woni alkoholu.

Mariona wzięła jeden listek i wsadziła do buzi.

– Dzięki.

– Wejdę za kilka minut, żeby o nas nie plotkowano – powiedział.

– Dzięki raz jeszcze – uśmiechnęła się do niego promiennie.

Wieczorem Mariona zadzwoniła do przyjaciółki i zrelacjonowała jej przyjęcie urodzinowe Piotrusia.

– I te wredne babska – mówiła – tylko czekają na świeżą plotkę i by komuś dopiec. Pewnie i mnie obgadały. Kiedyś bardzo bolało mnie, jak jakaś Zosia z Marysią mnie obgadywały, o czym dowiadywałam się potem od Zuzy. Teraz nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia. Bo kim one dla mnie są? Kim ja jestem dla nich?

– Daj sobie z nimi spokój. Zawsze będą gadać.

– Niech gadają. Ile pieniędzy dodały na moje konto, ilu kochanków mi przypisały, ile według nich zasad złamałam, ile spałam śmietanki. Jak mi dobrze, a im źle.

– Zazdrosne pipy. Może powinnaś im powiedzieć, żeby zajęły się własnym życiem.

– Wiesz, co by się stało?

– Nic. Nic by się, kurwa, nie stało.

– One mnie nie lubią.

– I co z tego? A ty je lubisz?

– Nie.

– To nie ma problemu. Czemu w pierwszej chwili pomyślałaś o ich odczuciach, a nie o swoich?

– Często tak mam.

– Nie stawiaj siebie, swoich odczuć za innymi, bo wcześniej czy później zaczniesz cię to uwierać.

* * *

Mariona miała gorsze dni. Środa również nie należała do udanych. Kobieta najchętniej zwinęłaby się w kłębek i zapadła w sen. To był jeden z tych dni, w którym klnie się w duchu, na czym świat stoi.

Wstała z bólem gardła i migreną. Listonosz przywitał ją naręczem listów, z czego połowa była rachunkami. Dzieci marudziły przy śniadaniu, akurat dziś, kiedy musiała wcześniej wyjść z domu na rozmowę z klientem, właścicielem butiku. Mąż też ją wkurzał od rana. Wylała kawę. A rozmowa z kontrahentem okazała się katastrofą. Nie podobały mu się jej firany. Nazwał je „babcinymi”.

Widać, do niczego się nie nadaję – pomyślała z goryczą.

Po drodze do domu zjadła ciastko. Dokupiła drugie. Miała potem wyrzuty sumienia, bo przecież była na diecie. Złamała obcas. Aż w końcu rozplakała się. Żony, matki, kochanki, siłaczki i te, co zawsze są uśmiechnięte, mają gorsze dni. I ona taki miała.

Tego dnia postanowiła porozmawiać z nauczycielką z przedszkola. Marcel od tygodnia wracał do domu z brudnymi rękawami.

– Co się stało z twoimi rękawami? – zapytała wczoraj synka.

– Wycierałem w nie nos.

O nie, tego było za wiele. Mariona była w bojowym nastroju. Weszła do sali i poprosiła na bok nauczycielkę. Tamta przywitała ją z przyklejonym do twarzy

uśmiechem.

– Pani Żurawska? W czym mogę pani pomóc? – zapytała uprzejmie.
– Moje dziecko od kilku dni ma rękawy umorusane glutami.
– Pewnie wycierało w nie nos – uśmiech nie schodził z jej twarzy.
– To trzeba było coś zrobić, żeby tego nie robiło.
– To pani jest matką.
– A pani się nim opiekuje przez sześć godzin.
– Ale nie płacą mi tak dużo, bym każdemu dziecku przynosiła zapas chusteczek. Na drugi raz proszę włożyć Marcelowi chusteczki do kieszonki – mówiła tak przesłodzonym głosem, że Marionie wydawało się, iż zaraz się porzyga od tego lukru.

Wyszła z przedszkola jeszcze bardziej zirytowana. Piotruś czekał na nią przed budynkiem szkoły. Na szczęście nie było już Bartka i Agnieszki. Mariona nie chciała dzisiaj z nikim rozmawiać.

Zapakowała chłopców do samochodu i ruszyła z parkingu z impetem.

– Jak było w szkole? – zapytała Piotrka
– Jak w szkole – synek wzruszył ramionami.
– Co robiliście?
– Uczyliśmy się.

Mariona spojrzała w lusterko. Jej syn był znudzony.

– Też odpowiedź.
– Co dzisiaj na obiad? – zapytał Piotruś po chwili.
– Makaron z warzywami.
– Bo się porzygam.
– Ej! Licz się ze słowami.
– Nie cierpię makaronu z warzywami.
– Musisz się dobrze odżywiać. Warzywa to samo zdrowie.

Piotruś już więcej się nie odezwał.

Po drodze zatrzymała się obok warzywniaka. Kiedy niosła siatki z zakupami do samochodu, jedna z toreb pękła i zawartość wysypała się na chodnik. Część jabłek sturlała się pod stojące na parkingu samochody. Z jajek zostały skorupki i żółta maź.

– Kurwa! Kurwa! Kurwa! – jej nerwy były napięte jak postronki.
– Mamusiu, mówiłaś, żebyśmy nie przeklinali, a ty co robisz? – zwrócił jej uwagę Marcel.

O, kurwa! – zaklęła jeszcze raz siarczyście, tym razem w duchu. – Przepraszam – odparła na głos.

Przy obiedzie chłopcy grymasili, a ona była już u kresu. Witek wrócił do domu po siedemnastej. Wszedł do kuchni w butach, zostawiając na podłodze zabłocone ślady.

- Ile razy ci mówiłam, że buty zdejmuję się w przedpokoju?
- O, dzień dobry, kochanie – na twarzy Witka pojawił się uśmiech.
- Co wy się tak szczerzycie?
- Jacy wy?
- Najpierw przedszkolanka, teraz ty?
- Z uśmiechem na twarzy łatwiej żyć.
- Co ty nie powiesz?
- Co na obiad? – Witek cmoknął ją w policzek, po czym przywitał się z chłopcami, którzy widelcem rozgrzebali makaron.
- Razowy makaron z warzywami – zakomunikował Marcel.
- Oooo...
- Co to za „ooo”? – Mariona zwróciła się do męża.
- Chłopaki, a co powiecie na pizzę? – Witek klasnął w ręce.
- Jeee! – chłopcy odsunęli od siebie prawie nietknięte talerze.
- Witeek – Mariona jęknęła. – Oni muszą jeść też warzywa.
- Oj tam, oj tam – pocałował ją w czubek głowy.
- A róbcie sobie, co chcecie – kobieta wyszła z kuchni.

Wyjęła z szafki piżamę i zdecydowała, że zrobi sobie kąpiel. Zamknęła się w łazience. Zapaliła świecek o zapachu wanilii. Do wanny napeściła gorącej wody, naląła płynu do kąpieli. Po chwili zanurzyła się w pianie. Ułożyła się wygodnie i patrzyła w sufit. Po jej policzkach popłynęły łzy.

Czasami masz wszystkiego dość. Chciałabyś zniknąć, zapomnieć, przypomnieć sobie, jak to było przedtem. Zanim stałaś się mamą i żoną. Wtedy, kiedy byłaś sobą... Teraz ty jesteś ostatnia, a wszyscy inni ze swoimi potrzebami ustawiają się w kolejce przed tobą, spychając cię na koniec.

Mariona załkała. Kochała ich, ale czasami miała dość. W życiu każdego człowieka przychodzą takie gówniane, rozmemłane dni, podczas których chce się wyć. I dobrze, będzie wyła. W dzieciństwie tak dużo nie płakała, jak ostatnio. Czasami tęskniła za szczenięcymi latami. Oczywiście teraz nie wydawało jej się, że jest stara. Kiedyś miała tyle energii, że mogłaby niemal góry przenosić. Dzisiaj coraz mniej jej się chciało. Zauważała więcej wad w tym świecie, który wydawał jej się kiedyś niepowtarzalny, spójny i radosny.

ROZDZIAŁ 20

Mariona z Bartkiem spotykali się przed szkołą niemal codziennie. Kobieta zauważyła, że jeszcze kilka tygodni temu nie obchodziło ją to, w co będzie ubrana, teraz przywiązywała do wyglądu dużą wagę. Szczególnie kiedy wychodziła odebrać dzieciaki ze szkoły i przedszkola. Wykonywała staranny makijaż, kręciła sobie włosy. Wkładała sukienkę. Chciała się podobać.

Opowiadali sobie z Bartkiem śmieszne anegdoty z życia, przekomarzali się niczym licealiści. Śmiali się, a inne mamuśki patrzyły na nich z ukosa.

– Będą gadać, że mamy romans – powiedziała Karolina.

– To co? Niech gadają – Bartek puścił do niej oko. – Możemy jeszcze bardziej podkreślić atmosferę. Mogę cię objąć?

– No, no – pogroziła mu palcem. Ale w środku duszy poczuła trzepot motyli skrzydeł.

– Wiem, że jesteś mężatką, ale może umówilibyśmy się na coś mocniejszego? Takie niezobowiązujące spotkanie.

– Wódka, powiadasz?

– Na litość boską, królowo, czy ośmieliłbym się nalać damie wódki? Czysty spirytus.

– Też lubię Bułhakowa.

– To co, spirytus?

– Może kiedyś...

– Okej, nie naciskam. To daj się zaprosić chociaż na kawę.

– Mam dużo pracy...

– Ale mogłabyś sobie zrobić przerwę jutro koło dwunastej?

– Mogłabym.

Wybrali się do kawiarni kilka przecznic od mieszkania Mariony. W sumie kobieta nie do końca wiedziała, czy to rozsądne umawiać się z jakimś mężczyzną tak blisko domu, ale w końcu stwierdziła, że to nie będzie żadna schadzka, tylko przyjacielska kawa.

Przed wyjściem zadzwoniła do Karoliny i powiedziała jej o planowanym spotkaniu.

– Mam cię kryć przed Witkiem, czy co?

– Nie... Nie wiem... Tak.

Karolina się roześmiała.

– Kochana, nawet jeśli wskoczysz mu do łóżka, to nie rozwiąże to twoich problemów.

– Nie mam żadnych problemów. Dlaczego miałabym mu wskakiwać do łóżka?

– A dlaczego idziesz z nim na kawę? Chyba ci się nie nudzi aż tak bardzo?

Mariona zamilkła.

– No idź, tylko nie rób niczego głupiego.

– Nie zamierzam.

Usiedli przy stoliku w głębi sali. Bartek zamówił dla nich cappuccino.

– Masz ochotę na ciastko? – zapytał.

– Nie, dziękuję – Mariona pokręciła głową i zamieszała cukier łyżeczką.

Upiła łyk. Cappuccino było bardzo dobre.

– Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

– Bo nie lubię pijać kawy sam.

– Pracujesz, masz córkę... Chyba nie nudzi ci się w życiu.

– Nie. Ale chciałem złapać chwilę oddechu.

– Za mną?

– Z tobą. Czy coś w tym złego?

– Niby nie – Mariona wzruszyła ramionami.

– Podobasz mi się. Wydajesz się odbierać na tych samych falach.

Mariona znów upiła kilka łyków kawy.

– Może i tak, ale jestem mężatką.

– Ja nie jestem żonaty – patrzył jej wyzywająco w oczy. – Nie chcę cię zaciągnąć teraz do łóżka.

Teraz – pomyślała Mariona. – A później? Jego bezpośredniość ją rozbijała.

Dopiła kawę tak szybko, że poparzyła sobie język.

– Muszę już lecieć – poczuła, jak ogarnia ją panika.

– Ale już? Tak szybko?

– Tak, przepraszam.

Zanim Bartek zdążył cokolwiek odpowiedzieć, kobieta poderwała się z krzesła i ruszyła w stronę drzwi.

Wyszła na zewnątrz, chłodne powietrze owiało jej rozpalone policzki. Co ona wyprawia? Schadzki na kawę w środku dnia? Usłyszała za sobą kroki. Odwróciła się gwałtownie i stanęła twarzą w twarz z Bartkiem.

– Przepraszam – odezwał się mężczyzna. – Czy uraziłem cię czymś?

– Nie. Ty nic nie zrobiłeś. To ze mną jest problem.

– O co chodzi? O to, że umówiłaś się ze mną na kawę? Nie widzę w tym niczego złego.

– Ale ja widzę. Nie chcę okłamywać męża.

– To mu o tym powiedz... – złapał ją za rękę. – Mariono, chcę być twoim kumplem. Obydwoje jesteśmy outsiderami, nasze dzieci się lubią. Twojego męża też możemy zabierać ze sobą na kawę, skoro tak się mnie boisz.

Roześmiała się.

– Niczego od ciebie nie chcę. To ty tu rządzisz – puścił do niej oko.

Kobieta trochę się uspokoiła.

* * *

Mariona z Bartkiem poczuli, że łączy ich bardzo dużo. Wytworzyła się między nimi nić porozumienia. Czasami nie mogli się ze sobą nagadać.

I niby on rozumiał, że to tylko kumplowska relacja, a ona chciała w to wierzyć. A potem, kiedy dała mu swój numer telefonu, stwierdziła, że jej problem urósł do gigantycznych rozmiarów. Dzwonili do siebie pod byle pretekstem i potem rozmawiali ze sobą kilka, czasami kilkanaście minut. Każdego dnia ich rozmowy były coraz dłuższe. Oboje zawalali pracę. Już na początku Mariona ustaliła reguły:

– Przepraszam, że wyskakuję tak z grubej rury, ale żeby było wszystko jasne, między nami niczego więcej nie będzie poza koleżeństwem.

– Wiesz... – uśmiechnął się zawadiacko, a ona dokładnie wyobraziła sobie ten jego wyraz twarzy. – Mówić można jedno, a robić drugie. Ale tak, rozumiem. Jesteś mężatką... Oczywiście.

A potem, kiedy się żegnali, Mariona stwierdzała, że jej serce jakoś szybciej bije.

Pisali do siebie, chodzili z dziećmi do parku, dzwonili do siebie pod byle pretekstem. Kiedy ona usłyszała w radiu jakąś piosenkę, która wpadła jej w ucho, od razu wysyłała mu link z pytaniem, co o niej sądzi? Kiedy on upiekł sernik z chałwą, zaraz przesyłał jej przepis i przynosił kilka kawałków do degustacji. Robili sobie drobne niespodzianki. Kiedyś Mariona wspomniała Bartkowi, że dawno nie jadła waty cukrowej. I on ruszył w poszukiwaniu tej waty. Przemierzył pół miasta, aż w końcu na Starówce ją kupił. Była wzruszona, a on ucieszony, że sprawił jej taką przyjemność.

Mariona zdawała sobie sprawę, że ma problem, i to poważny. Zaczęła przychodzić przed szkołę kilka, ba, nawet kilkanaście minut wcześniej, podobnie robił Bartek.

– Mam nienormowany czas pracy – powiedział jej któregoś dnia, jakby próbował się usprawiedliwić. Mówił już jej o tym wcześniej. Może zapomniał,

a może chciał podkreślić, że to nie dla niej przychodzi o te kilka minut wcześniej.

– Ja też – uśmiechnęła się do niego.

Kilka razy byli z dziećmiakami w parku. Chłopcy zaprzyjaźnili się z Agnieszką, córeczką Bartka. Dzieciaki biegały, karmiły kaczki, a oni siedzieli na ławce i rozmawiali, śmiejąc się przy tym do łez. Dość często tracili poczucie czasu. Mariona zaczęła zaważać zamówienia, na obiad robiła mrożonki, bo za dużo czasu spędzała poza domem.

ROZDZIAŁ 21

To on pierwszy dostrzegł Karolinę. Tak jak to sobie wymarzyła. Nie chciała już nigdy więcej biec za mężczyzną swoich marzeń. Jej mama zawsze jej powtarzała: „Widział kto, aby to myszka goniła kota?”

Michał wypatrzył ją, kiedy wchodziła do piekarni. Stał jak wmurowany, kiedy go minęła. Miała na sobie zwiewną, niebieską sukienkę, która podkreślała kolor jej oczu. Zapach jej perfum bardzo mu się spodobał, był lekki i orzeźwiający.

Stał za nią w kolejce. Kupił wtedy dziesięć bułek i dwa bochenki chleba, mimo iż dzień wcześniej zrobił zapas pieczywa.

Wyszła ze sklepu, on podążył jej śladem. W pewnym momencie kobieta przyspieszyła i zniknęła za rogiem. On też przyspieszył. Wszedł w wąską uliczkę, ale po jego wyśnionej kobiecie nie było śladu. Zaczął się nerwowo rozglądać.

– Cholera jasna! – zaklął siarczyście.

Karolina wyszła z zacienionego zaułka.

– Szukasz kogoś? – spojrzała mu wyzywająco w oczy.

– Ja... ja... – замуrowało go na jej widok. Według niego była zjawiskowo piękna. Śniada cera, intrygujące tęczęwki i długie, kręcone, kruczoczarne włosy.

– Śledzisz mnie? Stuknięty jesteś czy co?

– Nie, po prostu...

– Zboczeniec bez jaj.

Wyminęła go i ruszyła w swoją stronę.

– Zaczekaj! – krzyknął za nią.

Przystanąła. Odwróciła się w jego kierunku. Zlustrowała go od góry do dołu. Mężczyzna był naprawdę przystojny. Trochę starszy od niej, barczysty, wysoki i cholernie zakłopotany.

– Podobasz mi się. Naprawdę mi się podobasz.

– I co zamierzasz?

Uśmiechnął się do niej. Podobała mu się jej bezpośredniość.

– Umówić się z tobą.

– Masz pecha.

– Mężatka?

– Nie.

– Masz chłopaka?

– Może mam, może nie. A może po prostu mam dość facetów na kolejne sto lat.

– Ale?

– Cześć.

– Do zobaczenia – stał zrezygnowany i spoglądał w stronę, w którą ruszyła dziewczyna. Wierzył, że jeszcze kiedyś się spotkają. A jeśli nie? Będzie wystawał pod piekarnią, przeszuka okolicę. W końcu skoro kupuje tutaj pieczywo, musi mieszkać w pobliżu.

* * *

Któregoś dnia Bartek nie zjawił się przed szkołą i nie uprzedził o tym Mariony. Rozglądała się nerwowo na boki. Podeszła do niej jedna z mam. Mariona знаła ją z widzenia, ale nie wiedziała, które dziecko odbiera.

– Pana Bartka chyba nie będzie – poinformowała ją. – Widziałam go dzisiaj w przychodni z córeczką.

– Ach, tak – Mariona westchnęła, bo w sumie nie wiedziała, co więcej mogłaby powiedzieć tej mamusce.

– Powiedziałam to pani, bo wiem, że się przyjaźnicie.

– Tak. Nasze dzieci... – Mariona poczuła się zawstydzona. Najgorsze było to, że ta kobieta mogła coś podejrzewać. Że łączy ich jakaś zażyłość? A zresztą, nie powinno jej obchodzić, co myśli o niej ta kobieta. Ludzie gadają. Zawsze będą gadać.

Już w drodze do domu Mariona wyjęła telefon i wybrała numer Bartka.

– Cześć, czy coś się stało? – zapytała.

– Nie, dlaczego?

– Twojej Agnieszki nie było dzisiaj w szkole. Ciebie nie było... – dopiero teraz zdała sobie sprawę, jaki rozpaczliwy miała ton głosu.

– Tak, przepraszam. Mogłem zadzwonić. Córka dostała wysypki.

– Czy to coś poważnego?

– Uczulenie od proszku. Powinienem był cię uprzedzić.

– Nie. No co ty. Nic nie powinieneś. Zadzwoniłam, bo się martwiłam.

– Miło z twojej strony.

– Będę już kończyć...

– Zaczekaj.

W słuchawce zapadła na moment trzeszcząca cisza.

– Tak?

– Co robisz dzisiaj wieczorem? – zapytał Bartek, a jej serce zaczęło dużo szybciej bić.

– To, co zwykle. Obiadokolację mężowi. Odrabiamy lekcje z Piotrkim.
– A może wybrałabyś się ze mną na spacer?
– Na spacer? – Marioną wstrzymała na chwilę oddech. Zamknęła oczy.
– Przepraszam, że tak wyskoczyłem z tym spacerem, ale jesteś moją jedyną bliską znajomą, a jakoś ostatnio... Nie wiem, jak to ubrać w słowa... Może po prostu chciałbym się wygadać.

– Tak – powiedziała szybko kobieta. – Tak.

Spacerowali i rozmawiali początkowo na poważne tematy, potem sobie żartowali.

– Też tak masz, że mówisz sobie, że czegoś nie zjesz, a i tak potem to jesz?

– Prawie cały czas.

Roześmiali się.

– Wczoraj na obiad usmażyłem trzy kotlety. Mieliśmy z Agnieszką zjeść po jednym, ale ten drugi kotlecik wołał do mnie: „Zjedz mnie, zjedz”.

– I co?

– A jak myślisz?

– Wciągnąłeś go?

– Miałby się zmarnować?

– Nie, no pewnie. Jakbyś wstawił go do lodówki, na pewno by się zepsuł.

Znów się śmiali.

– Też tak mam. Bo się zeschnie, zmarnuje... Albo mnie woła, albo mówię do siebie: „A co tam, raz się żyje”. I żyję, i jem, a potem w spodnie się nie dopinam. I na wielkie wyjścia wkładam obciskające babcine gacie, w których ledwo mogę oddychać.

– Pożyczysz mi swoje obciskające gacie? Za dwa dni mam kolację na szczycie, a oponka nad paskiem od spodni wisi.

– Pożyczę.

* * *

Mariona podjechała pod szkołę za piętnaście ósma. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów byli przed czasem. Zazwyczaj wszystko robili w pośpiechu. Albo nie mogli znaleźć gaci lub skarpetek, albo budzili się za późno, i kanapki dzieci jadły w samochodzie.

W tym dniu nastąpiło święto. Chłopcy wstali już o szóstej trzydzieści, zjedli śniadanie, umyli zęby, znaleźli bez problemu wszystkie części garderoby. O godzinie siódmej trzydzieści wyjechali z parkingu przed kamienicą. Marioną

zdążyła nawet zrobić sobie makijaż, co o poranku było niemal niewykonalne. Z uśmiechem na twarzy kobieta zaparkowała pod szkołą. I wtedy stało się. Synowie wysiedli z samochodu, ona pocałowała ich na do widzenia. Piotrek zatrzymał się. Zdjął z ramion plecak i zajął do środka.

– Zapomniałem zeszytu do anglika – oznajmił.

– O, fuck! – wyrwało się Marionie. Wiedziała, że nic w życiu nie może trwać wiecznie, a tym bardziej chwile spokoju w jej rodzinie.

– Mamusiu, a ja wiem, co znaczy „fuck” – powiedział Marcel.

– No już lepiej nie tłumacz – odpowiedziała Marionie, po czym zwróciła się do starszego syna: – Powiesz pani, że zapomniałeś zeszytu i koniec.

– Mamooo – jęknął Piotrek, wiesz, jaka jest postrzelona nasza pani od angielskiego. Narobi dymu i wezwie cię do szkoły.

– No wiem...

Nawet rodzice bali się postrzelonej Jolki, która była starej daty belferzycą i, gdyby tylko mogła, stosowałyby drastyczne metody wychowawcze. Nawet na wywiadówkach wspominała rodzicom o biciu linijką i tym podobnych metodach, które kiedyś ponoć skuteczniała. Ale teraz – według pani Joli – czasy się zmieniły, dzieci, a tym bardziej rodzice, się rozbestwili i zapanował chaos. Ona jednak i tak panowała nad wszystkim.

– Dobra – westchnęła Marionie. – Wracamy po zeszyt.

– Mamooo – jęknął Marcel, to ja pójde sam do przedszkola.

– Nie, nie ma, że sam. Do samochodu się pakować, ale to już.

Czemu to przydarza się właśnie mnie? – Marionie rozpoczęła swój regularny monolog wewnętrzny.

Macierzyństwo jest cudowne, ale bywa meczące, irytujące i wkurzające. Tak, jak teraz. Bo są chwile, kiedy masz ochotę wyjść i nie wrócić, nie słyszeć tego: „mamooo”. Mamo to i tamto. Nie stać nad patelnią i smażyć pół dnia góry naleśników, racuchów i czego tam jeszcze sobie zażyczą. Ale teraz to i tak jest pikuś, najgorsze były początki, chociażby to zmienianie pieluch. Najgorzej, kiedy takowa pielucha nie wytrzymała i wszystko wypłynęło bokiem. Jeszcze choroby wieku dziecięcego, zmiany zasikanej pościeli w środku nocy. Teraz to pestka. Więc czym ona się przejmuje? Kobieta uśmiechnęła się do siebie. Ruszyła z kopyta po zapomniany zeszyt. To przecież tylko zeszyt.

* * *

Marionie bardzo polubiła córeczkę Bartka. Kiedy było ciepło, robili sobie po

szkole pikniki w parku. Mariona czesała długie włosy dziewczynki. Uszyła nawet dla niej lalkę, która przypominała wyglądem Agnieszkę. Przez kolejne dni przynosiła jej też ubranka dla lalek. Piękne suknie balowe, torebeczki czy płaszczki.

Dziewczynka nie kryła zadowolenia.

– Lubi cię – powiedział Bartek.

– Też ją lubię. Widać, że potrzebuje mamy.

Mężczyzna ciężko westchnął.

– Wiem, przepraszam. Głupio powiedziałam...

– Nie, dlaczego? Powiedziałaś to, co zaobserwowałaś.

Bartek sądził, że po stracie żony nikogo innego nie pokocha. Nie próbował nawet bawić się w jakieś spotkania czy randkowania. Aż tu nagle spadło na niego uczucie niczym grom z jasnego nieba. Zakochał się w Marionie, chociaż sam przed sobą bał się do tego przyznać, a już na pewno jej by o tym nie powiedział. Wystraszyłaby się.

To zakochanie było niczym choroba. Chodził jakiś otumaniony. Nie mógł się na niczym skoncentrować, spać, pracować. Ta kobieta fascynowała go. Chciał słuchać jej śmiechu bez końca, wdychać zapach jej perfum, patrzeć, jak odgarnia za ucho zbłąkane kosmyki włosów, jak biegnie, a jej krągłe, małe piersi falują pod bluzką. Muskać ustami jej szyję. Chciałby czasami zatrzymać czas, by móc dłużej cieszyć się jej obecnością. Chciał z niemożliwego uczynić możliwe.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że ma męża, ale wiedział też, że czuje się dobrze w jego, Bartka, towarzystwie. Łudził się. Każdego dnia ogarniał go strach. Bał się, że ją straci. Ale kiedy pojawiała się w jego życiu, choćby na kilka chwil, znów był radosny, by potem czuć smutek i tęsknotę, kiedy tak nagle zniknęła. Stwarzał mnóstwo pretekstów po to, by ją zatrzymać, ale nieustannie ją tracił.

Chciałby całować jej skórę na powiekach, tak delikatną niczym skrzydła motyla, i to miejsce za uchem, gdzie ciało jest takie wrażliwe na bodźce, i chciałby scałować jej uśmiech, złapać ją za rękę i biec z nią w nieznane. Co się z nim działo? Od kiedy jest takim romantykiem? Sam siebie nie poznawał.

Próbował żyć bez niej, ale nie potrafił. Próbował czymś się zająć, ale nawet gdy mył zęby, sprzątał, odkurzał, pracował, jego myśli nasączone były nią. Rozmawiał z nią w duchu nieustannie. Odpowiadał za nią na zadawane pytania. Zastanawiał się, co by zrobiła w danej sytuacji.

Bartek ożenił się w wieku dwudziestu lat. Jego koledzy śmiali się z niego, że zawiązuje sobie smycz wokół szyi, ale on tak wcale nie czuł. Decyzja o ślubie zapadła niemal z dnia na dzień. Asia nie była w ciąży, po prostu się kochali. To była pierwsza, burzliwa, namiętna miłość. Miłość, która ma wiatr we włosach, szaleństwo wpisane w codzienność. Miłość, która cieszy się z każdej chwili, nie

spogląda w przyszłość.

Było im ze sobą dobrze. Potem urodziła się Agnieszka, a po kilku latach sielanki Asia zginęła w wypadku. Jakiś pijany gówniarz potrącił ją na pasach. Trzy lata nie mógł się otrząsnąć, ale wiedział, że musi żyć dla córeczki, dla ich skarbu.

A teraz na jego drodze pojawiła się nadzieja. Światelko w tunelu, które rozświetlało każdy jego dzień. Zakochał się jak jakiś młokos w mężatce. Miewał takie myśli, że chciałby, aby jej małżeństwo się rozpadło. Po chwili się za nie karciał, a potem znów marzył, że są razem. Co on w ogóle sobie wyobrażał?

ROZDZIAŁ 22

Bartek nie wiedział, dlaczego to zrobił. To znaczy wiedział. Chciał zobaczyć, jak wyglądają popołudnia Mariony z mężem. Dobrze, że mieszkają na parterze – pomyślał. Siedział w samochodzie skulony i gapił się w okno.

Za szklaną szybą toczyło się normalne życie. Mariona krzątała się po pokoju, w pewnym momencie do pokoju wszedł mężczyzna. To on, jej mąż. Przywitał się czule z żoną. Po chwili podbiegły do niego dzieci. Kilka minut później Mariona podała mężowi obiad i usiadła z nim przy stole. Uśmiechała się do tamtego mężczyzny, gładziła go po ręce, a Bartkowi pękało serce. Jakiś wewnętrzny głos nakazywał mu, by więcej się nie katował i odjechał, a mimo to nie ruszył się z miejsca. Mariona zasłoniła rolety, nic już nie widział, lecz nadal stał na posterunku. Wrócił do domu koło dwudziestej pierwszej, przepraszając opiekunkę za spóźnienie. Dopiero teraz przypomniał sobie, że w ogóle jej nie powiadomił, iż tego wieczoru ma zamiar przyjechać później.

– Nic się nie stało. Odrobiłam lekcje z Agnieszką i położyłam ją do łóżka jakieś piętnaście minut temu.

– Dziękuję, pani Basiu, co ja bym bez pani zrobił.

– Dobry z pana człowiek – starsza kobieta uśmiechnęła się do Bartka serdecznie.

Pani Basia, jego sąsiadka, sama odchowała sześcioro dzieci. Teraz była na emeryturze i dorabiała sobie jako opiekunka.

Bartek wszedł do pokoju córki na placach, a dziewczynka otworzyła zaspane oczy.

– Śpij już, skarbie. Śpij – powiedział do Agnieszki.

Mała uśmiechnęła się do niego i na powrót zamknęła oczy. A on pocałował ją z ojcowską czułością w policzek.

Kiedy umarła Asia, Agnieszka nieustannie o nią pytała. Bartek starał się, jak mógł, odpowiadać na nurtujące córkę pytania. Od jakiegoś czasu zauważył, że dziewczynka nie pyta o mamę, ale zaczęła zadawać pytania o zastępczą mamę.

– Zastępcza mama? – zapytał córkę.

– To taka nieprawdziwa mama. No wiesz, nie moja mama. Ale taka pani, która by mi ją chociaż trochę zastąpiła.

– To nie jest takie proste, znaleźć taką mamę.

– A mama Marcela i Piotrka?

Bartek wzdrygnął się. Czyżby córka coś zauważyła?
– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytał zdezorientowany.
– Chyba ją lubisz, bo tak na nią patrzysz...
– Jak?
– Tak, jak patrzyłeś na mamusię.
– A ty pamiętasz, jak patrzyłem na mamusię? To było dawno...
– Coś tam przecież pamiętam... – dziewczynka wzruszyła szczupłymi ramionkami. – To co z mamą Piotrka i Marcelka?
– To miła pani, ale ma już swoją rodzinę.
– Czyli ona nie może być moją zastępczą mamą?
– Nie... Obawiam się, że nie...
– Szkoda...
Też żałował, ale wiedział, jakie są realia.
– To może poszukaj jakiejś innej pani.
– Postaram się – uśmiechnął się do córki.

Agnieszka już spała. Bartek wziął prysznic i położył się na łóżku. Sięgnął po książkę, ale w ogóle nie mógł się skoncentrować na jej treści. Usłyszał burczenie w brzuchu. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że ostatni posiłek jadł po trzynastej. Zrobił sobie kanapkę i usiadł przy stole. Sam. Poczul ostre ukłucie w sercu. Powróciło wspomnienie Mariony i jej rodziny. Kawałek kanapki utknął mu w gardle. Za nic nie mógł go przełknąć. Ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się jak małe dziecko.

* * *

Dni coraz szybciej mijały. Nastal czerwiec piękny, pachnący, słoneczny.
Karolina wracała do domu, kiedy usłyszała brzęczenie, a potem huk. Szybko zjechała na pobocze i wysiadła z samochodu. Cholera, złapała gumę. Miała koło zapasowe w bagażniku i narzędzia, ale nie potrafiła go zmienić. A może powinna spróbować, zanim zadzwoni po pomoc drogową?

Wytoczyła koło z bagażnika, wyjęła lewarek i stanęła ze skrzyżowanymi rękoma naprzeciw pojazdu. Zakasała rękawy koszuli.

W tym samym momencie na poboczu zatrzymał się jakiś samochód. Czerwony opel. Karolina odwróciła się w jego stronę. Słońce ją oślepiało, widziała więc tylko zarys sylwetki kierowcy, który wysiadł z pojazdu. Z pewnością był to wysoki mężczyzna.

- Nie mogę uwierzyć, znowu ty... – mężczyzna stanął naprzeciw niej.
- Jezu! – jęknęła. To ten czubek z piekarni. – Nie wierzę.
- Ja też nie – roześmiał się.
- Ty naprawdę mnie śledzisz.
- Oj, nie rozpędzaj się tak z marzeniami o mnie.
- To co tu robisz?
- Przejeżdżałem. Zobaczyłem kobietę, która ma zamiar zmienić koło, więc zatrzymałem się. Chciałem pomóc.
- Tak przypadkiem przejeżdżałeś?
- Niebiosa nam sprzyjają? Ale my tu gadu-gadu, a koło samo się nie zmienia.
- Poradzę sobie.
- Pomogę ci.

Karolina nieznacznie wzruszyła ramionami. Mężczyzna wyglądał na przystojniejszego, niż zapamiętała. Wysoki, o muskularnych rękach, miodowych włosach i śmiejących oczach. Zmienił koło w okamgnieniu.

- Gotowe – wytarł dłonie w chusteczkę, którą podała mu Karolina.
 - Dziękuję ślicznie.
 - Co robisz w sobotę wieczorem?
 - Wytrwały jesteś.
- Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.
- Nie sądzisz, że skoro drugi raz się spotykamy, to coś znaczy?
 - Znaczy tyle, że przypadki chodzą po ludziach.
 - A więc?
 - Zgoda.
 - Zgadzasz się pójść ze mną na randkę?
 - Tak.
 - Sobota? Dziewiętnasta? Restauracja „Mimoza”?
 - Będę. A tak w ogóle, Karolina jestem – kobieta wyciągnęła w jego stronę rękę.

Uchwycił ją delikatnie. Miał silne, duże dłonie. Podobały jej się i dłonie, i uścisk. Delikatny, ale stanowczy.

- Michał.
 - Michał, żartujesz sobie?
 - A co jest dziwnego w imieniu Michał?
 - Nic – Karolina zaczęła się śmiać. – Mama mi ciebie wymarzyła.
 - Słucham?
 - Nie, nic – kobieta dalej się śmiała. – Jesteś marzeniem mojej mamy.
- Przypomniała sobie ostatnią Wigilię i jej wyimaginowanego chłopaka – Michała, wymyślonego przez mamę.

* * *

Mariona leżała już w łóżku i czytała książkę, kiedy Witek położył się obok niej.

– Ale dzisiaj przynieśliście do domu zbiory – zaczął rozmowę mężczyzna.

– Zbiory?

– Naręcza polnych kwiatków i gałązki.

Mariona zatknęła zakładkę między stronice książki.

– To zbiory chłopaków.

– No, no, słyszałem o waszych piknikach w parku.

Mariona poczuła, że oblewa ją gorąco.

– Póki jest ładna pogoda, to niech chłopaki się wyszaleją.

– A ten tatuś, co z wami chodzi?

– Tatuś i jego córeczka.

– No wiesz, nie wiem, co bym powiedział, gdyby sam tatuś z wami piknikował bez córeczki.

– Znajomy ze szkoły. Zresztą poznałeś Bartka. Chłopcy uwielbiają jego córkę, Agnieszkę.

– A ty?

– Fajna dziewczynka. Przy niej chłopcy są bardziej ogarnięci.

– Pytałem o tajemniczego tatusia.

– Witek, czy ty aby nie jesteś zazdrosny?

– A mam powody?

Mariona rzuciła się na męża i zaczęła go łaskotać. Potem on ją złapał w ramiona i pocałował.

– Kocham cię, wariatko.

– Też cię kocham.

– I niech ten tatuś ma się na bacności.

Są chwile, które są dla ciebie ostrzeżeniem, mimo że je bagatelizujesz. Ktoś tam na górze daje ci znaki, jakby chciał ci powiedzieć: „Uważaj”, ale ty jesteś mądrzejsza i robisz swoje. Tak było w przypadku Mariony i Bartka. Oboje wiedzieli, że nie powinni tak często się spotykać, że „przypadkowe” muśnięcia dłoni nie są już przypadkowe, że połączyło ich fajne kumplostwo, które mogą w każdej chwili przekreślić przez swoją głupotę.

Ostatnio Mariona zobaczyła coś innego w uśmiechu Bartka, w jego spojrzeniu. Nawet dotknął jej dłoni delikatniej. Ten przyjacielski dotyk trwał odrobinę za długo. Kobiety wyczuwają takie rzeczy.

Tego dnia odwieźli dzieci na zajęcia plastyczne, a sami spacerowali po parku. Było dość ładnie, słońce mocno przygrzewało. Dziewczyna zdjęła sweter. W pewnej chwili Bartek zerwał różę z klombu i włożył ją za ucho Marionie.

– Pięknie wyglądasz.

– Różanie – zaśmiała się kobieta.

Spojrzeli sobie w oczy. Jego serce już od dawna biło żwawiej, a jej zaczęło w tamtym momencie galopować.

Oboje wiedzieli, że między nimi rodziła się fascynacja. I Marionie też to zauważyła. Rozumiała, że zaczyna tracić grunt pod nogami.

Zauroczenie jest takie zgubne i kobieta miała tego świadomość. Na Boga, dawno przekroczyła trzydziestkę i wiedziała, z czym się to je. Rozumiała też, że po spożyciu zbyt dużej ilości ciastek z lukrem człowieka może zemdląć.

W jej życiu niby niczego nie brakowało. Miała fajnego męża, dwójkę dzieci, mieszkanie, które urządziła sobie tak, jak chciała. Witek ją kochał i ona kochała jego, ale w tym związku nie było już tych iskier i fajerwerków. A w którym po tylu latach są takie wyładowania piorunów? W żadnym. Oczywiście rozum to wiedział, ale bijące szybko serce zgłupiało.

Nadal sobie żartowali z Bartkiem, ale między nimi wyczuć można było napięcie. Marionie myślała o mężczyźnie niemal przez cały czas. Czasami uśmiechała się do siebie bez powodu, innym razem z roztargnienia włożyła klucze do lodówki. Któregoś dnia zadzwoniła do Bartka.

– Chyba się w tobie zakochałam – wypaliła.

– Po czym to wnioskujeś?

– Zgubiłam makaron.

– Makaron?

– Tak. Kupiłam torebkę makaronu. Wróciłam do domu, rozpakowałam zakupy, makaron też był. Pamiętam, że gdzieś go wkładałam, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie. Za dużo chyba o tobie myślę.

Zaśmiał się.

– Czuję się zaszczycony.

– A potem wsypałam pół torebki cukru do herbaty.

– Lubisz na słodko?

– Na ostro preferuję.

– Ale wyszło słodko.

– Za słodko.

– Ty też jesteś słodka.

Marionie poczuła skurcz w żołądku. Zmieniła temat i szybko zakończyła rozmowę.

Ich pocałunki smakowały tanim winem. Ona się ciągle śmiała, a on nie mógł

uwierzyć w swoje szczęście. Złapali się za ręce i biegli po plaży, a ziarenka piasku chrzęściły pod ich stopami. I potem kochali się na wydmach, a on czuł ją, rozkoszował się smakiem jej ust. Miał nadzieję, że nigdy to się nie skończy, że tak już będzie. Zadzwoił budzik. To był taki piękny sen.

Bartek przetarł oczy.

Miał erekcję na samo wspomnienie swojej znajomej. Wiedział, że ten sen się nie ziści, a chciałby, tak bardzo chciałby się mylić...

A ona? Ona na okrągło czytała poezję Poświatowskiej. Szczególnie podobał jej się jeden fragment:

Odkąd cię poznałam, noszę w kieszeni szminkę, to jest bardzo głupie nosić szminkę w kieszeni, gdy ty patrzysz na mnie tak poważnie, jakbyś w moich oczach widział gotycki kościół. A ja nie jestem żadną świątynią, tylko lasem i łąką – drzeniem liści, które garną się do twoich rąk. Tam z tyłu szumi potok, to jest czas, który ucieka, a ty pozwalasz mu przepływać przez palce i nie chcesz schwytać czasu. I kiedy cię żegnają, moje umalowane wargi pozostają nietknięte, a ja i tak noszę szminkę w kieszeni, odkąd wiem, że masz bardzo piękne usta[6].

Mariona podeszła do szuflady i wyjęła z niej grubą zeszyt. Zaczęła notować. Słowa popłynęły prosto serca:

Znamy się krótko, stanowczo za krótko. Bo czymże jest kilka dni naprzeciw wieczności?

Ale czuję, że to jest to, że jesteś tą osobą, z którą mogłabym konie kraść i jabłka dusić na szarlotkę, i wódkę pić, a potem tańczyć na stole.

Śmiać się tylko z wiadomych nam powodów.

Nie pytaj, skąd to wiem. Po prostu wiem.

Może czasem potrzeba tylko kilka chwil, by nastroić wewnętrzne odbiorniki i nadawać na tych samych falach?

Falach wypowiedzianych słów i myśli, przeżyć, emocji...

Są takie przygody, które chciałabyś przeżyć jeszcze raz. Są takie kobiety... Są tacy mężczyźni, których się nie zapomina. Są takie chwile, które mogłyby wiecznie trwać. Są takie poranki, kiedy budzisz się i wiesz, że tego dnia wydarzy się coś niezwykłego. Czujesz to intuicyjnie, podskórnie, wszystkimi zmysłami. Wiesz już, że ten dzień będzie należał do ciebie.

[6] Halina Poświatowska, *** *[Odkąd cię poznałam]*, *Dzieła*, t. 1: *Poezja*, Wydawnictwo Literackie, 1997.

ROZDZIAŁ 23

Na sobotnie spotkanie Karolina spóźniła się dobre kilkanaście minut. Nie zrobiła tego specjalnie. Szef zadzwonił do niej tego dnia przed południem i udzielił reprimendy za to, że nie wysłała ważnych dokumentów. Oczywiście, całą winę próbował zrzucić na nią, choć ona doskonale wiedziała, że to jego zaniedbanie. Zatem o czternastej była w firmie po dokumenty, a o piętnastej stała w kolejce na poczcie głównej, by te dokumenty wysłać.

Wróciła do domu, wzięła szybki prysznic. Kiedy chciała wysuszyć włosy, jej suszarka syknęła i kobieta poczuła swąd. Szybko wyłączyła urządzenie z gniazdka. Owinięta ręcznikiem zbiegła do sąsiadki na dół, by pożyczyć suszarkę. Kiedy udało jej się w końcu ujarzmić fryzurę, ubrała się w niezawodną, kilkuletnią małą czarną. Zrobiła delikatny makijaż i wybiegła z mieszkania.

Kiedy weszła do „Mimozy”, kawiarni w stylu retro, Michał czekał już na nią, popijając kawę.

– Michał, przepraszam cię za spóźnienie. Zazwyczaj jestem punktualna.

– Czekałem – jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu. – Wyglądasz ślicznie.

– A, tak – odpowiedziała, lekko zawstydzona.

Popijali kawę, jedli sernik z brzoskwiniami i rozmawiali o studenckich czasach, szaleństwie, o jego podróżach.

– Na drugim roku studiów stwierdziłem, że muszę odpocząć. Pracowałem wieczorami przez dwa lata i miałem odłożoną sumkę na koncie. Chwyciłem plecak i ruszyłem zwiedzać Europę.

– Wow!

– Wow! – powtórzył. – Też mi się podobało. Tylko że rodzice nie byli z tego powodu zadowoleni. Musiałem powtarzać rok.

– Ale co zobaczyłeś, to twoje.

– To moje – uśmiechnął się do niej.

Zamówili butelkę wina i szybko opróżnili ją do dna. Karolinie świat lekko wirował, bo to ona wypila więcej. Śmiali się, opowiadali sobie różne historie z dzieciństwa. Dobrze się bawili.

Pożegnali się na postoju taksówek.

– Spotkamy się jeszcze? – zapytał Michał.

– Tak, może kiedyś.

– Coś ze mną jest nie tak?

- Ależ wszystko w porządku, po prostu nie chcę się na razie angażować.
 - Ale spotykać się możesz?
 - No może i mogę. Daj mi swój numer telefonu, zadzwonię.
- Michał podał jej swój numer, a ona zapisała go jako: „Ciacho”.
- Może kiedyś zadzwoni.

Wróciła do domu po dwudziestej trzeciej, nalała sobie lampkę wina. Rozejrzała się po swoim malutkim mieszkaniu, które kupiła po rozstaniu z Marcinem. Była z tego gniazdka szalenie dumna. Większość rzeczy zrobiła własnoręcznie. Sama skrzyła meble, pomalowała ściany, na drutach wydziergała narzutę w kolorze śliwkowym. Na poduszki ponaszywała kwiatowe aplikacje. To było jej miejsce na ziemi, jej samotnia. Nie potrzebowała tutaj nikogo. Czyżby?

* * *

- Kochanie? – głos Witka był pełen czułości, kiedy położył się obok żony.
- Hmm...
- Przepraszam.
- Za co? – Marionna lubiła się czasami tak droczyć z mężem.
- Za tę koszulę.

Tego dnia rano Witek wściekł się, że nie znalazł w szafie żadnej czystej koszuli. Marionna w odwecie powiedziała, że są wyprane, tylko musi je sobie wyprasować, na co on odrzekł, że skoro całymi dniami siedzi w domu, to mogłaby chociaż dopilnować, by miał w szafie uprasowane koszule. Marionna wściekła się na męża. „Ja nic nie robię? A maszyna? A zasłony? Lalki?”. „Ale to praca w domu” – odparł. „Praca jak każda inna! Dzięki tej pracy mamy dodatkową kasę” – krzyczała.

- Tylko za koszulę mnie przepraszasz?
- Witek przysunął się do żony jeszcze bliżej.
- I za mój poranny wybuch. Miałem dzisiaj ważne spotkanie.
 - Co nie upoważniało cię do tego, aby się na mnie wyżywać.
 - Nie upoważniało – Witek zaczął obsypywać żonę pocałunkami. – Ostatnio chodzę sfrustrowany.
 - To wrzuć na luz.
 - Łatwo ci mówić, kiedy...
 - Lepiej nie kończ.
- Nic już nie odpowiedział, tylko pocałował żonę w usta.
- Kochali się. Marionna zamknęła powieki i wtedy przed oczami stanął jej

obraz Bartka.

Kurwa! – była na siebie wściekła. Co się z nią działo?

Wszystkie chwile z Bartkiem widziała przez różowe okulary. Kiedy przy niej był, potrafiła śmiać się niemal ze wszystkiego. A kiedy znikał, to jakoś tak ciężko robiło jej się na duszy. Tak zwyczajnie. Dni bez niego przypominały „dni świstaka”. Pobudka, śniadanie, odprowadzanie dzieci do szkoły, powrót do domu, nastawianie obiadu. A potem kilkugodzinne szycie na maszynie. Sprzątanie domu i odbieranie dzieci ze szkoły. I tak mijał dzień za dniem.

Świstakowe dni zlewały się w jedno. Ale była bezpieczna w tej rodzinie, z tymi dziećmi i tym mężem. Czasy wygłupów i szaleństw był już dawno za nią. Więc po co jej ta historia z Bartkiem? Oczywiście do niczego między nimi nie doszło, ale ewidentnie była w tej relacji jakaś chemia, która sprawiała, że Mariona coraz częściej się zamyślała. Bezwiednie gapiała się na szyby, po których ściekały strumieniami strugi deszczu, albo smarowała tost dżemem i głupio się uśmiechała.

Kiedy odczytywała wiadomość do niego, jej serce skakało z radości. Musiała przyznać sama przed sobą, że za dużo o nim marzyła. Zbyt wiele odczuwała wstrząsów, kiedy go widziała. I to serce tak się tłukło, i nogi drżały. Nawet zaczęła się zastanawiać, jak smakują jego pocałunki. Oj, jak bardzo chciała się z nim całować. A potem śmiała się ze swoich myśli. Zachowywała się infantylnie. Niczym zakochana nastolatka.

Gdyby tylko nasze opowieści do siebie przystawały – myślała nieraz. – Albo gdybym ja wskoczyła do jego, a on do mojej... Życie byłoby prostsze. Najgorsze było to, że Mariona ostatnio zaniedbywała rodzinę. Że była zła jak osa i wszystko ją drażniło. Nawet dzieci.

Tego dnia Mariona usiadła po turecku na środku pokoju chłopców. Wkurzona była na siebie tym porannym wybuchem.

„Nie mam czasu na głupoty” – powiedziała, kiedy Marcel poprosił ją o nożyczki i taśmę klejącą. Dzień wcześniej powycinał z papieru kółka i trójkąty, a teraz chciał je przykleić do kartki. Czy to była głupota? Dla jej synka na pewno nie. Jak mogła go tak ostro potraktować? Nie miała czasu dla najbliższych, a dla Bartka tak. Bo znajdowała czas, by porozmawiać z nim o tym, co gotuje na obiad, o pogodzie albo o dupie Maryni. Zanim została mamą, obiecała sobie, że kiedy będzie miała dzieci, poświęci im maksimum uwagi. Życie zweryfikowało jej postanowienia.

– Mam czterdziestkę na karku, dom, dzieci, męża, i bliskiego znajomego – Mariona zwierzała się Karolinie. – Coś tam przeżyłam, ale czasami zastanawiam się: „To już? To tyle? Nic mnie więcej nie spotka?”. Okej, tłumaczę sobie, że jestem zdrowa, moi bliscy też są zdrowi, nie mam w życiu ciężko, prowadzę swój biznes. I jakoś się to wszystko kręci. Ale czy to już wszystko? Czy to jest to, co chciałam osiągnąć?

– Zawsze możesz chcieć więcej.

– Mogę. I wiesz, ja tęsknię czasami... Niekiedy nachodzi mnie okropna tęsknota za tym, co było. Za tym szaleństwem. Teraz też niby mogę zaszaleć, ale jednak mam ograniczenia. Bo nie spiję się do nieprzytomności, skoro dzieci w są domu.

– A czemu nie?

– Wiesz, jak to jest na kacu zajmować się dziećmi?

– Nie wiem.

– To jeszcze wszystko przed tobą. I wydaje mi się, że czasami mam taki dzień świstaka czy dzień świra. I tak dzień za dniem. A ostatnio to śmiałam się z tego wszystkiego, z tych świstakowych dni. Sobota rano. Wsiadliśmy do samochodu, Witek odpalił silnik. „A torby wzięłaś?” – zapytałam. „Myślałam, że ty wzięłaś”. „Nie. Leżą od tygodnia na stoliku przy drzwiach”. „Zapomniałam”. Zaczęłam się śmiać. Tydzień temu dokładnie wypowiadaliśmy tę samą kwestię. Dwa tygodnie temu też. Kiedy weszliśmy do sklepu, zostałam z chłopakami sama przy wózku. Marcel chciał do niego wsiąść, starszy też próbował się ucześcić, choć przecież był już za duży, i zaczęli się szamotać. Witek zniknął w dziale z narzędziami, zostawiając mnie z chłopakami. Pot ciurkiem kapał mi po plecach. I było jak w zeszłą sobotę, i dwa tygodnie wcześniej, i jeszcze wcześniej. Wróciliśmy z zakupów, ugotowałam rosół. Zjedliśmy, poszliśmy na spacer. Wróciliśmy, obejrzelśmy film familijny. I tyle? Tak ma być już zawsze?

– Już za kilka lat chłopaki dostarczą ci więcej wrażeń.

– Nie mów.

– Ale czego ty chcesz?

– Czasami myślę, że chciałabym się jeszcze pokręcić na tej karuzeli życia.

Tak bez trzymania.

– To co? Kiedy pijemy ten spirytus? – Bartek uśmiechnął się do Mariony zawadiacko.

– Nie odpuszczasz, co?

– Nie.

– Mam męża i dzieci.

– A ja nie zapraszam cię do łóżka – patrzył jej prosto w oczy.

Zgodziła się.

Dzień przed umówionym spotkaniem z Bartkiem zadzwoniła do Karoliny.

– Nie pochwalam tego – powiedziała jej przyjaciółka.

– Wiem.

– Jak też wiem, że cokolwiek bym powiedziała, ty i tak tam pójdziesz.

– Tak, chyba tak. Wiesz, my się tylko przyjaźnimy. Nie mogłabym o tym powiedzieć Witkowi, nie zrozumiałby.

Karolina parsknęła.

– Oj, kochana, wiesz, jak to się wszystko zaczyna.

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz aż za dobrze. Sama boisz się do tego przyznać. Większość ludzi z góry nie zakłada, że będzie mieć romans. Spotykasz drugą osobę, jest między wami silne przyciąganie, fascynacja. Wydaje ci się, że z tym kimś jest o wiele lepsza komunikacja, rozmowa... Ten ktoś jest inny niż twój mąż, żona. Początkowo nie przekraczacie granic, udajecie, że łączy was fajne kumplostwo. Tylko że ja nie wierzę w fajne kumplostwo między kobietą a mężczyzną, kiedy jest takie silne przyciąganie, że aż iskry lecą. I któregoś dnia ulegajecie pokusie. Mariono, gdybyś nie kochała Witka, nie była mężatką... Rób, co chcesz, droga wolna. Zastanów się nad tym wszystkim, co powiedziałam, bo nie tylko ty będziesz cierpieć.

Pili, śmiali się. Mariono miała poczucie winy. W dodatku okłamała męża. Powiedziała, że idzie się spotkać z koleżanką z liceum, którą spotkała ostatnio przypadkiem w sklepie.

„Dla koleżanki się tak stroisz?” – zażartował Witek. „Wiesz, minęło już tyle lat, chcę się dobrze zaprezentować”. „Tylko żeby nie ukradł cię po drodze żaden napalony facet”. „Faceci wolą młodsze”. Witek podszedł do żony i pocałował ją w szyję: „A ja ze wszystkich kobiet na świecie wolę swoją żonę”. Już miała odwołać spotkanie, jednak jakiś chochlik, który usiadł na jej ramieniu, wołał: „Idź. Co ci zależy?”

Poszła.

Umówili się, że Mariono przyjdzie dopiero wtedy, kiedy Bartek da znać, że Agnieszka zasnęła. Na początku czuła się skrępowana, ale kiedy zaczęła pić drinki, bo ze spirytusu w końcu zrezygnowali, odprężyła się. Czuła się uwodzicielska, seksowna i piękna. W żadnym razie nie zdradziłabym męża – powtarzała sobie w myślach. Witek jest cudownym mężczyzną.

– Jaki jest twój mąż? – wyrwał ją z zamyślenia Bartek.

– Kochany, czuły, cudowny... – Ach tak – westchnął.

Mariono wiedziała, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Zapewne wolałby usłyszeć, że nie jest z nim szczęśliwa.

– A jednak jesteś tutaj ze mną.

Mariono poczuła dziwny ucisk w sercu. Nic nie odpowiedziała, tylko pociągnęła łyk alkoholu.

No jestem... Może chciała znów to poczuć? Ekscytację. Chciała zobaczyć ten zachwyt w oczach innego mężczyzny. Jej mąż już tak na nią nie patrzył. Dla tego spojrzenia tu przyszła. Ale ma też rodzinę, którą kocha nad życie. Co ja wyprawiam? – skarciła siebie w duchu. – Muszę stąd wyjść – postanowiła. Bartek

się do niej uśmiechnął I została.

– Bardzo mi się podobasz – powiedział po chwili.

– Jesteś pijany – zaśmiała się Marionna.

– Na trzeźwo bym ci tego nie powiedział – nachylił się i odgarnął zabłąkany kosmyk włosów z jej policzka. – Twój śmiech jest zaraźliwy. Masz w sobie taką energię...

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie mów.

– Nie... Powiem... Jestem mężatką...

– To dlaczego tutaj przyszedłeś?

Wzruszyła ramionami, oblizwała wargi.

– Brakuje ci czegoś w życiu? Jesteś nieszczęśliwa?

– Jestem szczęśliwa.

– A mnie się wydaje, że nie...

Wstała gwałtownie i podeszła do okna. Miasto błyszczało od świateł latarni. Nie mogła złapać oddechu. Powietrze w pomieszczeniu stało się ciężkie.

Słyszała, że Bartek też wstaje. Podeszedł do niej. Nie odwróciła się. Westchnęła ciężko. Mężczyzna opuścił ramięczko jej sukienki. Jego place dotknęły rozpalonej skóry kobiety. Nawet nie drgnęła. Pragnęła go. Po chwili poczuła jego oddech na swojej szyi. Zaczął ją całować. Zamknęła oczy, przygryzła wargę. Rozum mówił jedno, ale ciało chciało czegoś innego. Wyobraziła sobie, że on podwija jej sukienkę, zdejmuje jej majtki i wkłada palce w jej wnętrze, a kiedy jest już gotowa, zanosi na łóżko, kładzie się na niej. Całuje, kąsa i liże dół jej brzucha, wnętrze ud.

– Czy na pewno tego chcesz? – z zamyślenia wyrwał ją głos Bartka.

Czy tego chce? Tak. Bardzo tego chce. Otworzyła usta, by powiedzieć, że niczego tak bardzo nie pragnie, ale w tej samej sekundzie usłyszała sygnał esemesa.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem – odsunęła się od niego. Wyszła do przedpokoju, gdzie wisiała jej torebka, a w niej telefon. Odczytała wiadomość od Witka:

Melduję, że dzieciaki wykąpane i najedzone. Bajka przeczytana. Baw się dobrze. W.

Odłożyła telefon na miejsce i weszła do pokoju. Bartek stał oparty o parapet i palił papierosa.

– Przepraszam za to – gestem wskazał na papierosa. – Ale musiałem.

– Okej.

Zapadła krępująca cisza.

– To jest niewłaściwe – odezwała się Marionna.

– Niewłaściwe dla ciebie.

– Dziś byłoby zapewne cudownie...
– Zapewne tak.
– Ale jutro bym tego żałowała.
– Rodzina...
– Tak. Rodzina wiele dla mnie znaczy. Nie powinnam była tu przychodzić –
wygładziła sukienkę.
– Chciałaś?
– Chyba tak. Inaczej by mnie tu nie było. Ale jak to mówią: chcieć, a móc
robi różnicę. I to bardzo dużą. Zbieram się.
– Od kogo dostałaś esemes?
– Od męża.
– Gdyby nie ta wiadomość, to myślisz, że posunęłabyś się dalej?
Spojrzała mu prosto w oczy.
– Tak. Gdyby nie ta wiadomość, to nie oparłabym się pokusie.
Wyszła na korytarz, włożyła buty.
Bartek nachylił się nad nią i mocno do siebie przytulił.
– Pocałuj mnie. Raz. Jeden, jedyny raz.
Mariona zbliżyła usta do jego ust...

Mariona siedziała w taksówce. Czoło oparła o szybę. Opuszkami palców dotknęła warg.

Z jednej strony poczuła błogość, z drugiej ogarnął ją wstyd. Pożądanie jest zgubne. Potrafi nieźle namieszać. Czasami jeden elektryzujący dotyk sprawia, że człowiek traci zmysły. Namiętność może zrujnować czyjeś życie.

Weszła do mieszkania. Kiedy tylko przekroczyła próg domu, poczuła ogromny wstyd i poczucie winy.

Witek wyszedł na korytarz.

– Co tak stoisz?

– A nic.

– Jak się udał wieczór?

Mariona przełknęła ślinę. Musisz zachowywać się normalnie – nakazała sobie.

– Super. Naprawdę... Chłopcy szybko zasnęli? – zmieniła szybko temat.

– Od razu. Zamówiłem pizzę.

– Pizzę?

– No wiesz, wieczór z tatą. W męskim gronie – Witek uśmiechnął się do żony, a Marionę ogarnęła irytacja.

– Dlaczego zawsze, jak gdzieś z nimi wychodzisz albo zostajesz, zamawiasz dla nich niezdrowe rzeczy? Później ja wychodzę na tę złą, bo wciskam im zupę

jarzynową.

– Chciałem spędzić z nimi fajnie czas.

– To nie musiałeś zamawiać pizzy – warknęła i weszła do łazienki.

Może specjalnie wywołała awanturę? Byle tylko zepchnąć z siebie poczucie winy?

Witek usiadł w fotelu, złapał w dłoń pilot i przerzucał kanały. Kochał Marionę, odkąd go po raz pierwszy pocałowała. Wyznawał zasadę, że jeśli dwoje ludzi powie sobie: „tak”, to nie ma dla żadnego z małżonków nikogo innego interesującego na boku. Dlaczego o tym teraz pomyślał? Wiedział, jak bardzo Mariona jest lojalna i wierna, on również nie spoglądał na boki, a jednak ogarnęły go złe przeczucia. Nie, oczywiście nie chodziło o zdradę. Ale wydawało mu się, że coraz bardziej się od siebie oddalają. Może on za mało pomaga w domu? Ale przecież stara się. W każdy weekend zabiera gdzieś chłopców, aby Mariona mogła odpocząć. Ona nie zawsze się wtedy relaksuje, zazwyczaj sprząta, ale to już nie jego wina.

Przypomniawszy sobie ich pierwsze wspólne wakacje jeszcze bez dzieci, pod namiotem.

Wyjechali w Bieszczady, chodzili po połoninach. Po całym dniu wędrówek byli tak głodni, że ze smakiem jedli konserwy z puszki, chleb i ogórki. Popijali to wszystko tanim winem albo piwem, a potem wślizgiwali się pod śpiwór, tuląc się i całując namiętnie. Któregoś dnia rozłożyli namiot na mrowisku. Było bardzo późno, nie zauważyli, że ta mała górka, którą Witek uznał za kopiec kreta, była mrowiskiem. Latarka im wysiadła, więc działali po ciemku. Zasnęli szybko. W pewnym momencie Mariona zaczęła krzyczeć.

– Co się stało? – Witek przetarł oczy.

– Coś mnie oblało.

Chłopak poczuł, że po nim też coś łązi. Złapał Marionę za rękę i wyskoczyli jak oparzeni z namiotu.

– Tam jest jezioro. Musimy się umyć.

Zdjęli ubrania i wskoczyli do wody. Kiedy już wszystkie insekty się potopiły, śmiali się i pluskali. Wtedy właśnie Witek postanowił, że Mariona zostanie jego żoną, że kocha ją i nie pozwoli, by mrówki ją zjadły. Miesiąc po ich wyprawie Mariona zrobiła sobie test ciążowy. Oboje się ucieszyli. Byli bardzo młodzi, ale kochali się na zabój.

Do dzisiaj jego uczucia w stosunku do żony się nie zmieniły. Wiedział, że Mariona niezmiennie pozostaje kobietą jego życia.

ROZDZIAŁ 24

Karolina wyciągnęła Marionę do pubu. Martwiła się o nią. Nie chciała, by jej przyjaciółka rozwalila sobie małżeństwo przez chwilowe zauroczenie.

– Wiesz, co myślę?
– Hmm... – Karolina powoli sączyła swojego drinka.
– Czasem wydaje mi się, że nie ma sensu wiązać się z drugim człowiekiem na tak długo.

– A mnie się wydaje, że jest w tym jakiś sens.
– Jaki?
– Zauroczenie to tylko błysk.
– Błysk?
– Inaczej. Taki szybki numer. Jesteś napalona jak diabli na jakiegoś kolesia. Rodzi się ta cała ekscytacja związana z tą drugą osobą, podniecenie, wrażenie, że szybujesz nad ziemią. I w końcu się szepiacie, kilka posuwistych ruchów. Orgazm albo i nie. Przychodzi poranek, a ty wiesz, że to nie to. Gdzieś kiedyś przeczytałam, że zauroczenie przemienia się w obsesyjną iluzję szczęścia, a nie w prawdziwą miłość. Zauroczenie to stan, w którym zainfekowany zakłada różowe okulary, sprawiając wrażenie, jakby popijał życie mocniejszym alkoholem albo zarzucał sobie dragi. A potem cieszy się jak głupi do sera na myśl o tej drugiej osobie. Zauroczenie bez problemu można porównać do tanich perfum. Ich zapach jest intensywny, ale szybko się ulatnia.

– Chcesz mi obrzydzić Bartka?
– Chcę cię sprowadzić z tych wyżyn na ziemię. Bo to nawet nie są góry, a pagóreczki. To samo czułaś do Witka na początku znajomości.

– Ale już nie czuję.
– Między wami jest coś więcej.
– Miłość?
– Tak, miłość. Miłość to wspólne teraz, to spoglądanie razem ku przyszłości. Lepszej lub gorszej, ale wspólnej. Zauroczenie to skrajność. Te emocje, góra, dół. Śmiech wymieszany ze łzami. A miłość to stała. I to jest chyba w tym wszystkim najpiękniejsze. Stałość.

– Czasem mam wrażenie, że ludzie są ze sobą dla kilku błysków szczęścia.
– Błysków szczęścia? – uśmiechnęła się pod nosem Karolina.
– A nie? Początki znajomości, błysk, pierwszy seks, wyładowania piorunów, narodziny dziecka, grzmot, zakup swojego „M”, błysk, i tak dalej, i tak dalej.

A wszystko pomiędzy tymi błyskami i wyładowaniami nazywa się zwyczajnością.

– I w tym normalnym dniu jest siła. Gdyby ciągle ci tak grzmociło i błyszczało, to byś...

Mariona rozpuściła włosy, po czym zdjęła bolerko, ukazując gołe plecy. Weszła na parkiet i zaczęła tańczyć. Poruszała się w takt muzyki, kołysząc biodrami, odrzucała do tyłu włosy, uśmiechała się. Tańczyła, jakby nikt na nią nie patrzył, jakby świat nie istniał. Jakby było tak, jak „kiedyś”.

Każdy z nas chciałby choć na chwilę powrócić do swojej przeszłości. Zatańczyć szalony taniec na moście, przeżyć na nowo pierwszy pocałunek z nieznanym chłopakiem, zatopić się w przeszłych emocjach. Wrócić do niedokończonej rozmowy, czułego muśnięcia dłonią. Do tego, by powiedzieć komuś, że się kochało, że się nie zapomniało. Każdy z nas chciałby wrócić, by usłyszeć ponownie: „Kocham” i zobaczyć tę miłość w oczach drugiej osoby.

„Jak tam w pracy?” „Zawieziesz chłopaków na trening?” „Jak po treningu?” „Co na obiad?” „Zaprosiłem mamę”. Buzi. Buzi. Jakiś film obejrzany wspólnie.

A on, ten drugi. Zauważył, że zmieniła fryzurę, że pięknie wygląda w tej niebieskiej sukience. I rozmawia z nią nie tylko o obiedzie i treningach.

– Wiesz, dlaczego mężatki zdradzają? – zapytała Mariona przyjaciółkę, kiedy wróciła do stolika. – Bo są niedopieczzone słowami. Bo czegoś im brakuje.

Mariona wiedziała, że w jej życiu też jest jakaś pustka.

Karolina powiedziała jej, że nie ma związku, w którym by czegoś nie brakowało. Partner nie jest od tego, by zaspokajać nasze braki, pustki, zalepić wyrwy w sercu, składać nas do kupy, kiedy się rozsypujemy.

Mariona musiała zakończyć tę historię. Wiedziała, że będzie chodziła przez jakiś czas z roztrzaskanym sercem, poranioną duszą. Będzie ryczała, chlipała i cierpiała. Bardzo cierpiała. Ale wiedziała też, że musi dokonać wyboru. Podjąć decyzję, bo nie da się tak żyć – kiedy kochasz dwie osoby jednocześnie. Może nie kochasz, ale darzysz obie gorącym uczuciem. Zaprzeczą tylko ci, którzy nie znaleźli się w podobnej sytuacji. Czujesz się rozdarta. To uczucie jest wszechobecne. Rozdarcie. Boisz się, że jeśli z którymkolwiek zostaniesz, to zmarnujesz swoje szczęście z tym drugim. Mariona chciała być z mężem, ale nie potrafiła przestać myśleć o Bartku. Chciałaby rozerwać się na dwoje albo sklonować i przeżywać swoje życie z nimi dwoma.

– A co tam u ciebie? – zapytała Karolinę.

– Poznałam kogoś, byłam z nim na pierwszej randce.

– I? Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

– Bo ostatnio jesteś nieobecna. Zakochana.

– Karola, przepraszam. Zaniedbuję cię... – złapała przyjaciółkę za rękę.

– Oj, nic wielkiego.

– Ale co? Coś z nim było nie tak?

– Wszystko okej na pierwszy rzut oka. Wzięłam od niego numer telefonu. Ja nie dałam mu swojego.

– Dlaczego?

– Bo tak było bezpieczniej. Bo nie chcę roztrzaskać sobie serca.

– Nie każdy facet to świnia. Możesz spróbować.

– Zastanowię się.

* * *

Przez następne dni Mariona unikała Bartka. Poprosiła nawet teściową, by odebrała dwa razy dzieci. Była w warzywniaku i przebierała jabłka, kiedy usłyszała za plecami znajomy głos.

– Cześć, królowo! – powiedział Bartek.

– Cześć – odwróciła się w jego stronę. Czowała się skrępowana.

– Unikasz mnie?

– No wiesz... – wciąż buszowała w koszyku z owocami. – Zapłacę za jabłka i zaczekam na ciebie przed sklepem.

Włożyła do torebki jeszcze dwa owoce i stanęła w kolejce do kasy. Wyszła, a kilka minut później wyszedł również Bartek.

– Robię dzisiaj pomidorową – wskazał głową na siatkę.

– Ja mam dzisiaj na obiad gołąbki od teściowej.

– O, to fajną masz teściową. Dogadza ci.

– Teściowa najchętniej utopiłaby mnie w łyżce wody.

Oboje zaczęli się śmiać. Po czym zamilkli.

– Co z nami? – zapytał po chwili milczenia Bartek.

– Nie ma nas.

– Nie potrzebujesz mnie?

– Pewnie, że cię potrzebuję, ale...

– Ale są ludzie, których potrzebujesz bardziej? – powiedział przez zaciśnięte zęby. Jego głos ociekał goryczą.

– Bartek... Muszę już iść.

– Mówiłaś to też ostatnio.

– I będę powtarzać za każdym razem.

Patrzyli sobie w oczy. Wiarołomna miłość jest pełna rys i odłamków. W tym układzie zawsze jest pełno zranień, które tak ciężko się goją. W takim związku zawsze jedna osoba angażuje się mocniej od drugiej. Romanse dają tylko chwile szczęścia. Gdy trwają dłużej, zostawiają po sobie wyłącznie cierpienie. Tu zawsze

ktoś ma złamane serce i poharataną duszę.

– Cześć – odwróciła się i ruszyła w stronę osiedla.

Następnego dnia, kiedy Marioną szła lalki, usłyszała dzwonek.

– No nareszcie... – od kilku dni czekała na paczkę z materiałami. Otworzyła.

W drzwiach stał Bartek.

Nie jest jakoś szczególnie uradowana – pomyślał mężczyzna.

– Cześć – odezwał się pierwszy.

– Cześć, co tu robisz?

– Przepraszam, że wpadam do ciebie bez uprzedzenia, to nieładnie z mojej strony.

– Jestem zajęta...

– Byłem w pobliżu – skłamał.

– Chcesz napić się kawy?

– Z przyjemnością – tylko czekał na zaproszenie.

Mariona odsunęła się i wpuściła go do środka.

– To nie jest dobry pomysł, żebyś tu przychodził.

– Tak, wiem – usiadł na kuchennym taborecie.

Mariona włożyła do ekspresu kapsułkę.

– Przepraszam. Moglibyśmy porozmawiać o tamtym wieczorze?

– Nie chcę do tego wracać.

Kobieta nacisnęła guzik. Kawa z sykiem popłynęła do kubka. Marioną stała odwrócona do Bartka plecami. Kiedy kubek napełnił się kawą, odstawiła go na bok i speniła mleko.

Postawiła kawę przed mężczyzną, ani razu nie patrząc mu w oczy. On za to nie mógł oderwać od niej wzroku. Była piękna, taka „domowa”. Bez makijażu, w dresie, z potarganymi włosami.

– Mogę ci zadać jedno pytanie?

– Pytaj – odpowiedziała. Bartek nie znał jej takiej: szorstkiej i nieprzyjemnej.

– Kochasz męża? Spójrz mi prosto w oczy i mi to powiedz.

– Oczywiście, że go kocham.

– To po co było to wszystko ze mną? Nudziło ci się czy co? – Bartek poczerwieniał na twarzy i szyi. – Co cię z nim łączy? Letnie uczucie? Dzieci? Kredyt?

– Wszystko. Kocham go. Popełniłam błąd – kobieta przełknęła głośno ślinę.

– Dałaś mi nadzieję, a potem mi ją perfidnie odebrałaś. Tak nie można! – zakończył wzburzony.

– Masz rację. Tak nie można.

Marioną była na siebie zła, że zadała mu ból, że się w to wszystko wplątała. I kiedy o tym wszystkim myślała, on zaczął do niej mówić. Że mu zależy, że się

zakochuje, że nie może przestać o niej myśleć, że ona i tylko ona.

Z każdym jego słowem nabierała pewności, że musi podjąć jakieś kroki, bo tak się nie da żyć, bo tak nie można. I wiedziała, że to koniec.

– Musiałem cię zobaczyć.

– Bartek, proszę, daj mi spokój.

– Porozmawiaj ze mną.

– O czym?

– Wyjaśnijmy sobie wszystko.

– Ale co?

– Wszystko.

– Jezuuu! – jęknęła. Miała go dość. Byli dorosłymi ludźmi, a on widać niczego nie rozumiał. Nie chciał zrozumieć.

– Wyjdźmy z mojego mieszkania.

– Dokąd?

– Nie wiem, pojedźmy gdzieś, porozmawiamy spokojnie, ale nie tu. Tutaj...

Tu jest mój dom.

Mariona chciałyby odzyskać spokój ducha. Swoje dawne życie. Życie przed pojawieniem się Bartka. Chciałyby cofnąć czas i naprawić to, co spieprzyła. Wcisnąć klawisz „Delete” i wykasować to, co jej się przydarzyło. Dlaczego, do cholery, to tak nie działa?

Siedzieli w samochodzie zaparkowanym na tyłach jakiegoś starego magazynu.

– Naprawdę nic do mnie nie czułaś? – zapytał.

– Oczywiście, że czułam, ale to nie była miłość – westchnęła.

Bartek skinął głową.

– Tyle nas łączyło...

– To prawda. Fajny z ciebie kumpel. Cudowny, ciepły mężczyzna.

– Czy uważasz, że nasza znajomość była... jest – poprawił się – czystym koleżeństwem?

– Tak.

– Przyznaj, że też się zakochałaś?

– Zauroczyłam się, to prawda.

– A gdybyś zaczęła ze mną wszystko od nowa? – skamlał niczym bezpański pies.

– Bartek, do cholery, o czym ty mówisz? Mam męża, dzieci. Jakie „od nowa”?

– Wszystko...

Zamilkli.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, że, ot tak, po prostu znikniesz z mojego

życia.

– Bartek...

Mariona zdała sobie sprawę, że prowadzi z Bartkiem żalostną rozmowę niczym z tanich romansideł, gdzie on mówi: „wróć”, a ona ucieka, bawiąc się z nim w kotka i myszkę. Powiedziała mu, że to definitywny koniec, a on wciąż wierzył w powroty. I mogłaby się do niego przestać odzywać, ale bała się, że Bartkowi odbije, pójdzie do jej męża i wszystko mu opowie. On nie miał nic do stracenia, ona wszystko. W sumie nie doszło między nimi do fizycznego zbliżenia, ale były rozmowy, potajemne schadzki, pocałunek i zaangażowanie. Teraz już wiedziała, że to było niepotrzebne. Czuła się, jakby jej dusza uleciała z ciała i patrzyła na tę całą groteskową sytuację z boku. Bartek niemal łkał i zadawał pełne nadziei pytania, a ona, wiarołomna żona, której zachciało się odskoczyć od codzienności, nie miała pojęcia, co ma mu odpowiadać.

– Nic nie poradzę, że czuję do ciebie to, co czuję. Kocham cię. Mówię to pierwszy raz kobiecie od śmierci mojej żony. Pierwszy raz. Wszystko jedno, o czym teraz myślisz, proszę cię, nie lekceważ moich uczuć.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

Mariona poczuła, że jej irytacja rośnie. Miała ochotę nim potrząsnąć i powiedzieć: „Zrozum mnie. Do cholery, proszę o trochę zrozumienia”.

– Niczego ci nie obiecywałam.

– Wiem, ale nie pozostawałaś obojętna.

– Podobne rzeczy przytrafiają się innym ludziom.

– Co masz na myśli?

– Zauroczenia, które nie mają nic wspólnego z życiem. Kocham swoje dzieci i swojego męża. Jesteś fajnym facetem, ale...

– Muszę mieć jakiś pieprzony defekt, skoro mnie nie chcesz. Nie pociągam cię? Jestem obrzydliwy? Za mało inteligentny? No co?

– Dość! – Mariona nie wytrzymała. – Wracamy do punktu wyjścia. To nie chodzi o ciebie, tylko o mnie, o to, że mam rodzinę. Ile jeszcze razy mam ci to powtarzać?

– Jesteś pieprzoną egoistką! – teraz to jemu puściły nerwy.

– Taaak... Zasłużyłam sobie na to.

Oczy Bartka ciskały gromy w jej stronę.

– Bardzo mi przykro... – powiedziała spokojnie Mariona.

– Z jakiego, kurwa, powodu jest ci przykro?

– Że cię zraniłam, że postąpiłam samolubnie, wiedząc, że niczego nie mogę ci zaoferować. Niczego oprócz przyjaźni.

– Wsadź sobie w buty swoją przyjaźń!

Mariona przełknęła głośno ślinę. Wiedziała, że zraniony człowiek może posunąć się do najgorszych obelg i gróźb.

– Przepraszam – Mariona pociągnęła za klamkę i wyszła z samochodu. Odeszła, nie oglądając się za siebie. Miała już dosyć tej emocjonalnej huśtawki, nienawidziła siebie za to, co zrobiła.

Bartek jeszcze chwilę siedział w bezruchu z rękoma opartymi o kierownicę, po czym uchylił okno. Miał nadzieję, że zimne powietrze ukołi trochę jego ból. Niespodziewanie wstrząsnął nim szloch, świat zaczął tracić ostrość. Jego ciało drżało, a po policzkach płynęły łzy. Tak dawno nie płakał, a teraz musiał wypłakać cały tłumiony ból i emocje. Wiedział, że Mariona miała rację. Żywiła do niego ciepłe uczucia, a on złapał się tych okruczeń zainteresowania i wymyślił sobie w głowie cały romans. A to wszystko dlatego, że od śmierci Asi czuł się bardzo samotny. Przez te trzy lata skupiał uwagę tylko na córce i pracy, spychając swoje pragnienia i emocje gdzieś na dno duszy, i kiedy pojawiła się ta kobieta...

Nie mógł uwierzyć, że Mariona powiedziała mu, że go nie chce. Nie mógł się pogodzić z ich definitywnym rozstaniem. Czuł, że to koniec. A przecież było im tak cudownie. Tyle śmiechu, rozmów czy nawet przytuleń. Nocnych spacerów, opowieści o filmach. Wiadomości. Ile oni sobie powysyłali wiadomości... Czułych słów, zwyczajnych, pełnych uśmiechu. I teraz tego nie będzie? Oczekiwania do kolejnego spotkania, kolejnego spojrzenia, kolejnego uśmiechu... Spotkań też już nie będzie... A on był wypełniony chciwością. Chciwością posiadania jej. Jedyne, czego teraz pragnął, to mieć ją na własność. Wiedział, że to niemożliwe, rozumiał, że nie można nikogo posiadać na własność, ale jego umysł tego nie pojmował. Zachowywał się jak psychol z krwawego kryminału. Stalker. Boże, on jej nawet nie dotknął tak, jakby chciał. Jak zakochany mężczyzna dotyka swojej kobiety, tak, żeby ona zadrżała pod wpływem jego dotyku. Tak, żeby na jej ciele pojawiła się gęsia skóra, żeby jej sutki stwardniały, żeby chciała rozchylić dla niego uda.

Zawył niczym zranione zwierzę. Płakał jeszcze przez kilka minut, dopóki nie zrobiło mu się trochę lżej na duszy. Otarł twarz. Musiał wziąć się w garść. Musiał odpuścić.

Wrócił do domu. Opadł ciężko na łóżko, włączył płytę. Ostatnio lubił się dołować smętnymi piosenkami o miłości. Nie sądził, że kiedyś go to dopadnie. On, dojrzały mężczyzna, zachowuje się jak gówniarz. Słuchał:

*Z oczu twych czytam, że powinieneś pójść
Bałam się tego dnia, serce krzyczy – wróć!
Rozum wie lepiej, na tej planecie już
Nie oplaca się kochać
Koniec gry, mamy dość, wypadamy w aut
Przecież tak toczy się los miliardów par
Przecież tym dzisiaj oddycha ziemia
Chaos, pustka, strach!*

*Budzisz mnie pocałunkiem
Kończy się zły
I kończy się zły
Sen o przyszłości...
Oczy otwieram smutne
Umiera świat
Bo umiera świat
Na brak miłości[7].*

Koło czternastej zszedł do pani Basi.

– Pani Basiu, dzień dobry. Czy odebrałyby pani dzisiaj Agnieszkę ze szkoły? Zapłacę pani ekstra. I czy Aga mogłaby u pani zostać na noc?

– Coś się stało?

Wszystko! – Bartek najchętniej wykrzyczałby swoją frustrację.

– Mam zakrapianą kolację z kontrahentem i, wie pani, nie chcę, by córka oglądała mnie później w wiadomym stanie – uśmiechnął się do niej niemrawo.

– A, to rozumiem. Rozumiem – puściła do niego oko.

Bartek miał plan. Musiał zagłuszyć ten tępy ból, który rozrywał jego klatkę piersiową. Wsiadł do autobusu i pojechał do pubu w centrum miasta. Oczywiście nie miał żadnego spotkania z kontrahentem, ale nie chciał wszystkiego tłumaczyć pani Basi. Wypił morze alkoholu. Nie pamiętał drogi powrotnej do domu. Wtoczył się po schodach na górę i padł w ubraniu na łóżko. Przespał twardym snem noc do rana.

Obudził go dzwonek budzika. Zmusił się do wstania z łóżka mimo silnych zawrotów głowy i mdłości. Śmierdział jak skunks. Wtoczył się do łazienki. Rozebrał, ubranie wrzucił do kosza na brudną bieliznę. Odkręcił chłodną wodę. Stał pod prysznicem kilka minut, dopóki nie przyszło otrzeźwienie.

– Nigdy więcej się tak nie ponizę – przyrzekł sobie. – I nigdy więcej się nie zakocham. Marioną...

Ledwo pomyślał o Marionie, poczuł znów ból. Zakochał się w niej do szaleństwa, a teraz będzie musiał odpuścić.

* * *

Tego dnia Witek zauważył, że z Marioną jest coś nie tak. Pytał o jej smutek, ale zbywała go, a on wiedział... Zorientował się, dlaczego serce jego żony krwawi.

Podszedł do niej i mocno ją do siebie przytulił, zapytał o samopoczucie, nawet zaproponował, że zabierze ją do lekarza. A kiedy odmówiła, zrobił jej kąpiel z pianą. Kochał ją. Postanowił, że będzie z nią w środku jej uczuciowego huraganu. Był jej mężem. Jej ostoją. Jej skałą.

[7] Fragment piosenki *Sen o przyszłości* z repertuaru S. Grzeszczak, muz. S. Grzeszczak, sł. S. Grzeszczak i M. Piotrowski.

ROZDZIAŁ 25

Karolina zadzwoniła do Michała dwa tygodnie później. Było jej smutno. Sama nie wiedziała, dlaczego.

– Myślisz, że jestem lekiem na całe zło? – zapytał. A ona wyczuła w jego głosie ciepłą nutę. Nie mogła go zobaczyć, ale wiedziała, że w tym momencie się uśmiechnął.

– Może nie na całe, ale na jakąś część.

– Będę u ciebie za kilkanaście minut.

– A wiesz, gdzie mieszkam?

– Nie, ale mam nadzieję, że podasz mi adres.

Uśmiechnęła się.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Zadzwoniłaś do mnie, więc chyba uznałaś, że chcesz się spotkać.

– Niby tak, ale... Nie mam ochoty nigdzie wychodzić.

– Ja też nie mam ochoty włóczyć się po knajpach czy kawiarniach.

– Sam widzisz...

– Moglibyśmy posiedzieć u ciebie.

– Przecież cię nie znam. A jeśli jesteś seryjnym mordercą?

– Może...

Roześmiali się.

– Kto nie ryzykuje, ten nie wie.

– Okej, to jakby co, proszę o łagodną śmierć.

– Do usług.

– Siedzę w dresie, na głowie mam kołtun – dodała.

– Uroczo rozmemłana.

– Nie będę się przebierać.

– Nie musisz. To co, przyjeżdżać?

– A wstąpisz do sklepu?

– No nie, ledwo się poznaliśmy, a tu już wymagania – zaczął się śmiać. –

Dobrze. Czego potrzebujesz?

– Wina i czekolady.

– Do usług.

Michał zapukał do jej mieszkania po kilkadziesiąt minutach.

– Oooo, też jesteś w dresie – zauważyła Karolina.

– Przebrałem się, żeby było ci różniej.

– To w czym chodzisz po domu, skoro musiałeś się przebierać?

– W kalesonach.

Karolina ryknęła śmiechem.

– Serio? Takie ciacho jak ty wkłada na dupsko kalesony?

– Serio.

Śmiali się oboje.

Karolina zaprosiła Michała do pokoju. Na talerze rozłożyła ciastka, które kupił, połamała w kostki czekoladę. Do miski wsypała pralinki. Otworzyła wino.

Trochę porozmawiali, pośmiali się, a potem oglądali głupkowate komedie, zjadając przy tym słodycze i popijając wino.

– Od razu lepiej – stwierdziła Karolina.

Michał uśmiechnął się do niej promiennie. Kobieta przymknęła oczy i zastanowiła się, jak by to było, gdyby wpuściła Michała do swojego świata.

W tym samym momencie mężczyzna zapytał ją, o czym myśli.

– O niczym.

– A ja sądzę, że o czymś jednak myślisz.

Karolina otworzyła oczy.

– Jeśli zgadnę, umówisz się ze mną na kolejną randkę?

– W dresie?

– Może być i w dresie.

– Dobrze.

– Pomyślałaś o nas. O mnie i o tobie.

Karolina poczuła, jak rumieniec wpełza na jej policzki.

– Tak. I co z tego?

– To, że bardzo się z tego faktu cieszę.

– To tylko myśli...

– Od myślenia wszystko się zaczyna. Czyli kolejne spotkanie w przyszły weekend? Jedziemy nad morze.

– Zgłupiałeś?

– Możliwe. A serio to w przyszły weekend zapraszam cię na kolację, a nad morze pojedziemy za dwa tygodnie, jeśli nie masz innych planów...

Już następnego dnia Karolina zatęskniła za Michałem. Zadzwoiła do przyjaciółki:

– Tęsknię za nim...

– To mu o tym powiedz.

– Przecież ja go prawie nie znam!

– I co z tego?

– A jeśli mnie wyśmieje?

– Zacziesz się śmiać razem z nim.

– A jak u ciebie? – Karolina wiedziała, że przyjaciółka definitywnie zakończyła znajomość z Bartkiem.

– Też tęsknię, ale sądzę, że dokonałam najlepszego wyboru z możliwych.

– Boli?

– Tak... – westchnęła. – Pewnie, że boli. Ten człowiek był dla mnie ważny.

Ale... Rodzina.

– Chcesz o tym pogadać? Przyjadę.

– Nie, Karola. Na razie nie.

– Rozumiem. Pamiętaj, że jestem.

– Wiem. Dzięki.

* * *

To już tydzień, odkąd nie miała kontaktu z Bartkiem. Odbierała dzieci równo z dzwonkiem, byle tylko się na niego nie natknąć. Tydzień – sto sześćdziesiąt osiem godzin.

Każdego dnia Mariona utwierdzała się w przekonaniu, że nie będzie żadnej przyszłości dla tej relacji. Każdego dnia musiała zapominać. A proces zapominania jest niezwykle bolesny. Każdego dnia chwytła się codziennych czynności, aby choć na chwilę przestać myśleć. Przygotować śniadanie, odprowadzić dzieci do szkoły i przedszkola, zrobić zakupy, nastawić obiad, zabrać się do szycia, odebrać dzieci, odrobić z nimi lekcje, nakarmić, położyć się spać. Odbębnić kolejny dzień w nadziei, że jutro będzie lepiej, że nie będzie tak bardzo bolało.

Każdego dnia walczyła z pokusą, by rzucić to wszystko i pobiec do Bartka. Z jednej strony rodzina, dojrzałość, obowiązki, z drugiej, przy Bartku, zapominanie o tym, kim się jest. Przy nim czuła się jak nastolatka. Przy nim szczebiotała, zatracala się w jego i swojej wesołości. Brak granic, barier. Przygoda.

Czego tak naprawdę pragnęła? Czy o takim życiu śniła? To zabawne – parsknęła. Kiedy była nastolatką, o niczym innym nie marzyła, jak o tym, by mieć dwójkę dzieci i męża. Kiedy teraz to ma, chce czegoś innego. Kobieta to dziwna istota.

Ból rozstania to cierpienie, które trudno opisać słowami. Ostrze noża wbija się w twoje rozkochane serce pomалу. Rozpruwa je kawałek po kawałku. Zwijasz się z bólu. Bólu, który ogłusza. Rozstanie z osobą, do której coś czujesz, odziera ze złudzeń, ze słowa „kiedyś”. Bo nie ma już dla was żadnego „kiedyś”, żadnego „potem”. Nie padną już słowa: „do zobaczenia”...

Kolejne dni były jak droga na bosaka przez odłamki szkła. Marioną była

smutna, ale wtedy pojawiał się Witek, który opatrywał jej rany. Nie pytał, tylko tulił...

ROZDZIAŁ 26

Mariona uwielbiała zabawy ze swoimi synami. Kiedy miała luźniejszy dzień, zapominali o całym świecie i potrafili bawić się razem przez kilka godzin. Tym razem też chciała o wszystkim zapomnieć. O tym, co jej się przydarzyło, i o tym, że swoim postępowaniem mogła zniszczyć rodzinę.

Był pierwszy dzień wakacji. Nie musieli rano wstać ani nigdzie się spieszyć. Wczoraj Mariona podgoniła zamówienia, więc dzisiejszy dzień mogła spędzić z dziećmi. Wstali o dziewiątej, zjedli naleśniki i napili się kakao. A potem wyszli na zewnątrz. Mariona poprzedniego dnia kupiła kolorowe kredy, teraz malowali nimi po chodniku motyle, kwiaty, oczywiście nie obyło się bez rysunków motorów, ciężarówek i samochodów wyścigowych. A na końcu stworzyli portret rodzinny.

– To mama – powiedział Marcel.

– A ja narysuję tatę – Piotruś odwrócił głowę w stronę Mariony.

– A ja moich kochanych synków – zaśmiała się kobieta.

Potem poszli na plac zabaw. Mariona wsadziła chłopców na huśtawki i bujała ich, ile miała sił.

– Wyżej! Wyżej! – przekrzykiwali się.

– Aż do nieba! – uśmiechała się kobieta.

– Do chmurek!

– Chcę złapać promyczki słońca.

Cała trójka chichotała.

Bawili się też w piaskownicy, a następnie poszli na długi spacer do pobliskiego parku. Na środku parku stała karuzela. Chłopcy rozpędzili urządzenie, a następnie wskoczyli na okrągłą platformę, na środku której była rura, chwycili za nią.

Mariona podeszła do synów.

– Trzymajcie się mocno – zawołała i zakręciła karuzelą z całej siły.

Chłopcy roześmiali się na głos. Mariona zakręciła jeszcze raz i kolejny, karuzela kręciła się jak bąk. Marcel z Piotrkim byli zachwyceni.

Wrócili do domu po piątej. Chłopcy byli tak zmęczeni, że usiedli na sofie i czekali na obiadokolację. Zjedli w milczeniu niemal wszystko, co mieli na talerzach. Już o szóstej Mariona zrobiła chłopcom kąpiel, a potem wskoczyli na łóżko, a Mariona przeczytała im dwie bajki. Pod koniec drugiej książeczki powieki zaczęły im opadać. Kobieta delikatnie wzięła na ręce najpierw Marcela, aby przenieść go do łóżka, a potem Piotrusia. Okryła ich kołderkami i ucałowała czubki

głów.

Jak ja ich kocham – pomyślała.

Usiadła w fotelu. Witek pracował dzisiaj po godzinach. Popijała więc samotnie herbatę z cytryną, kiedy zadzwonił telefon.

– To ja – usłyszała głos Karoliny.

– Słyszę, że ty.

Roześmiały się.

– Co tam?

– Hipopotam. Piję.

– Sama? Źle już z tobą.

– Herbatę z cytryną.

– Ja też herbatę, ale bez cytryny. A jak tam twoje samopoczucie? – zapytała bez ogródek.

– Znośnie. Właśnie się zastanawiałam, czy nie puściłam się biegiem w podskokach, by wyciągnąć ręce po nieznane?

– Może tak było.

– Z jednej strony nieznane, śmiech, szaleństwo i zapominanie o codzienności, z drugiej miłość, ale też utracone nadzieje, kompromisy, codzienność...

– My, kobiety, ciągle chcemy więcej – podsumowała Karolina. – Coś w tym jest.

– Na pewno. Marzymy o tym jednym, jedynym księciu. A kiedy pojawia się na naszej drodze, chcemy, by włożył nam na palec pierścionek albo obrączkę. Potem pragniemy z nim mieć dzieci. No dobrze, niektóre kobiety nie chcą, ale większość tak. Odhaczamy punkt za punktem na naszej liście marzeń. Kupujemy domy, robimy kariery albo spełniamy się jako matki. A któregoś dnia budzimy się ze świadomością, że to nie to, że to nie tak miało wyglądać. Bo kariera i nie ma czasu na życie prywatne, bo dzieci i częściej smaży się naleśniki zamiast zdobywać szczyty. Bo to, bo tamto. I chciałoby się inaczej.

W pewnym momencie zabrakło mi zainteresowania ze strony Witka. Oczywiście, wzruszały mnie jego gesty. Przykrywał mnie w nocy, bo się rozkopałam, albo przynosił mi termofor, kiedy miałam skostniałe z zimna stopy. Albo wtedy, gdy zrobił mi kawę, jak siedziałam do późna w nocy nad zleceniem. Tylko takie chwile zdarzały się rzadko, przykurzone codziennością, obowiązkami, pośpiechem. Miałam ochotę nim potrząsnąć, wywalić do kosza ten pieprzony telefon, komputer albo moją maszynę. Wiem, oczywiście wiem, że przesadzam...

– Szukałaś dziury w całym. Chciałaś na chwilę uciec i uciekłaś.

– Może i tak. Ale tamten był przy mnie obecny. Rozmawiał, zauważał mnie, śmiał się do mnie.

– Bo nie byliście dla siebie codziennością, tylko świętem.

Na chwilę zamilkły. Mariona upiła łyk herbaty.

– Myślałam o zdradzie, zanim poznałam Bartka. To znaczy nie, nie ciągle... Czasami przeszło mi to przez myśl.

– Wiesz, nie jestem ekspertką od związków, ale sądzę, że w długotrwałych relacjach niekiedy ludzie myślą o takich rzeczach. Ale myślenie o skoku w bok, a romans w realu to dwie różne rzeczy. Czasami trzeba podejść do tego na chłodno. Taka kalkulacja, co nam się opłaci, a co już nie. Do nowo poznanej osoby, która cię na swój sposób kręci, odczuwasz pociąg. Ale on jest zgubnym doradcą. Nie rozwiązuje problemów, ba, nawet je pogłębia. Łatwo powiedzieć: „Chodźmy do ciebie, zrobmy to”. Ale co potem? Następnego dnia trzeba się ubrać, spojrzeć sobie w oczy. Wrócić do rodziny...

Mariona będzie do końca życia pamiętała Bartka, zapach jego perfum. Takimi zapachami spryskują się prawdziwi mężczyźni.

Kiedyś poszła do perfumerii i wahała różne flakoniki, ale żaden nie pachniał Bartkiem. Może perfumy w zderzeniu z zapachem jego skóry wywoływały taką mieszankę zapachową, że aż jej dech zapierało i ugięły się pod nią nogi? Będzie pamiętała smak jego warg, chociaż nie powinna przechowywać tych wspomnień w pamięci. Jego szorstkie usta pachniały cytrynową gumą do żucia, a ona tak kochała smak cytryny. Będzie pamiętała jego śmiech... Wtedy mrużył oczy, a w ich kącikach pojawiały się drobne zmarszczki. Tembr głosu i to, jak palcami muskał wewnętrzną stronę jej dłoni. Będzie pamiętała tyle rzeczy z nim związanych, chociaż nie powinna. Nie może. Jeśli chce zacząć od nowa życie, musi pozbyć się tych wspomnień. Ale są takie wspomnienia, bez których człowiek nie jest już sobą. Bo to, co już się zdarzyło, miało miejsce, było...

– Każdy powinien chociaż raz w życiu to przeżyć – powiedziała do Karoliny.

– Ale co?

– Szaleństwo związane z zauroczeniem. Choćby raz w życiu zaszaleć, nawet jeśli potem długo trzeba będzie dochodzić do siebie i składać się w całość, kawałek po kawałku. Nawet jeśli będziesz miała złamane serce, to i tak warto.

– Dla tych chwil?

– Dla tych chwil, kiedy nie istnieje cały świat, tylko drugi człowiek. Latasz w chmurach, skaczesz na trampolinie i kręcisz się na karuzeli, a świat wiruje, chmury cię unoszą i wszystko ma kolor różu.

Karolina się zaśmiała.

– Teraz dowaliłaś z tym różem.

– Kiedy jesteś zakochana, to właśnie jest twój ulubiony kolor. Nie chce ci się jeść ani spać. Chudniesz bez żadnej diety. Nie obchodzi cię, co będzie, co było, jest teraz. Jest ta właśnie chwila wpatżenia w siebie, chwila rozdygotania ciała, spragnionych ust i ląknienia drugiego człowieka. Uśmiechasz się nawet do kubka z herbatą. Do swoich kosmatych myśli, do ludzi, do życia.

– Ale przychodzi taki moment, że musisz podjąć decyzję. Ty musiałaś. I dwoje ludzi ma złamane serca.

– Tak. Dzięki temu jednak lepiej poznałam siebie. Swoje ograniczenia i tęsknoty. I wiem, że wiele w tym wszystkim było krzywdy i cierpienia. I dziękuję Bogu, że nie przespałam się z Bartkiem, chociaż mało brakowało. Nie, nie usprawiedliwiam się, bo przecież zdradzić można nie tylko fizycznie. Ja zdradziłam męża, bo zaangażowałam się emocjonalnie w znajomość z innym mężczyzną. To nie jest dobre. Ale nie oddałabym tych chwil, które przeżyłam, nikomu. I gdybym miała cofnąć czas, zrobiłabym to samo, choć wcześniej zarzekałam się, że nigdy nie wdam się w taką relację. Bo w tamtym momencie czegoś mi brakowało, a człowiek jest egoistą, chociaż nie każdy się do tego przyznaje, i lubi sobie rekompensować swoje braki. To był mój wycinek życia.

* * *

W sobotni poranek Witek odwiózł dzieci do mamy. Spakował piknikowy koszyk i zaproponował Marionie wyjazd.

– Ale dokąd?

– Przed siebie. Zróbmy sobie pauzę od naszego codziennego życia – powiedział.

– Sądzisz, że czasami należy „zapauzować” życie?

– Sądzę, że czasami trzeba je zresetować.

Mariona spojrzała na męża. Czy on się czegoś domyślał?

– Przepraszam – wyrzucił na jednym tchu.

– Za co?

– Za to, że ostatnio o ciebie nie dbałem tak, jak należy. To dlatego byłaś taka smutna?

Mariona poczuła ostry ucisk w okolicach serca. Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że nie chce, by Witek się dowiedział, o tym, co czuła do Bartka. Nie chciała, by wiedział, bo to by go zraniło, a ona go przecież kochała. Poblądziła, ale wciąż kochała.

– Nie, nie dlatego. Może to przemęczenie?

– Dziś odpoczniesz – Witek uśmiechnął się do żony z czułością.

Wybrali się do lasu. Dzień był ciepły i słoneczny. Spacerowali, trzymając się za ręce, po leśnych drózkach. Stanęli przy strumieniu. Witek rozłożył koc. Z kosza piknikowego wyjął kanapki i dwa pudełka sałatek. Zjedli z apetytem, a potem położyli się na kocu. Witek chwycił Marionę za rękę. Przymknęli powieki.

Dookoła panowała cisza. Promienie słońca ogrzewały ich twarze. Pod przymkniętymi powiekami Mariona odtwarzała film z minionych tygodni. Tygodni, podczas których zauroczyła się innym mężczyzną. I po raz pierwszy od rozstania z Bartkiem zrozumiała, że nie chce już wracać do tych wspomnień. Nie chce już rozmyślać o tamtym mężczyźnie.

Kiedy człowiek przeżywa zawód miłosny, sądzi, że ktoś mu zadał śmiertelną ranę, jednak są głębsze i bardziej dotkliwe zranienia niż niespełniona miłość.

Ksiądz Twardowski napisał piękny wiersz:

*Można mieć wszystko żeby odejść
czas młodość wiarę własne siły świętej pamięci
dom rodzinny skrzynkę dla szpaków i sikorek
miłość wiadomość nieomylną
że nawet Pan Bóg niepotrzebny
potem już tylko sama ufność
trzeba nic nie mieć
żeby wrócić[8]*

[8] Ks. J. Twardowski, *Żeby wrócić*, w: *Dłużej niż na zawsze. Nie tylko aforyzmy*, PIW, 2001.

ROZDZIAŁ 27

– Tato? – Agnieszka wdrapała się na kolana Bartka.

– Tak, kochanie?

– Dlaczego nie odbierasz mnie już ze szkoły, tylko pani Basia?

– Bo chcę szybciej skończyć pracę, żebyśmy mogli mieć wolne wieczory i spędzać je tylko we dwoje – Bartek uśmiechnął się czule do córki.

– To dobrze – dziewczynka pocałowała go w policzek. – Ale z panią Basią nie chodzimy do parku i nie mogę bawić się z chłopakami. Może zaprosimy ich do siebie któregoś dnia?

– Wykluczone – Bartek odpowiedział szybciej, niż powinien.

– Tatusiu, ale ja lubię Piotrka i Marcela – w oczach dziewczynki pojawiły się łzy.

Bartek odchrząknął i zmusił się do uśmiechu.

– Może któregoś dnia poproszę panią Basię, żeby zaproponowała chłopcom wizytę u nas w domu.

– To świetny pomysł – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki dziewczynce poprawił się humor.

– A może zaprzyjaźniłabyś się z jakąś miłą dziewczynką w twoim wieku? – zaczął delikatnie Bartek. – Mogłybyście się pobawić w księżniczki. Kupiłem ci ostatnio strój Elzy, ale nawet go nie przymierzyłaś...

– Wolę bawić się z Piotrkim i Marcelem. A ich mama jest bardzo sympatyczna.

– Jest... – Bartek znów poczuł silne ukłucie w sercu. – Posłuchaj... – mężczyzna posadził córkę w taki sposób, by mogli patrzeć sobie w oczy. Przybrał łagodny ton głosu. – Nie możemy już tak często spotykać się z chłopakami i ich mamą.

Agnieszka zmarszczyła noseć.

– Dlaczego? Zerwałeś z nią?

– My nigdy nie byliśmy parą.

– A tak to wyglądało. Myślałam, że się z nią ożenisz.

– Nie... – (Chociaż bym chciał – pomyślał Bartek). – Ona ma już męża.

– Nigdy go nie widziałam.

– Bo dużo pracuje.

– I dlatego, że ma męża, nie możemy się już z nimi widywać?

– Nie... Po prostu ja i pani Mariona już się nie przyjaźnimy.

– Wy się nie przyjaźnicie, czyli ja też nie mogę przyjaźnić się z chłopcami? – otworzyła jeszcze szerzej oczy, a Bartek nie wiedział, co ma jej odpowiedzieć. Sam był w tym wszystkim zagubiony. Po co wplątywał w tę chorą relację swoją córkę? Przez jego egoizm i zaślepienie teraz i ona będzie cierpieć. Serce Bartka wypełniło się w jednej chwili ogromnym żalem.

– Nie powinnaś. Chociaż...

– Dlaczego moja mamusia odeszła? – dziewczynka wstała, złapała się rączkami pod boki i tupnęła nóżką.

– Przykro mi, kochanie, rozmawialiśmy już o tym. Mama mieszka w niebie...

– Pani Mariona może być moją zastępczą mamą!

– Nie może.

– Ja chcę mieć mamę! Mamę! Mamę! – dziewczynka zaczęła rozpaczliwie krzyczeć.

Bartek nie mógł tego znieść, podbiegł do niej i mocno ją przytulił. A ona rozplakała się. Tulił ją, a ona płakała i płakała... Usnęła, zmęczona płaczem, a Bartkowi serce pękało z bólu. On też tęsknił za tym, co było. Za Marioną i chłopcami.

* * *

W progu stała matka Witka. Mariona nie miała ochoty na rozmowy z nią. Teściowa pojawiła się w nieodpowiednim momencie, akurat teraz, kiedy Mariona ma rozdarłe serce, kiedy musi uporządkować swoje życie, musi zapomnieć...

– Jestem zajęta. Na już mam uszyć kilka firan – powiedziała, nie siląc się na cieplejszy ton.

– Zajęta... Tak, rozumiem. Ale musimy porozmawiać.

– O czym? O tym, jak wychowuję dzieci? O Witku, że źle mu ze mną? – wiedziała, że atak nie jest dobry, ale była zła.

– Nie, o tobie.

– O mnie?

– Przyniosłam wino – teściowa wyciągnęła z torebki butelkę białego trunku.

– Mama chce się ze mną napić wina? O tej porze? – Mariona spojrzała na zegarek. Była dopiero trzynasta.

– A co to ma do rzeczy?

– Mamo... – Mariona westchnęła.

– Widziałam was. Ciebie i tego mężczyznę. Moja znajoma mieszka w bloku

naprzeciwko jego mieszkania. Byłam u niej na partyjce szachów. Wiesz, te przeszklone wieżowce odsłaniają prywatność... Staliście przy oknie.

Mariona przytrzymała się futryny. Koniec. Jej małżeństwo się skończy w momencie, kiedy ona chciała wszystko naprawić. A teściowa będzie miała z tego wszystkiego radochę.

– Napijmy się.

Teściowa wyminęła Marionę i przeszła do kuchni, a synowa podążyła za nią. Odkorkowała wino i naląła do kieliszków.

– Za was. Za ciebie i Witka – teściowa uniosła do góry kieliszek. O dziwo, Mariona nie wyczuła w jej głosie sarkazmu. – Tego wieczoru, kiedy byłeś u tamtego mężczyzny, zadzwoniłam do Witka. Zapytałam go, co u was słychać. Chciałam, by poprosił cię do telefonu. Miałam nadzieję, że jednak się mylę, że tamta kobieta to nie ty. Ale nie myliłam się. Powiadomił mnie, że jesteś u koleżanki...

– To się zdarzyło raz. Nie spałam z nim... – Mariona mówiła przez zaciśnięte gardło. Czowała, jak ogarnia ją panika.

– Raz...

– Co mam mamie jeszcze powiedzieć?

– Nie wiem – wzruszyła ramionami teściowa. – Uważałam zawsze, że wasze małżeństwo ma solidne podstawy.

– Bo ma.

– Ale czegoś ci jednak brakowało?

– To już zakończona historia. Kocham Witka.

Teściowa wypić duszkiem cały kieliszek trunku.

– Nigdy do tego nie wracajmy – dodała starsza pani.

– A Witek?

– Skoro go kochasz, to niech lepiej o niczym nie wie.

Marionę zatkało. Zawsze myślała, że teściowa szuka na nią haka, że jeśli przyjdzie co do czego, ona pierwsza wbije jej nóż w plecy. Miała teraz okazję, by powiedzieć Witkowi o wszystkim, a jednak z tego nie skorzystała. Może nie była taką złą kobietą, za jaką Mariona ją uważała?

– Dziękuję – szepnęła.

– Bądźcie szczęśliwi – teściowa poderwała się z kanapy. – Pójdę już...

– Mamo...

– Ciii. Napij się. Po prostu się napij i zapomnij.

* * *

Po kilku tygodniach Mariona dostała od Bartka esemes:

Nie mogę bez ciebie żyć. Chcę z Tobą być. Powiem o wszystkim Twojemu mężowi. O nas powiem...

Kobieta poczuła ucisk w żołądku. Dlaczego? Dlaczego on mi to robi? Nie odpisała. Rozplakała się. Zadzwoiła do przyjaciółki.

– Porozmawiam z nim – odparła Karolina.

– Ale...

– Nie becz. Uspokój się. Wszystko będzie dobrze.

– Popęłniłam ogromny błąd.

– Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

– Kocham Witka.

– Wiem, kochana. Wiem, że kochasz swojego męża. Wszystko będzie dobrze.

– Ale...

– Porozmawiam z Bartkiem spokojnie. Podaj mi jego numer.

Karolina umówiła się z Bartkiem w niewielkiej kawiarni na obrzeżach miasta. Zwolniła się z pracy o trzynastej, bo chciała z nim porozmawiać w spokoju. O tej porze ruch w kawiarni był niewielki. Od razu zauważyła tego mężczyznę. Siedział przy stoliku, przygarbiony, smutny, zrezygnowany. Tak właśnie wyglądają ludzie, którym pękło serce.

Usiadła naprzeciwko.

– Cześć. Bartek?

– Tak. Cześć.

– Nigdy nie było dane nam się poznać.

– Nie było...

– Szkoda, że staje się to w takich okolicznościach.

– Taaak – westchnął. Pociągnął łyk kawy.

Karolina mieszała łyżeczką w swojej filiżance.

– Nie możesz iść do jej męża i o wszystkim mu powiedzieć. Wiesz o tym, prawda? – zaczęła.

Mężczyzna spojrzał w jej oczy. Wyglądał mizernie. Pod oczami rysowały się cienie. Włosy miał przetłuszczone, koszulę pomiętą. Zapalił papierosa, nie pytając nawet, czy Karolinie będzie to przeszkadzało, czy nie.

– Wszystko mogę.

– Tak, możesz, ale po co?

– Żeby cierpiała.

– Nie chcesz tego.

– Nie wiem sam, czego chcę. Jestem w rozsypce. Zrujnowała mi życie.

– Nie powinna...

– Tak, nie powinna, ale zraniła mnie. Wiesz, ja robiłem wszystko, żeby się w niej nie zakochać. Czułem, że to się źle skończy. Ciekaw jestem, czy powiedziała ci o wszystkim? – zaciągnął się papierosem.

– Nie wiem. Zresztą ja nie chcę o wszystkim wiedzieć. Są sekrety, o których nie trzeba głośno mówić.

– Nawet przyjaciółce?

– Nawet przyjaciółce, ba, tym bardziej przyjaciółce.

– Kiedyś ją zapytałem: „Co my robimy? Te ukradkowe spotkania, spaceru w parku...”. Odpowiedziała: „Oj tam... Niczego złego nie robimy”. Zaśmiała się. Jeśli ktoś ma męża, żonę, to nie chodzi nocą do parku z kimś innym, by oglądać gwiazdy.

– Możliwe.

Spojrzeli sobie w oczy.

– Z nią mogłem być sobą. Byłem sobą. Poznała moją lepszą i gorszą stronę. Mogłem przy niej być uśmiechnięty albo rozbity. Potrzebowałem kogoś takiego obok siebie. Nadal potrzebuję... Najpierw mówiłem sobie: fajna znajomość. Potem: fajne kumpowanie, a pewnego dnia się w niej zakochałem. Nie mogłem się doczekać, kiedy znów ją zobaczę, kiedy z nią porozmawiam, tak dobrze nam się przecież rozmawiało. Od rana gapilem się na wyświetlacz telefonu w nadziei, że ona napisze albo zadzwoni. Coraz częściej szukałem pretekstu, żeby się z nią skontaktować. Czasami z pierdołą, głupim pytaniem, jak się robi pomidorową, choć doskonale wiedziałem, jak. Gotuję najlepszą pomidorową na świecie. Potem ją objąłem, pocałowałem... To był jeden z piękniejszych pocałunków... Dureń ze mnie, co? No nie patrz tak na mnie.

– Wcale tak nie myślę.

– A co myślisz? – Bartek zgasił niedopałek w popielniczce.

– Że się zakochałeś.

– Tak... – westchnął. – Byłem zakochany. Uwierzyłem jej przez chwilę, że to, co jest między nami, ma jakiś głębszy sens.

– Z tego, co wiem, niczego ci nie obiecywała.

– Obiecywała, nie obiecywała. Jakie to ma znaczenie, kiedy człowiek robi jedno, a mówi drugie.

– Może ma. A może nie ma.

– Właśnie... Sama nie wiesz.

– Nie wiem. Zakochanie to taki stan...

– Z mojej strony to była miłość.

– Miłość przychodzi z czasem, najpierw jest zakochanie.

– Być może... Ale to, co przeżyłem...

– To, co przeżyłeś, jest twoje. Wszystko to twoje! Twoje tęsknoty,

odczucia...

- I marzenia o wspólnej przyszłości.
- I marzenia...
- Muszę zamówić sobie coś mocniejszego. Chcesz?
- Nie. Dzięki.
- Napij się ze mną – popatrz na nią wzrokiem zbitego psa.
- Dobrze. Zamów mi wódkę. Setkę.

Uśmiechnął się do niej. Po chwili stanęły przed nimi dwie setki i cola.

Karolina przechyliła kieliszek do dna.

Bartek spojrzał na nią zdziwiony.

– Bez popitki?

– Bez. Jak pić, to pić. Jak kochać, to kochać. Nie lubię rozmieniać się na drobne.

– Ja też nie.

Wychylił swój kieliszek.

– Mówią, że żałować należy tylko tych rzeczy, których się nie zrobiło.

– Ponoć tak.

– To, co nas łączyło, było pełen emocji. Niekoniecznie dobrych. Ten związek... Układ... Bo to przecież nie był nawet związek... Spalał nas... Wiesz, najbardziej mnie boli to, że straciłem przyjaciółkę. Kochankę można znaleźć wszędzie, ale prawdziwego przyjaciela... O niego trudno. Marioną ma takie poczucie humoru, że kiedy ze mną rozmawiała, śmiałem się do łez. Jest świetnym słuchaczem, doradcą... Przy niej nie trzeba nikogo udawać.

– Tak, Marioną jest cudowną osobą.

– Czasami o tym zapomina...

– Każdy z nas czasami zapomina, że jest wyjątkowy.

– Czuję, że jestem dla niej ważny, ale na to wychodzi, że nie byłem.

– Byłeś, ale wybrała rodzinę.

– Gdybym był, to by mnie tak łatwo nie wykreśliła ze swojego życia.

– Czasami tak trzeba. Odciać się od jakiejś osoby, by wrócić do swojego życia.

– Może i masz rację... – wzruszył ramionami.

– Tak, chyba mam. Chyba – powtórzyła ni to do siebie, ni to do niego.

– Wiesz, jak to jest, kiedy nagle dwie osoby odnajdują do siebie drogę?

Wiesz, pewnie, że wiesz. I ta droga okazuje się pełna zakrętów. Bo dzwoniła do mnie i pytała, co robię na obiad. A jej mówiłem, że kurczaka piekę. „A jak go robisz?” „Tak i tak”. „O, tak nie robiłam”. „Posprzątać muszę”. „Ja też”. „Też?” „I po jajka skoczyć do sklepu”. „A kupisz mi też marchewkę?” „Tak, tak kupię”. Codziennosc nas do siebie zbliżyła. Podobne problemy: co na obiad, co do kupienia. Dzieci... I kiedy miłość przeradza się w nienawiść... Powiem jej mężowi

– Karolina słuchała go uważnie.

– Po co? Myślisz, że będzie z tobą? Że będzie cię wtedy mocniej kochała? Przecież ona cię znenawidzi...

– Chcę, by była moja.

– Nie będzie twoja. Nie będzie.

– Kochasz i nienawidzisz. Mdli cię od tych uczuć i najchętniej chciałbyś je wyrzygać.

– Dużo można chcieć, ale nie zawsze wolno.

– Nie zawsze...

– Pewnego dnia tak po prostu oznajmiła mi, że to koniec, żebym zniknął z jej życia, że kocha męża.

– Kocha.

– Tak. Dobrze. Niech kocha. Ma prawo, ale dlaczego mnie zraniła?

– Jesteśmy tylko ludźmi. Robimy głupoty.

– Nie kosztem innych ludzi.

– Nie... Tak nie powinno być. Wiem, że może teraz nie powinnam tego ci mówić. Jesteś w złym stanie, ale odpuść. Musisz być fajnym facetem, skoro moja przyjaciółka czuła do ciebie miłość. Rozstania są wpisane w naszą codzienność. Bolał, pewnie, że bolał. Życzę ci, byś potrafił odejść z klasą. Bez obrażania się, knucia, wymyślania niestworzonych historii. Przez jakiś czas byliście sobie bliscy... Przyjaźniliście się. Zostawcie w pamięci tylko piękne chwile. Może za jakiś czas usiądziecie i wyjaśnicie sobie, co was bolało, o co mieliście do siebie pretensje. Może dacie sobie po razie, a może napijecie się wina? A teraz, teraz ją i ciebie boli...

Bartek uśmiechnął się niemrawo i wstał.

– I co zamierzasz?

Nie odpowiedział. Wyszedł. Po kilku minutach Karolina otrzymała esemes:

Nic nie powiem. Przepróż ją ode mnie i życz jej wszystkiego, co najlepsze.

Odpuszczam, bo ją kocham.

Jeszcze tego samego popołudnia Karolina zjawiała się u przyjaciółki. Witek pojechał z chłopcami na trening. Karolina pokazała Marionie wiadomość od Bartka. Mariona westchnęła ciężko.

– Karola, ja tak dzisiaj szczerze...

– To co, nie byłaś ze mną szczerą?

– Do tej pory... – przeczesła ręką włosy. – Byłam. Oczywiście, że byłam, ale nie wybebeszałam się przed tobą ze wszystkich sekretów. No wiesz, te wszystkie emocje.

– Nie musisz mówić. To było wasze...

– Ale chcę. Czuję, że jeśli ci nie powiem, to wybuchnę, stracę panowanie

nad sobą. Nie wiem... To we mnie siedzi jak zadra.

Karolina usiadła na dywanie naprzeciwko przyjaciółki. Wzięła paluszkę i zaczęła go chrupać.

– Zapalę świeczki – Marion podniosła się, wyjęła z szuflady zapalniczkę i zapaliła kilka świeczek. Przyjemny waniliowy zapach rozniósł się po pokoju.

Karolina wiedziała, że przyjaciółka odsuwa od siebie ten moment. Moment prawdy, która będzie dla niej bolesna. Usiadła z powrotem na dywanie, obejmując rękoma kolana.

– Kiedy jesteś w długoletnim związku, to nikt mi nie powie, że jest tak samo, jak na początku.

– Pewnie, że nie jest. Mówiłam ci już o tym...

– Właśnie. I tu jest pies pogrzebany. A okazja czyni złodzieja. Kiedy twój mąż już tak często nie mówi ci, ile dla niego znaczysz, jak pięknie wyglądasz w nowej kiece. Nie spogląda na ciebie z tym błyskiem pożądania w oku. Nie staje mu za każdym razem, jak się do ciebie przytula.

– Witek ma problem z potencją?

– Nie. Nie ma... Ale, no wiesz, już się tak nie podnieca każdym moim dotykiem. Nie czeka z utęsknieniem na mój telefon, nie myśli tylko o mnie.

– Jakby człowiek był ciągle na haju, oszalałby.

– Ale my kobiety pragniemy takiego haju w życiu... Pojawił się on. Nieznajomy, który wybuchał salwami śmiechu na niemal każde moje słowo, który zachwycał się mną, prawil komplementy...

– Słowa. Jakie my, kobiety, jesteście na nie podatne...

– Jesteśmy... A ja słuchałam tych jego słów i unosiłam się nad ziemią.

– Też pewnie bym się unosiła. Tylko że jest pewna granica, której nie powinno się przekraczać. Szczególnie wtedy, kiedy ma się rodzinę.

– Tak. Pewnie... Wyznaczałam sobie granicę jedną, drugą. Każda bardziej odległa od poprzedniej. Bo czy jest coś złego w rozmowie pod szkołą?

– Przyznaj, miałaś z tego ubaw, kiedy te wszystkie mamuśki patrzyły na ciebie z zazdrością i myślały: „Kurde, co też ona w sobie takiego ma, czego ja nie mam?”

– Oczywiście, to dawało mi dodatkową podniecie. Ale wracając do granic, przekraczałam jedna za drugą i nie dostrzegałam w tym niczego złego. Nie, wróc. Może i widziałam, ale wmawiałam sobie, że ja niczego złego nie robię. Znasz mnie, nie jestem typem podrywaczki, *femme fatale*. Nie planowałam tego.

– Znam cię. Już prędzej ja bym się wpakowała w romans.

– Szczerze mówiąc, też tak zawsze myślałam.

Wybuchnęły śmiechem.

– Podczas tych chwil spędzonych z nim myślałam o sobie. Pierwszy raz od bardzo dawna myślałam o swoich potrzebach, emocjach, nastrojach. O tym, żeby

ładnie wyglądać, dobrze się czuć. Kiedy się jest żoną i mamą, przede wszystkim mamą, to się zapomina, co jest dla ciebie dobre. Liczy się ten mały człowieczek albo dwóch człowieczków. Myślę, że dlatego romanse czy pozamałżeńskie związki są takie ekscytujące. Bo się wtedy odlatuje. Kurwa mać! Ja odleciałam.

– Ale zakończyłaś tę znajomość.

– Ty mnie uratowałaś. Moje małżeństwo.

– Nie, Marionna. Ty siebie uratowałaś, ja tylko wyciągnęłam w twoim kierunku pomocną dłoń.

– Nie jest tak, że nic do niego nie czułam. To było coś na kształt miłości. Jakiegoś opętania. Czy wybrałam to, co znane? Czy to, co bardziej kochałam? Może. Wybrałam rodzinę, którą kochałam, ale porzuciłam osobę, którą też darzyłam uczuciem. Bo przecież znasz mnie, nie mogłabym być z kimś, do kogo nic nie czuję.

– Znam cię, mój wrażliwcu – Karolina dotknęła dłoni przyjaciółki. Taki gest solidarności.

– Witek i dzieci są moją ostoją. Moją kotwicą. Moim murem. Są domem. Przystanią. Dobrem. I miłością. A Bartek był szumem wiatru we włosach, jazdą bez trzymanki na rowerze, śmiechem, szaloną zabawą. Odszkodnią. Smutne to, ale tak było. Był odszkodnią od tego, co znane, co tak naprawdę lubiałam, ale najwyraźniej nie doceniałam.

– Można mieć kochanka i pieprzyć się z nim codziennie. I wznosić się na wyżyny, kiedy on rozkłada ci nogi i wchodzi w ciebie mocno, dogłębnie. Można mieć pokrzwawione usta i zdarty naskórek. I ciało pełne siniaków. Takie chwile też są odlotowe.

– Bo są. Nigdy nie sądziłam, że tak będzie. Że będę chciała i pragnęła, żeby mnie związał, uwiódł, uprawiał ze mną seks w przymierzalni czy w kinie...

– Tak, tylko że po jakimś czasie budzisz się z tego całego letargu. Było ci nawet dobrze, może i jakieś uczucia się pojawiły, albo i nie. To nieprawda, że kobiety zawsze kochają tych, z którymi uprawiają szalony seks. I to nieprawda, że tego nie chcą. Bo czasami chcą przeżyć niezapomnianą przygodę. Uwielbiają być na haju przeżyć dogłębnych lub wgłębnych, ale po jakimś czasie budzą się ze snu i stwierdzają: to był tylko seks, fajne rozmowy, przytulanie, słodkie pierdzenie: „misiaczku”, „kwiatuszku”, ale nic więcej. Bo miłość jest czymś więcej.

– Kiedy się zaczęło to z Bartkiem, mieliśmy z Witkiem gorsze tygodnie. Mijaliśmy się między przedpokojem a kuchnią. Jego rozrzucone skarpety drażniły mnie. Cholera jasna, znów tego nie zrobił. I jego włoski na umywalce, których nie splukał po goleniu, i ja musiałam to robić.

– A tamten. Myślisz, że tamten tego by nie robił?

– No właśnie, tamten to ułuda. To niecodziennosc. Tamten wydawał się taki fajny, bo nie żyłam z nim pod jednym dachem. Nie wkurzałam się na jego

siorbanie przy rosole, a on nie widział mnie, kiedy byłam przeziębiona i włóczyłam się po domu z czerwonym nosem i przetłuszczonymi włosami. Nie przechodziliśmy z Witkiem dotąd poważnego kryzysu. Ale czegoś zabrakło. W tamtym momencie pojawiła się mała szczelina, w którą wskoczył Bartek. Wiedziałam, że Witek jest kochającym mężem i ojcem, że ma wszystko na miejscu, że jest dobrym człowiekiem, ale nie doskonałym. Sama nie jestem doskonała.

– Nikt nie jest.

– W oczach tamtego byłam.

– Na chwilę.

– Tylko że mi była taka chwila potrzebna. I myślisz, że wtedy nie chciałam odejść? Chciałam. Wtedy, kiedy Witek nie miał ochoty, by obejrzeć ze mną film, bo pstrykał coś na komputerze, wtedy, kiedy nie kochaliśmy się, mimo że stanęłam przed nim w nowej koronkowej bieliźnie, a on powiedział, że jest zmęczony. Wtedy, kiedy zabrakło czułości, delikatności. Kiedy przewrócił oczami na ciasto, które upiekłam, i zamiast powiedzieć, że docenia, stwierdził, że mu brzuch urośnie. I wtedy, kiedy zapomniał o imieninach, bo imieniny nie są takie ważne. Urodziny tak... Dużo było tego „wtedy”. A tamtemu drugiemu oczy uśmiechały się na mój widok. Smakowało mu moje ciasto. Był taki delikatny i czuły, i słuchał mnie, i mówił, i pragnął. A ja chciałam, żeby ktoś był mnie spragniony.

Ciało potrzebuje drugiego ciała. Jedna miłość drugiej miłości. Słowa słów, żeby wyrazić to, co czujesz. Pragnienie jednego człowieka potrzebuje nasycenia tobą. Właśnie to było najbardziej ekscytujące. To, co mi się przydarzyło, było moją prawdą. Ale tylko przez chwilę... Jak każda kobieta miałam poczucie winy. Ale przy Bartku dowiedziałam się, że stać mnie na więcej. Mogę chcieć od życia, od mężczyzny, więcej. I kiedy już byłam niemal zdecydowana, że rzucę to wszystko w pizdu, zaczęły opadać mi klapki z oczu. Zauważyłam te proste gesty, z których zbudowana jest miłość. Kiedy leżałam na sofie, mąż okrył mnie kocem. Kiedy miałam katar, Witek wycisnął mi sok z pomarańczy. Kiedy dzieciaki były marudne, on wziął je na cały dzień na spacer do parku. Wrócili umorusani, ale szczęśliwi. I ja byłam w siódmym niebie.

Zdałam sobie sprawę też z tego, że nie można codziennie wpierdalać piguł szczęścia, żyć ponad ziemią, latać w chmurach. Bo życie to też twarde stąpanie po ziemi. To ból i cierpienie. Prawdziwe życie to codzienność.

– Przestań się zadreć. Rozdrapywać rany. Po co rozpamiętywać to, co minęło? Wyżej dupy nie podskoczysz. Stało się. Nie warto płakać nad rozlanym mlekiem. Wybrałaś taką, a nie inną osobę na męża, twoje decyzje, jakich w życiu dokonałaś, sprawiły, że jesteś w tym, a nie w innym miejscu. Czasami jest ci tak dobrze, że sobie myślisz: „Lepiej wybrać nie mogłam”. A czasami tak chujowo, tak

źle, że ręce ci opadają i wszystko inne też. Życie. Trawa jest zawsze bardziej zielona po drugiej stronie płotu. Tylko jak zdobędziesz się na odwagę, by przejść na tę drugą stronę, okazuje się, że trawa nie mieni się już seledynem. Tu gnije, a tam przybrała brunatny odcień.

* * *

Witek siedział w pubie i pił kolejną szklaneczkę whisky. Dzisiaj nie miał ochoty wracać do domu. Od kilku miesięcy coś podejrzewał. Marioną się zmieniła. Czasami złościła się bez powodu, innym razem była rozanielona, jeszcze innego dnia odpływała myślami gdzieś daleko. Chłopcy też dużo mu mówili, nie musiał nawet pytać. Może wolał nie wiedzieć? Nie sądził, że żona go zdradziła, ale była zafascynowana tym wdowcem.

Kobiety tęsknią. Witek rzekłby, że w kobiecą naturę wpisana jest tęsknota i rozmarzenie. Starał się być dobrym ojcem i mężem, ale to Marionie widocznie nie wystarczało. A co on by zrobił, gdyby na jego drodze pojawiła się atrakcyjna kobieta i zaczęła nawijać mu makaron na uszy? Tego nie wiedział. Oczywiście teraz zarzekał się, że żadna siła nie skłoniłaby go do zdrady, ale tego nikt z nas nie potrafi przewidzieć.

ROZDZIAŁ 28

Na dworze padało. Karolina robiła sałatkę, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Otworzyła. W progu stał Michał przemoczony do suchej nitki. Woda spływała mu z włosów na bluzę.

– Cześć – powiedział roześmiany, widząc przerażoną minę Karoliny.

– Cześć. A ty, co?

– Tańczyłem w deszczu.

– Niczym Fred Astaire? Wejdz, bo się przeziębisz. Dam ci ręcznik.

Zaprowadziła go do łazienki.

– Najlepiej będzie, jak się rozbierzesz i włożysz... – rozejrzała się po łazience. – Gościnny szlafrok. Jest w rozmiarze XXL. Chyba będzie pasował?

– Gościsz w swoim mieszkaniu samych potężnych mężczyzn?

– Wiesz, nie lubię się rozdrabniać – puściła do niego oko i zamknęła drzwi.

Kiedy Michał wyszedł z łazienki, na stole stał już czajniczek z zaparzoną herbatą.

– Nie wiem, czy lubisz, ale osłodziłam herbatę miodem.

– Nie wiem, czy lubię. Pijam z cukrem.

– Z miodem zdrowsza.

– Nie znaczy, że smaczniejsza.

– Nie znaczy.

Usiedli obok siebie na kanapie. Oboje byli trochę zakłopotani. Karolina czuła, jak płoną jej policzki.

– Dlaczego przyszedłeś? – zapytała. – Jesteśmy umówieni na jutro.

– Ja... Przyszedłem, bo... Nie wiem...

– Nie wiesz? – uniosła do góry brwi.

– Wiem. Pewnie, że wiem. Przyszedłem, bo za tobą tęskniłem – rzekł, siląc się na obojętny ton. Przeczesał palcami wilgotne włosy.

– To miłe – Karolinie zrobiło się gorąco. – Też tęskniłam. Myślałam nawet, żeby do ciebie zadzwonić i ci o tym powiedzieć.

– Nie zadzwoniłaś.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo się bałam...

– Mnie?

– Nie, siebie. Tych wszystkich emocji, które kłębią się w mojej duszy. Nie

znam cię, a tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też...

– Po ostatnim spotkaniu poczułam, że odbieramy na tych samych falach.

– Też to poczułem i dlatego musiałem dzisiaj się z tobą spotkać. Musiałem...

Zamilkli na chwilę. Michał podniósł rękę i położył ją na plecach kobiety. Karolina omal nie podskoczyła. Poczowała mrowienie w miejscu, gdzie spoczywała ręka mężczyzny. Westchnęła. W tym samym czasie Michał zbliżył usta do jej ust. Ujął jej brodę i pocałował ją. Karolina rozchyliła wargi i pozwoliła, by jego język wtargnął do środka. Całowali się zachłannie. Jej wargi nabrzmiwały od pocałunków. Jego ręce błądziły po jej ciele. Mocno zacisnęła powieki i poddała się fali przeżyć.

Następnego dnia rano Michał przygotował dla Karoliny kanapki i kakao. Wzruszył ją tym ogromnie.

– Dobrze, że dzisiaj sobota – przeciągnęła się leniwie.

– Też się z tego cieszę. Spędzimy cały dzień razem?

– Chyba byliśmy na dzisiaj umówieni, jeśli dobrze pamiętam.

Michał już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, kiedy rozległ się dzwonek jego telefonu. Spojrzał na wyświetlacz, ale nie odebrał. Telefon zadzwonił ponownie. Michał wyłączył aparat.

Zmarkotniał.

O co chodzi? – zastanawiała się Karolina. Poczowała dziwny niepokój.

Śniadanie zjedli w milczeniu. Kiedy kobieta popijała kakao, a Michał nie odrywał od niej wzroku.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– To mów.

Ich spojrzenie skrzyżowało się nad stołem.

– Mam dziewczynę. Właściwie narzeczoną... To znaczy już jej napomknąłem, że powinniśmy się rozstać.

Karolina otworzyła jeszcze szerzej oczy i patrzyła w jego stronę oniemiała.

– Słucham?

– Mam narzeczoną. Za pół roku ma się odbyć nasz ślub... Ale ślubu nie będzie – Michał był tak zdenerwowany, że wykręcał palce. – Sam nie wiedziałem, czy tego chcę. To znaczy ślubu z nią... – mówił chaotycznie. Chciał wszystko wytłumaczyć Karolinie.

– O czym ty mówisz? – Karolina poczuła lekkie mdłości.

– Ja... ja... Między nami jest źle... Sam nie wiem, dlaczego jeszcze nie odwołaliśmy ceremonii. Kryzys przed ślubem... To brzmi niewiarygodnie, ale...

– Wyjdź stąd! Uporządkuj najpierw swoje życie. Jak mogłeś? – Karolina nie potrafiła w to uwierzyć. Kolejny drań. Czemu zawsze pada na nią?

– Zakochałem się w tobie. Beaty już nie Kocham, w ogóle jej nie Kochałem. Ten ślub to... Rodzina nalegała... Ja...

– Przestań! – Karolina uderzyła otwartą dłońią w stół. – W tej chwili przestań. Biedaczek.

– Karolina, przepraszam... Mogłem ci nie mówić. Zakończyłbym tamte sprawy... Ale postanowiłem być uczciwy.

– Faktycznie! Uczciwy? Po tym jak mnie przeleciałeś, zebrało ci się na szczerłość? Wynoś się w tej chwili!

– Kurwa! Kurwa! Kurwa! – krzyczała na całe gardło Karolina, kiedy zamknęła drzwi za swoim wymarzonym facetem, który okazał się ostatnim złamanym fiutem. Zapomniał jej powiedzieć o takim drobnym szczególe.

Wleciała do domu przyjaciółki zasmarkana, z podpuchniętymi oczami.

– Karola, co jest? – Marionna odłożyła na bok lalkę, którą właśnie wypychała.

– Michał... Michał...

– Usiądź. Przyniosę chusteczki.

Po chwili Marionna usiadła obok Karoliny z paczką chusteczek i szklanką wody.

– Wytrzymaj najpierw glutu, a potem się napij – pogłaskała przyjaciółkę po włosach.

Karolina obtarła twarz z łez i wypija duszkiem wodę.

– Co jest?

– Michał ma narzeczoną.

– A to fiut!

– Fiut! Za pół roku bierze ślub. Pewnie są na etapie wybierania zaproszeń. Ponoć jeszcze zanim mnie poznał, uznał, że ten związek nie miał sensu.

– Ale bał się powiedzieć o tym narzeczonej? I ślubu nie odwołał.

– Coś w tym stylu.

– Marna wymówka.

– No...

– I co teraz?

– Cierpię, nie widzisz?

– Widzę – Marionna przytuliła przyjaciółkę.

Przez kolejne tygodnie Karolina unikała Michała jak ognia. Nie odbierała od niego telefonów, nie odpisywała na esemesy. Pękła którejś niedzieli, kiedy zobaczyła go pod oknem. Zeszła na dół.

– Oszalałeś?

– Chyba tak. Na twoim punkcie.

– Przestań mnie prześladować.

- Rozstałem się z Beatą.
- No i co z tego? Mam cię przyjąć z otwartymi ramionami? Oszukiwałeś mnie od samego początku.
- Nie, moja droga, ja tylko wszystkiego ci nie powiedziałem.
- Przemilczałeś taki ty-ci-tyci szczegółik?
- Napij się ze mną kawy.
- Nie.
- Proszę – patrzył na nią tak smutnym wzrokiem, że w końcu odpuściła.
- Dobrze.

Weszli do kawiarenki, która mieściła się dwie przecznice dalej. Dopiero wtedy Karolina uświadomiła sobie, że ma na sobie wyciągnięty dres, w którym zawsze chodziła po domu.

- A ja znowu w dresie...
- Jak dla mnie wyglądasz super. Podobasz mi się ubrana po domowemu. Usiedli przy stoliku. Podeszła kelnerka, a oni zamówili kawę.
- Chciałbym cię przeprosić.
- Karolina pokręciła głową.
- Z Beatą nie było nam po drodze...
- Ale miałaś zamiar ją poślubić.
- To byłaby głupota.
- Teraz ona cierpi.
- Tak – pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. – Zraniłem i ją, i ciebie.
- Karolina przez chwilę milczała. Posłodziła kawę dwa razy.
- Oszukałeś mnie.
- Nie.
- Więc co to było?
- Już ci mówiłem! Nie powiedziałem ci wszystkiego.
- Spotykałam wcześniej takich mężczyzn, którzy swoim oszustwem łamali mi serce.
- Daj mi szansę. Zobaczysz...
- Masz jeszcze w zanadrzu kilka bajeczek?
- Karola...
- Co: Karola?
- Co mam jeszcze zrobić? Chodzę za tobą od kilku tygodni, dzwonię, piszę esemesy, wysyłam kwiaty. Odwołałem ślub. Moja rodzina... Jej rodzina...
- Wow! Mam ci współczuć?
- Nie. Wybaczyć. Sama wiesz dobrze, że każdy popełnia błędy, że czasami powinno się dać człowiekowi drugą szansę. Mam czystą kartę. Zakończyłem wszystkie sprawy.
- Ja chyba nie jestem gotowa na kolejny związek – powiedziała cicho.

– Jak chcesz. Nie będę czekał na ciebie całe życie. Płaszczylem się przed tobą tyle tygodni, a ty nic – w jego głosie zaczęły przebrzmiewać szorstkie tony.

Wstał tak gwałtownie, że omal nie przewrócił filiżanki z kawą. Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

– Zaczekaj – powiedziała cichutko Karolina. Przestraszyła się, że Michał mógłby odejść na zawsze.

Chciała krzyknąć za nim, by nie odchodził, by wracał tu natychmiast, że chciałaby spróbować. Zamiast tego siedziała jak wmurowana. Rozglądała się nieobecny wzrokiem po wnętrzu kawiarenki.

Wracała do domu wolnym krokiem. Michał czekał na nią oparty o latarnię. Wyglądał na przygnębionego.

– Karolinka – powiedział łagodnie. – Przepraszam... Za mój wybuch... Za to, że nie byłem z tobą od początku szczerzy...

Stali naprzeciwko siebie z opuszczonymi bezradnie ramionami. Karolina słyszała łomot swojego serca. Dręczyło ją poczucie winy wobec tej drugiej kobiety, ale ona sama chciałaby zacząć się z nim spotykać, spędzać miłe chwile. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka pokrytego kilkudniowym zarostem.

– Drapiesz.

– Drapię.

Gładziła go z czułością.

– Obiecuję ci, że jeśli zgodzisz się być ze mną, uczynię cię najszczęśliwszą kobietą. Będę z tobą na dobre i na złe. Będę cię kochał na zabój. A ja nie rzucam słów na wiatr.

Karolina spojrzała mu w oczy.

– Wracaj do domu.

– A my?

– Ja... Ja na razie nie mogę.

– Nie chcesz?

– Chcę... Ale nie mogę.

– Zadzwoń.

* * *

Środowego poranka dwa tygodnie później Karolina otrzymała wiadomość od Michała:

Przyjedź. Jak nigdy Cię potrzebuję. Mój adres: Waleniowa 34/7.

Była właśnie z pracy. Rzuciła wszystko i pobiegła na parking. Wsiadła do

samochodu i po kilkunastu minutach jazdy była na Waleniowej. Czuła, że coś jest nie w porządku.

Michał otworzył drzwi. Oczy miał zapuchnięte, włosy w nieładzie. Zwierzył jej się, że otrzymał właśnie wiadomość o śmierci taty. Kobieta przez kilka godzin tuliła go w ramionach. Michał nie miał rodzeństwa, wszystko więc spadło na niego. Razem z Karoliną zajęli się pogrzebem i stypą, a także segregowaniem rzeczy po zmarłym. Dziewczyna pocieszała Michała, milczała z nim, płakała.

Po pogrzebie wyjechali nad morze. To były te chwile, które potem Karolina będzie wspominać z wielkim rozrzewaniem. Czas wyrwany życiu. Pili kawę na tarasie, na obiad jedli smażoną rybę, spacerowali ciasno objęci brzegiem morza. W silnych ramionach Michała Karolina czuła się bezpieczna i szczęśliwa. Wtedy po raz pierwszy pomyślała: „Te silne ręce będą trzymać nasze dziecko”. To cudowne, kiedy miłość się zaczyna i wydaje ci się, że możesz wszystko. Albo faktycznie możesz... Możesz całować się godzinami, aż nie czujesz już ust. Możesz kochać się kilka razy na dobę. Możesz patrzeć na tę jedyną osobę i odnajdywać w niej same cudne rzeczy. Bo jest dla ciebie cudem. Ciągłe ci mało pocałunków, pieśczoł, spojrzeń, dotyku, bo ty chcesz sama zmienić się w dotyk, pocałunek, spojrzenie miłości.

Pięć dni, pięć nocy i już wiedzieli, że będą ze sobą na zawsze. Wrócili do pokoju hotelowego, trzymając się za ręce.

Tamtej nocy kochali się tak, jakby to był ich pierwszy raz. Delikatność i czułość tego mężczyzny sprawiły, że Karolina usłyszała muzykę fal szumiących za oknem. Obsypywał ją pocałunkami, a jej ciało wołało o więcej pieśczoł. Był dobrym kochankiem, wiedział, gdzie całować, jak dotknąć, by sprawić jej przyjemność. Karolina przez chwilę nie mogła złapać tchu, gdyż nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

O dziewiątej rano, zgłodnieli, zeszli na śniadanie. Zjedli z apetytem, a potem popijali kawę małymi łykami.

– Moja ulubiona piosenka – powiedział Michał, kiedy z radia popłynął utwór *One*, U2.

– Też ją lubię.

– Zatem – podniósł się z krzesła i chwycił jej dłoń. – Czy mogę prosić panią do tańca?

Karolina popatrzyła na niego, jakby postradał zmysły.

– To jest hotelowa restauracja, a nie dyskoteka.

– I co z tego? – wzruszył ramionami. – A to jest nasza piosenka.

Karolina zaśmiała się nerwowo. Wstała i dała się poprowadzić Michałowi. Wtuliła się w jego ramiona i kołysała razem z nim w takt muzyki. Ludzie się na nich patrzyli, a oni śmiali się i całowali. Bo czym są ludzkie szepty, spojrzenia wobec rodzącej się miłości?

Karolina zakochała się w Michale po uszy.

W jej życiu były okresy odarte z miłości. Okresy niekochania. Smutny to był czas, mimo iż wtedy próbowała siebie przekonać, że jest inaczej.

W południe szli po plaży, trzymając się za ręce. Zachwycali się zapachem morskiego powietrza, złotym piaskiem, skrzeczącymi mewami, muszelkami wyrzuconymi na brzeg. Czuli, że w tamtej właśnie chwili świat należy do nich. Bo za każdym razem, kiedy odczuwamy głębiej, świat jest nasz. W chwili, kiedy emocje przesączają się przez nasze serce, świat należy do nas.

Karolina uśmiechnęła się do Michała. Wystarczyło jedno nieśmiałe muśnięcie, jedno spojrzenie, bliższy kontakt, by zrozumieli, jak bardzo siebie pragną. On wziął w dłonie jej rękę i pocałował jej wnętrze. Tego wieczoru kochali się zachłannie, z radością. Upajali się tym swoim szaleństwem. A potem zasnęli. Michał obudził się pierwszy, już po chwili oczy otworzyła Karolina. On pocałował ją w czubek głowy, ona pogłaskała go po nagim torsie i... wszystko zaczęło się od nowa. Bo namiętność to gra zmysłów. Zaślepia, sprawia, że świat i życie nabierają rumieńców.

Po powrocie znad morza Karolina i Michał dzwoniли do siebie codziennie i wciąż nie mogli się nagadać. Wysyłali sobie niezliczoną ilość esemesów. Okazało się, że mieli sporo wspólnych upodobań. Lubili filmy dokumentalne, czytali kryminały, zajadali się lodami miętowo-czekoladowymi, oglądali wszystkie filmy z Robertem De Niro i Alem Pacino. Uwielbiali leniwe niedziele, kiedy Karolina piekła ciasto, a Michał czytał gazety. Popołudniami chodzili na długie spacer. Potem wracali do domu, pili herbatę, jedli ciasto i wskakiwali do łóżka. Czytali książki, wtuleni w siebie. W tle cicho śpiewała Sade.

Michał zachwyił Karolinę swoją spontanicznością, radością życia i spojrzeniem na świat. Dziewczyna nigdy wcześniej, przy żadnym mężczyźnie, nie czuła się tak dobrze. Niemal od początku wiedziała, że z tym człowiekiem chce spędzić resztę swojego życia...

ROZDZIAŁ 29

Witek czekał na Karolinę przed klatką.

– Co ty tu robisz? – zapytała zdziwiona. Lubiała Witka, ale nigdy nie widywali się bez Mariony. Dlaczego nie zadzwonił, skoro chciał się z nią spotkać?

– Marznę – rozcierał skostniałe ręce. – Wpadłem na herbatę z sokiem malinowym.

Karolina nie kryła zdziwienia.

– Coś się stało?

– A nie możemy wypić razem herbaty?

– Jasne, że możemy, tylko nie przestrasz się bałaganu w mieszkaniu.

– U nas też jest bałagan – uśmiechnął się do niej. – Wiesz, przy dwójce dzieci... – zaczął się tłumaczyć.

Siedzieli naprzeciwko siebie, w rękach trzymając kubki z herbatą. Karolina wciąż nie rozumiała, o co chodzi.

– Nie powiesz Marionie, że u ciebie byłem?

– Skoro nie chcesz...

– Raczej nie.

Karolina podkuliła nogi i przyglądała się Witkowi. Albo jej się wydawało, albo schudł.

– O wszystkim wiem.

– O czym?

– O fascynacji Mariony tym wdowcem.

Karolina nie wiedziała, co ma powiedzieć, jak się zachować.

– Pewnie teraz zaprzeczysz? – Witek nie spuszczał z niej wzroku.

– Nie, ale... Między nimi nic nie było.

– Masz na myśli to, czy z nim spała?

– Nie spała. Witek, ona nie poszła z nim do łóżka. Przysięgam, że mówię prawdę.

– Ale była nim zafascynowana, prawda?

Karolina spuściła wzrok i zapatrzyła się w herbatę.

– Tak, była. Ale to już koniec. Powinieneś z nią o tym porozmawiać.

– Może tak, a może nie... Karolina, ja ją kocham, bardzo ją kocham i nie chciałbym jej stracić.

– To już koniec. Ona wie, że to był błąd.

– Co zrobiłem nie tak? – w głosie Witka pojawiła się taka rozpacz, że

Karolina poczuła silne ukłucie w sercu.

Odstawiła kubek i podeszła do mężczyzny. Objęła go.

– Witek, takiego faceta, jak ty, ze świecą szukać. Po prostu czasami tak się zdarza. To był taki chwilowy pstryk, ale należy już do przeszłości.

– Do przeszłości...

Witek zamilkł. Zapomni o tym... Kocha swoją żonę. Bardzo kocha.

– Jak się dowiedziałeś?

– Kiedy znasz na wylot drugą osobę, łatwo się domyślić. Początkowo odrzucałem od siebie te podejrzenia. Ale chłopcy dużo mówili...

– Dlaczego nie zareagowałeś?

Witek pociągnął łyk herbaty. Sparzył sobie usta.

– Bo to by niczego nie zmieniło, a sędzę, że tylko pogorszyłoby sprawę. Może jakbym wiedział, że z nim sypia, wtedy bym zareagował. Miałem jednak nadzieję, że to jest tylko przelotna fascynacja – westchnął. – Tak naprawdę zacząłem mieć wątpliwości całkiem niedawno.

– Ona nie ma już z tym człowiekiem nic wspólnego. Kocha ciebie.

– Nie powiesz jej o naszej rozmowie.

– Nie, ale może powinieneś z nią porozmawiać? O swoich odczuciach, obawach, o tym, że wiesz...

– Zastanowię się – wiedział, że nie zdobędzie się na odwagę. Skoro Marioną zakończyła tę znajomość, to niech zostanie tak, jak jest. Może bał się, że usłyszy coś, czego nie chciałby usłyszeć?

Minęły trzy miesiące.

Pewnego dnia Karolina wpadła do Mariony jak burza. Ucałowała ją, po czym wyjęła z torby szampana.

– A ty nie pracujesz dzisiaj? Masz zamiar pić o tej porze? – Marioną spojrzęła na zegarek. Dochodziła druga. – Muszę jeszcze odebrać dzieciaki z przedszkola i szkoły.

– Będziemy piły. Odbierzesz dzieciaki, nie martw się. Nie pracuję, jak widzisz. Wzięłam sobie dzisiaj wolne – powiedziała na jednym wydechu Karolina.

– Wytłumaczysz mi wszystko?

– Patrz – wyciągnęła przed siebie dłoń. Na jej palcu Marioną dostrzegła delikatny pierścionek z białego i złotego złota.

– Cudny!!! – Marioną podeszła do przyjaciółki i mocno ją objęła. – Oświadczył ci się? Po trzech miesiącach znajomości?

– Tak! Oboje wiemy, że to jest to. Idziemy na żywioł.

– I dobrze. Tak się cieszę. W takim razie otwieraj tego szampana.

Korek wystrzelił w górę. Karolina rozlała trunka do kieliszków.

– Za was! – Marioną uśmiechnęła się do przyjaciółki.

Usiadły na kanapie.

– Ale ze ślubem poczekacie jeszcze? Trzy miesiące to jednak krótko. Można być zaręczonym nawet i kilka lat.

– Nie będziemy na nic czekać. Ja już się naczekałam. W marcu bierzemy ślub.

Mariona się zakrztusiła. Karolina zaczęła klepać ją po plecach.

– To za cztery miesiące.

– Tak.

– Wow!

– Mariona, ja go kocham. Wiem, że to jest to.

– Skoro tak twierdzisz.

– Tak. Napijmy się jeszcze.

Ponownie naląła szampana do kieliszków.

– A jak Marcel? Mówiłaś, że był ostatnio przeziębiony.

– Był. Na szczęście dzisiaj już lepiej. Posłałam go do przedszkola. Wiesz, jednak przedszkole i szkoła to zbawienie dla rodziców. Wczoraj cały dzień ćwiczyliśmy literki i cyferki. Bawiliśmy się w chowanego, piekliśmy ciasteczka. Jakbym dzisiaj musiała to robić do nowa, chyba bym oszalała.

Mariona wybuchnęła śmiechem.

– Co znowu odwaliłaś?

– Schowałam się w szafie i drzwi z zawiasów wypadły. Nie mogłam włożyć ich z powrotem, bo zawiasy nadszarpaneły drewno, więc zamiast małej dziureczki na śruby są teraz wielkie dziury i drzwi nam wypadają. Marcel tak się śmiał, że popuścił w pizamę. Też się śmiałam.

– A Witek?

– Miał nietęgą minę.

Zaczęły się śmiać.

– I jak go udobruchałaś?

– Upiekłam dla niego schab w winie.

– Nooo... Mogłaś wskoczyć na niego, a nie schab mu piec.

– Żeby mi się chciało wskakiwać. A skoro jesteśmy przy tym temacie, to mogę cię o coś zapytać? Jak często ty i Michał uprawiacie seks?

– Kilkanaście razy...

– W miesiącu?

– W tygodniu.

– Tydzień ma siedem dni.

– To może ze dwa razy na dzień, czasami z trzy.

Mariona pokiwała głową. Dwa razy to ona kochała się z mężem w przeciągu ostatnich dwóch miesięcy.

– Dlaczego pytasz?

– Bo chyba nasze pożycie nie jest takie, jak powinno być.
– Macie dzieci. Jesteście ze sobą już dobrych kilka lat. Pożądanie słabnie wraz ze stażem.
– No tak, wy dopiero co się poznaliście...
– Właśnie. To robi różnicę. Dlatego parzymy się jak króliki.
– W kobiecych pismach... – zaczęła swój wywód Mariona.
– W kobiecych pismach zawsze kłamią na ten temat. W redakcji siedzą jakieś dziunie, które wymyślają artykuły z kosmosu, żeby tylko pismo dobrze się sprzedawało. Od kiedy ty czytasz kobiece pisma? I kiedy masz na to czas?
– W przychodni u lekarza.
– To lepiej nie czytaj.
Kobiety roześmiały się.
– Myślisz jeszcze czasem o Bartku? – zapytała przyjaciółkę Karolina.
– Tak, pewnie, że tak... Nie widuję go ostatnio. Pani Basia odbiera Agnieszkę.
– Chyba tak jest lepiej.
Mariona westchnęła.
– Chyba.
– Boli cię serce?
– Serce boli i wspomnienia o nim też. Ale kocham Witka. Wiesz, to całe zdarzenie uświadomiło mi, jak bardzo kocham męża i dzieci oczywiście.

* * *

Zimowe dni szybko mijały. Karolina i Michał zaczęli przygotowania do ślubu, a Mariona budowała swoje życie od nowa. Dzieci rosły. Ostatnio Mariona musiała wymienić Piotrusiowi niemal pół garderoby, bo wszystkie spodnie były na niego za krótkie.

W końcu nadszedł wielki dzień. Istnieje tylko jedno słowo, którym można opisać ślub Michała i Karoliny: „miłość”. To z miłości rodzimy się na nowo do życia. Karolina była ubrana w suknię swojej mamy. Z bufiastymi rękawami i całą masą koronek. Czuła się jak księżniczka z bajki. Michał włożył stalowy garnitur, a na jego twarzy rysował się promienny uśmiech. Wyglądał bardzo przystojnie.

– Nie mogę opisać swojego szczęścia słowami – szepnęła pannie młodej do ucha Michał.

– Ja też nie. Ja też nie... – Karolina była tak wzruszona, że nie udało jej się powstrzymać łez. Wiedziała, że dobrze wybrała. Jak nigdy była pewna swojej

decyzji.

Kościół pękał w szwach, państwo młodzi zaprosili na ślub znajomych bliższych i dalszych, rodzinę. Chcieli, by inni również cieszyli się ich szczęściem. *Ave Maria* zaśpiewała solistka z operetki przy akompaniamencie trębacza. Wiele osób płakało ze wzruszenia.

Przed kościołem młoda para została obsypana konfetti. Będą szczęśliwi, Karolina była tego pewna.

A potem było typowo polskie wesele z rosółem, tańcami do białego rana i oczepinami. Dla Karoliny, chociaż nie lubiła hucznych przyjęć, był to najcudowniejszy dzień w życiu.

– Ten nasz pierwszy taniec będę pamiętać do końca moich dni. To jest nasz dzień, nasz czas i początek naszej wspólnej drogi przez życie – powiedziała do męża, kiedy tańczyli, wtuleni w siebie.

Snuli marzenia, plany na przyszłość... Nie przypuszczali, co los ześle im w darze, nie mieli pojęcia, co ich czeka...

Karolina podeszła do przyjaciółki, która stała na tarasie i piła wino.

– I jak?

– Cudne to twoje wesele.

– Twoje też było cudne.

– Było... – Marioną pociągnęła łyk wina. – Wyglądasz jak księżniczka.

Karolina położyła głowę na ramieniu przyjaciółki.

– Co jest, Marioną?

– Uratowałam moje małżeństwo.

– Nie, to ty je uratowałaś. Ty o nie walczyłaś. Ja... Powiedziałam ci tylko kilka słówek. Może byłam dla ciebie za ostra, ale to dlatego, że cię kocham.

– Gdybyś nie była ostra, wszystko pewnie potoczyłoby się inaczej.

– Jesteś smutna, bo wciąż tęsknisz za Bartkiem.

Marioną pokręciła głową.

– Nie, nie jestem smutna, raczej rozgoryczona sobą. Niby to wszystko już przerobiłam, ale wraca. Tak, jak teraz, na twoim weselu... Przypomniałam sobie, kiedy to my z Witkiem składaliśmy sobie przysięgę małżeńską. Zła jestem na siebie, że w ogóle myślałam o zdradzie. Przecież go kocham. Kocham go naprawdę, tylko się pogubiłam. Wiesz, tak sobie pomyślałam, co by było, gdybym mu o tym powiedziała...

– Porozmawiaj z nim, ale o wszystkim mu nie mów.

– Co masz na myśli, mówiąc „o wszystkim”?

– Nie musisz wspominać o pocałunku... Po co? To już za wami, a niektóre słowa mogą zranić do żywego. Lepiej, by zostały niewypowiedziane. Zaczynacie od nowa, prawda?

– Kocham cię, księżniczko – Marionna z czułością pogładziła przyjaciółkę po włosach.

– Ja ciebie też.

Karolina weszła do sali. Wirowała na parkiecie w objęciach swojego męża. Marionna uśmiechnęła się, ciesząc się szczęściem przyjaciółki. Przypomniała sobie, co wczoraj zapisała w swoim notatniku:

*Moja miłość do Ciebie utkana z tysięcy znaków zapytania.
Z czułości, dotyku, spokoju i tej pewności, że mnie nie opuścisz.
Z mglistych wspomnień, ze snów, majaków, wyobrażeń.
Z niespełnionych obietnic.
Z uśmiechów.
Z łez.
Kocham, w myślach zadając sobie pytania.*

*Między Tobą a mną.
Między bliskością a oddaleniem.
Między tym, co Ty chcesz, a tym, czego ja pragnę.
Między szeptem a krzykiem.
Między nami jest nasza codzienna miłość.*

ROZDZIAŁ 30

Karolina szybko zaszła w ciążę. Początkowo – mimo wcześniejszych deklaracji, że marzy o macierzyństwie – zamierzała poczekać, by nacieszyć się małżeństwem. Chciała, żeby spędzili jak najwięcej czasu tylko we dwoje. Myślała o dalekich podróżach, o kupnie domu. Michał nie zamierzał jednak zwlekać z tą decyzją.

– Kochanie, teraz jest dla nas najlepszy czas na dziecko – powiedział, masując jej plecy.

– Ale...

– Jeśli nie teraz, to kiedy? Zawsze czegoś będziemy chcieli od życia.

– Dobra. Zrobimy tak. Spróbujemy w tym miesiącu. Jeśli się nie uda, to odkładamy plany o dzidziusiu na rok.

– Uda się – Michał był o tym święcie przekonany.

Udało się za pierwszym razem.

Pięć tygodni później Karolina trzymała w dłoniach test ciążowy z dwiema wyraźnymi różowymi kreskami. Wbiegła do sypialni w podskokach.

– Jestem w ciąży, jestem w ciąży! – krzyczała.

Zaspany Michał poderwał się na równe nogi.

– Powiedz to jeszcze raz.

– Miałaś rację. Udało się.

Michał chwycił żonę w objęcia i zaczął obsypywać ją pocałunkami. Karolina, początkowo sceptycznie nastawiona, również odczuwała ogromną radość.

Z każdym dniem cieszyła się coraz bardziej z tego, że zostanie mamą. Z nostalgią wspominała swoje dzieciństwo. I to, jak z Marioną bawiły się bobasami i udawały, że są mamami. Wypychały sobie biust skarpetkami i karmiły swoje plastikowe dzieci. Wozily je wózeczkami wokół bloku, zmieniały ubranka i śpiewały im wymyślane kołysanki. Kiedy Mariona urodziła chłopców, Karolina z trudem ukrywała, że jej zazdrości macierzyństwa.

– Jak to jest? – zapytała któregoś dnia Marionę.

– Nie jest łatwo. Potrzeba dużo cierpliwości. Czasami jest tak, że masz już dość. Ale kiedy patrzysz na swoje dzieci, jak słodko śpią, to wiesz, że macierzyństwo to najpiękniejsza rzecz, jaka ci się przytrafiła.

– Bo śpią i nie marudzą.

– Dokładnie – wybuchnęły śmiechem.

– Piotruś ostatnio wywalił całą watę do kibelka, a kiedy Marcel spuścił wodę, wszystko uniosło się do góry i zaczęło wypływać. Nasiąknięta wodą wata i woda wylały się na podłogę. A innego dnia chłopcy wysmarowali sudocremem ściany.

– Sudocrem?

– Maść na odparzenia.

– Aaaa.

– Najfajniej było wtedy, kiedy po godzinie przygotowań do wyjścia na spacer, rozłożeniu spacerówki, zapakowaniu torby z pieluchami, chrupkami i soczkami, ubraniu maluchów i siebie, Marcel zrobił kupsko. Przebierałam go, Piotruś marudził, ja byłam już spocona jak dzika świnia...

– Aha, i jeszcze kupa w tle.

– Rzadka, wychodziła bokiem, paskudząc przy okazji śpioszki i nóżki.

– No już bez szczegółów poproszę.

Znów zaczęły się śmiać.

– Nie jest tak źle. Pierwszy rok jest najtrudniejszy. Pobudki w nocy, kolki, ząbkowania, ssanie cyca co dwie godziny. Potem to już z górki. A po trzecim roku od porodu zaczynasz żyć od nowa.

– To mnie pocieszyłaś.

– Ale cieszysz się, prawda?

– Tak. Oczywiście, że tak. Na początku sceptycznie podchodziłam do pomysłu: „dziecko”, ale teraz już wiem, że niczego tak bardzo nie pragnę, jak zostać mamą.

Poród rozpoczął się dwa tygodnie przed czasem. Michał był akurat w delegacji, więc to Marioną zawiozła Karolinę do szpitala.

– Boję się – Karolina dygotała.

– Wszystko będzie dobrze. Spójrz na mnie. Urodziłam dwoje dzieci i żyję.

– Będzie dobrze... – Karolina jęknęła, bo nadchodził kolejny skurcz.

Położna zaprowadziła Karolinę do sali. Marioną została na korytarzu. Była bardzo zdenerwowana, nawet chyba jeszcze bardziej od Karoliny. Miała jakieś dziwne przeczucia, głupie myśli.

– Będzie cesarka – rzuciła w stronę Mariony położna, która wyszła nagle z sali i szybkim krokiem zmierzała w stronę dyżurki.

– Cesarka? Ale dlaczego? – Marioną ruszyła za nią, zaniepokojona.

– W czasie akcji porodowej wypadła pępowina – rzekła kobieta, uciekając wzrokiem na boki.

Niczego więcej nie powiedziała, tylko zamknęła za sobą drzwi.

Marioną poczuła, jak nogi się pod nią uginają. Oparła się o ścianę.

– Wszystko będzie dobrze. Będzie dobrze – powtarzała.

Kiedy się trochę uspokoiła, wyjęła telefon i zaczęła sprawdzać, z czym wiąże się taka sytuacja. W wyszukiwarce wpisała frazę: „wypadnięcie pępowiny podczas akcji porodowej”. Przeczytała, że to może być niebezpieczne dla dziecka. Grozi niedotlenieniem i w konsekwencji porażeniem mózgowym lub nawet zgonem. Ale to tylko w przypadku, gdy kobieta nie znajdzie się szybko na stole operacyjnym. To nie dotyczyło przecież Karoliny. Z jej dzieciątkiem wszystko będzie w porządku. Wszystko w porządku.

– Marionna, gdzie Karola? – usłyszała zdyszany głos Michała.

– Na sali operacyjnej.

– Coś nie tak? Coś nie tak? – w oczach mężczyzny zobaczyła przerażenie.

Głos lekarza był cichy i monotony.

– W wyniku wypadnięcia pępowiny i niedotlenienia płodu wystąpiły pewne komplikacje. Przykro mi.

Karolina patrzyła na niego ze zdumieniem. Jego słowa brzmiały absurdalnie.

– Przez dziewięć miesięcy moje dziecko rozwijało się prawidłowo... Wszystko było w porządku... – głos jej się łamał.

– Tak, ale...

– Ale co?

– Przykro mi.

Karolinie w jednej chwili zrobiło się zimno. Zdrętwiała i straciła jasność myślenia.

– Przepraszam panią na chwilę. Zaraz przyjdę z drugim lekarzem specjalistą.

Karolina opadła na poduszkę. Michał objął ją ramieniem.

– Poradzimy sobie... – jego głos też się łamał. Przytulił ją do siebie i pocałował. Jak dobrze, że przy niej był, inaczej by oszalała.

Po chwili na korytarzu usłyszeli ściszone głosy. Oboje wiedzieli, że muszą się wziąć w garść, aby przeprowadzić z lekarzami rozmowę. Ginekolog wszedł do sali z drugim lekarzem, który od razu sięgnął po kartę. Skinął głową i popatrzył na młode małżeństwo ze współczuciem, przynajmniej tak się Karolinie wydawało.

Lekarz rzucał medycznymi terminami, a oni nie wiedzieli, o co chodzi.

– Przepraszam, doktorze – Michał przerwał wywód lekarza. – Mógłby pan do nas mówić prostym językiem? Co z naszym dzieckiem?

– Na razie niczego nie jesteśmy pewni, ale u dziecka może wystąpić porażenie mózgowie.

– To co mamy zrobić?

– Na razie obserwować.

– Co jest z nim nie tak? Co się dzieje z moim dzieckiem? – Karolina wpadła w panikę.

– Na razie niczego nie możemy stwierdzić na pewno. Proszę odpoczywać.

– Odpoczywać, kiedy nie mam pewności, czy moje dziecko będzie zdrowe?

Lekarze popatrzyli po sobie, jakby byli tym wszystkim zniecierpliwieni.

– Może porozmawia pani z psychologiem?

– Nie chcę rozmawiać z psychologiem. Chcę porozmawiać z przyjaciółką...

– Były problemy podczas porodu... Ale wszystko będzie dobrze – Mariona położyła się na skraju łóżka i gładziła Karolinę po zlepionych włosach. – Wszystko będzie dobrze, maleńka.

Karolina wiedziała jednak, że dobrze nie będzie. Dostrzegła to w oczach męża, widziała też zdezorientowane spojrzenia lekarzy.

Sekundy zmieniały się w minuty. Minuty w godziny, a ona płakała. Nigdy wcześniej ani nigdy potem nie wylała tyle łez, co wtedy. Jej powieki tak zapuchły od płaczu, że nie mogła ich otworzyć.

Zasypiała na chwilę, po czym znowu budziła się i łkała. Mariona ani na sekundę nie zmrużyła oka. Tulila ją do siebie, całowała. Na zmianę z Michałem byli z nią cały czas. Nad ranem Karolina miała ochotę wstać i uciec jak najdalej od tego miejsca, a przede wszystkim od tego bólu, który ją dopadł.

– Wiem, że cierpisz – szeptała Mariona. – Wiem, że nie widzisz w tym wszystkim sensu. Ale ja jestem pewna, że ten mały chłopczyk cię uszczęśliwi, rozbudzi w tobie całe pokłady miłości. Wiem, że będzie ci ciężko, ale znam cię. Jestem przekonana, że będziesz o niego walczyć. Będziemy walczyć. Nie zostawię cię.

– Obiecujesz?

– Tak. Masz moje słowo, że będę przy tobie, kiedy będziesz mnie potrzebowała.

– Życie jest popieprzone.

– Jest cholernie niesprawiedliwe. Ale już takie jest, czy tego chcemy, czy nie...

ROZDZIAŁ 31

Karolina dobrze wiedziała, że przewidywania lekarzy są słuszne. Dziecku drżały rączki i nóżki, miało kłopoty ze ssaniem, kiedy przystawiała je do piersi, wyginało się do tyłu i często płakało, a ona nie mogła mu pomóc. Tulila niemowlę do siebie, a ono płakało jeszcze głośniej.

Udali się do specjalisty neurologa, który stwierdził już na pewno, że dziecko ma porażenie mózgowie. Pani doktor w skrócie opisała, co ich czeka. Niektóre słowa w ogóle do nich nie docierały, inne raniły.

Pani doktor zasugerowała nawet młodym małżonkom, by oddać dziecko do ośrodka.

– Jak to oddać dziecko?

– Tak będzie dla państwa lepiej.

– A dla niego? – zapytała Karolina. Nie wyobrażała sobie, by jej dzieckiem zajmowali się obcy ludzie. Nikt nie przekaże mu tyle miłości, co oni. Nikt go nie przytuli tak, jak matka. – Nie! – jej głos był stanowczy. – Nie oddamy naszego syna!

– Proszę się nad wszystkim zastanowić – powiedziała lekarka na koniec wizyty.

Tysiące myśli, emocji, kłębiło się w ich sercach. W sercach mamy i taty.

Mózgowe porażenie dziecięce, choroba, która odziera z marzeń. Nie do przyjęcia. Trudna do zaakceptowania. Choroba w ogóle niepasująca do mojego dziecka – myślała Karolina.

Kobieta niewiele wiedziała o tej chorobie, dopóki nie pojawiła się w jej życiu. Włączyła komputer i drżącymi dłońmi wpisała w wyszukiwarkę: „MPD”. Pojawiło się kilkadziesiąt stron. Przeróżające opisy tego, co czeka jej dziecko i rodziców.

Lekarze uprzedzali ją tuż po porodzie, że może tak być, ale ona nie chciała im wtedy wierzyć. Teraz, po diagnozie pani neurolog to, czego się najbardziej bała, zostało potwierdzone.

Karolina wyłączyła laptop. Położyła się do łóżka w ubraniu. Chciałaby zasnąć, chciałaby, żeby to wszystko okazało się złym snem. Chciałaby spać tak długo, aż jej dziecko nie wyzdrowieje. Ogromny ciężar przygniatał jej serce.

Karolina doskonale zdawała sobie sprawę, że nawet jeśli zaśnie, to będzie musiała kiedyś się obudzić. I co dalej? Może się poddać? Ma oddać dziecko do specjalnego ośrodka czy rozpocząć walkę o nie? Każda mała bitwa będzie ich

wspólnym sukcesem...

– Kochana, kochana, kochana – jeszcze tego samego dnia Mariona tuliła przyjaciółkę. Przejdziemy przez to razem. Będę. Zawsze będę przy tobie. I Karolina była pewna, że dotrzyma słowa.

– Może powinnam jednak oddać go do ośrodka? – Karolina sama wzdrygnęła się na dźwięk tych słów. Mariona kręciła głową. – To moje życie – dodała cicho.

– Nie, kochanie. To też jego życie. To przede wszystkim życie twojego syna. Nigdy więcej Karolina nie wspominała o ośrodku. Życie miało pokazać, że Mariona jak zwykle miała rację.

* * *

Tymczasem dni mijały, a Karolina patrzyła na swojego chorego synka i płakała. Była rozdarta. Chore dziecko... Nie o tym marzyła. Zapewne żadna matka o tym nie marzy. Zacisnęła pięści. Chcę normalnego dziecka – krzyczała w duchu.

Chciała wrócić do początków ciąży. Może wtedy bardziej by o siebie zadbała? Pewnie urodziła chore dziecko dlatego, że za mało o siebie dbała. Czuli, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Dookoła panowała tylko ciemność. Płakała, a łzy spływały na główkę jej synka, który otworzył oczy i patrzył na nią z zaciekawieniem. Patrzył z taką miłością, jakby chciał powiedzieć: „Niczego od ciebie nie wymagam, tylko mnie kochaj”.

Karolina nachyliła się nad synkiem i pocałowała go w główkę mokrą od jej łez. W tej samej chwili drzwi do pokoju otworzyły się. Wszedł Michał.

Spojrzał na żonę i synka z czułością. Karolina wiedziała, że mąż jest dla niej podporą. To on był tym silniejszym, tym, który kochał. Zachowywał kamienną twarz, ale w środku płakał. Co czuł w sercu? O to go nie pytała. Bała się. On przecież tak wyczekiwał na swoje pierwsze dziecko.

W ciąży rozpieszczał Karolinę do granic możliwości. Spełniał każdą jej zachciankę. Kiedy miała ochotę na śledzia bądź pomarańczę, leciał do sklepu o każdej porze dnia i nocy. Chodził z nią na wszystkie badania. A kiedy pierwszy raz ujrzał na monitorze swoje dziecko, które przypominało wówczas „obcego” z tą wielką głową, wrzucił się do łez. A teraz? Teraz oboje będą musieli zmagać się z chorobą syna. Będą musieli wyrzucić swój poukładany świat do góry nogami.

Czy podołają? A co z ich marzeniami, planami? Co z ich małżeństwem?

Dziecko zakwiliło. Oboje spojrzeli w stronę Jasia, bo takie imię nadali chłopcu.

Miłość. To dziecko jest i będzie ich miłością. A jeśli w życiu człowieka pojawia się miłość, to wszystko inne musi się ułożyć. Zawsze. Nawet jeśli czasami zaboli.

– Nie spałem dziś pół nocy – powiedział Michał do Karoliny.

– Coś nie tak?

– Myślałem o twoim porodzie.

– Po co to roztrząszasz? – Karolina sięgnęła po filiżankę i podeszła do ekspresu, by dolać sobie kawy.

– Nie wydaje ci się, że lekarze zachowywali się dziwnie?

– O co ci chodzi? – Karolina spojrzała uważnie na męża.

– Jakby coś mieli na sumieniu... – Michał potarł dłonią brodę. – Może to była ich wina? Może popełnili błąd i potem bali się do tego przyznać?

– Michał – Karolina odłożyła filiżankę na stół. – To nie była niczyja wina.

A nawet jeśli... Teraz już nic nikomu nie udowodnimy. Jest jak jest... Nic nie zwróci Jaśkowi zdrowia. Musimy się pogodzić z jego niepełnosprawnością i już.

– Taaak – westchnął. – Pewnie masz rację.

Mariona dzwoniła niemal codziennie.

– Jak jest?

– Okej – Karolina nie chciała zamęczać przyjaciółki swoimi problemami.

– Nie chrzań.

– Daję radę.

– Mówiłam, żebyś nie chrzaniła. Powiedz prawdę.

– Jest chujowo. Znow beczę.

– Zaraz będę.

– Ale twoje zlecenia... Masz pracę, obiad musisz zrobić dla dzieci.

– Będę.

Po kilku minutach Mariona stanęła w jej progu.

Najpierw ją przytuliła, powiedziała chyba z tysiąc ciepłych słów, a następnie zapytała:

– Co ci jest?

Karolina spojrzała na nią pytającym spojrzeniem.

– Jak to, co? Mam chore dziecko.

Mariona zerknęła na spokojnego Jaśka, który leżał w łóżeczku i rozglądał się dookoła.

– Przeziębił się?

– Jezuuu, nie – jęknęła Karolina. – Jest niepełnosprawny.

– Tak, wiem.

– To po co zadajesz głupie pytania?

– Myślałam, że stało się coś gorszego.
– Gorszego?
– Karolina, sądziłam, że pogodziłaś się już z tym faktem, że masz niepełnosprawnego, ale ślicznego, synka.
– Nie, z tym nigdy się nie pogodzę.
– Ale zaakceptujesz?
– Nie wiem – Karolina nakryła się kocem.
– Ej – Marionna podeszła do przyjaciółki. Usiadła na skraju łóżka. – Mówiłam, że zawsze możesz na mnie liczyć...

Cisza.

Marionna szturchnęła przyjaciółkę.

Po kilku chwilach Karolina się odezwała.

– Wiesz, to głupie, ale czasami myślę, że Jasiak nie jest mój.
– Jak to nie twój?
– Nie wiem...
– Chcesz wyprzeć z umysłu jego chorobę, pewnie stąd te odczucia.
– Możliwe... – Karolina westchnęła przeciągle. – Nie myśl, że go nie kocham, ale czasami towarzyszą mi jakieś dziwne emocje.
– To zrozumiałe – Marionna ponownie pogładziła przyjaciółkę po plecach. – Wstawaj.

– Kiedy ja chcę leżeć.

– Poleżysz, kiedy się umyjesz. Śmierdzisz jak żul spod budki z piwem.

Karolina roześmiała się głośno. Marionna nawet w tak ciężkich chwilach potrafiła ją rozbawić. Była wdzięczna przyjaciółce za to, że umiała postawić ją do pionu, kiedy ta leżała na ziemi kompletnie zdruzgotana. Za każdym razem, kiedy Karolina była w rozsypce, to Marionna zbierała ją do kupy kawałek po kawałeczku.

– Idź już pod ten prysznic, bo mi nos wykręci.

Karolina wyszła spod prysznicza po kilku minutach. Ruszyła w stronę pokoju dziecięcego. Oparła się o framugę drzwi i patrzyła na przyjaciółkę, która zajmowała się jej synkiem.

W jej gestach, słowach było tyle czułości. Kiedy go karmiła, przebierała, była taka cierpliwa. Karolinie czasami brakowało już tej cierpliwości.

Marionna uśpiła Jaśka, po czym weszła do kuchni. Karolina siedziała przy stole. Czysta, pachnąca, ale wciąż smutna.

– Dwa dni temu miałam kiepski dzień – powiedziała do niej Marionna.

– I co zrobiłaś?

– Jajka w majonezie.

– Że co?

– Jajka w majonezie. Sztuk pięć.

Karolina uniosła do góry brwi.

– Bardzo lubię jajka w majonezie. Uznałam, że wolę je zjeść niż przeżywać, jak to mi źle. Było mi źle, to zrobiłam sobie dobrze. Bo tylko ja wiem, co jest dla mnie najlepsze.

– I stwierdziłaś, że jajka cię uratują?

– Tak, tak właśnie stwierdziłam.

– I co?

– Zjadłam. Smakowały. Dzisiaj chcę więcej.

– Jajek?

– Jajek też. Więcej życia w życiu, uśmiechu w uśmiechu, miłości w miłości, a przede wszystkim siebie w sobie. Już wiem, że stać mnie na więcej. Oczekuję tego: „więcej”. Jak się spierdoli, to będę naprawiać. Przewrócę się na zakręcie, to się podniosę. Jeśli ktoś mnie nieustannie rani, to mu dziękuję za wspólne towarzystwo, bo ileż razy można przyjmować kolejne ciosy.

– Nie wybaczasz?

– Pewnie, że wybaczam. Czasami nawet za dużo. Po prostu nie pozwalam, by ktoś po mnie przejeżdżał, łamał mi serce.

– Nie za dużo tego wszystkiego?

– E, co ty, w sam raz...

Roześmiały się.

– Musisz coś zjeść. Wszystko na tobie wisi. Zupa? Ugotować ci zupę?

Karolina pokręciła głową.

– To co?

– Nie mam na nic ochoty.

– Cokolwiek. Jajka?

– Proszę, nie katuj mnie jajkami. Pączka. Zjadłabym świeżego, tłustego, ociekającego lukrem pączka.

– Nie ma sprawy – Marionna poderwała się z krzesła.

– Dokąd idziesz?

– Na poszukiwania twojego pączka.

– Daj spokój, zjem kanapkę.

– Możesz zjeść i kanapkę, i pączka.

Marionna przeszła do przedpokoju. Wkładała buty, kiedy Karolina pojawiła się w korytarzu.

– Zgłupiałaś?

– Nie, kochanie. Chcę ci sprawić przyjemność. I chcę, byś zjadła coś ze smakiem.

Marionna wróciła po kilkadziesiąt minutach.

– Już się bałam, że cię porwali.

– Kurde – Marionna zaczerpnęła tchu. – Myślałam, że nie znajdę. Po

trzynastej pączków nie uświadczysz.

– I co, dupa?

– Żartujesz sobie, kto, jak nie ja? – Mariona wyciągnęła z za pleców siatkę.

– Ile tych pączków kupiłaś?

– Dwadzieścia.

Zaczęły się tak śmiać, że łzy spływały po ich policzkach.

– Kto, jak nie ty – Karolina podeszła do przyjaciółki i mocno ją przytuliła.

Jadły pączki i oglądały dokumentalny program o niepełnosprawnych ludziach. O tym, jak niektórzy z nich, mimo że poruszali się na wózku, o kulach, mimo że cierpieli, radzili sobie w życiu lepiej niż niejeden zdrowy człowiek. Na pasku informacyjnym pod programem zaczęły pojawiać się komentarze widzów. Niektóre dopingujące, inne wspierające, ale były też hejty.

Ktoś napisał: *Mongoły do gazu*.

Karolinę przeszedł dreszcz. Mariona chwyciła przyjaciółkę za rękę.

– Jak oni tak mogą? – głos Karoliny się łamał.

– Ludzie wypisujący te komentarze są sfrustrowanymi nieudacznikami, którzy nie mają co zrobić ze swoim życiem i wylewają pomyje na innych, słabszych.

– A jeśli Jaśka będą wytykać palcami i będą mu ubliżać?

– Będą... – Mariona powiedziała to z pełną świadomością. – Na pewno będą. Ale znajdą się też ludzie pełni empatii w stosunku do drugiego człowieka. Pełni ciepła. Z sercem na dłoni.

– Czy tak już będzie zawsze? – zapytała Marionę Karolina. – Przez całe życie będę widziała cierpienie w oczach mojego dziecka? Czy dam radę? Ile jeszcze czeka nas wypraw do szpitala?

Mariona milczała, po czym złapała przyjaciółkę za rękę i pocałowała jej dłoń. Karolina zamknęła oczy i pomyślała o Marionie z czułością: „Zapukała do moich drzwi. Otworzyłam je dla niej na oścież. Wchodź. Rozgość się. Śmiało, nie stój w progu. Nie lubię przeciągów”.

ROZDZIAŁ 32

Michał pracował od świtu do nocy. Większa część pieniędzy z jego pensji szła na rehabilitację synka. Kiedy miał wolną chwilę, jeździł z Karoliną i dzieckiem do lekarzy. Małżeństwo zapisało się do ośrodka wczesnej interwencji, gdzie uczyli się rehabilitacji Jaśka metodą Wojty. Polegała ona na uciskaniu określonych punktów na ciele dziecka. Poprzez wielokrotne powtarzanie takiej stymulacji następowało bowiem „uwalnianie” lub nawet tworzenie się nowych połączeń nerwowych w ramach sieci nerwów pomiędzy mózgiem i rdzeniem kręgowym, dzięki czemu dziecko mogło odzyskać połowiczną sprawność.

Jasiek od początku był rehabilitowany przez specjalistę, ale pomoc rodziców była konieczna. Musieli się więc tego nauczyć.

Karolina stymulowała Jaśka cztery razy dziennie, bo tylko regularne ćwiczenia mogły sprawić, że zaowocuje to w przyszłości lepszą sprawnością ich synka. Zaczynała od kilku sekund, a im chłopiec był starszy, tym bardziej czas ćwiczeń się wydłużał. Kiedy Jasiek miał osiem miesięcy, jedna sesja trwała około dwudziestu minut. Czasami Karolina nie miała siły przeprowadzać ćwiczeń. Jasiek patrzył na nią wystraszonymi oczkami, jakby chciał powiedzieć: „Dlaczego mi to robisz, mamó? Dlaczego mnie nie przytulisz?”. Malec niekiedy tak płakał, że aż nie mógł złapać tchu, i ona wtedy też płakała. Nie chciała pokazać przy dziecku, że ją to przeraża, ale łzy mimowolnie płynęły po jej policzkach.

– Nie dam rady więcej tego robić? – powiedziała któregoś dnia Karolina do Michała.

– Chodzi ci o rehabilitację?

– On płacze.

– Wiem, wiem, że płacze, ale to dla jego dobra.

– Dla jego dobra... – powtórzyła smutnym głosem. – Tylko ty nie dostrzegasz tego, co ja widzę w jego oczach: przerażenia.

– Pomogę ci – Michał mocno przytulił Karolinę.

I pomagał. Zwalniał się z pracy w ciągu dnia dwa razy na pół godziny. Wpadał do domu, mył ręce, podwijał rękawy koszuli i zabierał się za rehabilitację. Przez cały czas przemawiał do Jaśka ciepłym głosem. Spokojnie tłumaczył mu wszystko, co robił. Przy Michale Jasiek mniej płakał. Czasami w ogóle. Karolina wiedziała, że bez pomocy i wsparcia męża nie dałaby rady.

Był sobotni wieczór. Karolina weszła do łazienki bez pukania. Wiedziała, że

od kilku minut był tam Michał, ale jakoś wyleciało jej to z głowy. Wzdrygnęła się, kiedy zobaczyła męża siedzącego na krawędzi wanny, z głową opartą na dłoniach.

– Michał? Michaś, co się stało? – podeszła bliżej. Dopiero teraz zobaczyła, że jej mąż płacze, ba, jest w kompletnej rozsypce.

– Co się stało? – uklękła przy nim.

– Nie, nic – otarł ręką załzawione oczy.

Karolina zdała sobie sprawę, że to on dźwiga na swoich barkach wszystko. Dom, rachunki, jej smutek...

– Kochanie – przytuliła go mocno do piersi i pogładziła po włosach. To on miał być tym silniejszym, troskliwym, opiekuńczym. Jednak nawet tak silny człowiek może w którymś momencie się załamać. – Jesteś najlepszym mężem i ojcem, jakiego mogliśmy sobie wymarzyć.

– Dziękuję. Tego właśnie potrzebowałem.

– To dlaczego nie poprosiłeś mnie o wsparcie?

– Karolina, masz tyle na głowie...

– A ty niby nie masz? Mów, jeśli cię coś uwiera, rozmawiaj ze mną.

Wtulili się w siebie. A potem zaczęli się całować. Żarliwie. Wdzięczni za to, że mają siebie. Położyli się do łóżka ciasno objęci. Karolina niemal natychmiast odpłynęła w błogi sen.

O północy wstała do Jaśka. Kiedy w pokoju, w którym spał Jasiak, było zbyt cicho, Karolina zrywała się z łóżka i biegła zobaczyć, co się dzieje z synkiem.

Oddychał. I ona oddychała z ulgą. Zawsze się bała, że nie usłyszy, kiedy Jasiak krztusi się śliną, albo że dziecko będzie jej potrzebowało, a ona się nie obudzi. Przy łóżku stała elektroniczna niania. Karolina zrywała się wprawdzie na najmniejszy szelest, a mimo to, kiedy było za spokojnie, wstawała z łóżka i szła do pokoju dziecięcego.

Tej nocy Jasiak spał niespokojnie. Budził się co kilkanaście minut. Karolina wiedziała już, że czeka ją ciężka noc. Kilka razy już zmieniła mu pieluszkę, masowała plecki, a kiedy i to nie pomogło, wyciągnęła z łóżeczka i usiadła z synkiem na bujanym fotelu. Bujanie zawsze go uspokajało. Odpychała się nogami i kołysała. W pewnej chwili w pokoju pojawił się zaspany Michał.

– Daj, ja go potrzymam, a ty idź i połóż się spać.

– Jutro masz zebranie w pracy.

– To nic. Wstawałaś do niego przez pół nocy.

Michał wziął z jej rąk Jaśka i usiadł na fotelu. Bujał się razem z synkiem i delikatnie głaskał jego policzek. Karolina nie wyszła z pokoju, patrzyła urzeczona na swoich chłopaków.

Po pewnym czasie malec usnął na dobre, a Michał odłożył go do łóżeczka. Przez chwilę rodzice patrzyli na śpiącego synka, po czym Michał objął żonę w pasie. Poczuli, jak mocno bije jej serce.

– Kochanie – Michał zwrócił się do żony uroczystym tonem. – Dziękuję ci za to, że zgodziłaś się wyjść za mnie. Dziękuję ci za naszego synka. Dałaś mi wszystko, czego od życia potrzebuję.

Karolina zamknęła oczy. Przypomniały jej się słowa, które gdzieś, kiedyś, przeczytała: „Jedno dzisiaj jest warte więcej niż dwa jutra”. Jakże prawdziwe. Właśnie dzisiaj, teraz, uświadomiła sobie, jak bardzo jest szczęśliwa, mimo choroby syna, mimo zmęczenia i mimo cierpienia. Bo to była miłość ociekająca cierpieniem – tak Karolina mogłaby opisać ich życie z Jaśkiem. Z ich szczęściem. Chorym szczęściem.

Na początku Karolina za wszelką cenę chciała „naprawić” swoje dziecko. Uleczyć je na siłę. Michał czasami był przerażony jej postępowaniem, ale zgadzał się na wszystko. Kochał żonę i kochał syna.

Jeździli do szamanów, radioterapeutów, radiestetów, wiejskich znachorów, zielarzy, uzdrowicieli. Chwyтали się wszelkich sposobów. Karolina, jak każda matka, chciała, by jej dziecko było zdrowe. Chciała normalności, a z drugiej strony po cichu denerwowała ją normalność innych. Któregoś dnia zadzwoniła do niej Mariona i oznajmiła, że tort, który upiekła na urodziny Marcela, okazał się niezjadliwy. Zakalec. I bita śmietana siadła. Jakie ludzie mają problemy? Czym się przejmują? Głupotami. Pierdołami. Nie chodziło to, że miała żal do Mariony, ale ona miała inne marzenia. Marzenia, żeby jej synek rozwijał się normalnie.

Karolina chodziła z Jaśkiem na spacerunki do parku tylko w dni powszednie, kiedy wiedziała, że będzie mniej ludzi. Zazwyczaj w porze drzemki syna. On spał w wózku, a ona mogła porozmyśleć o swoim strachu. Bała się. Ale przecież inni ludzie też się bali. Samotności, chorób, tego, co działo się na tym świecie, tego, czy starczy im do pierwszego i co się stanie z ich dziećmi. Boimy się wielu rzeczy... Karolina czasami czuła, że już nie da rady postawić kolejnego kroku, że pęknie jej serce, kiedy Jasiek znów się przeziębii, znów będzie musiał leżeć w szpitalu, znów będzie miał ciężki dzień. Czasami chciała zakopać się pod kołdrę i przespać swoje życie. Zapomnieć o bólu. Nie mogła jednak tego zrobić, bo za bardzo kochała Jaśka.

Odkąd go urodziła, wszystkie inne sprawy przyblakły. Łzy... Tak często teraz toczyły się po jej policzkach. Płakała w ukryciu. Darła się i jęczała pod prysznicem, ciesząc się, że strumienie wody zagłuszą jej jęki. Płakała tak, żeby nikt nie widział i nikt nie słyszał. Nie chciała martwić rodziców ani Michała. A tym bardziej nie chciała, by Jasiek zobaczył jej łzy. On był tak bardzo wrażliwy na jej kiepskie nastroje... Od razu robił się wtedy markotny i niespokojny.

ROZDZIAŁ 33

Mijał dzień za dniem, miesiąc za miesiącem. Karolina wszystko jakoś sobie już poukładała i cieszyła się z postępów rehabilitacji synka.

W pewien majowy poranek wyszła z Jaśkiem na spacer. Chłopiec miał już dwa latka. Leżał w wózku przykryty cienkim koczykiem i miał takie radosne oczy. Szli powoli, a Karolina opowiadała dziecku o wielobarwnych motylach, pięknie śpiewających ptakach, zielonej trawie. Zatrzymali się przy krzaku bzu. Karolina zerwała gałązkę i już chciała mu ją podać, kiedy znieruchomiała. Coś niedobrego działo się z dzieckiem. Jasiak przewrócił oczami tak, że kobieta widziała tylko białka. Całe jego ciało wygięło się nienaturalnie, a nóżki i rączki drgały. Karolina stała przez chwilę, oszołomiona tym widokiem. Nie wiedziała, co robić. W jednej chwili wyrzuciła gałązkę bzu, odpięła pasy i wyciągnęła Jaśka z wózka.

– Kochanie! Kochanie! – mocno tuliła go do siebie, ale on nie reagował. – Pomocy! Pomocy!

Wokół niej zebrał się tłum gapiów. Ktoś zadzwonił po karetkę. Kiedy pomoc dotarła na miejsce, Jasiak się uspokoił. Atak minął. Chłopiec był wystraszony i płakał, a Karolina wraz z nim.

– Epilepsja – stwierdziła chłodno pani doktor. – Przepiszemy dziecku leki przeciwpadaczkowe i psychotropowe.

Boże! – Karolina myślała, że zemdleje. Ile chorób zmieści się w tym małym ciałku? Ciałku jej synka. Ile cierpienia czeka jeszcze Jasia, ją i Michała?

Pod wpływem leków ataki padaczki stały się słabsze i rzadziej występowały, Karolina z Michałem nadal rehabilitowali Jaśka metodą Wojty, rehabilitantka dziecka była zadowolona z postępów. Wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze, kiedy Jasiak zaczął chorować.

W ciągu roku chłopiec przyjął piętnaście antybiotyków. Angina, grypa, zapalenie oskrzeli, zapalenie płuc, gorączka, wymioty, zapchany nos, pobyty w szpitalu, nieprzespane noce. Zmuszeni byli kupić ssak, aby ściągać dziecku zalegającą flegmę i ślinę. Wcześniej nie mieli pojęcia, że w ogóle istnieje urządzenie pozwalające na odsysanie z chorego nadmiaru wydzieliny gromadzącej się w płucach. Cewnik łączy się ze ssakiem i wprowadza się go albo przez gardło, albo przez nos do oskrzeli lub płuc chorego. Dla Karoliny oznaczało to kolejne traumatyczne przeżycie. Jasiak bronił się przed wprowadzeniem ssaka jak tygrys.

Drapał mamę, okładał małymi rączkami, nieraz nawet gryzł. A w niej rodził się strach, że przecież może mu zrobić krzywdę, wkładając cewnik może przebić mu ścianki krtani lub innego organu. Choroba, ssak, krzyk, płacz.

– Ile, kurwa, tego? Ile? – znów miała wrażenie, że stacza się po równi pochyłej.

Mariona wyczuła kiepski nastrój przyjaciółki. Przyszła.

– Załatwiłam Jaškowi wizytę u doktor Maruszek.

– Koniec z wizytami.

– Kochana, dostać się do niej graniczy z cudem. Musicie tam iść. Zawiozę was.

Karolina była wyczerpana z sił. Siadła na fotelu.

– Nie mam siły zaproponować ci herbaty. Jasiek dopiero co usnął, a ja jestem okropnie zmęczona, brudna i śmierdząca.

– Umyj się. Zrobię coś do jedzenia i zaparzę herbatę.

Karolina nie protestowała. Pierwszy raz od ponad tygodnia zanurzyła się w ciepłej kąpieli. Od kilku dni brała tylko szybki prysznic. Teraz leżała w wodzie z dużą ilością piany i starała się nie myśleć o niczym. Wyszła z wanny dopiero wtedy, kiedy zaczęła marznąć. Otuliła się ciepłym szlafrokiem i weszła do pokoju. Na stole stał talerz z kanapkami, obok miseczka z twarożkiem i druga z dżemem. Z prawej strony czajniczek z herbatą.

– Dzięki. Jesteś niezastąpiona... – Karolina usiadła i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna. Pochłonęła posiłek w mgnieniu oka.

– Nawet nie wiesz, jaka byłam głodna – odezwała się, kiedy nalewała herbatę do filiżanek.

– Właśnie widzę, że wciągnęłaś wszystko.

– To kim jest ta doktor Maruszek?

– Homeopatką.

– O nie, żadnych szamanów. Już tego próbowaliśmy.

– Homeopatii jeszcze nie.

– Mariona! Daj spokój. Nie wierzę w te bzdury.

– Jeśli te bzdury mają pomóc, to czemu nie spróbować? Ublagałam ją, żeby was przyjęła. Ma terminy zajęte na kolejny rok. Nie robisz tego dla siebie ani nawet dla mnie, zrób to dla Jaška.

– Kiedy?

– Za tydzień w środę, o trzynastej.

– Nie wiem, czy Michał będzie mógł wyrwać się z pracy. I tak już przegina z urlopami.

– Powiedziałam, że was zawiozę, to zawiozę.

– Tyle dla nas robisz... – Karolina spojrzała z czułością na przyjaciółkę.

– A ile ty dla mnie zrobiłaś? Przyjaźń to nie targowanie, kto da więcej, a kto mniej. Kocham was.

– Wiem.

Kobiety przeniosły się na sofę. Okryły się kocem i popijały herbatę.

– Uratowałaś mnie przed rozpieprzeniem sobie życia i za to będę ci wdzięczna do grobowej deski – powiedziała Marionna.

– Nie żałujesz?

– Czego?

– Romansu. To zawsze jakaś odskocznia od życia.

– Mogłabym skoczyć i złamać sobie kark. Rzucić wszystko w przyływie jakiegoś porywu...

– Mówisz, że nie warto?

– Teraz wiem, że nie. A ty? Rzuciłabyś to wszystko?

– Wiesz, czasami wydaje mi się, że tak, ale tylko czasami. Często zadaję sobie pytania, dlaczego moje dziecko jest chore? Cięża przebiegała wzorcowo. Może bardziej powinnam o siebie dbać? Może za bardzo się stresowałam? Może przy porodzie lekarze dopuścili się jakichś nieprawidłowości? Wciąż zadreczam się tysiącem pytań. Tylko nawet jeśli sobie na nie odpowiem, co to zmieni? Nic.

Marionna chwyciła przyjaciółkę za rękę.

– Nigdy cię o to nie pytałam... Może trochę się bałam... Tak, chyba tak.

– O co, nie pytałaś?

– Twoje życie to pasmo chorób, cierpienia, nieustającego stresu, czy Jasiek znów czegoś nie złapie, czy mu się poprawi. To świat szpitali, lekarzy, leków, ciągłej rehabilitacji. Czy nie żałujesz, że nie oddałaś Jaśka do jakiegoś ośrodka?

– Bywają chwile, że żałuję. Chociaż karcę się za nie, bo przecież jestem matką, która kocha swoje dziecko. Tylko że jestem też człowiekiem, który niekiedy wątpi w to wszystko. Czasami mam żal do losu, bo przecież nie tak wyobrażałam sobie swoje życie. I myślę sobie, że źle zrobiłam, że nie oddałam Jaśka. Naturalnie już po chwili mam pretensje do siebie, że w ogóle tak mogłam pomyśleć. Obwiniam siebie, że jestem złą matką.

– Ludzie, którzy mają zdrowe dzieci, też czasami miewają myśli, że to wszystko nie tak, że gdzieś jakaś część ciebie już na zawsze umarła.

– Właśnie. Dobrze to określiłaś: „umarła”. Nie ma już we mnie tej dzikości, tego szaleństwa, które były jeszcze kilka lat temu. Jestem inna, bo mam chore dziecko. Czasami dobijają mnie te pełne litości, nawet niesmaku, spojrzenia ludzi. A już komentarze, jaki on biedny, sprawiają, że mam ochotę walnąć jedną czy drugą delikwentkę w łeb.

– Wal, ile wlezie.

Roześmiały się.

– Jest jeszcze coś gorszego...

- Co?
- Moja zazdrość o zdrowe dzieci.
- To rozumiały.
- Czy ja wiem, czy rozumiały? Widzę zdrowe dzieci, które są mniej więcej w wieku Jaśka, i porównuję je z nim. One biegają, mówią, skaczą, a on?
- Karolaaa... – Marionna westchnęła.

Przygarnęła przyjaciółkę do siebie. Głaskała ją po policzku, po włosach, aż ta zasnęła z uśmiechem na twarzy. Marionna nachyliła się nad śpiącą kobietą i pocałowała ją w policzek.

Wtedy pomyślała, że musi Karolinę gdzieś zabrać. Dogada się z Michałem i porwie ją. Wiedziała doskonale, że dziewczyna swoje potrzeby spycha na dalszy plan, bo przecież jest Jasiek, jego rehabilitacja, jego kosztowne leczenie.

* * *

Marionna umówiła się z Michałem w „Costa”.

– Cześć – Marionna podeszła do męża przyjaciółki, który siedział już przy stoliku i popijał herbatę. Dopiero teraz zauważyła, że siwizna przyprószyła skronie mężczyzny.

- Napijesz się czegoś? – zaproponował.
 - Już zamówiłam kawę. Kelnerka mi zaraz przyniesie.
- Marionna usiadła, torebkę zawiesiła na oparciu krzesła.
- Chciałam cię o coś zapytać?
 - Pytaj – uśmiechnął się do niej niemrawo.
 - Chciałabym zabrać gdzieś Karolinę. Jeszcze nie wiem, gdzie. Może w góry albo na Mazury?
 - Tak. Świetny pomysł – odparł, choć nie wyglądał na przesadnie zadowolonego, a przynajmniej tak się Marionnie wydawało. – Karolina potrzebuje odpoczynku.
 - Na dzień, dwa...
 - Odpowiadałby mi jakiś weekend.
 - Okej. Rozejrzę się i dam ci znać – pociągnęła łyk kawy i spojrzała na Michała. Był smutny. – Jak sobie radzisz? – zapytała cicho.

Michał uniósł do góry brwi.

– Zapewne wszyscy pytają się o Karolę albo Jaśka, a nikt nie pyta, jak ty się czujesz? – dodała.

Uśmiechnął się blado.

– Tak, wiesz, oni...
– Nawet nie wyobrażam sobie, co przeżywa Karolina ani jak bardzo cierpi Jasiek, ale ty też jesteś w tym wszystkim... Sam...

– Zagubiony.
– Właśnie. Chodzisz do pracy, dźwigasz na swoich barkach cały dom. Robisz zakupy. Urywasz się z roboty, kiedy tylko możesz, by pomóc przy rehabilitacji Jaśka, by zawieść ich do lekarza jednego, drugiego... Podziwiam cię. Chłopie, jesteś dla mnie mocarzem.

Michał poczuł przyjemne mrowienie w brzuchu. Nikt od dawna niczego takiego mu nie powiedział.

– Dzięki, nawet nie wiesz, ile twoje słowa dla mnie znaczą.
– Domyślam się.
– Marion, dzięki, że jesteś z nami przez ten cały czas, od przyjścia na świat Jaśka. Bez ciebie nie dalibyśmy rady.

– Jakbym mogła inaczej?
– Niektórzy znajomi się od nas odwrócili.
– Ale ja nie jestem znajomą.
– Wiem, przyjaciółką. Dziękuję.

Mariona chwyciła dłoń Michała i przytrzymała chwilę dłużej. Zwykły, ciepły przyjacielski gest dodający otuchy.

– Wiesz, boję się o Karolę. Czasami myślę, że jest silna, a innym razem wydaje mi się, że pęknie na kawałki i rozsypie się.

– Nie dziwię się jej.
– To ja ją namówiłem na dziecko. Ona chciała poczekać rok, dwa.
– Ale zgodziła się.
– Za moją namową.
– To była też jej decyzja...
– Zniszczyłem jej życie – Michał rozplakał się jak dziecko.

Mariona wstała od stołu i mocno go przytuliła.

– Ciii. Ciiii... Przyjacielu...

Michał jeszcze chwilę płakał w objęciach Mariony, a potem spojrzał na nią.

– Dziękuję. Jeszcze raz dziękuję, że z nami jesteś.

Tego dnia Michał wrócił do domu grubo po dwudziestej. Wiedział, że Karolina i dziecko bardzo go potrzebują, ale nie mógł wcześniej pojawić się w domu. Nie chciał. Był taki poturbowany, że gdyby przekroczył próg mieszkania wcześniej, na nowo by się rozkleił.

Musiał żyć. Codziennie rano otwierał powieki i mówił do siebie: „muszę”. Wszystko w życiu teraz musiał. Mało już chciał. Kochał swoje dziecko i żonę, ale czasami miał tego wszystkiego dość. Lekarzy, rehabilitantów, nocnego czuwania

i nadziei, że będzie lepiej, choć wcale nie było. Jego dziecko nigdy nie będzie chodzić, nawet pełzać. Nie będzie mówić... Nie będzie takie, jak inne dzieci. A co z nimi? Co z ich małżeństwem? Jak dawno się nie kochali. A to za bardzo byli zmęczeni, a to nie mieli ochoty. Czasami Michał zastanawiał się, czy jest jeszcze mężczyzną, skoro mu się nie chce...

Wszedł do sypialni. Spojrzał z czułością na zwiniętą w kłębek żonę. Okrył ją kocem. Nie wierzył, że kiedyś tak mocno kogoś pokocha. Nie zdawał sobie sprawy, że tak można.

Przypomniał sobie ich wspólny spacer, kiedy Karolina była w ósmym miesiącu ciąży. Wyglądała kwitnąco, wręcz olśniewająco. Oczywiście narzekała, że przypomina pękatą dynię, ale dla niego była ósmym cudem świata. Spacerowali po Starówce dobre dwie godziny. Był zimowy, mroźny, gwieździsty wieczór. Czuli się jak para turystów. Zaglądali do kafejek, na wystawy sklepowe. Weszli do katedry i zapalili świeczkę. A na koniec wieczoru usiedli w restauracji i zamówili kolację. Michał przeprosił żonę i poszedł do łazienki. W drodze z toalety zatrzymał się na chwilę. Spoglądał na kelnera, który jawnie flirtował z jego piękną żoną. Jakież było zdziwienie tego chłopaka, kiedy Karolina wstała od stołu, wskazując na pękaty brzuch. Chłopak zaczerwienił się i czym prędzej czmychnął. Michał poczuł dumę z tego, że ma tak ponętą żonę. Ale tak naprawdę zakochał się też w jej ciętym języku, oryginalnym poczuciu humoru i intelekcie. Kochał tę kobietę. Kobietę z jego snów.

Teraz usiadł koło niej na łóżku, wsłuchując się w jej równy oddech. Kochał ją też i za to, że się nie poddawała w walce z chorobą ich dziecka, że tyle poświęciła. Kochał ją za jej wyrozumiałość, za to, że z nim jest. Nie potrafił sobie wyobrazić życia bez niej. Miłość niejedno ma imię: „kochanie”, „pieszczoto”, „słońce ty moje”. Miłość jest sensem ludzkiego istnienia. Miłość słowami utkana, naznaczona emocjami, wszystkimi barwami świata, codziennością, burzowymi chmurami, a często i cierpieniem. Miłość między tobą a mną. Miłość w dotyku oddana.

ROZDZIAŁ 34

Karolina usiadła w fotelu. Czuła się zmęczona. Jasiak od kilku dni borykał się z przeziębieniem, a dzisiaj dał jej szczególnie mocno popalić. Był marudny, płaczący i nic mu się nie podobało.

Karolina pomyślała, ile straciła przez to, że jest matką niepełnosprawnego dziecka. Nie była już panią swojego czasu. Nie może sobie wyjść, ot tak, na pół dnia, i zapomnieć o wszystkim. Nie mogła sobie pozwolić na drogą kieckę czy wymarzone szpilki, pieniądze topniały w zastraszającym tempie. Ale zyskała taką miłość, o jakiej nigdy nawet nie marzyła. Nauczyła się doceniać każdy oddech synka, każdą jego lepszą chwilę, każdy dotyk. Życie jego życia.

Po kilkunastu miesiącach Karolina już tak często nie płakała. Nie, to nieprawda. Płakała, ale nie tak spazmatycznie, nie wylewała tyłu łez, niektóre po prostu połykała. Nie chciała nikogo zasmucać swoim ciągłym płaczem. Bywały jednak chwile, że nie chciało jej się żyć.

Ostatnio podczas kolejnej wizyty u lekarza dowiedziała się, że Jasiak ma skoliozę i nigdy nie będzie mówił.

Co jeszcze? – zadawała sobie po raz kolejny to samo pytanie Karolina. – Ile jeszcze mój synek zniesie bólu? Ile jestem w stanie wytrzymać?

Tej nocy przewracała się na łóżku z boku na bok. Wciąż wierzyła, że może coś się zmienić, że Jasiak będzie normalny. Tak trudno pogodzić się z chorobą dziecka, kiedy ograbiono cię z nadziei. Tej nocy miała ochotę nalykać się tabletek i po prostu zasnąć... Jakiś głos w jej głowie wołał: „Zrób to, do cholery, ileż można?”. Zerwała się na równe nogi i pobiegła do łóżka synka. Popatrzyła na niego i z czułością pogłaskała po buzi. Kochała go! Jak mogła pomyśleć o samobójstwie? Czy postradała już zmysły?

– Najdroższy – szeptała. – Nie będziesz mógł chodzić, mówić, ale zrobię wszystko, żebyś miał szczęśliwe życie. Na tyle, na ile będę mogła, postaram się ulżyć ci w cierpieniu. Przysięgam, że cię nie opuszczę. Choćby nie wiem, co się stało. Nie opuszczę cię...

Gładziła z czułością policzki Jaśka, a po jej twarzy spływały łzy. Zanim się urodził, miała tyle planów, tysiące marzeń, w których Jasiak był normalnym, zdrowym dzieckiem...

Nie będzie mówił. Do tej pory jeszcze się łudziła. Kiedy Jasiak wydawał niezrozumiałe dźwięki, ona mówiła do niego sylabami:

– Ma-ma – wskazywała na siebie.

Jasiek odpowiadał jej po swojemu.

Nie poddawała się:

– Ma-ma.

Kiedyś nawet wydawało jej się, że powtórzył. Teraz wiedziała już, że to niemożliwe.

Każda matka chciałaby to usłyszeć od swojego dziecka. Jej dziecko nie wypowie żadnego słowa. Jak zatem będą się porozumiewać? Chciałaby kiedyś posłuchać, o czym jej synek myśli, co czuje. Chciałaby, do jasnej cholery, by jej to powiedział!

A może on zechce jej powiedzieć o tym wszystkim, tylko inaczej? Może spróbuje się z nią porozumiewać na swój własny sposób?

Przez kolejne dni Karolina obserwowała Jaśka z jeszcze większą uwagą niż zwykle.

Zauważyła, że chłopiec moduluje dźwięki. Inaczej, kiedy go coś boli, a jeszcze inaczej, kiedy jest radosny. Mruga powiekami, kiedy czegoś chce, i ma roześmiane oczy, a kiedy jest wesoły, gulgocze jak indor. Tworzy swój własny język. Język miłości.

– On próbuje z nami nawiązać kontakt – oznajmiła kiedyś Marion.

– Też masz takie wrażenie? – zapytała Karolina.

– To nie wrażenie, ja to wiem. Mruga powiekami szybko, gdy czegoś nie chce. A gdy czegoś chce, stara się mocniej chwycić zdrową rączką moją dłoń. On nas rozumie i chce, byśmy go rozumieli, byśmy odszyfrowywali jego przekaz.

„My” – jak to pięknie zabrzmiało w ustach Mariony. Ona też śródkiem należała teraz do rodziny, interesowała się wszystkim, co dotyczyło Jaśka.

– Nie wierzę w spirytyzm ani...

– Karola, ale wierzysz w pokrewieństwo dusz.

– Tak, w to wierzę.

Obie równocześnie spojrzały na Jaśka, który zagulgotał, jakby szczęśliwy, że odgadły, o co mu chodzi. O zrozumienie.

* * *

Nastała kolejna wiosna utkana z marzeń, zielonej trawy, czułości narodzenia, przebudzenia. Wiosenna atmosfera dodała Karolinie animuszu. Postanowiła wyjść z Jaśkiem na spacer. Samo szykowanie się do wyjścia było katorgą, ale każdy spacer był niesamowitym przeżyciem dla niej i dziecka. Jasiek gulgotał radośnie, jego oczy szeroko się otwierały na widok przejeżdżających samochodów. Kiedy

skręcili do parku, chłopczyk rozglądał się za ptaszkami, przechodzącymi ludźmi. Zachłannie upajał się tymi widokami, wyciągając buzię ku ciepłym promieniom słońca. Karolina oddychała pełną piersią. Ten spacer działał na nią orzeźwiająco. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Spacerowała ze swoim synkiem i tylko to się liczyło.

Zatrzymała się przy ławce. Jasiek spał. Karolina nachyliła się nad synkiem i delikatnie go pocałowała. Żeby tylko się nie zbudził – pomyślała. Przyciśnięty policzek do policzka, ciało do ciała, miłość do miłości. Śpij, kochanie. Po kilku chwilach Jasiek się przebudził, więc Karolina nachyliła się nad dzieckiem ponownie. Chłopiec starał się uchwycić pasmo jej włosów. Jego oczy się do niej śmiały, a on sam wydobywał z siebie dziwne dźwięki. Coś, co przypominało gulgot indyka. Karolina wiedziała, że jej synek jest w tej chwili szczęśliwy. Pomasażowała jego rączki, potem nóżki, a on nadal gulgotał. Ufał jej. We wszystkim, co robiła. I choć musiał bardzo cierpieć, były w nim całe pokłady ufności i szczerości.

Od dnia, w którym Karolina po raz pierwszy usłyszała diagnozę, wiele się zmieniło. Kobieta inaczej patrzyła na otaczający ją świat. Spoglądała na ludzi i życie z zupełnie innej perspektywy. Perspektywy choroby. Czasami widziała niezadowolone miny przechodniów, słyszała strzępki rozmów, a w nich narzekanie, i miała ochotę potrząsnąć jednym czy drugim i wykrzyknąć im w twarz: „Nie macie powodów do narzekań. Macie piękne, zdrowe dzieci, macie sprawne ręce i nogi. Na co jeszcze narzekacie? Że pada? Że szef was wkurwił? Że samochód dziesięcioletni? Spójrzcie na mojego syna, który walczy z bólem każdego dnia, który nigdy nie będzie chodził czy nawet pęzał, który nie będzie mógł się nawet poskarżyć, że cierpi”.

Mariona weszła do mieszkania Karoliny. Była zdyszana. Spieszyła się, gdyż przyjaciółka prosiła ją, by przyszła do niej przed dziewiątą. Odprowadziła więc chłopców do szkoły, a sama pognęła do Karoliny.

- Co jest? – odwiesiła płaszcz na wieszak.
- Terapeuta będzie tu za piętnaście minut.
- Coś z nim nie tak?
- Wszystko jak najbardziej tak.
- Więc o co chodzi?
- Musisz go zobaczyć.
- Zadzwoń do mnie, bym zobaczyła terapeutę?
- Właśnie tak.
- Myślałam, że coś się stało.
- Stało się. On wygląda jak młody bóg.
- Boga to ja na oczy jeszcze nie widziałam.
- To zobaczysz.

Po kilku minutach kobiety usłyszały pukanie do drzwi. Karolina poderwała się z fotela, a Marioną wyszła za przyjaciółką na korytarz.

W progu stanął młody mężczyzna. Miał zapewne około metra dziewięćdziesiąt wzrostu, jego bicepsy niemal rozsadały koszulkę. Na jego twarzy malował się szeroki uśmiech.

Przywitał się i pewnym krokiem ruszył do pokoju małego Jaśka.

Kobiety przeszły do kuchni.

– I co myślisz?

– Wygląda, jakby wyszedł z jakiegoś magazynu albo zszedł z wybiegu.

Wow!

– No, wow.

– Ale czy zna się na rzeczy? Czy nie robi Jaškowi krzywdy?

– Idź i sama zobacz.

Mariona stanęła w przedpokoju, tak że mogła obserwować, co się dzieje w dziecinnym pokoju.

„Młody bóg” przemawiał do dziecka z ogromną czułością i uśmiechem na twarzy, wykonując równocześnie odpowiednie ćwiczenia.

Po kilku chwilach Marioną wróciła do kuchni.

– On jest genialny. Sam bóg zstąpił do was z Olimpu.

Zaczęły się śmiać.

– To w które dni przychodzi?

Karolina szturchnęła przyjaciółkę. Parsknęły niekontrolowanym śmiechem.

Weszły do kuchni.

– Masz czas na szybką kawę? – zaproponowała Karolina.

– Taką bardzo, bardzo szybką.

Karolina włączyła ekspres.

– Tylko zrób mi z pianką.

– Dla ciebie zawsze z pianką.

Usiadły przy stole.

– Wiesz co? – Karolina potarła dłonią skronie.

– Dużo rzeczy wiem.

– Ale ty jesteś zabawna.

– Wiem.

– Kilka dni temu wyrzałam przez okno. Koło drzewa stała jakaś kobieta w ciemnych okularach i patrzyła w moje okno.

– No i?

– No i uznałam, że to dziwne.

– Karola, popadasz w jakąś paranoję. Po prostu przechodziła i spojrzała.

– Właśnie, że nie przechodziła. Stała i patrzyła.

– Mnie się wydaje, że to przypadek.

- Miała okulary przeciwsłoneczne...
 - Na litość boską! Od kilku dni świeci ostre słońce. Co cię obchodzi jakaś kobieta? Po co miałyby śledzić ciebie albo Jasia?
 - Nie... Masz rację. Faktycznie to głupie.
- Mariona wypła szybko kawę.
- Lecę, kochana, bo czas mnie goni.
 - Leć, leć. Zadzwoń, jakby co.
 - A jakby nic to też mogę zadzwonić? – Mariona cmoknęła przyjaciółkę w policzek.
 - Eeee, po co?
- Zaczęły się śmiać.

ROZDZIAŁ 35

Tego dnia Karolinie wszystko waliło się na głowę. Dostała okresu, od samego rana Jasiek był marudny. Nie mogła znaleźć kluczy. Kiedy zносиła wózek z dzieckiem, poślizgnęła się i omal nie spadła ze schodów. A kiedy doszła na rehabilitację, okazało się, że zajęcia są odwołane, a ona powinna była otrzymać wiadomość. Nie otrzymała, bo nie włączyła jeszcze telefonu. Wychodziła właśnie ze sklepu, kiedy pękła jej siatka i owoce poturlały się po chodniku. Tego już było za wiele. Kobieta usiadła na ławce i rozplakała się. Jasiek też płakał, a ona nie miała nawet siły do niego wstać.

– Cholera! Cholera! – klęła pod nosem.

Obok niej usiadła dystygowana kobieta w pięknej łososiowej garsonce. Na nogach miała wysokie, zapewne drogie szpilki.

– Czy coś się stało? Mogę pani jakoś pomóc?

Karolina chciała jej powiedzieć, że tak, że może pomóc. Może choć na kilka chwil zamienić się z nią na życia. Może pożyczyć jej na chwilę tę cudną garsonkę i szpilki.

– Przepraszam panią – Karolina próbowała wziąć się w garść. – Po prostu mam zły dzień.

– Zdarza się. Chusteczkę? – kobieta pogrzebała ręką w torebce i wyjęła z niej paczkę chusteczek.

Karolina wytarła policzki i nos.

– Dziękuję.

Kobieta przyglądała się jej ze współczuciem.

– Może da się pani zaprosić na kawę?

Karolina spojrzała na nią ze zdziwieniem. Zerknęła do wózka. Jasiek usnął. Wytarła jego twarz, nakryła go kocykiem.

– Nie wiem – odparła szczerze.

– Czego pani nie wie?

Karolina przeczesła dłonią włosy. Zdawała sobie sprawę, że musi wyglądać okropnie. Czerwona twarz, zapuchnięte od płaczu powieki. Sama nie wiedziała, czego chciała w tym momencie. Może tego, by jak najszybciej znaleźć się w domu, rzucić na łóżko i beczeć do woli?

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– A jakbym dorzuciła ciastko?

Dziewczyna spojrzała na kobietę. Była niemłoda, ale piękna i elegancka.

Mogła mieć koło sześćdziesiątki. Karolina zmrużyła oczy. Ta twarz... Czy przypadkiem gdzieś już jej nie widziała?

– Dlaczego pani to robi?

– Dlaczego zapraszam panią na ciastko? O to chodzi?

– Tak.

– Bo widzę, że pani tego potrzebuje. Szybka kawa i ciastko z dużą ilością bitej śmietany i czekolady. Na osłodę tego przekłętego dnia.

Karolina chciała odmówić, ale była rozbita i zmęczona, a z drugiej strony poczuła wzruszenie, że ktoś okazuje jej tyle życzliwości. Zgodziła się.

Usiadły w kawiarni, dwie przecznice dalej od ławki, na której wcześniej rozgrywał się dramat. Starsza kobieta zamówiła dwie latte i bezę z bitą śmietaną, polaną sosem czekoladowym i udekorowaną wiśniami.

– Pracuje pani w biurze? – zapytała Karolina, mieszając kawę. W ogóle nie wiedziała, od czego zacząć rozmowę.

– Nie. Dlaczego pani pyta?

– Wygląda pani bardzo elegancko.

– Na co dzień biegam w tenisówkach i džinsach. Dzisiaj umówiłam się z pewnym mężczyzną, którego kiedyś kochałam. Chciałam dobrze wypaść. Wie pani, taka randka po latach. Ale to nie było przyjemne spotkanie... Za dużo wspomnień... Za dużo bólu... Właśnie wracałam i zobaczyłam panią. Nie mogłam w to uwierzyć... – Kobieta przygryzła wargę, jakby bała się, że za dużo powiedziała.

– Że widzi pani taką kupę nieszczęścia?

– Nie... Pomyślałam, sobie, że ktoś może być tak samo nieszczęśliwy, jak ja.

– Nie, to nie tak. Nie czuję się nieszczęśliwa. Po prostu mam zły dzień.

Karolina spojrzała na wózek, bo Jasiek zaczął się poruszać. Wstała od stołu i dotknęła rozgrzanego policzka dziecka. Odkryła kocyk, gdyż w kawiarni było ciepło. Chłopiec na nowo zapadł w sen.

– Pani syn...

– Jest niepełnosprawny.

– Przykro mi.

Karolina spiorunowała kobietę wzrokiem. Nie lubiła tych wytartych frazesów w stylu: „przykro mi”, „wszystko będzie dobrze”, „biedactwo”.

– Niepotrzebnie. To nie kara boska ani klątwa. Po prostu stało się...

Starsza kobieta nerwowo poruszyła się na krześle. Karolina przypatrzyła jej się uważnie. Ta twarz... Była pewna, że gdzieś ją już widziała.

– Radzi sobie pani jakoś?

– Jakoś. Dobrze powiedziane. Kocham mojego syna. Czasami sobie nie radzę, ale mam przyjaciółkę, męża. Jasiek... Wie pani, ja kocham go nad życie.

Kobieta chwyciła ją za rękę.

– Wiem, że go pani kocha. Wiem.

Karolina poczuła się nieswojo. W tej kobiecie było coś dziwnego. Zaczęła ją przerażać.

– Czy my się przypadkiem gdzieś nie spotkałyśmy?

– Nie sądzę! – powiedziała tamta dobitnie.

Karolina pochyliła się nad talerzykiem. Zjadła szybko ciastko, podziękowała, po czym skierowała się do wyjścia.

Starsza kobieta patrzyła przez okno, a po jej policzkach spływały duże łzy. Czy to nie dziwne, że właśnie dzisiaj spotkała tę młodą kobietę z niepełnosprawnym dzieckiem? Dzisiaj, po rozmowie z Wojdarem, jej dawnym kochankiem... Dzisiaj, kiedy już dosyć miała bólu. Los zakpił sobie z niej. I bardzo dobrze. Już nigdy nie uwolni się od wspomnień. Już nigdy. Do końca swoich dni będzie musiała żyć z poczuciem winy...

* * *

Kolejne miesiące wyczerpały Karolinę fizycznie i psychicznie. Jasiek był coraz cięższy, a ona musiała dźwigać wózek i dziecko na czwarte piętro. Pot ciurkiem spływał jej po plecach. Dlaczego nie kupili mieszkania w bloku z windą? Kiedyś o tym nie myśleli. Teraz coraz częściej bolał ją kręgosłup i dokuczały stawy. Nie skarżyła się. Zaciskała zęby i szła. Każdego dnia robiła to dla synka. Rehabilitacja była przecież tak ważna.

Dwa razy w tygodniu rehabilitant przychodził do nich do domu i wtedy mogła chwilę odetchnąć. W inne dni to ona biegła na rehabilitację, potem robiła zakupy, przyrządzała obiad, sprzątała, zajmowała się Jaśkiem. Wieczorem była już cieniem człowieka. Marzyła tylko, żeby się położyć. Poleżeć i pogapić się w sufit. Nie miała siły, by coś obejrzeć czy przeczytać książkę. Nie miała czasu myśleć o tym, jak wygląda, a jeszcze bardziej nie lubiła na siebie patrzeć. W lustrze ukazywał się obraz nędzy i rozpacz, pobojuwisko jak po stoczonej bitwie. Brzuch szpeciły rozstępy i kilkucentymetrowa blizna po cesarskim cięciu. Skóra na brzuchu była szara, straciła jędrność. Oczy wiecznie miała podkrążone z niewyspania i zmęczenia, zmarszczek przybyło, włosy związywała zazwyczaj w węzeł nad karkiem.

– Czy to jeszcze ja? – zapytała swoje odbicie.

Ogarnęła ją złość, frustracja i rezygnacja.

Tamtego środowego popołudnia miała ochotę kogoś pogryźć.

Wtedy zadzwoniła Marioną.

Przyjaciółka od razu wyczuła, że u Karoliny nie jest w porządku.

– Co jest?

– Nic.

– Mów.

Karolina pękła. Zaczęła opowiadać przyjaciółce, że nie daje już rady, że ma wszystkiego dość i wygląda jak strach na wróble.

– Dlaczego nie poprosiłaś mnie o pomoc?

– Sama masz tyle na głowie.

– Ty masz więcej. Nie wstydź się prosić o wsparcie.

Mariona była u niej godzinę później.

– A dzieciaki? – zapytała cicho Karolina.

– Odwiozłam chłopaków do teściowej, niech wie, że ma wnuki.

Karolina roześmiała się.

Od tej pory Mariona przychodziła codziennie na dwie godziny do przyjaciółki. A to pomogła jej w sprzątanii, a to zajęła się Jaśkiem, a to poszła z nim na rehabilitację, by Karolina złapała chwilę oddechu.

Karolina zdała sobie sprawę, jak ważna w jej życiu jest Mariona. To ona ją podnosiła do pionu, to ona w tych trudnych chwilach wyciągała pomocną dłoń. To ona pomagała jej przetrwać. To przy niej krzyczała w zamkniętej łazience:

– Boję się dzisiaj, jutra. Boję się pieprzonego życia!

Kiedy już się wykrzyczała, poczuła ulgę. Cała złość z niej uleciała. Usiadła na krawędzi wanny, przymknęła oczy.

Jaką byłam osobą przed chorobą syna? – myślała. – Wesołą, pełną nadziei na przyszłość, która widziała świat w kolorach tęczy, wierzącą, że wszystko jest możliwe. Po urodzeniu Jaśka już nie byłam taka szalona, o towarzystwie już nie wspomnę, bo życie towarzyskie umarło. Wszystko mnie przeraża, każdą rzecz muszę trzy razy przeanalizować, nim podejmę decyzję, już nie jestem spontaniczna jak kiedyś. Czasami wydaje mi się, że życie przecieka mi przez palce. Czas płynie, a ja nie zauważyłam nawet, że twarz mam już pokrytą zmarszczkami...

* * *

– Jest was więcej – powiedziała Mariona, kiedy Karolina wyszła z łazienki. – Kobiet, które urodziły niepełnosprawne dzieci, oddały niepełnosprawne dziecko do ośrodka lub usunęły ciążę, kiedy dowiedziały się, że ich dziecko będzie chore.

– I co z tego? – Karolina fuknęła.

– Może byś się z nimi od czasu do czasu spotkała.

- Po co? Będziemy jęczeć, jak nam źle?
- Choćby po to, by sobie pojęczeć.
- To durny pomysł.
- Zaopiekuję się Jaśkiem, a ty pójdziesz. Może się czegoś dowiesz?
- Masz swoje dzieci.
- Moje dzieci chodzą do szkoły, a warsztaty odbywają się od dziesiątej do dwunastej.
- Już sprawdziłaś?
- Tak. Sprawdziłam.
- Ty nic nie rozumiesz, bo twoje dzieci są zdrowe.
- Karola – Marioną stanęła przed przyjaciółką. Nie możesz mnie winić za to, że mam zdrowe dzieci.
- Nie mogę... Przepraszam – Karolina zdała sobie sprawę z tego, jaka czasami jest okropna dla przyjaciółki, mimo iż ta chce jej pomóc na wszystkie możliwe sposoby.
- Pomyślisz o tej grupie wsparcia?
- Pomyślę.

ROZDZIAŁ 36

Karolina wracała autobusem z Jaśkiem z rehabilitacji. Wcześniej byli na konsultacji u lekarza. Synek był trochę przeziębiony i w związku z tym marudny. Jęczał, walił ręką w oparcie wózka. Im bardziej Karolina starała się go uspokoić, był bardziej stawiał się nieznośny. Pot lał się ciurkiem po plecach matki, pod powiekami zbierały się łzy.

– Kochanie, cichutko – głaskała go, ale on nadal jęczał. W końcu kopnął ją zdrową nóżką w piszczel. Kobieta jęknęła.

– Uspokój się, gówniarzu! – wyrwało jej się. W jej głosie było tyle złości, że Jasiek się przestraszył.

– Mamuśka godna politowania – starsza kobieta siedząca obok niej zaczęła kręcić głową.

Karolina czuła, że zaraz się rozbeczy. Spojrzała na Jaśka. Był wystraszony.

– Po co to rodzić dzieci? – zawtórowała jej druga kobieta w szarym płaszczu.

– Bóg ją pokarał takim chorym dzieckiem – między kobietami rozpoczęła się dyskusja.

Karolina poczuła w gardle dławiącą gulę. Autobus podjechał na przystanek. Kobieta chwyciła za wózek, przeciskając się w stronę wyjścia. Za sobą słyszała syczące głosy. Dopiero gdy autobus odjechał, złapała kilka haustów powietrza i kucnęła przed Jaśkiem. Dziecko miało smutne oczy.

– Jasiek, Jasieńku, przepraszam. Nie chciałam krzyczeć. Nic mnie nie usprawiedliwia. Schyliła głowę. Nagle poczuła, że jego rączka dotyka jej włosów, jakby synek chciał jej dać do zrozumienia, że już się nie gniewa.

– Jasiulu – wstała i zaczęła obsypywać jego twarz pocałunkami.

Kochała go jak nikogo na świecie. I to był niezaprzeczalny fakt.

W tamtej chwili zdecydowała, że pójdzie na warsztaty grupy wsparcia. Musiała przyznać sama przed sobą, że potrzebuje pomocy, i to nie tylko od bliskich jej osób.

Na pierwsze spotkanie poszła z Marioną. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby się tam znaleźć sama. Michał wziął sobie wolne i został z Jaśkiem.

– Denerwujesz się? – zapytała ją przyjaciółka.

– Pewnie, że się denerwuję.

– Nikt na siłę nie będzie cię zmuszał do wygłaszania jakiejś mowy.

– Ale zapewne będę musiała coś o sobie powiedzieć, no i o Jaśku.

- Ty lubisz gadać o Jaśku. Buzia ci się nie zamyka, jak zaczynasz rozprawić o swoim synku.
- Ale nie wobec obcych ludzi.
- Wszystko będzie dobrze. Jeśli nie będziesz chciała nic mówić, to nie powiesz.

Kiedy dotarły na miejsce, okazało się, że nie tylko Karolina czuła się zagubiona. Było kilka mam, które zapewne przyszły także po raz pierwszy. Jedne spuszczały wzrok, inne gniotły plastikowe kubki z kawą. Karolina z Marioną weszły do sali i usiadły na krzesłach z samego tyłu.

Spotkanie prowadziła młoda, ładna blondynka.

Co ona może wiedzieć o życiu? – pomyślała Karolina.

Julita, bo tak miała na imię prowadząca, zaczęła:

– Nie znamy się, ale zaraz się sobie przedstawimy. Dzieli nas dużo, łączy choroba dziecka. Większość naszych dni sprowadza się do opieki nad chorym dzieckiem i walki o jego godne życie. Czasami mierzymy się z problemami, które na nas spadają, z podniesioną głową, z wypiętym do przodu cycem. Innym razem walimy głową w mur. Niewiele osób nas rozumie. Setki godzin rehabilitacji, pobytu w szpitalach, u lekarzy – to nasza codzienność. Ludzkie spojrzenia pełne politowania. Nasze dzieci są inne, ale czy gorsze? Chciałybyśmy uniknąć tych współczujących, czasami pogardliwych spojrzeń. Chciałybyśmy odrobiny empatii, kiedy stoimy w kolejce do kasy, a nasze dziecko się wierci, płacze, niecierpliwi. „Niech pani coś z nim zrobi. Uspokoi...” – słyszałyście to niejedną raz. Prawda? Nie jesteśmy niezniszczalne. Nie zawsze nam się chce. Upadamy, płaczemy w poduszkę. Boimy się. Tylko my wiemy, jak bardzo się boimy. Co będzie jutro? Za tydzień? Rok? Obawa o dziecko, o przyszłość naszej rodziny towarzyszy nam każdego dnia.

Kobieta skończyła przemówienie. Na sali rozbrzmiały gromkie brawa. Potem każda z kobiet przedstawiła się. Niektóre opowiadały o swoich dzieciach, codzienności, inne wołały milczeć. Po godzinie prowadząca zarządziła przerwę, kobiety wyszły na korytarz.

Julita podeszła do Karoliny i podała jej białą kawę. Marioną odsunęła się dyskretnie.

– Dzięki – rzuciła Karolina. Chciała, by jej głos zabrzmiał bez troski, ale był wręcz skrzeczący.

Julita uśmiechnęła się do niej. Nie odezwała się, a Karolina była jej wdzięczna, że nie naciska na dłuższą rozmowę. Na spotkaniu Karolina też się nie udzielała. Siedziała w kącie i słuchała innych kobiet, ich problemów, trosk. Jak dobrze wiedziała, o czym mówią!

– Mam chore dziecko – odezwała się w końcu Karolina.

– Jak my wszystkie.

– Czasami mam dość. Marzę, żeby się obudzić i żeby wszystko to, co dookoła mnie się dzieje, okazało się snem, złym snem, by Jasiek był zdrowy. Jestem tak zmęczona, że niekiedy marzę, by mojego dziecka nie było.

– Każda z nas tak czasami ma.

Karolina podniosła głowę.

– Kiedy w pierwszej ciąży dowiedziałam się, że będę miała chore dziecko, od razu podjęłam decyzję: „usunę” – zaczęła Julita. – Lekarze również doradzali mi, że tak będzie lepiej. Czy było? Nie wiem – kobieta westchnęła ciężko. – Aborcja jawiła mi się jako koszmar. Do tej pory budzę się zrana potem i zastanawiam się, co by było, gdyby... Ale nigdy się tego nie dowiem. Nie dowiem się, czy postąpiłam źle, czy dobrze. Tego nikt nie wie, a w szczególności lekarze. Zaszłam w ciążę trzy lata po dokonaniu aborcji. Mieliśmy uważać, ale tak wyszło. Statystyki mówią, że rzadko druga ciąża obarczona jest ryzykiem. Moja była. Urodziłam córeczkę z zespołem Downa. Jest chora, czasami mam dość wszystkiego, ale kocham ją tak bardzo, że dla niej walczę. Tylko że... – zawiesiła głos – zrozumiałam, że muszę walczyć też dla siebie, o siebie, że czasami powinnam odpocząć, pójść do fryzjera, złapać oddech.

– A mąż?

– Nie mam męża. Zwinął manatki, kiedy zdecydowałam się urodzić Amelkę... – Julita spojrzała na zegarek. – Koniec przerwy! – zawołała w stronę grupki kobiet.

* * *

Pewnego dnia, kiedy Karolina wracała do domu, zobaczyła na ławce w parku zapłakaną dziewczynę. Usiadła obok niej i otoczyła ją ramieniem. Ta wzdrygnęła się i spojrzała na nią z pewnym zdziwieniem. Rzadko kiedy podchodzi do nas nieznajoma osoba i ni z gruchy, ni z pietruchy obejmuje nas.

– A pani co... – dziewczyna była zaskoczona.

– Nic – Karolina też poczuła się zażenowana tym, co przed chwilą zrobiła.

Nieznajoma wyglądała, jakby miała się zaraz rozsypać. Karolina to rozumiała, sama niejednokrotnie doświadczała podobnych odczuć. Dziewczyna była taka młodziutka. Mogła mieć góra osiemnaście lat. Na pewno nie więcej niż dwadzieścia.

Karolina wyjęła z kieszeni chusteczki i podała je dziewczynie.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Siedziały koło siebie, nie odzywając się.

– Nie zdałam egzaminu, chłopak mnie rzucił, pani na rozmowie kwalifikacyjnej stwierdziła, że aby dostać pracę sprzątaczkę, potrzebne są kwalifikacje, a ja nie mam żadnych. Świat mi się spierdolił.

– Mnie też nieraz się spierdolił.

Dziewczyna otarła łzy i spojrzała na Karolinę zdziwiona.

– Co się tak patrzysz? A znasz kogoś, komu się chociaż raz nie spierdolił? Życie pierdoli się częściej, niż daje czadu.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Już panią lubię.

– Karolina jestem. Mów mi po imieniu. Czuję się staro przez to „paniowanie”. Ludziom się wydaje, że ich problemy leżą w centrum świata, że jeśli ich nie rozwiążą, to będzie tylko gorzej, wszystko się zawali, a oni się rozsypią. To nieprawda. Gdyby porównać nasze problemy z problemami innymi, to okazałoby się, że wokół nas są same „cienkie Bolki”. Rozpadłaś się na drobne kawałki, ja też się kiedyś rozpadłam. I ta młoda dziewczyna, która dowiedziała się, że ma raka, i ta kobieta, która straciła dziecko, i ten mężczyzna, od którego żona wczoraj odeszła, i to dziecko z domu dziecka, które stoi przy oknie i czeka... Czym jest twój zły dzień w obliczu zmartwień innych ludzi? Nie bagatelizuję twojego problemu. Masz prawo do smutku, łez, do złości. Do wszystkich tych odczuć, ale zastanów się, czy warto tracić nerwy z powodu takich głupstw? Faceta, który na ciebie nie zasługuje? Kobiety, która nie poznała się na tobie? Oblałaś egzamin? Nauczysz się i zdasz w innym terminie. Świat wciąż się kręci, czy tego chcemy, czy nie.

Karolina położyła się do łóżka po dwudziestej trzeciej. Michał już spał. Wtuliła się w niego. Mruknął coś przez sen i przygarnął ją do siebie. Przy nim czuła się bezpiecznie. Uświadomiła sobie, że spotkała na swojej drodze dobrego człowieka. Był z nią każdego dnia. Pomagał, jak tylko mógł najlepiej. Wspierał, kiedy myślała, że nie da rady, że jej życie pozbawione jest sensu. Dodawał sił do dalszej walki. Ufała mu bezgranicznie i wiedziała, że rozdzielić ich może tylko śmierć. Szturchnęła go lekko w bok.

– Hmm...

– Śpisz?

– Hmm...

– Muszę ci coś powiedzieć – kobieta zapaliła lampkę. Przytłumione światło rozlało się po pokoju.

Michał podniósł się gwałtownie i usiadł.

– Coś z Jaśkiem?

– Nie – Karolina poczuła przyływ wzruszenia.

– To co jest? – położył dłoń na jej rozpalonym policzku. – Karola, co jest? – ponowił pytanie, kiedy ta nie odpowiadała.

– Nie masz ze mną łatwo. Czasem pyskuję, drę się... Jestem nieznośna...

– Budzisz mnie po to, by mi powiedzieć, że jesteś wredną babą?

– Coś w tym stylu.

– Ach tak – uśmiechnął się do niej.

– I też to, że cię kocham.

Michał uśmiechnął się do żony.

– Też cię kocham. Bardzo cię kocham.

Wtulili się w siebie. Może to nie była taka miłość, jak na początku, zanim na świecie pojawił się Jasiak. Teraz była na pewno mniej porywczą, pełna uniesień. Zmieniła się w miłość dojrzałą, wyważoną, taką, która wie, co się w życiu tak naprawdę liczy. ŻYCIE ich zmieniło, nauczyło wiele, dało im kopa, ale też pokazało, co ma wartość, o co warto walczyć, a co można sobie odpuścić. Nauczyło ich sztuki cieszenia się każdą chwilą.

Może czasami Karolinie brakowało trochę tamtej miłości, tamtych szalonych porywów serca, motyli w brzuchu... Trudno jednak oddawać się rozkoszom, kiedy się wie, że za ścianą cierpi ich dziecko. Albo kiedy nie wiadomo, czy kwili, bo cierpi, czy tylko mu się nudzi.

Syn stał się centrum ich życia. Wstawali – myśleli o nim, kładli się spać – to samo, właściwie wszystko robili z myślą o Jaśku. Całe życie podporządkowali synkowi. Zrezygnowali z przyjemności, pasji, życia towarzyskiego, aby ich dziecko miało opiekę, aby mu niczego nie brakowało. Zaczęli żyć życiem Jasia.

ROZDZIAŁ 37

Mariona usiadła z kubkiem parującego kakao na tarasie. Spojrzała na swoje dłonie i uśmiechnęła się do siebie. Jej paznokcie były w opłakanym stanie. Kilka złamanych, lakier odpryskiwał tu i ówdzie.

Powinam bardziej dbać o dłonie – odnotowała w myślach.

Odetchnęła głęboko, wciągając do płuc haust świeżego, rześkiego powietrza. Wypiła kakao, kubek odstawiła na stolik, który zachybotał.

Trzeba go naprawić i odmalować, a kwiaty przesadzić – kolejna myśl.

Tyle rzeczy trzeba, a ile nie trzeba. Mariona poczuła dziwny spokój ducha. Wystawiła twarz do słońca i zamknęła z lubością oczy. Nie musiała się nigdzie spieszyć, nic nikomu udowadniać. Dokonała w życiu takich, a nie innych wyborów, ale jest szczęśliwa, że jest tu, gdzie jest, że może wypić na tarasie pyszne kakao, że może sobie pozwolić na dłuższą przerwę.

Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Karoliny. Odebrała po pierwszym sygnale, jakby czekała na telefon od przyjaciółki.

– Cześć, kochana.

– Cześć.

– Jasiek z Michałem na rehabilitacji? – Mariona widziała, że Michał wziął urlop na cały tydzień, żeby Karolina mogła trochę odetchnąć.

– Tak.

– A ty?

– Sprzątam.

– Rzuć to w pierony i przychodź.

– Gdzie?

– Nie gdzie, a na co?

– Na co?

– Nacieszyć się zwyczajną chwilą.

– Piłaś coś?

– Kakao.

– Zostało coś dla mnie?

– Coś zostało.

– To będę.

– Bądź.

Po kilkunastu minutach już we dwie siedziały na tarasie i popijały kakao. Każdemu potrzebne są takie chwile oderwania od dzieci, sprzątanania, pracy,

obowiązków, kiedy lekki wiatr rozwiewa włosy, słońce pieści nagą skórę na ramionach, kiedy odczuwa się świat jakoś inaczej, głębiej. Kiedy wiesz, że jest tyle nieważnych spraw wokół. Tyle rzeczy, których wcale nie musisz, choć robisz je codziennie. Kiedy otwierasz szeroko oczy ze zdziwienia i zachwycasz się błękitem nieba i seledynową trawą, barwnymi skrzydłami motyla i czyjąś obecnością. I nie możesz uwierzyć, że tyle wzruszeń jest w tobie, tyle chwil nieprzeżytych należycie, tyle łez i tyle uśmiechu. Wszystkiego jest tyle, że aż sama nie możesz w to uwierzyć.

Kobiety popijały kakao i podjadały maślane ciasteczka.

– Kocham cię, to na początek, żebyś wiedziała – zwróciła się Mariona do przyjaciółki.

– Wiem.

– Wiem, że wiesz, ale czasami jakbyś o tym zapomniała.

Karolina spojrzała na Marionę zaskoczona.

– A ty co mi wyskakujesz z takimi tekstami?

Mariona cmoknęła ją w policzek.

– Bo czasami zapominasz.

– Że niby o tobie?

– Nie, o sobie.

– Jesteś, a tak jakby cię nie było.

– Mam Jaśka.

– Wiem, że masz Jaśka.

Karolina otwierała już usta, żeby coś powiedzieć, ale Mariona ją ubiegła.

– I wiem, co chcesz mi teraz powiedzieć, że jesteś mamą niepełnosprawnego dziecka. Jesteś. Ale potrzebujesz oddechu, odpoczynku, uśmiechu, musisz czasem wtulić się w poduszkę i pogapić w sufit, obejrzeć ckliwą komedię, poryczeć, pośmiać się, pogadać o „dupie Maryni”... Potrzebujesz normalności!

– A ty skąd o tym wiesz?

– Mówiłam ci przecież, że cię kocham?

Karolina uśmiechnęła się, do Mariony.

– Mówiłaś, mówiłaś...

– To co z tym przedszkolem? Zastanowiłaś się?

Na spotkaniu grupy wsparcia Karolina dowiedziała się istnieniu specjalistycznego przedszkola „Krasnal”, do którego mogły uczęszczać niepełnosprawne dzieci.

– Nie oddam go – powiedziała do Mariony.

– Ty go nie oddajesz na zawsze. To tylko kilka godzin w ciągu dnia. Jasiek tego potrzebuje i ty też potrzebujesz chwili wytchnienia od Jaśka.

– A jak go nie dopilnują?

– Tam pracują specjaliści, którzy zajmą się dzieckiem najlepiej, jak potrafią.

Tysiące niepełnosprawnych dzieci uczęszcza do podobnych placówek.

– Boję się.

– A myślisz, że ja się nie bałam, kiedy dzieci szły najpierw do przedszkola, a potem do szkoły? Srałam w gacie. Każda matka martwi się o swoje dziecko. Czy da sobie radę? Jak go przyjmą rówieśnicy? Czy jakaś wredna nauczycielka się na niego nie uweźmie?

– Tak, masz rację.

– Spróbuj. Zobaczysz. Jak się wam nie spodoba, zabierzesz go stamtąd.

Za radą przyjaciółki i kobiet z grupy wsparcia Michał z Karoliną zapisali Jaśka do „Krasnala”. Zanim rozpoczęły się zajęcia, pojechali do przedszkola. Obszerny, parterowy, pomalowany na żółto budynek robił dobre wrażenie.

– Słonecznie tu – powiedział Michał i złapał zdenerwowaną żonę za rękę.

– Słonecznie – Karolina uśmiechnęła się do męża niemrawo, a serce biło jej tak mocno, że bała się, że wyskoczy jej z piersi.

Pani dyrektor, korpulentna, roześmiana kobieta, oprowadziła zdenerwowanych rodziców po placówce. Budynek dostosowano do potrzeb osób niepełnosprawnych. Sale były przestronne, jasne, przeznaczone do zabawy i nauki. Na końcu korytarza znajdowały się gabinety do terapii specjalistycznej, rehabilitacji, terapii logopedycznej, psychologicznej, komunikacji alternatywnej i wspomagającej. Wokół przedszkola rozpościł się piękny ogród, którego centralne miejsce zajmował plac zabaw dostosowany do potrzeb dzieci.

– Jesteśmy przedszkolem wyjątkowym, w którym radość zabawy łączy się z systematyczną rehabilitacją, terapią i nauką – zachwalała placówkę dyrektorka. Na jej twarzy malował się uśmiech. – W placówce pracują jedni z najlepszych w regionie lekarze rehabilitacji, neurolog dziecięcy oraz wysoko wykwalifikowani specjaliści z zakresu pedagogiki, psychologii, neurologopedii i fizjoterapii. Fundacja „Kolorowy Świat” jest pierwszą w regionie, która prowadzi zajęcia z dziećmi z dysfunkcjami mózgu metodą węgierskiego lekarza i pedagoga, Andreeasa Peti, zwaną nauczaniem kierowanym. Ideą tego systemu jest połączenie działań rehabilitacyjnych, edukacyjnych i społecznych.

– Wie pani, tylko że ja się boję... – wydukała Karolina.

Dyrektorka spojrzała na nią serdecznym wzrokiem, wzięła jej dłoń w swoje ręce i lekko uściśniła.

– Wiem, że się pani boi. To zrozumiałe, ale zobaczy pani, że będzie mu tu dobrze. Proszę przyjechać z synkiem na zajęcia próbne. Jeśli cokolwiek się pani nie spodoba, proszę przyjść do mnie, rozwiążemy problem.

Zapisanie Jaśka do przedszkola okazało się strzałem w dziesiątkę.

Chłopiec wracał z zajęć zadowolony, a Karolina miała trochę czasu dla siebie. Była nawet u fryzjera. Od razu lepiej się poczuła, a i uśmiechać zaczęła się

częściej.

* * *

Karolina szła zamyślona w stronę sklepu. Spojrzała na zegarek. Za godzinę musiała być w „Krasnalu”, aby odebrać Jaśka z przedszkola. W głowie układała listę zakupów. W pewnym momencie usłyszała za sobą głos:

– Pani, poratuj...

Odwróciła się. O balustradę opierała się staruszka. Miała na sobie stare, postrzępione ubranie. Śmierdziało od niej stęchlizną i brudem.

Karolina weszła do sklepu. Ona sama nie miała lekkiego życia. Czasami nie starczało jej do pierwszego. Ile razy musiała kombinować, co zrobić na obiad? Zupa z wkładką, placki ziemniaczane czy naleśniki były na porządku dziennym. Leki dla Jaśka, pieluchy, kosmetyki pielęgnacyjne, przedszkolne czesne pochłaniały całą pensję Michała. A ona w tym miesiącu pozwoliła sobie na fryzjera. Jakby miała, dałaby tej kobiecie kilka złotych. Ale portfel był prawie pusty.

Chodziła między półkami sklepu. Do koszyka włożyła chusteczki nawilżające, mydło hipoalergiczne dla Jaśka, worek ziemniaków, jajka, mąkę, bochenek chleba. Już miała podejść do kasy, kiedy zawróciła. Wpakowała do koszyka dwie bułki, jogurt pitny i kilka bananów. Te ostatnie rzeczy spakowała do oddzielnej siatki i wręczyła przed wejściem staruszce. W oczach kobiety zobaczyła ogromną wdzięczność.

– Dziękuję pani. Dziękuję – starsza kobieta wyjęła z siatki bułkę i zaczęła ją zachłannie jeść.

Łatwo jest odwrócić wzrok od drugiego człowieka, łatwo jest powiedzieć, że się nie ma. Bywa, że trudno wykrobać z kieszeni dodatkowy grosz. Ale bułka z jogurtem naprawdę niewiele kosztuje. Jeśli sprawiła radość tej starowince, jeśli przez chwilę nie będzie burczało jej w brzuchu, to było warto. Zawsze jest warto.

Grupa wsparcia szybko stała się dla Karoliny bardzo ważna. Na początku się jeżyła, ale po kilku miesiącach leciała na spotkania niemal w podskokach. Myślała, że usiądzie z innymi kobietami w kole i będzie musiała o sobie opowiadać, jak na spotkaniach AA. Nigdy nie była na żadnym spotkaniu AA, ale widziała na filmach. Nie chciała, by jakieś obce kobiety ją wspierały, od tego miała przyjaciółkę i rodzinę. Teraz zrozumiała, że kontakt z osobami borykającymi się z podobnymi problemami, co ona, wzmocnił ją. Nie było tam lekarzy, którzy o niczym nie mieli

pojęcia. Tam były matki niepełnosprawnych dzieci, które doświadczały niemal identycznych emocji, co ona.

Kiedy Julita łąpała ją za rękę i mówiła z przekonaniem, że będzie dobrze, ona jej wierzyła. Potem Karolina zrozumiała, że kobiety z grupy nie będą się nad nią użalać, tylko podpowiedzą rozwiązanie problemu albo poklepią bez słowa po plecach. Czasami z nią zapłaczą, bo same przez to przechodzą lub przechodziły. Poradzą jej, jak nie oszaleć. Powiedzą, że czasami trzeba odpuścić. Można mieć gorszy dzień i porządnie się wybeczeć, rozmemlać, rozpaść. Ale potem trzeba się podnieść i iść dalej. Niekiedy trzeba zrobić sobie wieczór dla siebie. Nalać kieliszek wina, nasypać miskę chipsów i westchnąć, odetchnąć, zapomnieć o problemach. Przeczytać dobrą książkę, zapłakać na melodramacie. Mieć chwilę dla siebie. Taką chwilę „oderwajkę”, jak ją nazywały, od wszystkiego.

Na jednym ze spotkań dyskutowały o cierpieniu, jakie dotknęło ich dzieci.

– Nasze dzieci będą cierpiały albo już cierpią. Chodzimy z nimi po szpitalach, na terapie, rehabilitacje. Od lekarza do bioenergoterapeuty, byle tylko pomóc im znieść cierpienie. Najgorsze dla matki jest patrzeć na cierpienie własnego dziecka. Widzieć, jak bardzo je coś boli. Czasami jednak w tym wszystkim zapominamy, by tulić nasze dziecko, dotykać je i zapewniać o swojej miłości. W dotyku jest uzdrawiająca moc. Oczywiście, nie namawiam was do zaprzestania terapii czy wizyt u lekarza, ale nie zapominajcie o tej czułości, która chociaż częściowo zminimalizuje ból – powiedziała Julita.

– Zastanawiałaś się, co będzie potem z nami? – zapytała Karolina.

– Chodzi ci o to, kiedy moja córka umrze?

– Tak.

– Coraz częściej o tym myślę.

– Ból. To jedno przychodzi mi do głowy.

– Ból... – powtórzyła Julita.

– Powiedzcie mi, jak to jest u was pod względem finansowym. Wiecie... – Karolinie głupio było mówić o pieniądzach, ale to one pomagały jej dziecku. Trzeba było przecież opłacić rehabilitanta, leki, pieluchy.

– Dostajesz zasiłek pielęgnacyjny i opiekuńczy? – wtrąciła się Jowita, mama Krzysia.

– Tak.

– Kiedy twoje dziecko skończy osiemnaście lat, otrzyma rentę inwalidzką. Jadzia ma już dziewiętnastoletniego syna i dostaje coś ponad sześćset złotych. Z jednej strony niby dużo, ale ile wydatków mamy. Sama wiesz.

– Wiem. A co jeśli dziecko umrze? Ja nie pracuję.

– Jak większość z nas. To zmartwienie wszystkich rodziców chorych dzieci. Świadczenie należy się nam tylko, gdy dziecko żyje, a co ma zrobić rodzic, który poświęcił całe swoje życie na opiekę nad dzieckiem, stracił własne zdrowie

i sprawność, dźwigając dorosłego syna czy córkę, nie zdążył wypracować sobie świadczenia rentowego i jest już w tym wieku, że nie znajdzie nigdzie zatrudnienia? Taka osoba przechodzi piekło, traci dziecko, miłość swojego życia, traci kogoś, dla kogo cały czas żyła, kto był motorem napędowym, i jednocześnie traci wszystkie środki do życia, czyli jedyne źródło utrzymania. Jak ma dalej żyć? To jest niby banalne, ale dla niektórych to duży dylemat życiowy, nie każdy ma jakieś zaplecze majątkowe czy małżonka z odrębnym dochodem.

– Moje skromne zdanie jest takie, że obecnie państwo dąży do tego, aby rodzic dzieci bez względu na to, jakie te dzieci są, zdrowe czy chore, ale nikt nie postawi się w roli rodzica tego ciężko chorego dziecka – zaczęła Jadzia. – Nie ma zainteresowania taką rodziną, jej problemami. Przykładem może być procedura ubezwłasnowolnienia mojego syna w sądzie. Musieliśmy to zrobić, aby cokolwiek dla niego załatwić, musieliśmy przejść przez durne rozmowy z kuratorem, wykazać, że jesteśmy godni go reprezentować, że stać nas na opiekę nad nim, że mamy odpowiednie warunki mieszkaniowe. Totalna bzdura, ale jakoś do osiemnastego roku życia nikogo nie interesowało, gdzie Adaś się wychowuje i czy dziecko ma dobrą opiekę albo czy jesteśmy dobrymi rodzicami. Czyli wychodzi na to, że dziecko do osiemnastego roku życia ma inne prawa, a kiedy stanie się pełnoletnie, jest traktowane inaczej? A wszystko chyba tylko po to, aby zapłacić państwu sześćset złotych za procedurę sądową i aby kurator sądowy miał zarobek, wpadając raz do roku na kontrolę. Bzdurą jest też rozliczanie się z renty Adama, jakbyśmy za te sześćset złotych mogli balować od rana do wieczora przez cały miesiąc – Jadzka prychnęła. Była naprawdę zniesmaczona całą tą sytuacją. – Na same pieluchy wydajemy trzysta pięćdziesiąt złotych, lekarstwa pochłaniają kolejne dwieście złotych. A gdzie reszta? Opłata za szkołę, utrzymanie, rehabilitację? Urzędnikom się wydaje, że dają temu choremu człowiekowi kokosy, że jeszcze coś z tego odłoży się na czarną godzinę.

– Wszystkie wiemy, ile nas kosztuje utrzymanie chorego dziecka – odezwała się Karolina. – Nie chodzi tylko o środki finansowe, ale o to, co my jako rodzice mu dajemy. Takie dziecko potrzebuje więcej wszystkiego: miłości, czułości, uwagi.

* * *

– Może miałybyś ochotę wpaść do mnie na lampkę wina? – zapytała Julita Karolinę po skończonym spotkaniu.

– Pewnie, że miałabym, tylko musiałabym jakoś z mężem się dogadać.

– Rozumiem. Wiesz co? To może gdzieś byśmy wyszły? Ja chyba też

potrzebuję wyrwać się z domu.

– Pewnie.

Dwa tygodnie później spotkały się w niewielkiej knajpce na obrzeżach miasta.

– Ładnie tu – powiedziała Karolina, rozglądając się po wnętrzu, w którym dominował kolor dojrzałych malin. Na frontowej ścianie wisiały półki, na dolnych znajdowały się doniczki ze storczykami, na pozostałych stare książki. Mahoniowe stoliki zdobiły bukietki stokrotek. Kobiety usiadły w rogu sali i zamówiły karafkę czerwonego wina.

– Kiedyś lubiłam tu przychodzić – powiedziała Julita.

– Kiedyś? Masz na myśli czasy przed urodzeniem córeczki?

– Tak.

– Też mam swoje „kiedyś”. Odległe. Dzisiaj nie chce mi się wierzyć, że było jakieś „kiedyś”.

– To trudne. Życie z chorym dzieckiem jest ciężkie.

– Ostatnio coraz częściej wspominam młodość.

– Też tak mam.

– Wiesz, zauważyłam niedawno, że jestem niedowiarkiem. Chodzi mi o Boga... Przestałam chodzić do kościoła, modlić się.

– Zaczekaj – Julita sięgnęła po torebkę. Wyjęła z niej kartkę. – Przeczytam ci coś, co powiedział papież Franciszek:

Nie trzeba wierzyć w Boga, żeby być dobrym człowiekiem. Nie trzeba w Niego wierzyć tak, jak powszechnie rozumiemy Jego postać. Człowiek może być uduchowiony, ale nie religijny. Nie musisz chodzić do kościoła i dawać pieniędzy. Dla wielu ludzi kościołem może być nawet natura. Wielu wspaniałych ludzi w historii ludzkości nie wierzyło w Boga. A inni czynili zło w Jego imię.

ROZDZIAŁ 38

Piętnastego czerwca Mariona i Karolina obchodziły urodziny. Mariona nie miała jednak ochoty urządzać w tym roku żadnego przyjęcia.

– Okej – powiedziała Karolina. – Ale ja i tak zjawię się u ciebie z tortem.

– Jeszcze tortu mi brakowało. Czy widziałas ostatnio moje dupsko?

– Twoje dupsko jeszcze niejednemu zakreśliłoby w głowie.

– Akurat.

– Są kraje, gdzie duże dupska są pożądane.

– Wiesz co? Ty już lepiej nic nie mów.

O dwudziestej Karolina pojawiła się u przyjaciółki z paterą, na której pięknie prezentował się czekoladowy tort.

– Mam nawet świeczki – zaszczębiotała radośnie.

Weszły na paluszkach do kuchni. Chłopcy już spali, Witek też przysnął.

– To dla ciebie – Karolina wręczyła przyjaciółce kartkę.

Mariona otworzyła ją i przeczytała.

Jesteś piękna taka, jaka jesteś.

Tak, Ty. Nieważne, czy jesteś wysoka, czy niska, czy tu masz więcej, a tam mniej, czy pojawiła się kolejna zmarszczka i o jeden siwy włos więcej. Jesteś piękna taka, jaka jesteś. Zaslugujesz na szczęście, na miłość, na to, co najlepsze, a nawet na to, co wydaje Ci się nieosiągalne.

Na gwiazdkę z nieba, na faceta takiego jak..... (w miejsce kropek wstaw imię, inicjały, opis tego wymarzonego, np. Brad Pitt, Bradley Cooper, Jason Statham, Witek Żurawski, chłopak z sąsiedztwa).

Bierz z życia garściami to, co chcesz, to, czego Ci potrzeba, by poczuć się szczęśliwą.

I najważniejsze! Życzę Ci, by nasza przyjaźń nadal trwała.

Kocham Cię,

Karola

Mariona poczuła ogromne wzruszenie.

– Dziękuję. Dziękuję ci, kochana – zarzuciła przyjaciółce ręce na szyję i mocno ją pocałowała.

Zjadły pół tortu, aż zaczęło je mdlić od nadmiaru słodocy. Otworzyły szampana i popijały alkohol.

- Pamiętasz, jak planowałyśmy, co w życiu zrobimy, a czego nie?
Mariona wybuchnęła niekontrolowanym śmiechem.
- Nawet listę spisałyśmy. A wiesz, że ja jeszcze mam stare pamiętniki? Tam gdzie powinna być nasza „lista”.
- Dawaj.
- Mariona podeszła do szafy i wyjęła pudełko po butach.
- W pudełku po butach trzymasz pamiętniki?
- A co? Mam je trzymać w sejfie?
- No, ba. Tam jest spisane całe nasze życie.
- Wow! Królowo. I jak ktoś przeczyta, to co?
- To się posika ze śmiechu.
- Właśnie.
- Mariona otworzyła pamiętnik i zaczęła go przeglądać.
- O, jest! – wyciągnęła do góry poźółkłą kartkę.
- Czytaj.

Lista marzeń:

Zdać na studia.

Zakochać się do szaleństwa.

Wyjść za mąż za miłość swojego życia.

Urodzić dziecko, najlepiej dwoje.

Mieć dobrą pracę, kochaną teściową, wielki dom z ogródkiem.

Wyjeżdżać na zagraniczne wakacje co najmniej dwa razy w roku.

W wieku trzydziestu paru lat wciąż nosić rozmiar trzydzieści sześć.

I być tak szczęśliwą, że uszami to szczęście będzie wychodzić.

Mariona skończyła czytać.

- I co?
- Kurde, prawie wszystko odhaczone.
- Ha, ha, ha, ha.
- A co, nie?
- Mnie się wydaje, że kiedy spisywałyśmy tę listę, to wszystko inaczej sobie wyobrażałyśmy.
- Wiesz, że wyobrażenia odbiegają nieco od rzeczywistości.
- No, wiem. Ale jesteś tak szczęśliwa, że ci uszami wylatuje to szczęście?
- Ba, bardziej. Rzygam tęczę na kolorowo.
- Zaczęły się śmiać.
- Nie masz czasami wrażenia, że większość tych szczęśliwych chwil już za tobą?
- Hmm...?

– Że wszystko, co najlepsze, już ci się przydarzyło?

– Mam. Pewnie, że mam. Jeszcze choroba Jaśka, więc co ja mogę? Nie skaczę na bungee nie tylko dlatego, że cholernie się boję, ale też dlatego, że boję się o to, że Jasiak mógłby stracić mamę. To mnie powstrzymuje. Przed robieniem różnych głupot powstrzymują mnie takie bariery, jak strach o dziecko.

– Mnie też. Czasami czegoś nie robię, bo się zastanawiam, co stałoby się z moją rodziną, gdyby mnie zabrakło. Czasami pierdolnęłabym te zasłony i lalki w kąć, ale mam rodzinę, która musi mieć co włożyć do garnuszka. Oczywiście jest pensja Witka, ale z jednej ciężko by było nam wyżyć. A ty nie tęsknisz za tym, co czułaś, kiedy poznałaś Michała?

– Tym uczuciem, jakbym była na haju?

– Mhm.

– Tęsknię. Każdy z nas chyba tęskni. Nie wierzę temu, kto powie, że nie. Tęsknię za tym naszym szaleństwem, pocałunkami bez końca, za tym stanem rozanielenia. Kiedy każdy dzień zaczynał się i kończył myślą o ukochanej osobie.

– Za imprezami do białego rana, gderającymi nad uchem starymi.

– Wymykaniem się przez okno.

– Jaraniem zioła.

– Przecież my nie jarałyśmy!

– Jak nie, jak tak?

– Ha! Tak, masz rację. Kilka razy nam się zdarzyło.

– A teraz?

– Jest inaczej.

– Inaczej.

– Jesteśmy żonami, matkami, smażyjemy naleśniki. Pojawiły się pierwsze zmarszczki.

Śmiały się do rozpuku.

* * *

Tydzień później Mariona wyciągnęła Karolinę na dwa dni za miasto. Świat był w pełnym rozkwicie. Polne kwiaty tworzyły na łąkach kolorowe kaskady, wśród których latały motyle, a żółta trawa przybierała kolor seledynu. Kobiety jechały dość wolno, podziwiając okolicę. Karolina otworzyła okno. Ciepłe, pachnące skoszoną trawą powietrze wdarło się do wnętrza samochodu.

Kobiety minęły tablicę z napisem informującym, że w gospodarstwie pod gruszą można nabyć świeżą śmietankę, mleko i jajka.

– Skreć! – krzyknęła Karolina.

– Gdzie?

– Do tego gospodarstwa.

– Ale po co?

– Obkupimy się.

Mariona uśmiechnęła się ciepło do przyjaciółki.

– W sumie masz rację.

Skrećiła w prawo. Samochód podskakiwał na wybojach.

– Niech mi tylko zawieszenie pierdyknie, to nic nie powiem.

– Ale przynajmniej będziesz miała jajca.

Zaczęły się śmiać. Po kilku chwilach znalazły się przed bramą gospodarstwa.

Wysiadły z samochodu, starając się ignorować ujadającego psa. Na podwórko wyszła kobieta w pomarańczowym dresie i ogromnych kaloszach. Na głowie miała istnego pudła. Pewnie nowa trwała – pomyślała Mariona.

– Dzień dobry – odezwała się Karolina.

– Szczęść Boże.

– Chciałyśmy kupić trochę jajek i mleka.

– Trochę to znaczy ile? Kopę?

– Ze dwadzieścia... – Karolina przeczesła ręką włosy i spojrzała na przyjaciółkę.

– Może ze czterdzieści. Jak brać, to brać – dodała Mariona.

Kobieta zmierzyła je wzrokiem.

– Zawołam dziadka.

Minęło kilka chwil, zanim w progu pojawił się wąsaty dziadek w walonkach i filcowym kapeluszu.

– Czego? – dziadek wydawał się być nieufny.

– Chciałyśmy kupić trochę jajek.

– Aaaa – zakręcił wąsa.

– Ile?

– Ze czterdzieści.

– Tylko jajka?

– Może też śmietanę i mleko.

– Zrobi się.

Obkupione w jajka, śmietanę, mleko i biały ser, ruszyły dalej. Dotarły na skraj lasu i zatrzymały się nad strumykiem.

– Może tu się rozłożymy? Zjemy coś? – zaproponowała Mariona.

Karolina skinęła głową.

Mariona z bagażnika wyjęła torbę z prowiantem i koc.

– Mam wyrzuty sumienia – odezwała się Karolina.

– Dlaczego?

– Zostawiłam chłopaków samych.
– Ja swoich też.
– Tylko że ty masz zdrowe dzieci.
– Zdrowe, ale jak zauważyłaś, to też są dzieci.
– Przepraszam – Karolina wzruszyła ramionami.
– Przyzwyczaiałam się.
– Serio?
– Tak, chociaż przykro mi, że ciągle mi o tym przypominasz.
– Nie wiedziałam.
– No to już wiesz – Mariona rozłożyła koc i usiadła. Karolina usiadła obok niej.

– Nie chcę sprawiać ci przykrości.
– Wzbudzasz we mnie poczucie winy, że nie mam chorego dziecka, tylko dwójkę zdrowych.

– Przepraszam.

– Spoko.

Karolina przysunęła się do Mariony i przytuliła ją do siebie.

– Wkurwiam cię czasami? – droczyła się z przyjaciółką.

– Żeby tylko czasami.

Wybuchnęły śmiechem.

Zjadły kanapki, popiły sokiem i położyły się na kocu. Rozmawiały, drzemały, śmiały się i wspominały. A potem zamknęły oczy. Niebo było błękitne, słońce coraz mocniej grzało.

– Wsłuchujesz się w siebie? – zapytała Karolinę Mariona.

– Nie, zasypiam.

– Ty to jak zawsze...

– Ty też.

Mariona zerwała małe źdźbło trawy i połaskotała nim przyjaciółkę.

Karolina się roześmiała.

– Myślisz czasem o śmierci? – Karolina otworzyła nagle oczy i wsparła się na łokciu.

– Ja cię zabieram w takie ładne miejsce, a ty mi tu o śmierci wyskakujesz?

– Pytanie jak każde inne.

– Czasami tak.

– Chciałabym na końcu mojej ziemskiej drogi powiedzieć, że fajne miałam życie, że dobrych dokonałam wyborów, że było mi dobrze. To egoistyczne?

– Wcale nie. Ciągle nam się powtarza, żebyśmy nie były egoistkami, a każdemu egoizm się przydaje.

– Widzisz, odkąd mam Jaśka, wydaje mi się, że dokonałam nie tych wyborów, jakich powinnam była dokonać, że przede mną nie ma już nic.

- Masz prawo do takiego myślenia.
- Pewnie tak. Chciałabym jeszcze kiedyś przetańczyć całą noc, a rano mieć odciski na stopach.
- Kiedy chcesz? Zostanę z Jaśkiem. Całą noc i pół dnia, żebyś mogła odespać.
- Nigdy nie przypuszczałam, że aż tak cię pokocham – szepnęła wzruszona.
- Przypuszczałaś...
- Zaczęły się śmiać.
- A co u ciebie się działo przez ten tydzień? Trochę zamotana byłaś.
- Miałam dużo roboty.
- To chyba dobrze, nie?
- Pewnie. Wpadło nam trochę kasy. Zlecenia sypały się jedno za drugim. Nawet nie miałam czasu po tyłku się podrapać.
- A mimo to wzięłaś sobie wolne i mnie porwałaś.
- Taka całkiem bezinteresowna to ja nie jestem.
- Wiedziałam.
- Znów się roześmiały.
- Mnie też przyda się odrobinę odpoczynku. Wiesz co, ostatnio mi się wydaje, że nie sprawdzam się jako mama.
- Ty? Co ty mówisz?
- Czasami mi się nie chce bawić w wyścigi, odpowiadać po raz setny na to samo pytanie. Marzę tylko o tym, żeby sobie poleżeć i pogapić się w sufit.
- Też o tym marzę.
- A potem ogarniają mnie wyrzuty sumienia, bo miałam ze swoim dzieckiem poćwiczyć pisanie i czytanie, i jeszcze tyle rzeczy zrobić, a mnie się po prostu nie chciało.
- Nie zawsze się chce... Czy to oznacza, że jesteśmy złymi matkami? Przecież tyle czasu poświęcamy swoim dzieciom, tyle serca im dajemy.
- I drę się, kiedy się wścieknę.
- Bo nerwy ci puszczają. Ja na Jaśka wprawdzie się nie drę, ale czasami idę do łazienki, odkręcam wodę i krzyczę, ile wlezie.
- Wiesz, co mi Piotruś powiedział? Że moim ulubionym słowem jest: „potem”. I to prawda... Smutna prawda. Mówię ostatnio do swoich dzieci: „Pobawię się z tobą potem”, „Potem wyjdziemy na spacer, bo teraz szyję, gotuję, prasuję”, „Potem poczytam ci książeczkę”. A „potem” jestem tak zmęczona, że mi się nie chce.
- Każda mama chyba tak ma. Ja też czasami zachowuję się przy Jaśku jak automat. Myję go, ubieram, karmię, zawożę do przedszkola, na rehabilitację. A on też potrzebuje uwagi, czułości. Cieszy się, kiedy mu śpiewam, głaszczę go. Czy nie mamy prawa do tego „potem”?

- Sama nie wiem.
 - Jestem przekonana, że mamy...
 - I tracę cierpliwość.
 - Każda traci.
 - Ostatnio wysmarowali się od stóp do głów czarną pastą do butów.
 - Górników udawali?
 - Nie. Bawili się w Murzynka Bambo.
- Karolina wybuchnęła śmiechem.
- Wiesz, jak wyglądały kafelki w łazience i podłoga? Wydarłam się na nich.
 - Zdarza się.
 - No i właśnie dziś chciałam się oderwać na chwilę od tego wszystkiego.
 - Ja też.
 - A teraz za nimi tęsknię.
 - Ja za Jasiem też.
 - I za Witkiem.
 - I za Michałem.

Mariona wyrwała kartkę z notesu. Wyjęła z torebki dwa długopisy. Karolina musiała zmrużyć oczy, bo słońce ją oślepiało.

- Co to? – zapytała.
- Kartki i długopisy. Pisz.
- Co mam pisać?
- List do siebie. Zaczynij od słowa: „Ja”.
- Mam napisać, kim jestem? Co robię?
- Pisz, co czujesz.

List Karoliny:

Ja.

Jestem.

Ja. Odczuwam. Kołyszę się w takt muzyki. Przeklinam. Wkurzam się. Śmieję się do łez.

Ja! Mam zmarszczki w kącikach oczu. Wielki tyłek. Ale mam też ładne oczy i usta w kolorze malin.

Beczę, to znów się śmieję. Rozczulam nad dobrą książką. Zachwygam życiem. Czasami mam zły dzień i wkurwa. Takiego porządnego. Wylączam się. Nie odpisuję na maile.

Czasami tańczę boso na łące. Łapię chwile szczęścia.

Czasami mam dość męża, bo wkurza mnie bardzo... Czasami on ma mnie dość, bo ja go wkurzam jeszcze bardziej.

Czasami zapominam o tym, co ważne... A potem przypominam sobie o Tobie,

o nas, o tym, jak mi dobrze.

Pewnie, że jest też czasami źle... Wolę, jak mi dobrze. Każdy woli.

Moja stała, moja zmienna. Dzień do dnia, uśmiech do uśmiechu.

Kocham i jestem kochana, i tylko to się liczy.

Ja! Nieidealnie idealna.

Ty, moja przyjaciółko. Mam wielkie szczęście, że Cię spotkałam.

To co? Idziemy zjeść ciasto? Napić się wina?

List Mariony:

Ja. Mam czasami muchy w nosie. Popelniam błędy. Krzyczę, często niepotrzebnie. Śmieję się, gdy coś mnie cieszy, ryczę, gdy jest mi bardzo smutno. Ja, mam cudowne dzieci i męża, którego kocham nad życie. Ja, mam już zmarszczki i oponkę na brzuchu, i szeroki uśmiech od ucha do ucha. Ja kocham. Kocham Cię, moja przyjaciółko, bo jesteś moim życiem.

Ja kiedyś myślałam, że nie lubię swojej teściowej, dzisiaj staram się ją zrozumieć, nie oceniać krytycznie.

Nie pamiętam czasami o tym, czego chcę. A może pamiętam, ale spycham moje pragnienia na dalszy plan?

Ja cieszę się, że tu jestem, zamykam oczy, a pod powiekami tańczą różowe iskierki.

Spotkałam Cię po coś. Spotkałaś mnie po coś.

Mówią, że żadne spotkanie z drugim człowiekiem nie jest dziełem przypadku.

Ja w to wierzę. A Ty?

Dziewczyny wymieniły się listami. Przeczytały i każda z nich schowała do kieszeni list tej drugiej. Były wzruszone. Zamknęły oczy i po prostu leżały. Każda zatopiona w swoich myślach.

– Chciałabym iść do kościoła – odezwała się po jakimś czasie Karolina.

– Teraz?

– Tak. Dzisiaj. Sądzę, że to dobry moment. Nie byłam w kościele, odkąd urodziłam Jaśka. Nawet go nie ochrzciłam.

– Nie wszyscy chrzczą swoje dzieci.

– Nie wszyscy. Jednak ja to zrobiłam jakby na przekór samemu Stwórcy. Dałeś mi schorowane dziecko, to ja ci pokażę. Myślisz, że to nie fair?

– Nie wiem, czy fair, czy nie. Może po prostu nie czułaś takiej potrzeby.

– Kiedyś mocniej wierzyłam. Dzisiaj już sama nie wiem, w co i kogo wierzyć. Odkąd mam Janka, zastanawiałam się nieraz, czy Bóg istnieje.

– Ja też. Ale popatrz na to – Mariona wskazała ręką na otaczającą je przyrodę. Było pięknie. Szumiał las, szemrał strumyk, w oddali przebiegła sarenka, a słońce ogrzewało twarze.

– Patrzę i nie mogę wyjść z podziwu.

Stary kościółek w pobliskiej wsi, do której dotarli na piechotę, był niewielki i pomalowany na biało. Drzwi zaskrzypiały, kiedy Karolina je pchnęła. We wnętrzu panował półmrok. Przez witraże wpadało do środka kolorowe światło. Kobieta usiadła w ławce. Nie chciała na razie klękać, nie chciała się modlić. Początkowo czuła żal przesączony gniewem. Do tej pory nie pozwalała sobie na to, by przeżywać swoją żalobę. Żalobę po swoich marzeniach, planach, żalobę po tym, co było kiedyś i już nie wróci. Musiała być silna dla syna, lecz przecież ona też potrzebowała wsparcia. Rozplakała się. Była kruchą kobietą, która musiała iść przez życie mimo przeciwności. Łkała, wylewając z siebie zgromadzone przez lata emocje. W pewnej chwili poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Dłoń, która nie pozwalała jej upaść. Rękę swojej przyjaciółki.

Karolina uklękła. Pierwszy raz od kilku lat klęczała. Może nie modliła się tak, jak nauczyła ją tego mama. Ona nawet nie rozmawiała z Bogiem, ale mówiła szeptem do siebie: „Mam szczęście, że mogłam przeżyć ten dzień w zdrowiu, doczekać wieczoru. To szczęście, że mam syna. Wspaniałego syna, który się do mnie po swojemu uśmiecha i gaworzy pod nosem. Czyż nie dla takich chwil żyjemy? Nie po to, by w oczach najbliższych wyczytać miłość? Cudownie jest być przez kogoś kochanym, być komuś potrzebnym. Mam to szczęście, że mój mąż zrobił mi dzisiaj kawę i owsiankę i postawił na tacy obok łóżka. A potem pocałował mnie tak, jak kobieta o tym marzy. Jeśli istnieje, jeśli tu jesteś, to dziękuję Ci”.

– Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę – powiedziała Mariona do przyjaciółki, kiedy wyszły z kościoła. – Ale najpierw musimy się napić.

– A co, na trzeźwo się nie da?

– Raczej nie.

– W pobliżu jest fajna knajpka rodem z PRL-u. Mają śledzika, tatara i wódeczkę i karaoke. A po sąsiedzku jest, zdaje się, niewielki hotel. Będziemy mogły przenocować. Co ty na to?

– Już się boję.

Podjechały pod bar. Budynek wyglądał jak rozwalająca się chałupa.

Karolina pchnęła drzwi. W środku było dość duszno, ale przyjemnie pachniało pierogami. Siedziało zaledwie kilka osób. Trzech podchmielonych robotników, dwie starsze kobiety i jedna zakochana para. Na barze stał stary telewizor marki Rubin, na parapecie pod oknem magnetofon Kasprzak, obok niego leżało kilka kaset. Posadzki były wykonane z biało-czarnych ceramicznych płytek. Kobiety usiadły przy kwadratowym stoliku pokrytym popękana ceratą w jabłuszka.

– Szkoda, że talerze nie są przykręcane do stołu – uśmiechnęła się pod nosem Karolina.

Po kilku chwilach przy ich stoliku pojawiła się przysadzista kelnerka, odziana w biały fartuch i czepek. Na twarzy miała ostry makijaż. Fioletowe cienie zdobiły jej powieki, policzki pokryte były różem, a usta szminką w kolorze dojrzałych malin. Karolina patrzyła na nią jak urzeczona.

Zamówiły rosół, śledzika i obowiązkowo tatara.

– Nie przepadam za surowym mięsem ani jajkiem – powiedziała Karolina, kiedy kelnerka postawiła przed nią talerz z tą oryginalną potrawą.

– Jedz, nie marudź. Od razu przypomną ci się stare, dobre czasy.

Karolina chwyciła za widelec. Włożyła niewielki kawałek mięsa do buzi. Potem jeszcze jeden. Zagryzła bułeczką.

– I co?

– Pycha.

– I po co się zarzekała baba?

Karolina roześmiała się.

– Niby po nic.

Po obiedzie zamówiły kawę. Została podana w szklankach z metalowym trzymadelkiem. Grubo mielona, mocna. Pięknie pachniała. Wróciły wspomnieniami do czasów dzieciństwa i imienin urządzanych przez rodziców.

– A pamiętasz jedzenie w przedszkolu? – zapytała przyjaciółkę Marioną.

– Pamiętam, jak je w nas wmuszano.

– Brrr – wzdrygnęła się kobieta. – I te zupy mleczne.

– Kasza manna z kozuchem.

– I kubek mleka z kozuchem.

– Ale obiady już były do rzeczy.

– Ryż zapiekany z jabłkami – powiedziały w tym samym czasie.

– Mhm...

– I kisiel do picia.

– I śledziki.

– Śledziki to były u każdej cioci na imieninach. Gdzie w przedszkolu?

– U cioci na imieninach sporo się działo.

Wciąż miały przed oczami żywe wspomnienia, kiedy to ich matki tańczyły i śpiewały na stole.

– To co? Po setce i idziemy śpiewać – zaproponowała Marioną.

– Zamów od razu dwie setki.

– W menu jest napisane: „Lufa”.

– To po dwie lufy.

Wypiły alkohol i weszły na scenę. Zaczęły śpiewać wraz z Edytą Geppert:

Uparcie i skrycie

Och, życie, Kocham cię, Kocham cię,

*Kocham cię nad życie.
W każdą pogodę
Potrafią dostrzec oczy moje młode
Niebezpieczną twą urodę.*

*Kocham cię, życie.
Poznawać pragnę cię, pragnę cię,
Pragnę cię w zachwycie,
Choć barwy ściemniasz,
Wierzę w światełko, które rozprasza mrok...[9]*

Kiedy skończyły, rozległy się gromkie brawa. A one uwierzyły w to światełko, które rozprasza każdy mrok. To światełko zaświeciło specjalnie dzisiaj dla nich.

Karolina wróciła do domu następnego dnia wieczorem. Jasiak już spał. Kobieta położyła się obok synka i objęła go delikatnie. Boże, jak ona go kochała. Choć nie było łatwo, i wciąż nie jest, to warto było przejść tę drogę. Zrozumiała, że jej nastawienie do życia zmieniło się przez ostatnie lata. Kim była kiedyś, a kim jest teraz?

Nie było im łatwo, ale było warto. Dla uśmiechu synka, dla tej miłości.
Pocałowała chłopca, a łzy popłynęły po jej policzkach.
Pocałunek...

Nie ma nic piękniejszego od pocałunku, którym możesz obdarzyć swoje ukochane dziecko – pomyślała Karolina.

Kiedy Jasiak miał trzy latka, tak bardzo się pochorował, że leżał w izolatce. Karolina wchodziła do niego z maseczką okrywającą usta i nos. A on patrzył na nią tymi swoimi pięknymi oczkami, jakby chciał jej powiedzieć: „Zdejmij tę durną maseczkę i pocałuj mnie, mamó”. Kiedy w końcu wyzdrowiał, Karolina wzięła go na ręce. Delikatnie przytknęła swoje usta do jego jeszcze trochę rozpalonego czółka. Potem do policzka prawego, lewego, a potem zaczęła pocałunkami obsypywać całe jego ciało. A on się uśmiechał, bo wiedział, jak bardzo jest kochany.

[9] Fragment piosenki *Och, życie, kocham cię nad życie* Edyty Geppert.

ROZDZIAŁ 39

– W przyszłym tygodniu przyjdzie na spotkanie kilka nowych mam – powiedziała Julita do Karoliny. – Pamiętasz, kiedy zjawiłaś się u nas po raz pierwszy?

Karolina pokiwała głową.

– Pewnie, że pamiętam ten strach i tę niepewność.

– Może powiedziałybyś kilka słów na rozpoczęcie.

– Ja?

– Ty. Sama to przeżyłaś... Bałaś się tu przyjść.

– Bałam, to mało powiedziane, ja tu nie chciałam przychodzić.

– Niektóre z nich pewnie też. Powiesz coś do nich?

– Coś tam powiem – Karolina uśmiechnęła się ciepło do Julity.

Tydzień później Karolina rozpoczęła przemowę do nowo przybyłych mam:

– Kiedyś też byłam tu nowa. Nie miałam ochoty tutaj przychodzić, wylewać swoich żalów. Rozmawiać o moim dziecku jak o jakimś dziwnym stworzeniu. Z czasem zrozumiałam, że grupa wsparcia jest mi potrzebna. To tu przez chwilę stajemy się sobą. Płacemy, śmiejemy się, a przede wszystkim wspieramy. Kiedy któraś z was nie będzie chciała nic mówić, może milczeć. Nikt na siłę nie będzie ciągnął was za język.

Podczas pierwszych spotkań w ogóle się nie odzywałam. Siedziałam nabzdyczona w kącie i zastanawiałam się, co ja tu, do cholery, robię. Teraz wiem, że te spotkania są dla mnie zbawienne. Mówimy tu nie tylko o naszych dzieciach, ale i o sobie, o tym, co choroba naszych dzieci nam odebrała. Ile straciłyśmy, a ile zyskałyśmy. O tym, że nie uprawiamy już tak często seksu, i o tym, że czasami nie chce nam się pracować, gotować i prasować. O tym, że czasami świrujemy w domu i chciałybyśmy uciec. Ale też o tym, że serce rośnie, kiedy widzimy, jak nasze dziecko uścisnęło nasz palec – choć lekarze orzekli, że nigdy nie będzie w stanie tego zrobić – o każdym najmniejszym postępie. I o miłości. Bo miłość sprawiła, że jesteśmy tu i teraz, że jesteśmy silnymi kobietami. Czasami sobie popłacemy, ale kto nie płacze? Zazwyczaj jednak jesteśmy lwicami, które walczą o nasze dzieci. Bo je kochamy.

Matki Polki, kobiety pracujące, kochające, cierpiące. Śmiejące się, płaczące. Mężatki, kochanki, kobiety fatalne, samotne, singielki. Zwyczajne kobiety. Do was przemawiam. Do was mówię podniesionym głosem o tym, że macie prawo do tego,

by wam się nie chciało, do gorszych dni, do płaczu. Macie prawo wściec się na brudne skarpetki, które leżą obok kosza, a nie w koszu. Macie prawo wyjść z domu i włóczyć się po mieście bez celu. Macie prawo mieć czas dla siebie. Wziąć sobie wolne, bo i tak pracujecie czasami za dużo. Krzyknąć, kiedy inaczej nie dociera. Prosić o podwyżkę, awans, by was doceniono. Chcieć czegoś w zamian za to, co wy dajecie. Za waszą miłość, za naleśniki, które smażyłyście na śniadanie od szóstej rano. Należy się wam chwila wytchnienia, kąpiel z pianką...

Karolina przełknęła głośno ślinę, a kobiety zaczęły klaskać. Były wzruszone. Ocierały łzy, uśmiechały się. Julita uściśnęła Karolinę za rękę.

– To było piękne. Naprawdę piękne.

Karolina rozejrzała się po sali. Na krzesłach siedziało około dwudziestu kobiet. Każda ze swoim bólem i cierpieniem. Jedne wyglądały na załamane, inne udawały twardzielki. Jednej sypnęło się małżeństwo, kolejna miała kochankę, bo chciała na chwilę zapomnieć o całym świecie. Karolina mogła się założyć, że wszystkie płaczą po nocach. Wiedziała, że te spotkania są im potrzebne. Każda na swój sposób była odważna, każda musiała się zmierzyć codziennie ze swoimi traumami.

– Kochane, a dzisiaj porozmawiamy dla odmiany o nas, kobietach – zaczęła Julita.

– O nas? – Zośka powiodła wzrokiem po zebranych na sali kobietach. One też były zdziwione.

– Tak dla odmiany.

– Która z nas jest zadowolona ze swojego ciała w stu procentach, niech podniesie rękę.

– Żadna? – Julita rozejrzała się po zgromadzonych. – Dziwne, bo ja tu widzę wiele pięknych kobiet. O cudownych rysach twarzy, pięknych uśmiechach. Niektóre z was są tak zgrabne, że ja nawet po trzydziestodniowej głodówce, po zdobyciu Korony Ziemi, tak bym nie wyglądała, jak wy. Mimo to żadna z was nie podniosła ręki. Wiecie, dlaczego? Bo od dziecka nam wpajano, że coś z nami, kobietami, jest nie tak. „Bądź skromna, bo skromność jest cnotą”. Nieprawda. Czemu mam siebie nie kochać? Nie doceniać swoich osiągnięć? Nie mówić o tym głośno, jaką jestem zajebistą babką? I czekać na cud, przeglądając się w oczach kogoś, kto mnie doceni, ujrzy moje piękno.

– Ja tak miałam – odezwała się nagle Marta.

– Jak?

– Swoją wartość szacowałam na podstawie spojrzeń innych ludzi. Jak pewien mężczyzna kiedyś mi powiedział, że mam zajebiste nogi, to założyłam krótką spódniczkę. Ale dopiero wtedy. Wcześniej nosiłam wyłącznie długie sukienki.

– Błąd. Ty sama powinnaś odkryć swoje atuty.

– Teraz to wiem.

Dyskusja trwała ponad godzinę. Kobiety wylewały swoje frustracje i żale. Mówiły o emocjach i o tym, co muszą przepracować. Co by zmieniły. Jakich zmian już dokonały.

* * *

Było sobotnie popołudnie. Mariona przyszła do Karoliny z chłopcami. Jasiek cieszył się za każdym razem na ich widok, a oni stawali się przy nim jacyś grzeczniejsi. Tak bynajmniej twierdziła Mariona, chociaż Karolina wiedziała, że to naprawdę dobrze wychowani chłopcy. Kobiety piły w kuchni kawę, kiedy usłyszały głos Piotrusia. Opowiadał jakąś historię. Na palcach przeszły w stronę pokoju. Stały w drzwiach. Piotrek czytał bajkę, a Marcel na podstawie opowiadanej historii odstawiał scenki rodzajowe, udając smoka, rycerza i piękną księżniczkę. Jasiek gulgotał szczęśliwy. Karolina poczuła w sercu ogromną radość, wzruszenie i rozbawienie.

– Chłopcy, a co wy tu robicie? – zapytała Mariona.

– Dobrze się bawimy, ale do tego pokoju mamy mają wstęp wzbroniony. Kobiety zachichotały i rakiem wycofały się w stronę kuchni.

– Piotrek nie cierpi czytać bajek – powiedziała Mariona.

– Widocznie czytanie bajek Jaśkowi sprawia mu przyjemność.

– Widocznie tak.

– Powinnaś być z niego dumna – Karolina dotknęła ręki przyjaciółki.

– Jestem. Jestem dumna z moich dzieci.

O osiemnastej przyjechał Witek i zabrał do domu chłopców. Michał zajął się Jaśkiem, a dziewczyny odkorkowały wino.

Mariona przyniosła do Karoliny koreczki z sera feta, suszonych pomidorów i oliwek, a także butelkę czerwonego wina. Karolina zrobiła swoją popisową sałatkę z chińskich zupek.

Usiadły na podłodze w gościnnym pokoju.

– Nie uwierzysz – powiedziała Mariona.

– Pewnie nie. Dopóki mi nie powiesz.

– Wyobraź sobie, że teściowa odeszła od teścia.

– Nie, no co ty? A nie było na odwrót, że to on od niej odszedł?

– Nie. Ona.

– Ale dlaczego?

– Tak po prostu. Odeszła, bo jej było źle.

- Chłopa jakiegoś poznała?
- Twierdzi, że nie.
- Przyszła się wam pochwalić?
- Nie nam, a mnie.

* * *

Zdarzyło się to trzy dni wcześniej. Mariona nastawiła bigos, a sama zabrała się za szycie zasłon. Ktoś zadzwonił kilka razy do drzwi. Jakby nie wystarczyło nacisnąć tego dzwonka raz – pomyślała Mariona z irytacją.

Kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła po drugiej stronie teściową w przeciwsłonecznych okularach i kapeluszu z wielkim rondem, myślała, że padnie trupem.

- Mama?
- Mogę?
- Tak, niech mama wejdzie.

Starsza kobieta zdjęła płaszcz. W tym czasie Mariona zaparzyła herbatę i przyniosła ciasto, które upiekła poprzedniego dnia.

Kobiety usiadły po przeciwnych stronach stołu.

- Odeszłam – powiedziała teściowa.
- Jak to mama odeszła?
- Od męża.

Mariona, która ugryzła właśnie kawałek ciasta, myślała, że się zakrztusi.

- Nie rozumiem.
- Było nam nie po drodze.
- Ale jak to? Teraz? Po tylu latach małżeństwa?
- Dokładnie czterdziestu jeden.
- Ale to tak na zawsze?
- Tak mi się wydaje...
- Czy Witek już wie?
- Nie. Witek popukałby się w głowę. Pomyślałby, że zwariowałam.

Przyszłam z tym do ciebie.

- Oooo – Mariona nie wiedziała, co ma powiedzieć.
- Wiesz, przyzwyczajenie się do kogoś nie jest równoznaczne z miłością.

A my byliśmy ze sobą z przyzwyczajenia... Skakaliśmy sobie do gardeł. Sama wiesz.

Mariona nie wiedziała. Teść był małomównym człowiekiem.

– Ale teraz...
– A co, po sześćdziesiątce nie można?
– Można.
– Zbyt długo czekałam.
– Nie mogę w to uwierzyć.
– Ja też nie. Od dwóch miesięcy nie mieszkamy razem.
– I nic mama nam nie powiedziała?
– A co, przygarnęłabyś mnie do siebie?
Kobiety wymieniły spojrzenia.
– Wy macie swoją rodzinę, gdzie ja do was, młodych...
– To gdzie mama mieszka?
– U koleżanki. Jest wdową, a ma trzypokojowe mieszkanie. Na razie u niej się zaczęłam.

Mariona spojrzała na swoją teściową, nadal nie mogąc w to wszystko uwierzyć. Wydawało jej się, że to tylko sen.

– Patrzyłam na swoje odbicie w lustrze i myślałam, że to nie ja – kontynuowała teściowa. – Tamta osoba była mi obca. Od dawna z moim mężem nic nas nie łączyło. A ostatnio tylko mi powtarzał, że jestem za stara. A ja wcale taka się nie czułam. Wiem, że jeszcze coś tam mogę. Na dancingu byłam i zapisałam się nawet do szkoły tańca.

– Tańczy mama? – Mariona myślała, że zaraz fiknie do tyłu.

– I to jak! – teściowa uśmiechnęła się triumfalnie. Pierwszy raz Mariona zauważyła na jej twarzy tak szczery uśmiech. – Chciałabym jeszcze przeżyć romans. Chciałabym się jeszcze komuś spodobać. Wiesz, że im kobieta starsza, tym bardziej chce...

– Chyba wiem.

– Nie tylko mężczyźni chcą coś sobie udowodnić, kobiety też. Może nie udowodnić, a poczuć, że jeszcze mogą być kochane. A im jesteśmy starsze, tym bardziej tego kochania potrzebujemy.

* * *

Po wysłuchaniu opowieści Mariony Karolina powiedziała z namysłem:
– Może to i dobrze?
– Może. Ja jej się trochę nie dziwię. Nie uważam, że teść jest złym człowiekiem. Przeciwnie: jest skromny, cichy i dobry, ale skoro im było źle...
– W każdym wieku można zacząć od początku...

– Niby tak.
– A może się jeszcze zejda?
– Liczę na to. A teraz, zmieniając temat – Marioną pociągnęła spory łyk wina. – Powiem ci coś.

– Mów.
– Znałam kiedyś dziewczynę, która nosiła buty na koturnie, bandanę, jaskrawe wielkie koła w uszach jej dyndały. Malowała usta na kolor najbardziej różowy, jaki kiedykolwiek mi było dane zobaczyć. Śmiała się tak głośno, że bębniaki w uszach pękały. I ta dziewczyna urodziła synka. Na jej drodze pojawili się doradcy, co ma zrobić, a czego nie robić, gdzie go leczyć albo nie leczyć. I ta dziewczyna mimo choroby synka robiła to, co najlepsze dla niego, zapominając czasami o sobie. Ale gdzieś w głębi serca wciąż chciałyby założyć buty na koturnie i ogrodniczki, nałożyć na usta różowistą szminkę i zaśmiać się z fałszywych doradców.

– Kochana... – Karolina położyła rękę na ramieniu przyjaciółki. – Co w takim razie proponujesz?

Mariona wstała i podeszła do krzesła, na którym leżała torebka. Wyjęła z niej szminkę.

– To dla ciebie.

Karolina odwróciła pomadkę, na spodzie wieczka był napisany kolor, jej ulubiony różowy *pink rose*.

– Mam sobie pomalować usta?

– Tak. Choćby teraz, zaraz.

Karolina przeszła do przedpokoju i przed lustrem pociągnęła szminką wargi.

– I co? – zapytała przyjaciółkę.

– Milion docłów to mało.

– Wiesz co, ktoś tam u góry wiedział, co robi, stawiając cię na mojej drodze... – Karolina przytuliła się do przyjaciółki.

– I choć czasami mamy siebie dość, choć zdarza nam się pokłócić, to nasza przyjaźń jest ponad to. Ponad fochy, dąsy i gorsze dni.

Mariona wróciła do domu przed północą.

– Niczym Kopciuszek – zaśmiał się Witek.

Ona też zachichotała.

– A ty, księżcuniu, jeszcze nie śpisz? – kobieta weszła do sypialni i wsunęła się pod kołdrę.

– Czekałem na ciebie.

– Bardzo mi miło – nachyliła się nad mężem i pocałowała go w usta.

– Kopciuszku, nie weźmiesz kąpieli?

– Dzisiaj dzień dziecka.

- Ale zęby umyjesz?
- A co?
- Jedzie od ciebie jak z gorzelnii.

Zaśmiali się oboje.

Mariona przytuliła się do męża. Tak wiele ich różniło, mieli odmienne spojrzenie na otaczający ich świat. Nawet inne zasady wychowawcze. Ona – burza, on – spokojny wiatr. Ona – szaleństwo, on – pragmatyzm. Ona – panika, on – spokój. Ona – wybuch wulkanu, on – szemrząca woda. Uzupełniali się i było im dobrze. Dopiero teraz, kiedy skończyło się zauroczenie innym mężczyzną, kobieta zrozumiała, jak wiele by straciła, gdyby odeszła od męża. Ten spokój, tę równowagę. Witek kochał ją mimo wystającego brzucha, rozstępów, drugiego podbródka, kolejnych zmarszczek, ciętego jęzora. Mimo wszystko... Była zagubiona, ale się odnalazła.

Codziennosc nie sprzyja uniesieniom, pożądanu, ale to codzienne życie, wspólne rozwiązywanie problemów, wsparcie drugiego człowieka, wspólna droga, którą kroczyliśmy razem, składają się na prawdziwą miłość.

Sześć lat wcześniej...

Stefania pomyślała o doktorze Wojdarze. Pierwszy raz spotkali się dwadzieścia lat temu. Żadne znaki na ziemi i niebie nie wskazywały na to, że połączy ich szalony romans. Praca zbliża ludzi. Jeśli jesteś na kogoś skazana czasami przez kilkanaście godzin dziennie, to czujesz z tą osobą jakąś więź. Stefania nie planowała romansu. Właściwie nie zna osoby, która by z premedytacją planowała skok w bok. Sądziła, że ma szczęśliwą rodzinę: córeczkę, która była jej całym światem, i oddanego męża.

To stało się po jakimś długim, wyjątkowo ciężkim dyżurze. Musiało być lato, bo pamięta, że wyszli przed szpital z kubkami kawy. Ona rozmasowywała obolałe łydki, on zapalił papierosa. Od słowa do słowa, od uśmiechu do uśmiechu, od spojrzenia do spojrzenia... Poklepał ją po ramieniu, kiedy oznajmiła mu, że pada z nóg. Wtedy po raz pierwszy przebiegł po jej plecach dreszcz, serce dużo szybciej zabiło, w dole brzucha poczuła dziwne łaskotanie. Od tamtej chwili rozmawiali częściej. Czasami on położył dłoń na jej dłoni...

Stefania coraz częściej brała dyżury, podobnie jak Krzysztof. Potem, któreś nocy, jego usta zbliżyły się do jej ust. Jej serce zabiło do niego. Zakochali się w sobie, ale żadne nie rezygnowało ze swojego dotychczasowego życia. Stefania nie potrafiłaby krzywdzić córki, która ubóstwiała swojego ojca.

Była pełnia księżyca. Stefania – położna – i doktor Krzysztof Wojdar mieli nocy dyżur. Pełnia w niezbadany sposób sprzyja porodom. Na oddziale był ruch

niczym na Marszałkowskiej. Personel nie wiedział, w co ręce włożyć, poród za porodem... Stefania była doświadczoną położną, która przyjęła setki porodów, uwijała się więc jak w ukropie.

Tej nocy rodziła również jej córka, Liwia. Stefania czuła, że poród Liwii będzie ciężki. Dziewczyna była młodziutka, szczuplutka i słaba psychicznie, nie radziła sobie z bólem, szybko się poddawała. Stefania weszła do sali, gdzie rodziła Liwia, ale doktor Wojdar spiorunował ją wzrokiem. Nie powinna tu być, obiecała mu to, nie wytrzymała jednak, kiedy usłyszała na korytarzu wrzask swojej córki.

Podeszła do łóżka, złapała rodzącą za rękę.

Liwia nie słuchała poleceń. Nie chciała współpracować. Najpierw nadszedł jeden skurcz, potem kolejny.

– Dobrze ci idzie – starała się wesprzeć córkę położną.

Co innego przyjmować poród od obcej kobiety, a co innego patrzeć, jak córka się męczy. Serce matki krwawi, kiedy wie, że nie może pomóc. Stefania widziała w oczach córki strach. Liwia leżała z rozłożonymi nogami i wzdętym brzuchem. Matka trzymała ją za rękę, ale ona nie chciała przeć.

– Kochanie, kochanie – Stefania sama zaczęła panikować, co nigdy dotąd jej się nie zdarzyło.

– Stefa. Wyjdź na chwilę. Utrudniasz – nakazał doktor Wojdar.

– Ale...

– Utrudniasz! – spiorunował ją wzrokiem.

– Zawołam cię, gdyby się coś działo – odezwała się Alicja, jej koleżanka po fachu.

Stefania wyszła z sali. Oparła się o ścianę. Odetchnęła głęboko.

– Stefa, na salę – ktoś ją zawołał do sali obok, na której odbywał się kolejny poród.

Tymczasem Liwia się rozplakała. Nie było mowy o współpracy z jej strony. Alicja prosiła rodzącą, by ta oddychała płytko, kiedy przychodził skurcz, i głęboko między skurczami, ale dziewczyna w ogóle jej nie słuchała. Tętno dziecka z każdym skurczem stawało się coraz słabsze. Dziewczyna nie potrafiła dostosować się do sytuacji, zamiast poprawnie oddychać, wpadła w panikę. W pewnym momencie tętno dziecka spadło do pojedynczych uderzeń i nie wyrównało się. Wojdar podjął natychmiastową decyzję.

– Cięcie!

Dziewczyna została przewieziona do sali operacyjnej. Nie było czasu na znieczulenie podpajęczynówkowe, musiało być ogólne. Równocześnie na drugim stole rozpoczęło się inne cesarskie cięcie. Kobiety, której w czasie akcji porodowej wypadła pępowina. Miała na imię Karolina. Takie sytuacje były niezwykle niebezpieczne dla dziecka, gdyż groziły niedotlenieniem, w konsekwencji porażeniem mózgowym czy nawet zgonem. Personel wiedział jednak, że jeśli

rodząca natychmiast znajdzie się na stole operacyjnym, dziecko może wyjść z opresji zdrowe, nawet bez konieczności reanimacji.

Na salę operacyjną składały się dwa oddzielnie pomieszczenia, połączone ze sobą salą przejściową dla noworodków, zwaną przez personel kącikiem dla maluchów. Mieścił się tam inkubator i stolik, na którym bada się dzieci, obok była aparatura do reanimacji.

W tym samym czasie na stołach operacyjnych dokonywano dwóch operacji: Liwii i Karoliny. Pierwsza zakończyła się operacja Liwii. Dziecko zostało przeniesione do sali dla noworodków, w której podjęto reanimację. Wojdar zlecił zszycie Liwii młodemu lekarzowi, a sam przeszedł do kącika noworodków. Wprowadził cewnik do gardła maluszka i zaczął ssanie. Stymulacja nie przyniosła rezultatów.

– Tlen! Tlen!

Położna podała doktorowi maskę z tlenem. Dziecko nadal nie oddychało. Wojdar modlił się w duchu, by nie musiał intubować. Zastosował resuscytator, wykonał masaż serca. Akcja przebiegała sprawnie i w końcu noworodek zaczął oddychać samodzielnie.

Spojrzał na zegarek, pokręcił głową. Tak długie niedotlenienie wiąże się z uszkodzeniami mózgu, serca, nerek oraz płuc. Cała akcja przebiegała bardzo sprawnie, oddech dziecka wrócił do normy, ale...

– Doktorze! – usłyszał za plecami czyjś głos.

Szybkim krokiem przeszedł do drugiego stołu operacyjnego. Cięcie, wyjęcie dziecka.

– Panie doktorze – ordynator zwrócił się do doktora Kamińskiego.

– Tak?

– Proszę dokończyć.

Ktoś wpadł do sali.

– Szykuje nam się kolejna cesarka.

– Siostrze, proszę zabrać dziecko do badania – zwrócił się do Stefanii, która asystowała przy porodzie Karoliny.

Dzieci Karoliny i Liwii urodziły się w odstępie zaledwie kilku minut. Obaj chłopcy.

Kobieta ruszyła z noworodkiem do sali dla maluchów, Wojdar poszedł za nią. Zobaczył, że na miejscu jest też Alicja z drugim dzieckiem, wnukiem Stefanii.

– Ja się nim zajmę, proszę – Stefania zjawiała się przy wnuku.

– Ale...

– To mój wnuk.

Alicja spojrzała na ordynatora.

– Stefania i ja dopilnujemy wszystkiego – zwrócił się do młodszej położnej.

– Czekają nas kolejne porody, a stan tych noworodków jest stabilny.

Alicja spojrzała na lekarza, po czym wyszła bez słowa.

Wojdar i Stefania zostali sami. Ordynator w skrócie opowiedział jej przebieg akcji porodowej córki. Kobieta nie mogła złapać oddechu, jej serce biło tak szybko, że myślała, że dostanie zawału.

– Wiesz, z czym to się wiąże? – zapytał.

Oczywiście, że wiedziała. Tak długie niedotlenienie na pewno będzie miało negatywne skutki. Porażenie mózgowe. Stefania w jednej chwili przypomniała sobie wszystko, co wiedziała o dzieciach z porażeniem mózgowym. Jej córka była taka krucha, wrażliwa, tyle w jej życiu było ostatnio tragedii. Nie da sobie rady z kolejnym ciężarem, który miałby na nią spaść. Zbyt wiele łez ostatnio wylała. W dodatku samotna matka...

Stefania miała kuzynkę, która urodziła dziecko z porażeniem mózgowym. Kiedyś często się odwiedzały. Stefa patrzyła z politowaniem na tę kobietę, która po kilku latach wychowywania dziecka zmieniła się we wrak człowieka. Świat zwolnił, a jej się wydawało, że jej dusza uleciała w górę, zostawiając bezwładne ciało. Synek Karoliny wymagał jedynie delikatnego wsparcia oddechowego, jego ogólny stan był dobry.

Liwia nie poradzi sobie z chorym dzieckiem, Stefania wiedziała o tym doskonale. Miała dopiero osiemnaście lat, a zdradzała objawy depresji. I jeszcze to? Stefania nie będzie mogła pomóc jej należycie w opiece nad dzieckiem, ktoś musiał zarabiać na ich utrzymanie.

– To jest synek Liwii – wskazała na zdrowego noworodka, syna Karoliny.

– Ale... – doktor Wojdar był zdenerwowany.

– Czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz? Ona nie da rady zająć się chorym dzieckiem. Jest bardzo młodą, samotną matką, która w ostatnim roku przeżyła traumę.

Lekarz kręcił głową.

– Oddałam ci moją córkę pod opiekę, a ty to spierdoliłeś!

– Naprawdę robiłem, co w mojej mocy...

– Kurwa! Z tobą tak zawsze... – kobieta w jednej chwili podjęła decyzję. –

Podmienię dzieci.

– Kurwa! – Krzysztof nie krył wzburzenia. – Co ty odpierdalasz?

– Zniszczę cię!

– Ale?

– Wiem o tobie tyle rzeczy. Nasz romans, błąd lekarski, który popełniłeś dwa lata temu, kiedy byłeś na dyżurze pod wpływem alkoholu. Mam dowody! – zobaczyła przerażenie w oczach kochanka. – Nie traćmy czasu. Musisz mi pomóc, słyszysz?

Skinął głową.

Dzieci wyjechały z sali operacyjnej już ze zmienioną tożsamością.

Liwia otworzyła oczy. Była mocno wystraszona. Stefania drzemała na krześle.

– Mamusia?

Starsza kobieta poderwała się na równe nogi. Podeszła do córki i uśmiechnęła się do niej.

– Wszystko w porządku, kochanie – pogłaskała ją po policzku.

– Gdzie jest moje dziecko?

– Tutaj. W łóżeczku – Stefania wskazała na zawiniątko, z którego wystawała czarna główka.

Liwia też się uśmiechnęła.

– Czy wszystko z nim w porządku?

– Jak najbardziej. Jest zdrow jak ryba – Stefania starała się opanować drżenie głosu.

Wojdar stanął przed łóżkiem położnicy. Spojrzał na mężczyznę, zapewne jej męża, który trzymał kobietę za rękę. Wypowiadanie tych słów przychodziło mu z wielkim trudem. W tamtej chwili znienawidził siebie.

– Wypadnięcie pępowiny jest stanem zagrożenia życia dla dziecka, ale udało nam się je uratować. Jednak niedotlenienie tak dużego stopnia może spowodować u dziecka różne konsekwencje i powikłania, na przykład MPD. Wiele wskazuje na to, że przez długotrwałe niedotlenienie może wystąpić u państwa dziecka porażenie mózgowie.

Stefania stanęła przed lustrem. Spojrzała w lustrzane odbicie i poczuła do siebie obrzydzenie. Splunęła na twarz odbijającą się w zwierciadle. Była jednym wielkim kłamstwem, a przecież kiedyś uważała się za dobrego człowieka.

Usiadła na sedesie, złapała się za głowę. Za kilka godzin będzie musiała iść do pracy, zając się ciężarnymi pacjentkami, potrzymać za rękę, przytulić, powiedzieć dobre słowo. Tymczasem ona zwątpiła w sens swojej posługi. Po tym, co zrobiła, wiedziała, że będzie musiała odejść z zawodu. Jeśli tego nie zrobi, zwariuje.

* * *

Minęło pięć lat.

Stefania pokochała swojego przybranego wnuka, wciąż jednak myślała

o dziecku, które oddała. O jej prawdziwym wnuku. To była jej krew. Krew z krwi. Po zamianie w szpitalu spisała dane tamtej kobiety. Kilka razy była nawet u niej pod domem. Chciała wyznać prawdę jej i Liwii, ale nie miała odwagi. Zresztą zauważyła, że chłopiec, jej wnuk, faktycznie jest niepełnosprawny. I jego ułomność była duża, widoczna gołym okiem. Nie było dnia, żeby nie myślała o wnuku. Jak wyglądałoby ich życie, gdyby we dwie wychowywały niepełnosprawne dziecko? Czy córka dałaby radę? Nie. Pewnie wszystko spadłoby na nią. Po porodzie Liwia przez kilka tygodni miała depresję poporodową. Kochała Szymka, ale jak tylko mogła, wyrывała się z domu, podrzucając go babci.

– Mamo, ja chcę żyć – powtarzała.

Stefania wiedziała, że to normalna reakcja po tym wszystkim, co się wydarzyło. Nie winiła jej za to.

– Żyj! Żyj – kręciła głową, kiedy Liwia znikwała w piątek, by wrócić dopiero w niedzielę wieczorem.

Przez kolejne dni była wzorową mamą, ale kiedy przychodził weekend, urywała się.

Kobieta naląła sobie wódki do kieliszka. Wypiła do dna. Potem kolejny raz i jeszcze jeden. A potem podeszła do szafki, z której wyjęła papeterię. Drżącymi z emocji rękami zaczęła pisać list do Karoliny, mamy jej prawdziwego wnuka.

Pisała o tym, co zrobiła, i o tym, że chciałyby wszystko naprawić, ale nie wie, czy teraz to w ogóle jest możliwe. Pisała o tym, że jest złym człowiekiem i że już następnego dnia pożałowała swojej decyzji, a mimo to nie potrafiła się do wszystkiego przyznać. Bała się, że trafi do więzienia, a córka nie poradzi sobie z całą tą sprawą. Piła, pisała, płakała. Aż w końcu podarła kartkę w drobny mak. Teraz już za późno. Na wszystko było już za późno...

Stefania dowiedziała się, że Jasiak, jej wnuk, jest pod opieką pewnej fundacji. Jak tylko mogła, przelewała na jego konto datki jako anonimowy darczyńca. Odmawiała sobie niemal wszystkiego, byle tylko przesłać wnukowi pieniądze. Jak wiele straciła z życia tamtego chłopca? Jak wiele zyskała, opiekując się swoim radosnym, zdrowym, przybranym wnukiem?

Któregoś dnia zadzwonił do niej Wojdar. Nie miała ochoty na spotkanie z nim. Zbyt wiele ich dzieliło, łączyła jedna tajemnica. Nie widzieli się kilka lat. Ona zmieniła miejsce pracy i zerwała z nim kontakty. Jednak podczas rozmowy telefonicznej Krzysztof nalegał na spotkanie, a ona była mu to winna.

Spotkali się o jedenastej w niewielkiej kawiarence. Usiedli przy zewnętrznym stoliku osłoniętym z trzech stron donicami z tujami. W ciągu tych kilku lat Wojdar się postarzał, ona zapewne też, chociaż w lustrze wciąż widziała tę samą kobietę, którą była, kiedy zaczął się jej romans. Krzysztof wyglądał na

zmęczonego. Pod jego oczami dostrzegła sińce.

– Biorę dużo dyżurów – powiedział, jakby czytał w jej myślach.

Usiadła naprzeciwko niego.

– Ach, tak – nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Na kolanach trzymała torebkę, jakby zaraz miała się zerwać z krzesła i uciec.

– Napijesz się czegoś? – zapytał.

– Może herbaty.

Skinął na kelnera.

Po kilku chwilach kelner postawił przed nią czajniczek, w którym parzyła się herbata, i filiżankę. Zapadła krępująca cisza. W powietrzu czuć było zapach nadchodzącej jesieni. Kolorowe liście spadały z drzew. Powiało chłodem.

– Co u ciebie? – zapytał Wojdar po chwili.

– Spotkałeś się ze mną, żeby zapytać o moje samopoczucie?

– Po części tak.

– Jeśli chodzi ci o to, co zrobiłam...

– Co zrobiliśmy... – przerwał jej i spojrzał w oczy.

– Co zrobiliśmy. To ciężko mi z tym żyć.

– Mnie też. Wątpiłaś w moją miłość do ciebie. Ale chyba pokazałem ci, jak bardzo mi na tobie zależy.

– Krzysztof... A może to było tak, że bałeś się, że wszystko stracisz. Reputację, że żona cię oskubie cię podczas procesu rozwodowego i odejdzie w siną dal.

– Właśnie się rozwodzę.

– To dlatego to spotkanie?

– Może – wzruszył ramionami i pociągnął łyk kawy. Chyba sparzył sobie usta, bo wzdrygnął się. – Pamiętaj, że możesz na mnie zawsze liczyć, cokolwiek byś postanowiła, będę z tobą – dodał, ściskając lekko jej dłoń.

– Po co to wyznanie?

– Bo chciałem, żebyś do mnie wróciła.

– Nie mogę.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Nie chcę. Kiedyś, przed tym wszystkim, bardzo cię kochałam – sama się zdziwiła, że mu o tym mówi. Pierwszy raz wyjawiała mu swoje uczucia. Wtedy, przed laty, spotykali się, kochali, ale nie rozmawiali o emocjach. Nie było czasu na czułości, wyznania, intymność. Pospieszny, przypadkowy dotyk, przelotne spojrzenie, seks w jakiejś kanciapie. Jedno drugie uciszało, żeby nie za głośno. Szybkie spełnienie. Tak było przez lata i oboje się na to godzili. Raz tylko spędzili ze sobą tydzień. To były piękne chwile. Wtedy zrozumieli... Ale wiedzieli, że dla nich jest już za późno.

– Wiedziałem, że jesteś we mnie zakochana. Ale kochałaś też swojego męża,

prawda?

– Sama nie wiem, czy kochałam. Czy to w ogóle możliwe, by kochać dwóch mężczyzn jednocześnie? – i, nie czekając na odpowiedź, kontynuowała: – Mnie się w ogóle za dużo wydawało.

– A ja cię kochałem. Może tego nie okazywałem, ale tak było, bo przecież nie zrobiłbym tego wszystkiego, gdyby nie ty.

Stefanię ogarnął gniew. Sama nie wiedziała, dlaczego targaly nią tak silne emocje.

– Widziałam go kilka razy – powiedziała.

– Kogo?

– Mojego wnuka.

Wojdar westchnął.

– Też go widziałem...

– Ale jak? Kiedy?

– Nie tylko ty spisałaś danej tamtej kobiety.

– Ty też?

– Tak – znów westchnął, tym razem przeciągle. – Kilka razy przyjeżdżałem pod ich mieszkanie. Widziałem tę kobietę, jej męża i dziecko. Dowiedziałem się też, gdzie mają rehabilitację.

– Jest im ciężko.

– Tak – w jego oczach pojawiły się łzy.

– Dziękuję ci za to, co dla mnie zrobiłeś.

– Nie powinienem był tego robić.

– Wiem. Ja też nie – Stefania poczuła zawroty głowy. Oblizła spierzchnięte usta.

– Napij się.

Nalała złocistego płynu do filiżanki, pociągnęła spory łyk. Herbata była już zimna i niesmaczna.

– Ona go kocha. Bardzo kocha. Walczy o niego każdego dnia. Mam znajomości, podpytałem tu i ówdzie.

– Ale to nie jest jej dziecko. Mogłam jej tego oszczędzić.

– Mogliśmy, ale dokonaliśmy wyboru.

– Złego wyboru.

Stefania wstała, obrzuciła Wojdara spojrzeniem.

– Nigdy nie zapomnę ci tego, co dla mnie zrobiłeś, ale nie dzwoń już do mnie, proszę.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę wyjścia. Niczego tak bardzo nie pragnęła, jak uciec od przeszłości. Biegła bez wytchnienia kilkanaście metrów, po czym przystanąła przy drzewie i zwymiotowała. Silne torsje wstrząsały jej ciałem. Co ona zrobiła? Co ona najlepszego zrobiła? W sercu czuła przerażającą

pustkę i ból. Przez pięć lat nie przespaa ani jednej caej nocy. Przez pięć lat kaedego ranka obiecywała sobie, że to właanie dzisiaj naprawi wyrządzone zło. Ale dzisiaj zmieniało się w jutro, pojutrze, za jakiś czas. Nie miała odwagi, by ponownie namieszać w życiu tylu osobom. A może bała się o siebie? Tak, chyba najbardziej bała się o siebie.

Wracała do domu piechotą. Była smutna, bardzo smutna, i wtedy ją zobaczyła. Tę kobietę, matkę jej wnuka. Nie mogła w to uwierzyć. Kobieta płakała, a serce Stefanii zaczęło krwawić. Wiedziała, z jaką odpowiedzialnością i ciężarem musi się mierzyć. Najchętniej by zawróciła, ale coś kazało jej podejść do zrozpaczonej kobiety.

- Czy coś się stało? Mogę pani jakoś pomóc?
- Przepraszam. Po prostu mam zły dzień.
- Zdarza się. Chusteczkę?
- Dziękuję.
- Może da się pani zaprosić na kawę?
- Nie wiem.
- Czego pani nie wie?
- Nie wiem, czy to dobry pomysł.
- A jakbym dorzuciła ciastko?
- Dlaczego pani to robi?
- Dlaczego zapraszam panią na ciastko? O to chodzi?
- Tak.
- Bo widzę, że pani tego potrzebuje. Szybka kawa i ciastko z dużą ilością bitej śmietany i czekolady. Na osłodę tego przekłętego dnia...

Następnego dnia Stefania pojechała po raz kolejny pod blok Karoliny. Wysiadła z samochodu, po czym schowała się za drzewem, kątem oka obserwując, co się dzieje na skwerze przed blokiem. Chłopczyk leżał w wózku, przykryty kocem. Wydawało jej się, że spał. Kobieta, jego matka, siedziała na ławce. W pewnym momencie z czułością pogładziła chłopca po policzku. Zaczęła czytać gazetę, ale co chwilę odrywała się, by spojrzeć na malca. Patrzyła na niego z taką miłością, z jaką patrzy tylko matka na swoje dziecko.

Stefania bała się nawet oddychać. Stała bez ruchu, oczarowana tą bliskością matki i syna. Starszy mężczyzna z psem przeszedł obok niej i dopiero wtedy ruszyła z miejsca. Nie chciała wzbudzać podejrzeń. Wsiadła do samochodu, oparła głowę o kierownicę i zawyla niczym zranione zwierzę. Przysporzyła swojej córce i tej kobiecie tyle cierpień... Wiedziała jednak, że nic nie może teraz już zrobić. Musiała zostawić przeszłość za sobą.

Włączyła silnik i odjechała. Zniknęła z życia Karoliny i jej syna.

* * *

Jasiek jednym paluszkiem dotknął policzka Karoliny, kiedy ta pocałowała go na dobranoc. W oczach dziecka było tyle miłości.

– Dobranoc, skarbie.

Kobieta usiadła na skraju łóżka, z czułością obserwując, jak jej synek zasypia. To Jasiek nauczył ją prawdziwej miłości. Ofiarował jej swoje bezbronne, ufne serce. Nie może chodzić, mówić... Może jednak ofiarować miłość.

Kiedy urodził się Jasiek, Karolina była przerażona tak bardzo, że strach ją paraliżował, ale teraz zrozumiała, że gdyby odrzuciła taką miłość, okazałaby się skończoną idiotką.

Kiedyś myślała, że życie Jaśka to pasmo bólu i cierpienia, teraz wie, że to też niezapomniane chwile. Jego i ich. Jasiek swoją obecnością dopełnił ich małżeństwo.

I skłamałaby, gdyby powiedziała, że nie marzy o tym, by był zdrowy. Marzy. Do tej pory sobie wyobraża, że hasa z nim po łąkach, śmieją się, a on opowiada jej, jak było w szkole. Któregoś dnia ona odkrywa, że on pali papierosy, a ona się na niego wścieka.

– Jasiek, może w innym życiu, innym wymiarze, pohasamy po łąkach i wypalisz z matką fajkę? – zaśmiała się cicho, po czym zgasiła lampkę i wyszła z pokoju.

Teraz. Teraz jest już spokojna. Już wie, czym jest miłość, ta najprawdziwsza z prawdziwych.

* * *

Stefania włączyła płytę ze swoją ulubioną piosenką Chylińskiej:

*Jak mam pokochać Cię,
Daj mi jakiś znak.
Umieram dzisiaj pierwszy raz,
By zacząć liczyć lepszy czas.
Chciałam pokochać Cię, ale nie wiem, jak
Pokonać w sobie ból i strach,*

Ocalić życie mimo strat.

Ocalić je,

Ocalić nas,

Ocalić nas...[10]

Nieważne, jak ciemna jest noc, zawsze w końcu nastaje po niej dzień. A kolejny dzień to nowa historia, którą sami spisujemy. W życiu każdego człowieka zdarzają się mniejsze i większe nieszczęścia, ale życie toczy się dalej, czy tego chcemy, czy nie. W chwili największego smutku spójrz na barwne skrzydła motyla, na wschodzące słońce, na szumiące morze. Weź głęboki oddech. Opatrz rany i ruszaj przed siebie... Zawsze przed siebie.

Koniec części pierwszej

[10] Fragment piosenki *Królowa łez* z repertuaru A. Chylińskiej, muz. B. Królik, M. Piotrowski, sł. A. Chylińska.

PODZIĘKOWANIA

Szczególne podziękowania składam dwóm cudownym kobietom, bez których nie powstałaby ta książka. Zechciały się ze mną podzielić swoją wiedzą.

Tereni, Teresie Kłos-Zakrzewicz, która odpowiedziała na moje pytania związane z opieką nad chorym dzieckiem. Sama jest mamą niepełnosprawnego dziecka. Opisana w książce historia nie jest naturalnie historią Teresy, ale jej wiedza pomogła mi w stworzeniu niektórych scen.

Chciałam Wam zacytować, za jej zgodą, fragment maila od Tereni:

Nie jest tak, że nasze życie to tylko pasmo żalu i cierpienia. Nasze życie nie tylko ma kolor szarości, czasami trafiają nam się też chwile radości. Z doświadczenia wiem, że my, rodzice dzieci chorych, potrafimy się cieszyć małymi, krótkimi chwilami, uśmiechem naszego dziecka, niewielkimi postępami w rozwoju, tymi momentami, kiedy nasze dziecko ma lepsze dni, nie ma ataków.

Nawet nie wiesz, jak byłam szczęśliwa, kiedy moje dziecko po raz pierwszy samo przewróciło się z jednego boku na drugi. Dla wszystkich rodziców zdrowych dzieci to jest naturalne i zwyczajne, a dla mnie to był cud wypracowany długimi ćwiczeniami.

Wiesz, ja wiem, że każdy dzień jest nam dany po to, abyśmy się cieszyli tym, że możemy być razem.

Nigdy nie jestem pewna, jak długo będę się mogła cieszyć obecnością mojego dziecka, nie wiem, kiedy nadejdzie gwałtowne pogorszenie i moje dziecko zgaśnie w oczach, ale na razie żyję chwilą i nie myślę, co będzie dalej, bo inaczej bym zwariowała.

Ani Majda, która jest położną i prowadzi blog: <http://poloznamama.pl>, dziękuję za to, że udzieliła mi porad w kwestii powikłań, jakie mogą się zdarzyć podczas porodu. Pomogła mi napisać końcowe sceny książki. Ania wydała poradnik dla młodej mamy, możecie go nabyć tutaj: <http://poloznamama.pl/ksiazka/>.

Mojej przyjaciółce, Uli, jestem wdzięczna za to, że motywuje mnie do działania, za każdy uśmiech, rozmowę, każde wspólnie wypite wino i za te dwadzieścia parę lat razem. Za tony książek, które dostaję od niej w prezencie, za cudne wspomnienia i za to, że po prostu jest. Pamiętaj o czapce!

Moim rodzicom – niezmiennie i zawsze – za wszystko...

Mojemu mężowi i całej rodzinie za wszystko, co dobre, i za ogromne wsparcie, które od Was otrzymuję. Bez Was bym zwariowała, z Wami też wariuję.

Monice Madejek i bratowej, Uli – za każde ciepłe słowo.

Anecie Pimpis i Eli Durka – za rozmowy, które sprawiają, że się uśmiecham, za każde: „Co u ciebie?”, za każdy list, każdą kartkę, każdą wiadomość.

Ani Piotrowskiej – za promowanie w sieci moich książek i książek innych polskich autorów. Kochana, robisz tyle dobrego, pokłony Ci składam.

Beacie Owczarczyk – za założenie grupy „Fani powieści Gabrieli Gargaś”. Jestem Ci wdzięczna za każdy post i doping.

Dziękuję Dorocie Gronkowskiej, Marcie Szymańskiej, Justynie Rohde, Ewie Sołtysiak, Lidii Szarna, Ani Lidke, Agnieszce Średnickiej, Joasi Jarosz, Donacie Wiśniewskiej, Ewie Markuszewskiej, Zuzi Osieckiej-Godlewskiej, Magdalenie Mazurek, Kasi Naworskiej, Ewie Borkowskiej, Agnieszce Kowalskiej, Grażynce Cybulskiej, Anicie Idzikowskiej, Kasi Chabło, Grażynce Wardach, Agacie Legun, Joannie Wierzbickiej, Monice Szydłowskiej, Teresie Gronkowskiej, Karolinie Ubych, Sylwii Hibner, Monice Płatek, Violetcie Laskowskiej, Ani Kminikowskiej, Ewelinie Stawsińskiej.

Piotrkowi i Radkowi – za wszystkie cenne rady dotyczące męskich postaci występujących w książce, a Justynce Bagnerowskiej – za cudowne spotkania przy kawie i Yogi Tea.

Pani Danusi (Danie) dziękuję za każdą rozmowę, za jej życzliwość i wszelkie opinie na temat moich powieści oraz cudne spotkania.

Ekipie z Wydawnictwa FILIA i ONA CZYTA dziękuję za wsparcie i promocję moich książek na rynku wydawniczym, a paniom redaktorkom z firmy SEITON – za ciężką pracę przy redagowaniu tej książki.

Wam, Drogie Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, dziękuję za recenzje, opinie o moich książkach i wszystkie ciepłe słowa, które od Was otrzymuję. Bez Was nie wydałabym kolejnej książki.

Zapraszam Was do odwiedzenia mojej strony: <https://www.facebook.com/gargasgabriela> oraz do dołączenia do grupy na Facebooku: „Fani powieści Gabrieli Gargaś”.

OD AUTORKI

Czy w dzisiejszych czasach możliwa jest podmiana dzieci w szpitalu?

Tak. Oto kilka historii, które zainspirowały mnie do napisania ostatnich scen w książce:

Zuzia żyła w obcej rodzinie przez 10 lat. Urodziła ją samotna matka. Prawda nie wyszłaby na jaw, gdyby dziewczynka w wieku 10 lat nie zachorowała. Żeby móc leczyć niespotykane rzadką chorobę, 10-latce potrzebna była krew. Najpierw dawców szukano wśród najbliższych – rodziców. Okazało się, że ani mama, ani tata (zjawił się w szpitalu po kilkuletniej rozłące z córką) nie mieli takiej grupy krwi, jak dziewczynka. Specjaliści wykonali dodatkowe badania. Dziecko zostało podmienione!

Zrobiono badania DNA wszystkim dziewczynkom, które przyszły na świat w tym samym, co Zuzia, czasie i w tym samym szpitalu. Po kilku miesiącach udało się odnaleźć drugie z podmienionych dzieci. Rodzice jednak zdecydowali, że dziewczynki będą wychowywały się w tych, co do tej pory, rodzinach [źródło: Gazeta Pomorska].

Pięć lat temu w jednym ze szpitali lekarze zamienili dzieci dwóch kobiet. Chłopcy wrócili jednak do swoich prawdziwych rodzin.

Rodzice jednego z chłopców podejrzewali, że dziecko nie jest ich synem. Oboje mieli czarne włosy i śniadą karnację oraz kręłą budowę ciała. Chłopczyk był blondynkiem o jasnej cerze, szczupły i wysoki. Z twarzy też nie był podobny do żadnego z rodziców. Gdy dziecko miało dwa lata, rodzice zdecydowali się na zrobienie badań DNA. Te potwierdziły, że chłopcy zostali zamienieni w szpitalu tuż po narodzinach. Druga rodzina, która wychowywała biologicznego syna pierwszej rodziny, początkowo odmówiła oddania chłopca. Twierdziła, że nie potrafi przelać uczuć na inną osobę. Dzieci zostały zamienione dopiero wtedy, gdy pierwsza rodzina wniosła sprawę do sądu [źródło: Gazeta Pomorska].

Trzeba zastanowić się nad kompetencjami personelu szpitalnego, który pomimo wyłącznie dwóch porodów w ciągu całego dnia potrafi pomylić dzieci.

To właśnie przytrafiło się Sandrze Dawkins i Meg Parker z Południowej Afryki. O tym przerażającym błędzie kobiety dowiedziały się dopiero po dwóch latach. Obie matki nie były już wtedy w stanie rozstać się ze swoimi synami. W ten

sposób Sandra Dawkins stała się mamą Robyna, a Meg Clinton Parker – Gavina.

Chłopcy zaczęli spędzać dużo czasu razem, byli jak bracia. Kiedy skończyli 15 lat, Meg zachęciła Robyna, by zamieszkał z nią i Gavinem. Chłopiec się zgodził, a Sandra pozostała sama. Bez dziecka i ze załamaniem serca [źródło: parenting.pl].

To jeszcze nie koniec historii. Jeśli chcecie się dowiedzieć, dlaczego Stefania posunęła się do takiego kroku, jeśli chcecie lepiej ją poznać, zapraszam Was już dziś do przeczytania drugiej części powieści. Wiele się wyjaśni, wiele zagmatwa... Będzie przede wszystkim emocjonalnie, życiowo i prawdziwie. Do bólu prawdziwie.

Gabriela Gargaś

